

1

Dom pozostał nie zmieniony. Kiedy Ed jechał przez park, dom, wzniesiony na wzgórzu, nadal górował nad okolicą. Ostre czerwcowe słońce nadawało ciepły odcień różowej cegle, krzewy bukszpanu stały proste i równo przyszyty, kwitły róże, tarasy z białego kamienia lśniły, gładkie i czyste. Mężczyzna poszedł za dużymi strzałkami, które wskazywały drogę na parking. Dopiero wtedy zobaczył pierwsze zmiany. Tam, gdzie kiedyś były zarośla i ogród warzywny, teraz rozciągał się szeroki pas asfaltu zajęty przez samochody i autokary. W stajniach mieścił się sklep z pamiątkami, w którym sprzedawano upominki ozdobione wizerunkiem domu, i kawiarnia, gdzie można było napić się herbaty czy zjeść lody.

Zostawił samochód pod opieką dozorczy w mundurze, który poinformował go:

– Przyjęcie odbywa się na trawniku po wschodniej stronie domu, proszę pana. Trzeba okrążyć budynek stajni i pójść na lewo.

– Chyba jeszcze pamiętam – uśmiechnął się Ed.

Usłyszał gwar głosów; rzeczywistość pamięć go nie zawiodła. Nie widział jeszcze gości, bo ukrywał ich cisowy żywopłot, o wiele wyższy, niż zapamiętał. Kiedy wyszedł na żwirowaną ścieżkę biegnącą wzdłuż trawników, uderzył go nowy widok. Na środku pięknie ostrzyżonego gazonu wznosił się obszerny biały namiot. Przy jednej ze ścian ustawiono białe stoliki i krzesła. Resztę rozległego trawnika zajmował tłum ludzi. Wydawało się, że wszyscy raczej krzyczą niż mówią.

Tego dnia, trzydziestego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, na terenie, na którym niegdyś stacjonowali, odbywał się osiemnasty do-
roczny zjazd Trzysta Czternastej eskadry Dziewięćdziesiątej Siódmej grupy bo-
jowej Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Ed zatrzymał się przez moment na skraju trawnika; patrzył i słuchał, oswajając się z widokiem. Po chwili podszedł do niego mężczyzna, który od jakiegoś czasu stał również z dala od tłumu i obserwował ciekawie przybysza.

– No, no, no, Człowiek z Żelaza we własnej osobie! Jeżeli to nie jest Ed Hardin, to ja już nie żyję i nie mam zadyszki! Nie widziałem cię wcześniej na żadnym z tych, jak je nazwali, zjazdów. Więc czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

Mężczyzna miał szczupłą twarz, cyniczną minę i ostry głos. Na plastikowej plakietce przypiętej do kłapy było napisane: „Hervey Leinert”.

Ed spojrzął na niego.

– Jak się masz, Hervey. Nadal wypalasz trzy paczki dziennie?

– Mam do wyboru to albo obgryzanie paznokci, a palcami w bandażach nie mógłbym pisać na maszynie. Zgoda, potrzebuję jakiejś podpórki psychicznej, ale mimo wszystko jestem w lepszym stanie niż siedzący tam pan na tych włościach. Jak się miewasz, Ed? Nie widzieliśmy się od wieków.

Wymienili uścisk dłoni. Nigdy nie byli przyjaciółmi.

– Czym się teraz zajmujesz? – Hervey zapalił następnego papierosa.

– Ciągle jestem w służbie.

– Tak... rzeczywiście. „Bull” Miller mówił mi na którymś zjeździe, że kiedyś się na ciebie natknął.

– W Sajgonie.

– A, racja! On też został w wojsku... zresztą kręci się gdzieś tutaj i oczywiście, swoim zwyczajem, wszystko organizuje. Z wiekiem stał się jeszcze bardziej uparty. Dlaczego nie spotkaliśmy cię na żadnym z wcześniejszych zlotów?

– To moja pierwsza wizyta w Anglii od czasu powrotu do Stanów w czterdziestym piątym.

– No wiesz, skoro uparłeś się pozostać w wojsku... – Ton Herveya wskazywał wyraźnie, co o tym myśli. – Ja nie przepuściłem żadnej kolejki. Bardzo pouczające imprezy. Ach, jak ten czas zmienia nas wszystkich... i to bynajmniej nie na lepsze. – Hervey zrobił szeroki gest, sypiąc popiołem. – Co myślisz o rezydencji?

– Jest, jaka była.

– Tylko na pozór. Wyobraź sobie, że dom przestał być własnością Luttrellów. Oddali go państwu, a państwo przekazało National Trust; utrzymanie posiadłości zrobiło się za drogie. Znak, że Stara Anglia powoli się kończy. Jednak rodzina mieszka tam w dalszym ciągu – wiesz, zawsze liczy się wdzięk i uprzejmość wyższych sfer, i cały ten kram. Lady Sarze nigdy nie brakowało takich cech. Ale przecież ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek z nas, prawda? – Hervey uśmiechał się niewinnie, ale pod wpływem niewzruszonego, twardego spojrzenia Eda uciekł wzrokiem w bok, mrużąc: – Ona tam gdzieś jest, w środku tego cyklonu, w otoczeniu amerykańskich torysów.

– Zdaje się, że żółć ci zalewa oczy, Hervey, jak kiedyś. Nic się nie zmieniłeś.

Hervey spojrzął na Eda myśląc z zazdrością, że niektórym wyraźnie się poszczęściło; to Ed wcale się nie zmienił. Był starszy, tak, ale przecież wszyscy byli

starsi. Przejechał ręką po przeredzonych włosach, wciągnął brzuch. Człowiek z Żelaza sprawiał wrażenie równie twardego jak dawniej; ani śladu zbędnych okrągłości, ani śladu siwizny. Fakt, miał te kilka lat mniej. Przed dwudziestu laty Hervey Leinert był seniorem w eskadrze: miał na karku pełną trzydziestkę. Ed teraz ma... ile? Czterdzieści sześć? Czterdzieści siedem? Nie tak wiele mniej od Herveya, ale różnica w ich wyglądzie była w oczy, więc mógł uchodzić za znacznie młodszego.

– Nie rozpoznasz większości starej ferajny – powiedział Hervey kwaśno. – Znać po nich upływ czasu. Za to muszę przyznać, że ty trzymasz czas w ryzach.

– Dbam o kondycję.

– Nadal pozbywasz się nadmiaru energii przy pomocy kobiet? – spytał Hervey z chytrą miną, ale widząc spojrzenie Eda dorzucił pospiesznie: – No to masz szczęście. Słuchaj, musisz zobaczyć Gilesa Luttrella. O mało się nie upiekł.

– Kiedy się leciało płonącym spitfire'em, trudno było liczyć na pomoc.

– Luttrell wygląda coraz gorzej. Obserwowałem, jak mu się pogarszało, jak słabł z roku na rok. Jego żonie na pewno nie było łatwo.

Ed nie odezwał się.

– Większość kobiet nie wytrzymałaby stałego przebywania z człowiekiem, który wygląda jak kawał plastiku – ciągnął Hervey. Miał nadzieję, że trafił w czułe miejsce.

– Sara Luttrell nie przypomina większości kobiet – odparł Ed.

– Nie masz kieliszka – zauważył nagle Hervey. – Nie uwierzysz, ale pijemy szampana... dzięki hojności naszych gospodarzy. Chodź do gości. Na pewno spotkasz mnóstwo osób, których nie rozpoznasz.

Ledwie weszli na trawnik, Eda otoczył tłum. Klepano go po plecach, ścisłano mu dłoń, zasypywano lawiną pytań, spontanicznych okrzyków i wspomnień. W gorących promieniach czerwcowego słońca grupy ludzi przemieszczały się, formowały i rozsypywały, po czym tworzyły nowe konfiguracje. W powietrzu dźwięczał śmiech, panowała wzajemna życzliwość. Ed nie widział większości spotykanych tu ludzi od czasów wojny. Trzy lata tamtego wspólnego życia i bliskiego partnerstwa zarosły chwastami, jak jedyny pozostały pas startowy w Little Heddington. Jadąc tu zatrzymał się na brzegu pola; barak, w którym mieli odprawę przed lotem, zajmowały teraz krowy. W pordzewiałej wieży tkwiły resztki szyb. Przeszedł się do pasa startowego, teraz popękanego i poprzerastanego zieliskiem. Pamięć podsunęła mu obraz „Latającej Fortecy”, kołującej zimnym świtem na stanowisko, i siebie samego, jak w skórzanej kurtce lotniczej, zmarznięty, popija gorącą kawę i marzy, by znaleźć się przy Sarze. Samoloty sunęły przed nim jak procesja duchów, by ustawić się w szyku: „High Roller”, „Busted Flush”, „California Girl”... przeminęły wszystkie, jak przeminęli ci, którzy siedzieli za ich sterami.

Jednak wielu z nich ocalało. Ocalała też pamięć tamtych dni; pamięć czasu wypełnionego gorączkowym życiem, które przecież mogło się skończyć w każ-

dej chwili. I dlatego ci, co przetrwali, ściągali tutaj, by przeżyć to znów bodaj przez moment; lecieli czarterowymi samolotami, jechali flotyllą autobusów. Teraz mieli już żony i gromadki dzieci oraz długi hipoteczne rozłożone na trzydzieści lat, i do nich musieli wracać. Tego popołudnia zebrało się ich tu co najmniej trzystu. Stanowili żywe świadectwo, że tamte dni nie zatarły się w pamięci ludzkiej. W tłumie można było znaleźć nie tylko pozostałych przy życiu członków eskadry. Były także ich żony – niektóre z nich to panny młode z wojennych ślubów. Ed rozpoznał pana Sargenta, byłego zawiadowcę stacji w Little Heddington, żwawego i rześkiego mimo ukończonej osiemdziesiątki; właściciela gospody Luttrell Arms; kierowniczkę poczty, panią Armstrong; pana Barforda, pastora z St Giles; wreszcie wielu ludzi z miasteczka. Wszyscy oni również go poznali. Stary sir George Luttrell umarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku, powiedział mu o tym „Bull” Miller, kiedy spotkali się w Sajgonie. Wszyscy, co przeżyli, wracali, żeby uczcić dawne czasy, wskrzesić przeszłość, przypomnieć smak pełnego lęku, a zarazem gorączkowego szczęścia i poczucia koleżeństwa. Wspomnienia Eda z tamtych czasów były najintensywniejsze i najjaskrawsze ze wszystkich. A choć nigdy tu potem nie wrócił, przeżywał je na nowo raz za razem, odtwarzając w pamięci jak stary film: wspomnienia ludzi i wydarzeń, słów i uczuć. Był to szczytowy okres jego życia. Od tamtej pory droga wiodła już wyłącznie w dół.

Tak więc rozmawiał, uśmiechał się i wymieniał uściski dłoni; przedstawiano go żonom i dzieciom, opowiadano chaotycznie dzieje minionych lat. Jednak cały czas, gdy tak krążył w tłumie przechodząc od grupy do grupy, jego wzrok omiatał pole widzenia niczym radar, aż w końcu odnalazł to, czego szukał.

Stała przed namiotem, w centrum ożywionej grupki ludzi, którzy śmiali się i mówili wszyscy na raz. Ona uśmiechała się tylko lekko i słuchała, z głową lekko przechyloną w bok znajomym gestem. Miała na sobie miękką i powiewną sukienkę w niewyraźny wzór o przygaszonych kolorach, z falbanką przy głębokim wycięciu i rękawach, z szeroką spódnicą. W podmuchach lekkiego wiatru cienka tkanina przylegała do ciała. Kiedy na nią spojrział, wróciło dawne uczucie – zupełnie jakby coś się w nim osunęło i wpadło w pustkę, tamując dech w piersi.

– Tego się nie kupi, z tym trzeba się urodzić – powiedział Hervey Leinert materializując się przy jego boku jak złośliwy gnom; przyglądał się uważnie Edowi, zajętemu obserwacją pani domu. – Potrzeba na to kilku wieków bardzo starannego pielęgnowania rasy, choć i wtedy nie można być do końca pewnym wyników. Wiadomo, że sir Giles Luttrell spędza pół życia w szpitalach, ale widząc, do jakiego skarbu wraca za każdym razem, można mu niemal zazdrościć. Nie mów tylko, że nie mam racji.

– To ty się zajmujesz słowami, Hervey.

Hervey odszedł kilka kroków, ale nie za daleko. Chciał być świadkiem tego spotkania. Ed wpatrywał się w Sarę, jakby od tego miało zależeć jego życie. Nie mogła chyba nie wyczuć siły tego wzroku. W następnej chwili Hervey zobaczył, jak

lekki podmuch wiatru rozrzuca włosy Sary Luttrell zwiewając je na oczy; jak ona podnosi rękę, żeby je odgarnąć i obraca się przy tym lekko, wykorzystując kierunek wiatru; dokładnie w tym momencie spojrziała prosto w oczy Eda Hardina. Hervey spoglądał to na jedno, to na drugie: wpatrywali się w siebie, jakby zostało im ostatnie sześćdziesiąt sekund przed pogrążeniem się w wieczną ciemność. Chryste! – pomyślał. Można by przerzucić to spojrzenie przez strumień i przejść po nim jak po kładce! Tych dwoje przeniosło się gdzieś – może do przeszłości? Dokądkolwiek się udali, miejsca było tam dość jedynie dla nich. I cokolwiek sobie powiedzieli – chociaż nie odezwali się do siebie ani słowem, porozumienie między nimi było doskonale wyczuwalne – na pewno była to dobra wiadomość.

Do Eda podszedł z tyłu „Bull” Miller. Klepnął go w ramię, coś tam powiedział, zagrmiał po swojemu salwą śmiechu i uściśnął mu dłoń, przez co oderwał go od Sary Luttrell. Ed popatrzył na niego pustym wzrokiem, ale zaraz, na oczach Herveya, pozbierał się i opanował. Odwrócił się do swojego dawnego zwierzchnika, jakby włączył automatycznego pilota, nadal skupiając całą uwagę na osobie Sary. Ona również stała przez chwilę jak oniemiała, a potem odwróciła się znów i popatrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, z przylepionym do ust uprzejmym uśmiechem. Kulminacją dramatu w Luttrell Park, pomyślał Hervey cynicznie. Bohaterowie zostali śmiertelnie ranni. A teraz co? Ciąg dalszy w następnym numerze... Właściwie co Ed tu robi, dlaczego wrócił? Żeby dostać więcej? A może chciał złożyć wieniec na grobie miłości... albo wyrazi szacunku? Czego pragnie – poza Sarą Luttrell? Czy przywiódł go tu instynkt, czy drzemiąca, a niewygasła nadzieja? Albo trop, który tutaj się kończy? Bo niewątpliwie kryje się za tym coś więcej, myślał Hervey, absolutnie pewien, że ma rację i gotów oddać wszystko, żeby się dowiedzieć, co to takiego.

Spojrzał znów na Eda, nadal rozmawiającego z „Bullem” Millerem; i na Sarę Luttrell, odwróconą do niego plecami. Pilnował ich przez resztę popołudnia; żadne z nich ani na chwilę nie straciło z oczu drugiego. Nie zamienili ze sobą ani słowa, nie przebywali nawet przez moment w tej samej grupie. Poruszali się wśród tłumu pozornie zupełnie przypadkowo; w rzeczywistości krążyli wokół siebie, wędrując, zdawałoby się, bezcelowo od grupy do grupy. Uśmiechali się, gawędzili, ale świadomi tylko siebie, czekali wyłącznie na sposobność zbliżenia.

Widział, jak Eda przedstawiono Gilesowi Luttrellowi. Nic nie świadczyło o tym, by Luttrell wiedział, że Ed Hardin jest dawnym kochankiem jego żony. Hervey pochwycił spojrzenie Eda, na widok którego Sara pochyliła się troskliwie nad mężem; nie patrzyła w kierunku Eda, ale była go świadoma całą sobą, po koniuszki włosów na głowie. Miłosiernym zrzędzeniem losu, Gilesa Luttrella, człowieka ciężko chorego, absorbował wyłącznie własny ból. Gdyby rozejrzał się uważnie, ujrzałby coś, co przyprowadziłoby go o gorsze cierpienie. Hervey był tak skupiony na rozważaniu powodów, przyczyn i motywów zaistniałej sytuacji, że stracił z oczu Eda. Przebiegł wzrokiem przerzedzający się tłum; impreza zamie-

rała, goście wychodzili, jakby przytłoczeni nadmiarem wspomnień. Hervey zajął do namiotu i obszedł wszystkie trawniki: ani śladu Eda.

Nadchodził czas pożegnania. Autobus Herveya zapełniał się ludźmi. Sara Luttrell zęgnąła odjeżdżających gości. Ściskając rękę gospodyni, Hervey przyjrzał się jej uważnie. Zauważył, że jest nieobecna duchem. Była nadal uprzejma, nadal serdeczna, ale to świadczyło jedynie o dobrym wychowaniu i nienagannyh manierach. Jej myśli odbiegły daleko od tych machinalnych czynności. Jak przystało na dobrą panią domu, poczekała, aż zapełni się ostatni autobus, a potem machała na pożegnanie stojąc na brzegu podjazdu. Trawnik za jej plecami usiany był stolikami, na których piętrzyły się brudne talerze i szklanki, oraz porozstawianymi w nieładzie krzesłami; kelnerzy czekali niecierpliwie na chwilę, kiedy będą mogli sprzątnąć i sobie pójść. Hervey patrzył za siebie, dopóki autobus nie pokonał zakrętu alei, a wtedy stracił Sarę z oczu.

2

Ktoś klepnął Eda po plecach, wymówił jego imię, wziął go za rękę. Ed musiał oderwać się od Sary i wrócić do rzeczywistości. Obok stał jego dawny zwierzchnik, generał brygady Otis „Bull” Miller. Wyglądał dokładnie tak, jak go opisał Hervey Leinert, może tylko miał bardziej przerzedzoną czuprynę.

– Ed, ty stary draniu! Dużo czasu ci zajęło dotarcie na jeden z naszych zjazdów! – Miller, widząc, jak Ed wpatruje się w Sarę Luttrell, trącił go łokciem i mrugnął otwarcie. – Widzę, że wciąż latasz za spódniczkami, jak tutaj mówią. A ona jest nadal piekielnie atrakcyjną kobietą. Dziewczyny zawsze cię oblegały, Ed. Jak to się stało, że do tej pory nie jesteś żonaty?

– Byłem żonaty... kiedyś.

– Każdy ma prawo do jednej pomyłki. Ja mam na swoim koncie dwie. Do trzech razy sztuka, a potem pas. A propos zaobrączkowanych, poznałeś już sir Gilesa?

– Nie.

– W takim razie musisz to nadrobić. Kapitalny facet. Zresztą przyjaźniłeś się chyba z jego ojcem, o ile dobrze pamiętam?

– Grywaliśmy razem w szachy.

– Wobec tego chodźmy.

Miller zaprowadził Eda do miejsca, gdzie Giles Luttrell królował na wózku inwalidzkim, stanowiąc ośrodek sporej grupy, przez którą generał utorował sobie energicznie drogę.

– Sir Gilesie – zagrzmiął jowialnie. – Wróciła do nas dzisiaj zabłąkana owieczka. Ten facet odwiedził Luttrell Park pierwszy raz od dnia, w którym go opuścił.

Pułkownik... wtedy kapitan... Ed Hardin. Ed, to jest sir Giles Luttrell, gospodarz naszych zjazdów.

Giles Luttrell posłał Edowi ostre, przenikliwe spojrzenie, a potem uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Hardin, Hardin... – zastanawiał się głośno. – Ale przecież ja pana znam! Pan musi być tym Edem, który grywał w szachy z moim ojcem.

– Owszem, tak – przyznał Ed ostrożnie.

– Miło wreszcie pana poznać. Ojciec pisał do mnie o panu, naprawdę. Sara również; dostarczał im pan różnych dóbr życiowych akurat wtedy, kiedy bardzo ich brakowało. Ojciec utrzymywał, że gra pan w sposób zręczny i przemyślany, ale przejawia skłonność raczej do ataku niż do obrony.

– Ma pan dobrą pamięć – skomentował Ed spokojnie.

– To mniej więcej wszystko, co mam – odparł Giles Luttrell pogodnie. – Reszta mojej osoby trzyma się dzięki katgutowi i drutom. Witaj się pan już z Sarą? Będzie zachwycona widząc pana po tak długim czasie. Wiem wszystko o panu i o załodze... jak się nazywał pana samolot? California Girl? Czuję, że pana znam, choć długo nam przyszło czekać na osobisty kontakt.

– Nie byłem w Anglii od czterdziestego piątego, kiedy z niej wyjechałem.

– To zobaczy pan wiele zmian.

– Już widziałem, zwłaszcza w Londynie.

– A, nasze miasto stu uciech.

– Właśnie, podobno.

Gawędzili sobie w otoczeniu przyjaznych, sympatycznych ludzi, aż w pewnej chwili Ed dojrzał, że świeża, różowa tkanka przeszczepu na uformowanej od nowa twarzy przybiera szary odcień. Nikt inny tego nie zauważył, ale dla Eda stało się oczywiste, że siedzący przed nim człowiek cierpi. Instynktownie rozejrzał się ponad głowami ludzi, szukając oczami Sary. Zauważył, że jest wpatrzona w niego. Zrozumiała natychmiast jego spojrzenie. W jednej chwili opuściła grupę, z którą stała, rzuciła parę słów na pożegnanie i ruszyła w stronę męża. Wystarczył jeden rzut oka na jego twarz, żeby bez pośpiechu czy paniki, w całkowicie naturalny sposób wyłuskała go z otaczającej grupy i poprowadziła wózek w kierunku domu. Tam służący zajął miejsce Sary przy wózku, gdy tymczasem ona poszła przodem, znikając w drzwiach.

„Bull” Miller odwrócił się do Eda.

– Ten człowiek jest autentycznie chory – stwierdził. – Bóg raczy wiedzieć, jak on to znosi, a jednak jakoś daje sobie radę. Spalił się prawie na grzanekę, mówię ci. Nie było cię tu, kiedy się rozbił, co? Pojęcia nie mam, jak on to wytrzymuje. Nie umiałbym policzyć, ile miał operacji. A jednak nigdy się nie skarży i zawsze ma pogodną minę. Lady Sara również. To ona wszystko organizuje, jak się pewnie domyślasz. On nie może jej nawet pomóc, serce mu na to nie pozwala. Operacje tak je osłabiły, że nie wolno mu robić żadnych wysiłków. Od lat przyglądam się, jak choroba opanowuje go coraz bardziej; w tym roku wygląda gorzej

niż kiedykolwiek przedtem – Miller westchnął. – Niedobrze. To wspaniały facet. Przez te wszystkie lata staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Pasjonuje się naszą eskadrą i naprawdę cieszą go te zjazdy. Bardzo liczy się dla niego fakt, że Luttrell Park jest ważny także dla nas.

– Świetnie to rozumiem – powiedział Ed spokojnie.

– Do kolacji będzie świeży i wesół jak szczygieł. A wiesz, że ja zawsze zostaję tu na noc? Zrobił się z tego rodzaj dorocznych obchodów. Moja pani chwali się potem przed resztą żon, opowiadając o swojej przyjaźni z sir Gilesem i lady Sarą Luttrell. Wiesz, jakie są kobiety.

Uśmiechnął się porozumiewawczo do Eda, ale nie było w tym złośliwości.

Impreza przeciągnęła się do późnego popołudnia. Koło szóstej większość osób zaczęła się zbierać do odjazdu – żeby pobawić się gdzieś, uczcić spotkanie, przegadać pół nocy wspominając dawne czasy. Ed widział Herveya Leinerta kręcącego się w pobliżu, ale zadbał o to, żeby go zgubić. Kiedy kelnerzy zaczęli uprzątać resztki przyjęcia, udało mu się przemknąć za namiot i odnaleźć swoje ulubione miejsce w parku: jezioro. Wyglądało zupełnie jak wtedy. Można by pomyśleć, że czas cofnął się o dwadzieścia lat. Brzegi łączył, jak niegdyś, palladiański mostek; wierzyby zwieszały, jak niegdyś, swoje gałązki, łabędzie i kaczki nadal pływały po wodzie. Jedynie pawilon w stylu greckiej świątyni był zamknięty. Zajrzał przez okno. Wewnątrz zobaczył poskładane leżaki i coś, co wyglądało na kamizelki ratunkowe. Zapewne teraz, pomyślał, kiedy przewijają się tu hordy turystów, muszą je trzymać na wypadek, gdyby ktoś wpadł do jeziora.

Usiadł na najwyższym, nagrzanym słońcem schodku pawilonu, kontemplując widok. Nic się tu nie zmieniło. Falista linia wzgórz Cotswold, pasące się krowy, zielone pola, niewielkie farmy, miasteczka, spiczaste wieże kościołów. Tchnący spokojem pejzaż, taki sam od tysiąca lat, nie tylko od dwudziestu. Wydawało mu się, że zaledwie wczoraj latał nad nim z regularnością zegarowego wahadła, rozmyślając za każdym startem, czy dane mu będzie wrócić, by znów to wszystko zobaczyć.

Odchylił się do tyłu i oparł o nagrzaną marmurową ścianę pawilonu. Powróciły wspomnienia. Jesienne i zimowe słotne dni; piknikowy kosz z jedzeniem; whisky z zapasów, dywan na podłodze, kojący dźwięk deszczu siekającego powierzchnię jeziora – i oni, ich dwoje, głuchych na wszystko, zapamiętałych w sobie. Dwadzieścia siedem, pomyślał. Miałem dwadzieścia siedem lat. A ona dwadzieścia trzy. Zupełnie jakby wróciła ta scena, tak często odgrywana, że nadal znał swoją rolę – perfekcyjnie, łącznie ze stanem nerwowego podekscytowania, rozedrganej gotowości na myśl, że za chwilę ona tu przyjdzie, żeby się z nim spotkać. Nic się nie zmieniło. Nawet on sam.

Zobaczyła go siedzącego na schodku, kiedy wyszła zza szczytu pagórka. Trawa była gęsta, tłumiała odgłos kroków; więc nie słyszał, jak nadchodzi, zwłaszcza że pogrążony był głęboko w myślach, wpatrzony w pejzaż za jeziorem, jakby szukał

tam niewiadomych odpowiedzi. Zanim podeszła, przystanęła, żeby na niego spojrzeć, nareszcie bez przeszkód, co chciała zrobić przez całe popołudnie, na człowieka, bez którego musiała żyć, ale którego nigdy nie zapomniała; tego obcego, o którym wiedziała wszystko.

Niewiarygodne, jak mało się zmienił. Był nadal Edem, chociaż dwadzieścia lat później. Wysoki, potężnie zbudowany – przypominała sobie kształt szerokich ramion pod dłońmi. Nie wydawał się ani trochę masywniejszy, niż pamiętała; włosy miał nadal bujne, jednolicie czarne, lekko kędzierzawe. Twarz może trochę szcuplejsza, ostrzejsza, jakby zamknięta; w kącikach ust widniały cierpkie linie, których nie narysował śmiech. Był mocno opalony, jakby przyjechał prosto z gorącego klimatu – z Kalifornii? Siedział w słońcu, pochylony lekko do przodu, z rękoma splecionymi luźno między kolanami, patrząc na drugą stronę jeziora. Wiedziała, gdzie błądzi myślami. Jej myśli były tam również, przez całe popołudnie. Podniosła oczy, by spojrzeć mu w twarz i zobaczyła, że Ed też na nią patrzy.

Nie spuszczać z niego wzroku, potrząsnęła głową bez słowa. Podniósł się i stali teraz naprzeciwko, wpatrzeni w siebie, w absolutnej ciszy. Milczenie przeciągało się, otaczając ich niewidoczną siecią jednoczesnego rozpoznania i pamięci, wiążąc ich bezpowrotnie. Czula mocne uderzenia serca – w szyi, na wargach, w czubkach palców. Była go świadoma każdym nerwem – cudowna męka, której nie zapomniała. Widziała zielone cętki w orzechowych oczach, które wpatrywały się w nią wabiąc nieodparcie, i złociste koniuszki rzęs.

– Jak się masz, Saro. Dawno się nie widzieliśmy – przemówił.

Zobaczył, jak piękne, wyraziste oczy napętlają się łzami, jak cała zaczyna drżeć. Zamrugła, rozpraszając łzy. Błada twarz jaśniała blaskiem. Ujął jej rękę w swoje; ścisnęła je mocno. Błądziła wzrokiem po jego twarzy, jakby szukała jakichś znaków, potem wróciła do oczu, a wyczytawszy w nich to, co chciała wiedzieć, wydała westchnienie tak lekkie, że ledwie słyszalne, i przyłgnęła do niego cała. Uwolniła rękę, by unieść je i otoczyć go ramionami, dopasować się jak najściślej. Trzymała go z całej siły, napięta, drżąca, i zaraz przyłgnęła twarzą do piersi. Jemu serce waliło równie mocno, drżał tak samo jak ona. Przytulił policzek do jej włosów i westchnął głęboko, jak gdyby zbyt długo wstrzymywał oddech.

– Jesteś naprawdę, Ed? To nie jest sen? Nie obudzę się za chwilę? – szepnęła.

– Nie. Jestem tu naprawdę. Cała reszta może być nierzeczywista, ale ja jestem – mówił ochryplym głosem.

– Wiesz, czekałam i wyglądałam cię tyle razy... Co roku myślałam: może to będzie tym razem? A kiedy było po wszystkim, myślałam: może w przyszłym roku?

– Odjechałem tak daleko, jak się dało. Dopiero tam odkryłem, że zabrałem wszystko ze sobą. Dlatego ostatecznie wróciłem. Nie byłem w stanie dłużej uciekać.

– Tak się cieszę.

– Ja też. – W jego głosie był ukryty żar.

– Kiedy zobaczyłam cię tak blisko mnie, myślałam, że mam halucynacje. Tak długo karmiłam się nadzieją. Powtarzałam sobie nieraz, że nie masz żadnego

powodu, żeby wracać, że w przeciwieństwie do innych nie zabrałaś z sobą szczęśliwych wspomnień, które by się wiązały z Luttrell Park.

– Nie masz racji. Nie przywiodły mnie tutaj złe wspomnienia, Saro, ale właśnie dobre. Tak wiele ich mam... Gdyby tak nie było, to czemu, twoim zdaniem, uciekałbym przez te wszystkie lata?

– Żeby być jak najdalej ode mnie?

– Szukałem drugiej takiej jak ty. I wróciłem dopiero wtedy, kiedy się przekonałem, że nikogo takiego nie ma.

– Ale ja cię tak bardzo zraniłam.

– To prawda. Jednak wiem, że nie chciałaś tego zrobić.

– Byłam mu potrzebna, Ed. Potrzebna do przeżycia. Twoja umiejętność przeżycia jest naturalnym darem. Przeżyłeś Schweinfurt za pierwszym i drugim razem, przeżyłeś Regensburg, Berlin, Holandię... Wiedziałam, że przeżyjesz rozstanie ze mną.

Poruszyła się i zrobiła krok do tyłu, żeby na niego spojrzeć. Pozwolił jej na to, ale nie puścił jej rąk. Powiedział spokojnie:

– Nie było dnia w ciągu tych dwudziestu lat, żebym nie pomyślał o tobie.

– Ja też nie opuściłam żadnego.

Jego oczy przesunęły się po niej jak palce ślepeca, dotykając, pieszcząc, czując.

– Wyglądasz zupełnie tak jak dawniej. To niewiarygodne.

– Jestem starsza.

– Ale ci z tym do twarzy.

– Kiedyś mi powiedziałeś, żebym nigdy nie sądziła z pozorów.

– Kiedyś mówiłem ci wiele rzeczy... zresztą skąd wiesz, że cię osądzam?

– Bo inaczej czemu byś wracał?

– Żeby cię zobaczyć.

– Po tych wszystkich latach?

– Zwłaszcza po tych wszystkich latach.

– Czy to znaczy, że mi wybaczyłeś?

– Już bardzo dawno temu. Kiedy zrozumiałem, co zrobiłaś i dlaczego, nie było nic do wybaczenia. Zrobiłaś to, co musiałaś, Saro, a nie to, co chciałaś. Nie mogłaś postąpić inaczej. Zrozumienie zabrało mi trochę czasu, ale w końcu do tego doszedłem. Bóg świadkiem, że dość rozmyślałem.

– I ja też myślałam... o tobie.

Uśmiechnęli się do siebie, rozluźnieni, swobodniejsi; bariery znikły, lata przestały się liczyć.

– Jak dobrze znów cię widzieć – powiedziała miękko. – Och, gdybyś tylko wiedział...

– Wiem.

– Tak, jestem pewna, że wiesz.

Rozejrzała się, i pociągnęła go w stronę pawilonu. Usiadła na schodku i skłoniła, by usiadł obok. Odwróciła się tak, żeby móc go widzieć. Słońce oblewało ją blaskiem, rysując jej sylwetkę na tle światła.

– Czas był dla ciebie łaskawy, Saro – powiedział Ed z nutą podziwu w głosie. – Nawet cię nie musnął. A jak wyglądało twoje życie?

Wzruszyła ramionami, jakby chciała strząsnąć z nich te dwadzieścia lat. Jej ton był lekki, naturalny.

– Trochę dobrze, trochę źle; zwyczajnie. A co z tobą?

– Jak sama powiedziałaś, przeżyłem – mówił poważnie, ale orzechowe oczy uśmiechały się do niej. – Prawie mnie wykończyłaś. Wiesz, nigdy nie sądziłem, że naprawdę to zrobisz. Zawsze wiedziałem, że stać cię na to, ale nie przypuszczałem, że do tego dojdzie... – Teraz on z kolei wzruszył ramionami. – Potrzebowałem trochę czasu, żeby się z tym uporać. Przede wszystkim musiałem dorosnąć.

Patrzyła na niego z mimowolną aprobatą, uśmiech krył w sobie tęsknotę.

– Dorosłeś po prostu wspaniale – powiedziała cicho.

– Na początku było inaczej. Kiedy mnie zostawiłaś, czułem się zdruzgotany. Przeżyłem piekło próbując się pozbierać. Czułem, że... do niczego się nie nadaję. Musiałem dorosnąć i dojrzeć. Przekonałem się boleśnie na własnej skórze, że kiedy wszystko przychodzi zawsze łatwo, tym ciężiej przeżywa się porażkę. Nigdy nie miałem problemów z kobietami; przestałem je traktować z nabożnym podziwem w wieku czternastu lat. Ty odegrałaś się za nie z nawiązką. Posunąłem się do tego, że poślubiłem kobietę, która w moim pojęciu była do ciebie podobna. Oczywiście w niczym cię nie przypominała, w dodatku miała mi za złe ciągle porównania. Chciała być kochana dla siebie samej. Nie potrafiłem jej tego dać, więc porzuciła mnie dla kogoś, kto potrafił. Spędziłem lata szukając kogoś takiego jak ty, Saro. I dopiero kiedy zdałem sobie ostatecznie sprawę, że nikt taki nie istnieje – że jesteś jedyna, niepowtarzalna i nieosiągalna, więc nie ma co się oszukiwać i lepiej zaakceptować ten fakt – dopiero wtedy poczułem, że potrafię tu wrócić. Chciałem się przekonać, czy zdołam... pozbyć się obsesji na twój temat. Myślałem sobie: przecież to dawne czasy, dawne miejsca, dawne twarze... Ktoś powiedział mi dzisiejszego popołudnia, że czas wszystkich nas zmienia. Nie przeszło mi ani na chwilę przez myśl, że ty pozostaniesz nie zmieniona.

Nie spuszczała oczu z jego twarzy przez cały czas, kiedy mówił. Słuchała z niesłabnącą uwagą, tylko ręce zaciskały się na jego dłoniach. Uśmiechnął się do niej.

– Jeśli nie pozostało ci nic prócz wspomnień, sięganie w głąb pamięci jest najsmutniejszą rzeczą pod słońcem – powiedział. – Kiedy walczyłem w Korei, nasza baza znajdowała się nad rzeką, a mój namiot stał na brzegu, powyżej tamy. Nieraz leżałem w łóżku słuchając, jak deszcz siecze powierzchnię wody i myślałem o nas, o tym miejscu nad jeziorem. Zastanawiałem się, jak ono teraz wygląda. Potrafiłem wstać i napisać do ciebie długi list, mówiąc ci, co czuję, a kiedy rano deszcz ustawał i wychodziło słońce, darłem mój list i wrzucałem strzępy do rzeki. – Uśmiechnął się smutno. – Były chwile, kiedy myślałem, że zdołałem cię z siebie wyrzucić, że wszystko skończone i jestem wolnym człowiekiem. Ale wystar-

czyło, żebym zobaczył kobietę podobną do ciebie, a natychmiast wracałem na starą ścieżkę. Nie mam pojęcia, dlaczego to musiałś być akurat ty i skąd ta niemożność uwolnienia się od ciebie. Może dlatego, że z tobą wszystko stawało się o tyle głębsze, o tyle bardziej satysfakcjonujące, takie... takie świadome, w stopniu, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłem.

Popatrzył w przejrzyste oczy, lśniące od niewypłakanych łez.

– Nie przyszedłem tu po to, Saro, żeby brutalnie wtargnąć w twoje życie. Zrobiłem to, ponieważ musiałem się przekonać, czy potrafię uporać się z moim własnym życiem. Myślałem, że niezależnie od tego, jaka jesteś teraz, czy zmieniłaś się na dobre czy na złe, czy zostałaś taka sama – nadszedł czas, żeby stawić temu czoło i pogodzić się z tym, że należysz do przeszłości. – Urwał, po czym dodał z przekonaniem: – I to był błąd. Na miłość Boską, dlaczego nie wróciłem wcześniej? Dlaczego?

– Może tak powinno było się zdarzyć – odparła łagodnie. – Może teraz... dopiero nadszedł właściwy czas dla nas obojga.

Spojrzał na nią, jakby próbował zrozumieć, o co jej chodzi, ale Sara powiedziała tylko:

– Jesteś tutaj, Ed, to najważniejsze. Tymczasem musi nam to wystarczyć. Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę, że wróciłeś, że mogę cię widzieć. Wydaje mi się – dodała z lekkim wahaniem – że myśląc nieustannie o sobie oboje sądziliśmy, że to drugie zdążyło zapomnieć.

Zatonęli w sobie wzrokiem, a oczy zaszyły im mgłą, kiedy Ed dotknął ustami jej ust. Przez chwilę trwali tak w bezruchu, a potem nagle znaleźli się w swoich objęciach. Pocałunek porwał ich i opanował. Całowali się rozpaczliwie, namiętnie, zachłannie, jakby nie mogli się rozłączyć. Długie lata samotności rozwiąły się jak mgła. Znajome uczucia i reakcje, dawne zwyczaje kochanków, sposób, w jaki lgnęły do siebie dwa ciała, chłoneły się wargi, pieściły dłonie – wszystko było dokładnie tak jak kiedyś, jak gdyby oboje rozpamiętywali to tak długo, aż nauczyli się siebie na pamięć. Rzeczywiście nic się nie zmieniło; uczucia, reakcje, radość, wzajemna rozkosz były te same. Przez długi czas całowali się ściśle ze sobą spleceni. Szeptali coś bez związku, powtarzając swoje imiona, pieścili się i rozpoznawali na nowo, aż wreszcie Sara oparła policzek o pierś Eda i spytała drżącym głosem:

– Czy to możliwe, żeby zacząć wszystko od nowa?

– Coś się musi skończyć, żeby można było zacząć od nowa, Saro; a my niczego nie kończyliśmy. Po prostu kiedyś zostało to przerwane. Nie rozumiem, dlaczego nam się taka rzecz przytrafiła, ale nie zamierzam zadawać żadnych pytań. Przyjmę z wdzięcznością, cokolwiek przypadnie mi w udziale.

Przejęci do głębi, wstrząśnięci, jakby nie mogli w to uwierzyć, drżeli o uczucie, które odkryli na nowo – jakby się mogło w każdej chwili rozwiąć. Było tak autentyczne, tak niespodziewane, takie cudowne. Ileż razy Sara o tym śniła; ile razy budziła się z imieniem Eda na ustach, potrzebując go rozpaczliwie. Były dni, kiedy myślała o nim ustawicznie. Jakże często przychodziła tutaj, właśnie w to miejsce,

gdzie każdy kamień, każde źdźbło trawy o nim przypominało. Jakże często siadywała samotnie owładnięta tęsknotą, mocną jak fizyczny ból; zamykała ten ból w sercu, bo wołała żyć z tym cierpieniem, niż znosić powolne zanikanie pamięci.

A teraz wrócił. To nie był sen; czuła dotyk jego ust, jego rąk. Przeszłość wdarła się gwałtownie do terażniejszości, by zaprowadzić ją w nieznaną przyszłość, całkowicie różną od tej, ku której zmierzała. Nie chciała teraz o tym myśleć; lepiej skupić się na terażniejszości, na przeżyciu każdego nowego dnia – takiego dnia jak dzisiaj, kiedy nagle olśnienie, jak brakujący magiczny składnik w tyglu alchemika, przeobraziło posępną szarość codzienności w mieniące się złociście zjawisko. Rozpięła guziki kurtki Eda, żeby móc go otoczyć ramionami. Zamknął Sarę w uścisku, przytulając jej głowę do ramienia.

Między pocałunkami szeptał jej imię głosem nabrzmiałym namiętnością:

– Saro, Saro... tylko ty, Saro... nikt inny. Błagam cię, nie odrzucaj mnie znowu. Pozwól mi widywać cię czasem, być blisko ciebie... Kocham cię, Saro. Zawsze cię kochałem... I zawsze będę kochał.

Plomień, który rozjarzył się w Sarze, wyzwolił w niej rozpaczliwe pożądanie, szarpiały głód namiętnej natury pozbawionej miłości fizycznej. Była tak rozogniona, że jak nigdy przedtem nie myślała o tym, co to oznacza dla niego, a jedynie o własnych potrzebach, własnym pragnieniu. Pędziła na oślep w kierunku, który prowadził tylko do jednego – ale trawa pod drzewami nie była odpowiednim miejscem; czas również nie był właściwy. Przepełniona namiętnością, nie myślała o tym. Niespodziewany, choć wyteśkniony powrót Eda pozbawił ją samokontroli, a pod wpływem zachowania Sary on również stracił panowanie nad sobą. Marzył o takiej chwili, wyobrażał ją sobie, snuł fantazje na jej temat, ale teraz nie było tak jak powinno. Nie czuł, że Sara robi to, czego pragnie, tylko coś, czemu po prostu nie może się oprzeć. Zalała go fala współczucia i bardziej niż kiedykolwiek zapragnął ją chronić – nawet przed samą sobą.

Trzymał ją więc blisko i tulił z najdelikatniejszą, najsubtelniejszą czułością, z najgłębszą miłością, starając się ją uspokoić z całą serdecznością i ciepłem, jakie mógł jej dać – ale nic więcej. Sara, nawet po latach rozłąki, tak była wyczułona i zestrojona z jego myślami, że odebrała ten sygnał od razu. Zauważył, że stopniowo się wycisza, wdzięczna, że może zaufać jego sile i dyscyplinie, aż wreszcie zupełnie się opanowała. Jeszcze chwilę siedziała nieruchomo w jego ramionach, mocno przytulona; potem podniosła głowę i spojrzała na niego wymownie. Zrozumiała i była mu za to wdzięczna.

– Ed, mój najmilszy, najdroższy – wyszeptała. – Byłeś i nadal jesteś najcudowniejszym z ludzi.

Pocałowała go z niewymowną czułością.

– Kocham cię tak bardzo, Ed. To się nigdy nie zmieni, pamiętaj. Będę cię zawsze kochać, bez względu na wszystko.

– Wiem, wiem – odparł cicho, wstrząśnięty. Nie wiedział, dlaczego to powiedziała, ale rozumiał, że nie czas o to pytać.

Poczuł, że poruszyła się i spojrzął na nią. Uśmiechała się.

- Grosik za twoje myśli – zaproponowała. – A może grosik nie wystarczy?
- Dla ciebie są za darmo – oświadczył. – Moje myśli, mój czas... – cokolwiek zechcesz, kiedykolwiek zechcesz. Wystarczy, że zażadasz, a będą twoje.
- Chcę twojego czasu – zdecydowała natychmiast, a potem spytała niepewnie: – Ile go masz?
- Co byś powiedziała na dwa lata?

Otworzyła szeroko oczy.

- Chciałem cię zaskoczyć – przyznał. – Jestem tu służbowo. – Pracuję w ambasadzie.
- O mój Boże – powiedziała zduszonym głosem i ukryła twarz na jego piersi. – Za dużo tego wszystkiego. Czuję się, jakby zalewały mnie kolejne fale. – Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć zdumionymi oczami. – Czym sobie zasłużyłam na tyle szczęścia?
- Żyłas, jak Pan Bóg przykazał?
- Po prostu żyłam. Ale dwa lata! Całe dwa lata!

Wciąż jeszcze nie dowierzała, choć biła z niej radość.

- Najważniejsze – uśmiechnął się Ed – żebyś mógł cię widywać, kiedy tylko będzie to wykonalne... oczywiście, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.
- Będziemy się widywać – odparła spontanicznie. – To mogę ci obiecać. Są pewne sprawy...
- Tak?
- Będziemy się spotykać – powiedziała wymijająco. – Przyrzekłam ci; a to znaczy, że mogę dotrzymać obietnicy. Wiesz, że zawsze tak postępuję. – Piękne oczy pociemniały, jakby przebiegł przez nie cień. – Tylko ten jedyny raz... zapomnij o tym.
- Przecież wiesz, że już zapomniałem.

Uśmiechnęła się do niego i znów położyła mu głowę na piersi.

- Czy generał Miller powtórzył ci, że pytałam o ciebie? – odezwała się po chwili.
- Tak. Między innymi dlatego podjąłem decyzję o powrocie. Odzyskałem nadzieję.
- Myślałam, że to ja mam światowy monopol na nadzieję – powiedziała.
- Ale ja miałem wszystkie amerykańskie akcje.

Spojrzeli na siebie czule. Ed zauważył, że Sara przygląda mu się z aprobatą.

- Czy wiesz, że pierwszy raz w życiu widzę cię po cywilnemu? – zapytała. – W moich wspomnieniach zawsze byłeś w mundurze. Skończyłeś, zdaje się, z lataniem w wojsku?
- To ono skończyło ze mną. Dopadł mnie podeszły wiek.
- Co ty opowiadasz! – oburzyła się z figlarnym błyskiem w oku.
- Pamięć potrafi balsamować – odparł z uśmiechem, ale w jego oczach również zapaliły się płomyki.

Ich spojrzenia spotkały się i nie mogły się rozdzielić. Lekka bryza przyniosła czysty ton stajennego zegara wybijającego siódmą wieczorem.

Sara westchnęła.

– Muszę iść. Millerowie zostają na weekend, jak zwykle z okazji zjazdu. To już przeszło do tradycji. A ja tymczasem zaniedbuję obowiązki gospodyni.

Podniosła się z kolan Eda, wygładzając sukienkę. Odwróciła się do niego.

– Czy mogę się z tobą skontaktować w ambasadzie?

– Tak. Albo w mieszkaniu. Bo mam mieszkanie; objąłem je po moim poprzedniku. Zapiszę ci numer telefonu.

Sięgnął do kieszeni, wyjął niewielki notatnik, zapisał dwa numery telefonu i adres, i wręczył jej kartkę. Złożyła ją starannie i schowała w kieszeni sukienki.

– Kiedy? – zapytał.

Coś w głosie Eda kazało jej podnieść na niego wzrok. Odpowiedziała po prostu:

– Niedługo.

Kiedy podeszli do domu, zobaczyli Gilesa Luttrella siedzącego na tarasie. Ed nie tyle zauważył, ile poczuł, że Sara robi się spięta, ale zaraz uśmiechnęła się i poszła w kierunku męża, przyspieszając kroku.

– Wiem, wiem – powiedziała wesoło. – Na pewno się zastanawiałeś, co się z nami stało. Ed i ja daliśmy się porwać wspomnieniom i tak zagłębiliśmy się w przeszłość, że straciliśmy rachubę czasu i zapomnieliśmy o teraźniejszości.

Pochyliła się, żeby go pocałować.

– Przepraszam, kochanie.

– Domyślałem się, że będziecie wspominali dawne czasy – odparł Giles pogodnie, uśmiechając się do niej. – Ulokowałem się tutaj w nadziei, że może uda mi się złapać Eda przed odjazdem. Chciałem prosić, żeby został pan na kolacji – zwrócił się do Eda. – Generał Miller i jego żona także będą. Chętnie porozmawiałbym o dawnych dniach... wie pan chyba, że mój ojciec ogromnie pana lubił.

– Był dla mnie bardzo dobry – wyznał szczerze Ed – ale nie przyjechałem tutaj, żeby zbierać komplementy. To ja jestem dłużnikiem. Lady Sara i pański ojciec dużo dla mnie zrobili.

– Podobnie jak pan dla nich. Tak czy owak czuję, że jestem panu coś winien. A jeżeli pan chce się zrewanżować, to mógłby pan zrobić przyjemność inwalidzie zapewniając mu swoje towarzystwo na godzinę czy dwie.

Uśmiechnął się do Eda ujmująco, mimo zniekształconej twarzy. Sara ustawiła się za wózkiem Gilesa, kładąc rękę na oparciu. Ed zauważył, że jej dłoń spoczywała miękko i luźno, co świadczyło o braku napięcia.

– Dziękuję – odparł. – Chętnie zostanę.

– Świetnie.

Giles był zachwycony. Zawrócił wózek, który miał napęd elektryczny, i ruszył wzdłuż tarasu, w kierunku huśtawki ogrodowej, naprzeciwko której umiesz-

czono barek na kółkach. Stał przy nim Bates, dawny ordynans Gilesa, a teraz szef służby i osobisty lokaj w jednej osobie. Giles poprosił Batesa o pokazanie Edowi, gdzie może się odświeżyć.

– Kiedy pan wróci, wypijemy drinka i pogadamy przed kolacją.

Kiedy wrócił po pięciu minutach, Sary już nie było, natomiast z góry zesłli Millerowie.

Sara wymknęła się do swojej sypialni na piętrze. Siedziała teraz przed toaletką, na której stało niewielkie otwarte pudełko. Mieścił się w nim plik listów, trochę fotografii i złote skrzydła – odznaka US Air Force.

Listy były w większości krótkimi notatkami:

„Saro, o czwartej. Złożymy ofiarę Bogini. E.”

„Kochanie moje, nie dam rady. Jestem rezerwowy. Może jutro? E.”

„Saro, nie mogę jeść; nie mogę spać; nie jestem zdolny do niczego prócz myślenia o tobie. Co ty ze mną zrobiłaś? E.”

Jeden z listów był dłuższy, napisany ołówkiem; papier wyblakł i nosił ślady zagięć od wielokrotnego składania. Sara rozłożyła go ostrożnie i przeczytała jeszcze raz. Potem zaczęła oglądać fotografie. Były to przeważnie amatorskie zdjęcia Latającej Fortecy z imieniem „Sally B” namalowanym na dziobie; na jednym z nich załoga stała rzędem na tle samolotu, uśmiechając się od ucha do ucha. Inne zostało zrobione na stopniach tarasu jej domu. Tu również widniała załoga Sally B, a obok ona sama w uniformie VAD – Ochotniczego Towarzystwa Niesienia Pomocy Rannym – wpatrzona w roześmianego młodego oficera z czapką zsunietą na tył kędzierzawej czarnej czupryny. Na jeszcze innym ten sam młody oficer siedział oparty plecami o pień potężnego kasztana, który górował nad greckim pawilonem w ogrodzie. Wzięła do ręki odznakę i pogładziła ją palcami, uśmiechając się przy tym do siebie. Potem wyjęła ostrożnie karteczkę z adresem i numerami telefonów Eda i przeczytała ją kilkakrotnie, by wszystko zapamiętać. Dołożyła kartkę do zawartości pudełka, zamknęła je na kluczyk i schowała do szuflady w toalecie. Następnie wstała, podeszła do okna i wyjrzała na taras. Ed stał tyłem do balustrady z drinkiem w rękę i słuchał generała Millera, opowiadającego coś z bogatą gestykulacją i tubalnym śmiechem. Giles odwrócony był do niej plecami, więc nie widziała jego twarzy. Zmarszczyła nagle brwi i przygryzła wargę, jak zawsze, kiedy coś ją trapiło. Wreszcie odwróciła się zdecydowanie od okna i poszła do łazienki.

O wpół do drugiej w nocy, kiedy Ed odjechał, Millerowie w doskonałych humorach udali się do sypialni zwanej pokojem Gainsborough, ponieważ wisiały tam portrety sir Piersa i lady Georginy Luttrell pędzla słynnego malarza. Sara wróciła do salonu, gdzie czekał na nią Giles.

– Myślałam, że dawno poszedłeś do łóżka – zbesztala go łagodnie. – Miałeś długi i ciężki dzień, a jeszcze ta impreza po południu...

- Nic mi nie jest – odparł Giles. – Nie rób niepotrzebnego szumu, Saro. Uśmiechnął się, żeby złagodzić szorstkość słów.
- Jutro jest niedziela, wyśpię się porządnie. Jesteś zadowolona? – Wyciągnął do niej rękę i dorzucił: – Mam wrażenie, że wszystko się udało.
- Doskonale.
- Trzysta osiemdziesiąt siedem osób. O dwadzieścia jeden więcej niż w zeszłym roku. Wciąż od nowa mnie zadziwiają ci wszyscy ludzie, którzy wracają tutaj do nas przez tyle lat. To miejsce naprawdę dużo dla nich znaczy.
- Trzysta Czternastka ma mnóstwo dobrych wspomnień związanych z Luttrell Park i z Little Heddington – zgodziła się Sara.
- I *vice versa* – zamilkł na chwilę, a ona siedziała i czekała; wiedziała, że Giles dojdzie w końcu do tematu, który zamierza poruszyć.
- Więc to był on – powiedział w końcu.
- Tak, to był on.
- Wiesz, rozpoznałem go natychmiast. W ogóle się nie zmienił. Właśnie to sprawiło, że się wtedy źle poczułem tam, w ogrodzie. Chyba wpadłem w panikę. Ścisnęła go za rękę.
- Zupełnie niepotrzebnie, Giles. Powinieneś to wiedzieć.
- Wiedzieć a czuć... to dwie całkowicie różne sprawy. On jest nietuzinkowym człowiekiem, Saro.

Przez chwilę milczał, pogrążony w myślach.

– Zabawne – powiedział w zadumie. – Żyłem z jego wyobrażeniem od tak dawna, a jednak zobaczyć go na własne oczy było doświadczeniem... przytłaczającym. Wreszcie rozumiem, dlaczego nie potrafiłaś o nim zapomnieć. Musiało ci być niezwykle trudno wyrzec się go dla mnie. On ma poważny problem, Saro. Jest w tobie zakochany, a ty jesteś moją żoną. Ponadto – dodał – jest bardzo samotnym człowiekiem... – także z twojego powodu.

– Dlaczego zaprosiłaś go na kolację?

– Ponieważ powinno się poznać własnego wroga, a on jest moim wrogiem, Saro. Chociaż gdyby nasze losy ułożyły się inaczej, moglibyśmy, jak sądzę, być dobrymi przyjaciółmi. Oczywiście zawsze wiedziałem, że to, co was łączyło, jest poważne, tylko nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia. Musi być poważne, skoro przetrwało tak długo. A przetrwało, prawda?

– Tak – przyznała Sara cichym głosem.

– Nie mogę rywalizować z takim człowiekiem, Saro. Nie mam żadnej broni. On jest przystojny, czarujący, jednym słowem szalenie atrakcyjny. Nawet pani Miller nie pozostała obojętna na jego urok.

Uśmiechnął się na wspomnienie niedużej, pulchnej i mieszczańskiej Cissy Miller, która piekła niezrównane szarlotki, uwielbiała lawendowe mydło, a dzisiaj krążyła wokół Eda nie spuszczać z niego oczu.

– To silny mężczyzna, Saro, a jednak przy tobie staje się bezradny i nieodporny na ciosy. – Giles wzruszył ramionami. – No cóż, każdy z nas ma swoją

pięte Achillesa, a ty w oczywisty sposób jesteś jego słabością. Zawsze przypuszczałem, że on z kolei jest twoją... Dlatego go nienawidziłem. Leżałem nie śpiąc po nocach i pielęgnowałem tę moją nienawiść. Rozumiesz, to on cię zmienił. Kiedy wróciłem, nie byłaś już dziewczyną, z którą się ożeniłem; stałaś się kobietą, wspaniałą kobietą – i nie było w tym mojej zasługi. A na domiar złego nie mogłem tego wykorzystać.

Milczał przez chwilę, po czym zapytał:

– Dlaczego on wrócił?

– Bo czuł, że musi to zrobić.

– W jakim sensie?

– Ze względu na mnie. Dla mnie.

– Rozumiem – powiedział Giles. Rzeczywiście rozumiał. – Tak – podjął z namysłem – widzę dość wyraźnie, kim się stajesz w jego obecności, Saro. – W jego głosie zabrzmiała zjadliwa nuta. – Nigdy w życiu nie patrzyłaś na mnie takim wzrokiem.

Sara milczała. Nie miała nic do powiedzenia.

– Nie robię ci wymówek ani się nie skarżę, Saro – mówił dalej Giles sztucznie spokojnym tonem. – Ani jedno, ani drugie nie byłoby usprawiedliwione. Nigdy nie karmiłaś mnie kłamstwami na jego temat, poza tym sprawa była skończona i zamknięta, kiedy do mnie wróciłaś. Niewiele kobiet wytrzymałoby takie małżeństwo jak nasze – dodał – ale ty się nigdy nie uskarżałaś. Jestem ci winien bardzo wiele, Saro. Jeśli nawet on cię zmienił, ja zebrałem plon tej odmiany.

Pograżył się na chwilę w milczeniu.

– Żadne z nas nie dostało tego, o czym marzyło, ale ja miałem więcej szczęścia. Choć nigdy nie spodziewałem się dostać znacznie więcej, niewiele brakowało, a otrzymałbym o wiele mniej. I tak było mi lepiej, niż wielu mężczyznom w tak zwanych „normalnych” małżeństwach. Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe...nie sądzi nigdy, że nie rozumiałem tego i nie doceniałem. Ale jednocześnie nienawidziłem, szalałem i przeklinałem. Myślałem, że przenigdy nie pogodzę się z tym, co mi się przydarzyło. Jeśli teraz prawie doszedłem do równowagi, to wyłącznie twoja zasługa. Ilekroć cię potrzebowałem, byłaś zawsze przy mnie. A przecież mogłaś być pozostawić mnie własnemu losowi.

Sara siedziała z pochyloną głową, żeby nie mógł widzieć jej twarzy. Giles był najwyraźniej przerażony. Usiłował zachowywać się rozumnie i racjonalnie, ale Sara go znała: to było wołanie o pomoc. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak mocno ścisnął jej dłoń; tak długo pracował nad odzyskaniem władzy w rękach, że teraz miały stalowy uchwyt. Sara czuła ból w nadgarstku.

– Wiem, jak zmieniłaś się pod jego wpływem – ciągnął Giles. – Ja miałem tylko ciebie. Jeśli zmianę w tobie zawdzięczałem jemu, tym lepiej dla mnie. Co nie przeszkadzało, że miałem mu to za złe... – Przerwał na chwilę. – No, a poza tym jest James.

– Dlaczego o tym wspomniałeś?

– Mówienie o Jamesie jest dla mnie sprawą naturalną. Zobacysz, będzie dobrze. Uporamy się z tym wszystkim, Saro. Żyłem przez dwadzieścia lat z duchową obecnością tego człowieka, a teraz zjawił się we własnej osobie. Chyba rozumiesz mnie dobrze? Nic już nie jest, jak było – nie może wyglądać tak samo. Ed wrócił. Wiem, jaki on jest. Naprawdę wiem, Saro. Boże drogi, dlaczego musiałaś być tak przeraźliwie uczciwa? – zakończył tonem człowieka, który znosi katusze.

Opadł na oparcie wózka, kompletnie wyczerpany, z głową odchyloną do tyłu, przymykając zdrowe oko. Ścisnął dłoń Sary jak obcęgi, a kiedy uchwyt zelżał, Sara nie cofnęła swojej ręki. Giles zdawał sobie sprawę, że ją rani, karząc za właśnie nieszczęście, za to, że ona go ukarała. Zawsze z drugiej ręki, myślał, wszystko z drugiej ręki. Miłość z drugiej ręki, syn z drugiej ręki, życie z drugiej ręki, nawet śmierć z drugiej ręki – nie ta, która powinna mu była przypaść w udziale dwadzieścia lat wcześniej. To by wszystko rozwiązało.

– Co takiego jest w Edzie? – spytał. – Co takiego w nim znalazłaś, czego we mnie nie było?

Sara wiedziała, że musi odpowiedzieć. Inaczej Giles będzie pytał, badał, drażył, aż zmusi ją do wyznań. Z własnej woli chciał zostać wzięty na męki. Tylko takie cierpienie mogło mu zapewnić nieco spokoju.

Sara odezwała się niegłośno:

– Rozumiał mnie. Od samego początku. Mężczyźni, którzy potrafią naprawdę zrozumieć kobietę, należą do rzadkości. To jest... to jest specjalny dar. Zawsze wiedział, co czuję. Znał moje wątpliwości, obawy, nadzieje, marzenia. Znał mnie i dobrze rozumiał. Nic na to nie mogłam poradzić. Walczyłam z tym, zresztą już ci mówiłam. Nie pokochałam Eda dlatego, że tobie czegoś brakowało. Pokochałam go, bo dostrzegł i wydobył ze mnie to, o czym sama wcześniej nie wiedziałam. Nawet gdybyś tu był, nie sprawiłoby to najmniejszej różnicy. I tak pokochałabym Eda. Być może wszystko potoczyłoby się inaczej, ale nie zmieniłoby to moich uczuć. Naprawdę nic nie mogłam na to poradzić. Takie rzeczy się zdarzają, Giles, czy sobie tego życzysz, czy nie.

– Nienawidzę siebie takiego, jakim się stałem. Jestem impotentem, Saro – bezsilnym zarówno ciałem, jak i duchem. Wiem, że nie przestaniesz darzyć mnie uczuciem... na tyle, na ile potrafisz... ale ja nie tego pragnę. Chcę tego, co ofiarowałabyś jemu. Dziś się o tym przekonałem.

– W miłości kryje się o wiele więcej niż seks, Giles. Minęło dwadzieścia lat od czasu, kiedy spałam z Edem, a nadal go kocham!

– Owszem, kryje się więcej, jeśli nie brak w niej seksu! Czy możesz spojrzeć mi prosto w oczy i powiedzieć, że nie przypominałaś sobie setki razy, jak to jest kochać się z Edem Hardinem?

– Pokochałam go, zanim dotknął mnie pierwszy raz!

– Naturalnie! Powiedziałaś, że rozumie kobiety. On chciał mieć ciebie, do końca, Saro, a nie pierwszą lepszą przycgodę.

– Z Edem nie łączył mnie jedynie seks – zaprotestowała Sara, a Giles poczuł się tak, jakby przekreśliła nóż tkwiący mu w sercu.

– Ale to jest pierwsza rzecz, jaką zauważa każda kobieta! Dzisiejszego popołudnia obserwowałem was i dostrzegłem bardzo wiele. Jedno nie ulega kwestii: wrażenie, jakie Ed robi na kobietach!

– Wobec tego jestem taka jak one! Nie można wywołać w sobie uczuć na zawołanie: miłość do tej osoby, sympatia do innej. Nie mam pojęcia, dlaczego w moim przypadku to musiał być akurat Ed; wiem tylko, że tak było i zawsze będzie.

Giles czuł, że rozpada się na kawałki i tylko w sercu zalega mu ciężka bryła, gorąca jak ogień i twarda jak kamień, grożąca utratą równowagi. Z rozmysłem zaprosił Eda na kolację, żeby ocenić chłodnym okiem, choć z rozdartym sercem, człowieka, z którym przyszło mu rywalizować. Zawsze był zdania, że lepiej jest znać wroga, zwłaszcza jego słabości; a słabością Eda Hardina była, jak odkrył, Sara.

Westchnął boleśnie i natychmiast poczuł rękę Sary na ramieniu.

– Robisz, co możesz, Saro – powiedział bezbarwnym głosem – ale to nie wystarczy. Niestety nie mogę tego zmienić. Jestem znużony, Saro. Znużony moim ciałem, moim życiem, pragnieniem tego, czego mieć nie mogę; nienawidzę tego, że tylko biorę, a nie mogę dawać; że wykorzystuję, a nie potrafię być za to wdzięczny. Mam dość schodzenia na dalszy plan; chcę, dla odmiany, być na pierwszym miejscu. Chcę być zdolny do miłości, Saro, i chcę, żebyś ty była w stanie mnie kochać.

– Kocham cię, Giles. Nie zostałamby z tobą, gdybym cię nie kochała.

– Wiem o tym! Ale nie o ten rodzaj miłości mi chodzi. Przyjazd Eda stał się katalizatorem, Saro. Nic już nie będzie takie, jak było. Może on, jak szakal, wy-czuwa z daleka śmierć i zjawił się, żeby przy niej asystować.

– Mówisz obrzydliwe rzeczy! – krzyknęła Sara w furii. – A poza tym to nie-prawda! Okrucieństwo nie leży w naturze Eda. Zresztą on nic o tobie nie wie.

– Wystarczy, że ma oczy, nie uważasz?

– Ty też masz oczy, ale odnoszę wrażenie, że w ogóle ich nie używasz!

Zrobiła ruch, jakby chciała wstać i odejść od niego, ale trzymał jej rękę w żelaznym uścisku.

– Jestem w fatalnym nastroju – powiedział błagalnie. – Czuję się zraniony, przerażony i zazdrosny. Nie miej mi tego za złe, Saro. Spróbuj zrozumieć... jeszcze ten raz. Może jestem kaleką, ale nadal czuję i cierpię. Nie wszystko mam sparaliżowane.

W jej oczach było tyle smutku, że aż zmieniły kolor.

– Tak mi przykro, Giles...

– Nie życzę sobie twojej litości. To w niczym nie może mi pomóc. Nie ma dla nas ratunku. Wszyscy jesteśmy w pułapce, Saro. Przez te lata, wszystkie te lata, zastanawiałem się, jaki też jest ten twój kochanek. Teraz wreszcie wiem, ale to jeszcze bardziej boli. – Uśmiechnął się sarkastycznie. – Co to znaczy mieć uczci-

wą żonę – dodał z goryczą – taką, która wyzna ci wszystko... choćby nawet po fakcie. Wolałbym, żebyś skłamała, Saro. Wytrzymałbym kłamstwo, ale prawda jest zbyt bolesna.

– Nigdy ci nie kłamałam, Giles.

– Bóg świadkiem, że byłoby lepiej. A tak... Oczyszczyłaś swoje sumienie kosztem mojego spokoju.

– Znałaś dokładnie sytuację, kiedy do ciebie wróciłam.

– Znałem ją, to prawda. Bo wszystko, co mogłem wówczas zrobić, to posłużyć się wyobraźnią. Ale dziś okazało się, że jest daleko gorzej, niż sobie kiedykolwiek wyobrażałem.

– Jeśli nasze wspólne życie stanie się dla ciebie niemożliwe, wystarczy, że mi o tym powiesz.

– I uwolnię cię, żebyś poszła z czystym sumieniem do swojego amerykańskiego ogiera... o, nie, Saro!

– W takim razie czego ode mnie chcesz, Giles?

– Chcę mieć ciebie... – całą ciebie. Wszystko, co ma Ed Hardin. Nie tylko ciało, ale również twoją duszę, Saro, twoje serce i twoją miłość. Jestem zazdrosny, Saro. Boże – powiedział zrezygnowany – nawet to, co zawsze w tobie kochałem, twoja kryształowa uczciwość, jest dla mnie nienawistna.

Spostrzegł, że Sara zbladła; twarz miała napiętą i bezradną. Nigdy nie widział jej tak bardzo zmęczonej. Już nie promieniowała, jak przez całe popołudnie; zobaczył z bólem, że – jak często w ostatnich miesiącach – jest wyczerpana, znużona, bezsilna. Nigdy jej bardziej nie kochał. Nigdy nie czuł do niej większej nienawiści.

Położył ręce na ramionach Sary i przyciągnął ją do siebie. Dotknęła twarz jego twarzy. Czuł ciepłą wilgoć jej łez. Poczucie winy przeszło go jak ostrze sztyletu. Chciał pocieszyć żonę, ale wiedział, że mu się to nie uda. Mógł tylko trzymać ją w ramionach i gładzić po włosach, próbując przekazać niewypowiedziane myśli. Męczyła go świadomość, że prawdziwym powodem emocjonalnego kryzysu Sary jest Ed Hardin.

3

Spotkała go pewnego ciepłego letniego popołudnia w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

Należała do VAD i pełniła nocną służbę w lokalnym szpitalu wojskowym w Great Heddington. Miała akurat wolną niedzielę, a kiedy wróciła do domu koło południa, czekał na nią list od Gilesa. Postanowiła, że weźmie go razem z zaszczędzoną tabliczką czekolady do swojego ulubionego miejsca w ogrodzie.

Giles był pilotem i walczył w Afryce. Pobrali się tuż przed jego wyjazdem; nie widziała go od czerwca czterdziestego drugiego. Dom rodzinny Sary znajdował się w Northumberland; mieszkała teraz w posiadłości Gilesa, Luttrell Park, z jego ojcem, sir George'em Luttrellem. Pracowała w szpitalu.

Po lunchu z sir George'em przebrała się w bawełnianą sukienkę i wyruszyła w stronę jeziora, myśląc z przyjemnością o długim, leniwym popołudniu z wiadomościami od Gilesa i szansą nadrobienia zaległości w spaniu.

Jej ukochanym miejscem w parku był pawilon w kształcie greckiej świątyni, położony nieopodal jeziora. W tym spokojnym zakątku rosły wierzyby płaczące, a po wodzie pływały kaczki i łabędzie. Można tu było położyć się na gęstej trawie, w cieniu rzucanym przez ogromny kasztan wyrastający ponad pawilon.

Jednak kiedy dotarła na miejsce, okazało się, że ktoś inny wpadł wcześniej na ten sam pomysł. Mężczyzna w oliwkowym mundurze Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych leżał wyciągnięty w cieniu wielkiego kasztana. Zdjął marynarkę i umieścił ją pod głową w charakterze poduszki. Spod czapki nasuniętej na twarz widać było tylko gęste, kędzierzawe czarne włosy. Ręce podłożył pod głowę, a z równomiernego wznoszenia się i opadania klatki piersiowej Sara domyśliła się, że intruz jest pogrążony we śnie.

Poczuła się niedorzecznie zirytowana. Teren posiadłości był wprawdzie dostępny dla oficerów, którzy korzystali z części domu użyczonej i przerobionej przez sir George'a na klub oficerski, ale nieczęsto ich tam spotykała. Kiedy nie byli na służbie, przeważnie odsypiali lub wyruszali na poszukiwanie ciekawszych rozrywek – zazwyczaj kobiet. Zdarzyło się, że ona też musiała odpierać ich zaloty, ale sir George szepnął dyskretnie słówko ich dowódcy, pułkownikowi Millerowi. Oni wszyscy mieli tylko jedno w głowie.

Do licha, pomyślała rozeźlona. Nic z tego, nie ma mowy, żeby ktoś ją zmusił do rezygnacji z ulubionego zakątka w jej własnym parku. Przejdzie po prostu na drugą stronę drzewa. Jest wystarczająco duże.

Trawa rosła gęsto i jej kroki go nie obudziły. Usiadła oparta plecami o pień, tak że nie mogli się widzieć, i rozerwała opakowanie czekolady. Włożyła kawałek do ust, rozkoszując się słodyczą, a potem otworzyła list Gilesa. Nosił datę sprzed trzech tygodni i liczył sobie pełne cztery strony. Nie zawierał zaskakujących wiadomości – Giles był w świetnej formie i miał się dobrze, opalił się na brąz i strasznie za nią tęsknił. Przede wszystkim jednak prosił o wiadomości o niej, o swoim ojcu i o Luttrell Park.

Posiadłość zwana Luttrell Park była w życiu Gilesa sprawą ogromnie ważną. Jako jedynak miał kiedyś zostać dziewiątym baronetem. Traktował swoje obowiązki bardzo poważnie, a jego listy zawierały przeważnie szczegółowe instrukcje, żeby coś sprawdziła, o czymś innym przypomniawszy ojcu lub wreszcie dopatrzyła, by czegoś nie przeoczono. Chciał wiedzieć o wszystkim, co wydarza się na terenie majątku. Mało jej pisało o swoim życiu na pustyni. Jego listy brzmiały tak, jakby wyjechał podjąć nudną pracę i tylko czekał, kiedy to się skończy, a on po-

wróci do tego, co jest naprawdę ważne: do Luttrell Park, życia w domu rodzinnym, żony i synów, których będą mieli, żeby zapewnić kontynuację nazwiska.

Pisał podobnie jak mówił: naturalnie, swobodnie i poważnie. Giles był bardzo poważnym młodym człowiekiem. Zawsze świadomy swojego dziedzictwa i obowiązków, doceniał własną rolę, którą zamierzał wypełniać skrupulatnie i drobiazgowo, wykonując wszelkie postawione przed sobą zadania. Kiedy Sara czytała jego listy, zawsze miała wrażenie, że Gilles jest przy niej, taki jak zwykle, szczupły, jasnowłosy, poważny, zniecierpliwiony tą utrapioną wojną, która przeskadza mu w planach życiowych. Był podręcznikowym typem Anglika: mało wylewny, solidny, rozsądny. Był także nieustępliwie zazdrosny, zwłaszcza o Sarę. Z tego właśnie powodu ożenił się z nią, zanim wyjechał za granicę.

– Nie chcę, żebyś została sama i wolna. Stanowiłabyś zbyt dużą pokusę dla zbyt wielu mężczyzn. Chcę wiedzieć, że jesteś moja, że do ciebie powrócę, że zadbasz o wszystko, co ci powierzę. Jesteś rozsądną dziewczyną, Saro, i wiem, że mogę polegać na twojej mądrości i poczuciu obowiązku. Ojciec powoli się starzeje i będzie dla niego znacznie lepiej, jeśli dotrzymasz mu towarzystwa. Luttrell Park też jest bardzo ważny. Myślę, że powinniśmy postarać się o syna, zanim wyjadę – na wszelki wypadek, gdyby mi się coś przytrafiło.

Ale Sara nie zaszła w ciążę, a Gilesa wysłano na pustynię zaledwie sześć tygodni po ślubie. Skupiła teraz na nim swoje myśli; marząc o mężu, w końcu usnęła. Gorące promienie sierpniowego słońca przedostawały się poprzez liście obsypując ją roztańczonymi złotymi cętkami, a do snu kołysało pracowite brzęczenie pszczoł i łagodne gruchanie gołębi siedzących na dachu pawilonu.

Nie wiedziała dobrze, co ją obudziło; po prostu wybiła się ze snu i natychmiast poczuła, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła głowę i zobaczyła Amerykanina. Leżał z głową opartą na ręce i patrzył jej prosto w oczy. Sam miał jasnobrażowe oczy z zielonymi plamkami i najdłuższe rzęsy, jakie zdarzyło jej się widzieć u mężczyzny, równie czarne jak jego czupryna, ale ze złotymi końcami.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie bez ruchu, a ona poczuła się nagle tak, jakby jej dotknął; odczucie zdumiewająco intymne i zaskakująco namacalne. A kiedy się uśmiechnął, leciutko ją zamroczyło.

– Nigdy nie wierzyłem w ten epizod z księciem – powiedział bez wstępu. – Moim zdaniem Śpiąca Królowna po prostu przespała swój przepisowy przydział ośmiu tysięcy godzin. Co pani ma na swoje usprawiedliwienie?

Rozbawił ją, mimo że nadal miała trudności z oddychaniem.

– Nocną służbę – przyznała, po czym dodała kpiącym tonem: – A co pan ma na swoje usprawiedliwienie?

– Dzienną służbę.

Przez jego oczy przemknął cień, przyćmiewając ich blask, ale już w następnej chwili uśmiechały się na nowo.

– Pan jest pilotem? – zapytała uprzejmie.

– Kapitan Ed Hardin, do usług; Ósma Air Force.

Usiadł i wyciągnął do niej rękę. Była tak zaskoczona, że podała swoją odrucho. Jego dłoń była mocna i ciepła.

– Miło poznać – powiedziała tym samym uprzejmym tonem. – Jestem...

– Ależ wiem, kim pani jest. Lady Sara Luttrell, przysłała pani tych rodowych włości, a także, jak to nazywają w okolicy, VAD w szpitalu wojskowym w Great Heddington.

– Wie pan całkiem sporo – stwierdziła chłodno.

– Kiedy odwiedzamy klub, wszyscy musimy schodzić pani z drogi.

– Dlaczego?

– Znajduje się pani, jeśli można to tak ująć, na wyższym szczeblu. A skoro pani teść pozwala nam używać części własnej rezydencji w charakterze domu z dala od domu, chyba jasne, że żaden z nas nie chciałby tego utracić.

W orzechowych oczach pojawił się wyraźny błysk; Sara nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego.

– Podoba się panu u nas?

– Mam nadzieję, że raj będzie właśnie tak wyglądał, kiedy do niego dotrę; zielony, spokojny, cichy. Założę się, że nic się tu nie zmieniło przez ostatnie tysiąc lat.

– Też tak myślę... to znaczy przynajmniej odkąd dom został zbudowany.

– A kiedy miał miejsce ten fakt?

– W tysiąc siedemset drugim roku.

– W waszym kraju można to uznać za okamgnienie.

– Oczywiście – zgodziła się. – Skąd pan pochodzi?

– Z San Francisco. To dzisiejsze słońce kojarzy mi się z domem.

– Od jak dawna pan tu jest?

– Od ośmiu miesięcy... z których większość była mokra.

– Dlatego wszystko jest takie zielone.

– Tak... od pleśni.

Roześmiała się.

– Podoba mi się pani śmiech – powiedział z nutą wyzwania.

– Podoba mi się pańskie poczucie humoru.

Wymienili uśmiechy, zadowoleni i w doskonałym nastroju.

– Czy ten list był od pani męża? – spytał uprzejmie.

– Tak.

Pomyślała, że ten lotnik jest dość bezpośredni.

– Gdzie on teraz jest?

– W Afryce. Na pustyni.

– W jakim wojsku?

– W lotnictwie. Jest pilotem bojowym.

– Gorąco tam jest.

– Tak, i to w obu znaczeniach.

Przez jej twarz przebiegł cień; patrzył, jak wyglądzają szorstkie kartki listu. Przyjrzał jej się uważnie. Takie Angielki zawsze onieśmiały cudzoziemców:

chłodna blondynka o popielatym odcieniu, o delikatnym kośćcu, jak przystało na przedstawicielkę starej rasy. Otaczała ją aura niewzruszonego spokoju i opanowania, pozbawiona ostentacji, stanowiąca po prostu część jej osobowości. Krótkie włosy układały się w naturalne fale. Oczy miała duże, przejrzyste i szare, z ciemniejszą obwódką wokół tęczówki, która nadawała spojrzeniu intensywność i blask. Do tego typowa mleczno-różana angielska cera i usta – co za usta, pomyślał – jak wyrzeźbione czułą, perfekcyjną dłońią. Błąkał się na nich właśnie przelotny półuśmiech, sekretny, zwodniczy i odwiecznie kobiecy. Kiedy się śmiała, jej oczy robiły się skośne, a głos przywodził na myśl wodę w kryształowej szklance: jasny, chłodny i czysty. Elegancka smukłość kształtów, długie nogi o klasycznych liniach zakończone wąskimi stopami w sandałach na płaskim obcasie... Arystokratka, pomyślał, pojmując wreszcie, co to słowo oznacza.

- Nigdy przedtem nie widziałem prawdziwej lady – stwierdził.
 - Zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz – odparła z bladym uśmiechem.
 - Miejmy nadzieję, że nie będzie ostatni.
- Drobne zielone cętki w jego oczach zdawały się tańczyć.
- Jak pan zauważył – powiedziała spokojnie – mieszkam tutaj.
 - Ja także, przynajmniej na razie.

Odwrocił się na plecy, podłożył ręce pod głowę i wpatrzył się w bujne liście kasztana nad sobą.

Sara milczała. Myślała o codziennym rachunku zysków i strat w bazie lotniczej w Little Heddington. O tym, ile jednostek wylatywało i ile z nich wracało. Widziała, jak znajome twarze znikają i jak zastępują je nowe, które wkrótce również stają się znajome, by zniknąć w swoim czasie, zastąpione przez jeszcze nowsze. Ale jego twarzy sobie nie przypominała, a z pewnością by go zapamiętała. Musiał być mniej więcej w jej wieku, może rok czy dwa starszy, ale wszyscy z jednostki byli młodzi. Nawet kiedy leżał, mogła łatwo odgadnąć, że jest wysoki, a także dobrze zbudowany. Miał czarująco niesymetryczny uśmiech i głos jak gęsty miód, miękki, pozornie leniwy i pieszczotliwie gładki. No i był szalenie przystojny. Ciekawa była, ile latających misji ma już za sobą. Wiedziała, że po wykonaniu dwudziestu pięciu młodzi ludzie mieli teoretycznie wracać do kraju, ale wiadomo było również, że wiele załóg latało dalej. Z nim jest jak z Gilesem, pomyślała z ciężkim sercem; walczy tysiące mil od domu, w nieustannym zagrożeniu. Przyszło jej do głowy, że pewnie ma rodzinę; żonę, rodziców, może dzieci, którzy czekają na niego w Kalifornii, podobnie jak ona czeka tutaj na Gilesa. W tym momencie otrząsnęła się z zadumy i stwierdziła, że on się w nią wpatruje.

- Na pewno mnie pan rozpozna następnym razem – zauważyła cierpko.

To niewzruszone spojrzenie wprawiło ją w zakłopotanie, choć nie było w nim nic obraźliwego, wyłącznie podziw. Amerykanie, pomyślała. Już oni nie tracą czasu.

- To znaczy kiedy? – spytał natychmiast.
- Kiedykolwiek – odpowiedziała chłodno.
- Często pani tu przychodzi?

– Kiedy tylko mogę.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Żeby go ukryć, pochyliła głowę i spojrzała na zegarek. Była czwarta.

– Muszę iść – oznajmiła. – Sir George będzie chciał wypić ze mną herbatę.

Porządnie złożyła kartki listu i podniosła z ziemi porzucone opakowanie od batonu czekoladowego.

– Czy wolno mi będzie korzystać z pani drzewa?

– Teren posiadłości jest do dyspozycji wszystkich, którzy przychodzą do klubu – przypomniała mu łagodnie.

– Chodziło mi o chwilę, kiedy pani tu będzie.

Zaskoczona ponownie jego bezpośredniością, patrzyła na niego w milczeniu. Nie uśmiechał się wcale. Zmieszana, odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– Jeśli będzie pan chciał tu przyjść, nie mogę pana powstrzymać – powiedziała starając się, by zabrzmiało to możliwie najbardziej obojętnie.

Szedł koło niej.

– Przyniosę pani czekoladowy baton Hersheya jako symboliczną zapłatę.

Zerknęła na niego. Twarz miał całkiem poważną, ale jego oczy śmiały się do niej.

– W takim wypadku... – powiedziała z namysłem, jakby rozważała poważny problem.

– Oczywiście – dorzucił niewinnie – gdyby kiedyś przyszła pani ochota na całe pudełko czekoladek...

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Sara była wysoka, ale Amerykanin przewyższał ją o dobre kilkanaście centymetrów. On jest naprawdę fantastyczny, pomyślała oszołomiona.

– Propozycja jest absolutnie niewiążąca – zapewnił, jakby odgadł, o czym pomyślała.

– Tak czy inaczej, jestem już związana – odparła zadowolona, że ma okazję przypomnieć mu o tym. I tak posunął się stanowczo za daleko.

– Sytuacja jest jasna – powiedział spokojnie, bynajmniej nie zniechęcony, spotykając jej spojrzenie.

Sara odwróciła szybko oczy. To jest absurdalne, pomyślała niespokojna i zakłopotana. Przecież dopiero się poznaliśmy, nie powinnam pozwalać na takie zachowanie.

– Które dni ma pani wolne? – spytał tymczasem lotnik.

– Pół środy i całą niedzielę – poinformowała go odruchowo i wpadła w popłoch. – Naturalnie wszystko zależy od tego, jak się mają sprawy w szpitalu – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Ostatnio często brak nam rąk do pracy i jeśli mamy nagły przypływ pacjentów, nieraz nie udaje nam się w ogóle wykorzystać wolnych dni.

Po czym zmieniając temat zapytała:

– Ile misji pan już odbył?

– Dwanaście. – Ich oczy spotkały się. Dodał spokojnie: – Nie, nie jestem przesądny. Następnym lotem będzie trzynasty, nawet jeśli nazwiemy go dwanaście A.

Szli dalej w milczeniu. Po chwili ich oczom ukazał się dom, spokojny i bezpieczny w promieniach popołudniowego słońca. Sara niespodziewanie dla siebie samej spytała:

– Czy miałby pan ochotę wstąpić do nas na herbatę i poznać sir George’a? On był pilotem w czasie pierwszej wojny światowej i ma wyraźną słabość do lotników; właśnie dlatego oddał wam do użytku część domu. Uwielbia rozmawiać o samolotach...

Jej głos zamarł. Popatrzył na nią trochę dziwnie.

– Owszem – powiedział – bardzo chętnie poznam sir George’a.

Sir George Luttrell był starszym, bardzo prosto się trzymającym dżentelmenem. Wyglądał jak Anglik z karykatury, łącznie z monoklem i garniturem z tweedu. Przy tym wszystkim miał jednak dobre serce, duży zasób wyrozumiałości i świata nie widział poza Sarą. Był zachwycony, że może poznać kapitana Hardina i pogadać o samolotach oraz lataniu. Sara zostawiła ich pograżonych w rozmowie i poszła zrobić herbatę. Postawiła czajnik na ogniu i przygotowała tacę ze wszystkim, co potrzeba, a potem siadła przy kuchennym stole i czekała, aż woda się zagotuje. Musiała pomyśleć w spokoju. To po prostu śmieszne, powiedziała sobie. Ja chyba oszalałam. Na miłość Boską, dlaczego miałabym interesować się Amerykaninem, który prawdopodobnie nie zabawi tu nawet dostatecznie długo, żeby... żeby co? – pomyślała. Żeby zrobić na tobie jeszcze większe wrażenie? Albo posunąć się znacznie dalej niż wrażenie, bo niewątpliwie do tego by doszło, o czym sama doskonale wiesz. On nie szuka herbaty i sympatii. Trudno, tym gorzej dla niego, pomyślała cynicznie, ponieważ nic więcej nie dostanie. Cóż z tego, że kobiety z miasteczka postępują tak, a nie inaczej? Dość musisz znosić, kiedy myślisz o Gilesie na pustyni. Nieważne – trzynasta misja czy nie trzynasta, nieważne, że codziennie mają ciężkie straty w ludziach, że żyją jakby na kredyt – nie możesz sobie pozwolić na związek z człowiekiem, który mógłby nie wrócić z czternastej, piętnastej albo szesnastej misji... Co z tego, że on też doskonale o tym wie? To nie jest żadne usprawiedliwienie. Twoje życie należy do Gilesa. Nie zapominaj o tym i trzymaj tego faceta na odpowiedni dystans. Jeżeli potrafisz – dodawała w myślach.

Woda się zagotowała. Zaparzyła herbatę i wyjęła resztkę ciasteczek. Kiedy wróciła do salonu, Amerykanin wstał i podszedł, żeby wziąć od niej tacę.

– To naprawdę miło z pana strony – powiedział zwracając się do sir George’a z nutą fałszywej skromności, czym zarobił sobie na wymowne spojrzenie Sary – że zlitował się pan nad samotnym Amerykaninem.

Orzechowe oczy błysnęły kpiąco, kiedy obrócił je na Sarę, ale sir George wziął słowa za dobrą monetę.

– Nie ma za co – odpowiedział zdecydowanie. – Zawsze chętnie robimy, co można.

– W Little Heddington nie ma już samotnych Amerykanów – oświadczyła Sara krótko. – Mieszkańcy miasteczka przyjęli ich z otwartymi ramionami... cho-

cięż może należałoby raczej powiedzieć: mieszkanki – dodała tak cicho, żeby dotarło to jedynie do uszu kapitana.

W jego oczach pojawiły się iskierki śmiechu.

– To prawda – zapewnił ją uroczyście. – Wszyscy byli szalenie uprzejmi... i przyjacielscy.

Położył nacisk na ostatnim słowie.

– To minimum tego, co możemy dla was zrobić – oświadczył sir George.

– W takim razie chciałbym być w pobliżu, kiedy dojdzie do maksimum – powiedział półgłosem Amerykanin, patrząc na Sarę.

Odwróciła się i zaczęła nalewać herbatę.

– Muszę przyznać – podjął sir George skwapliwie – że chętnie rozegrałbym z panem partyjkę szachów, kiedy tylko będzie pan wolny. Nie bawią mnie samotne rozgrywki. Sara stara się jak może, ale nie jest poważnym przeciwnikiem.

– Jestem przekonany, że sprawiłyby mi przyjemność każda gra, w której zechciałyby uczestniczyć lady Sara – zapewnił cicho Amerykanin.

W najbliższą środę wróciła ze szpitala z nadzieją, że może zobaczy się znów z Amerykaninem; wiedziała, że dwukrotnie odwiedził sir George'a, by zagrać z nim w szachy. Ale w domu dowiedziała się od sir George'a, że wszystkie samoloty jednostki, które były w stanie utrzymać się w powietrzu, biorąc udział w nalocie. Kiedy nadszedł czas powrotu do szpitala, samoloty również zaczęły wracać; niektóre uszkodzone, inne dymiące, jeden nawet płonął w powietrzu. Stała z sir George'em przy oknie i patrzyli, jak maszyny przelatują nad jeziorem i schodzą do pasów w Little Heddington, które zaczynały się zaraz za Luttrell Park. Sir George potrząsnął głową.

– Ten był znowu w okropnym stanie – powiedział. – Bardzo dużo nie wróciło.

Sara musiała wrócić do szpitala nie wiedząc, czy kapitan Hardin jest żywy, czy martwy. Tej nocy na dyżurze myślała wyłącznie o nim. Co by to była za strata, powtarzała sobie. Co za strata. Następnego ranka, kiedy miała okazję, by dopaść telefonu, zadzwoniła do sir George'a. Głos teścia brzmiał bardzo poważnie.

– Przerażająca liczba ofiar, straszliwe żniwo – stwierdził przygnębiony. – Osiem samolotów z samego Little Heddington. Bóg jeden wie, ile ich jest razem.

Trzynasta misja, pomyślała Sara i ogarnęła ją nagle trwoga.

– A kapitan Hardin? – zapytała, cała spięta.

– Wrócił, choć mało brakowało. Stracił dwa silniki i miał dziurę przy ogonie. Pułkownik Miller opowiedział mi o nim co nieco. Zdaje się, że ten młody kapitan jest, jak to mówią Amerykanie, urodzonym pilotem – nie zdarzyło mu się jeszcze stracić samolotu. Mówią, że wróci, nawet jeśli będzie musiał machać rękami, żeby lecieć. Dla swojej załogi jest czymś w rodzaju talizmanu. Chociaż, jak zrozumiałem, ma reputację tak zwanego twardziela. W bazie nadali mu przezwisko Człowiek z Żelaza.

Wiedziała, pomyślała Sara. On nigdy nie udawałby czegokolwiek, czy to przed sobą, czy przed innymi. Wiedział, z czym walczy i co go czeka. Szansa, że nie zdąży wylatać dwudziestu pięciu misji, była bardzo wysoka. Średnia wynosiła piętnaście, ale on oświadczył, że nie jest średni ani przeciętny, że stanowi wyjątek od wszelkich reguł... Nie do wiary, że spotkali się tylko jeden raz, spędzili razem nie więcej niż kilka godzin, a jednak zdążył utkwic na dobre w jej myślach. A przecież Sara nie miała zamiaru dopuścić tam kogokolwiek prócz Gilesa. Cóż, stało się – zapragnęła nagle być przy nim i flirtować, nawet gdyby nie był w nastroju do flirtów. Do licha, nie ma co udawać, pomyślała. Po prostu chcę go znów zobaczyć.

Powinna była położyć się i spróbować przespać, ale nie zrobiła tego. Po śniadaniu wsiadła na rower i pojechała do parku. Skierowała się prosto do pawilonu. Dostrzegła go natychmiast, siedzącego na stopniach i wpatrującego się w dal. Minę miał ponurą i zaciętą, znać po nim było napięcie i zmęczenie; wyglądał, jakby zgłasło w nim wewnętrzne światło. Nie wahając się ani chwili podeszła i usiadła obok niego. Nie odwrócił się, by na nią spojrzeć, nie odzywał się ani słowem, a ona równie milczała. Siedziała po prostu tuż przy nim i czekała.

– Jednak trzeba było nazwać tę misję trzynastą – przemówił w końcu opanowanym głosem.

– Słyszałam. Była straszna.

– Najgorsza z dotychczasowych. Części samolotów, ciała i spadochrony leciały z nieba, jak potworny krwawy deszcz. Zestrzelili czterech z nas, zanim w ogóle zdążyliśmy dolecieć do celu. Wszystkie myśliwce przeklętej Luftwaffe musiały na nas czatować.

Instynktownie, chcąc go pocieszyć, położyła rękę na jego luźno splecionych dłoniach. Palce Eda zacisnęły się wokół niej z całej siły.

– Samoloty po prostu rozpadały się w powietrzu. Ich części spadały na inne samoloty, te z niższej formacji. Widziałem dwa z nich spadające razem w dół; przyjaciele lecący spiralą na spotkanie śmierci. Kilku z tych, którym udało się katapultować, spadało płonąc. Widziałem ogniste kule, w które przeobrazili się ludzie. – W ochrypłym głosie, słychać było napięcie i grozę. – Tyle samolotów... i nawet nie doleciały do celu.

Potem zamilkł i siedział nie odzywając się przez długi czas. Sarze zdrętwiała ręka w jego uścisku, ale nic nie powiedziała. Z odrętwienia wyrwał ich dopiero deszcz. Pospieszny grad drobnych kropli przeszedł w prawdziwą ulewę. Wtedy Ed uwolnił jej rękę, wstał i warknął:

– Piekło i szatani! Czy w tym przemokniętym na wskroś kraju nigdy nie przestaje padać?

– Możemy się schronić w pawilonie – zaproponowała Sara.

Weszli do środka. Ed wpatrzył się w widok za oknem. Stała przy nim, próbując ukradkiem rozmasować rękę. Musiał to jednak zauważyć, bo odwrócił się do niej szybko.

- O Boże! Więc to ja zrobiłem? Przepraszam. Proszę pozwolić, rozetrę pani rękę.
- Nie, nic się nie stało. Tylko trochę zdrętwiała.
- Niespodziewanie przestraszyła ją myśl, że poczuje jego dotyk.
- Przyglądał jej się, czuła na sobie jego oczy.
- Nieprzeciętna z pani dziewczyna, lady Saro Luttrell – powiedział wolno.
- Robię, co mogę – odparła siląc się na lekki ton.
- A to jest całkiem sporo.
- Zbliżyła się do okna.
- To była przelotna ulewa. Już przechodzi. Nie chciałby pan wstąpić do nas na filiżankę kawy?
- Angielskiej kawy? – zrobił sceptyczną minę.
- Nie, amerykańskiej. Słowo daję, potrafię zaparzyć zupełnie przyzwoitą kawę. Uśmiechnął się, ale oczy pozostały smutne.
- Wobec tego koniecznie chodźmy się napić.

Wiedziała, że musi minąć trochę czasu, zanim Ed otrząśnie się z przygnębienia i upora ze wspomnieniem Schweinfurtu, ale to jej nie zrażało; pragnęła mu w tym pomóc. Podczas dyżurów w szpitalu myślała o nim coraz więcej. Burzył jej spokój. Był za młody – oni wszyscy byli za młodzi – żeby stawiać czoła takim makabrycznym przeżyciom, które trawiły, znieczulały, zabijały w ludziach duszę. Modliła się, żeby Giles nie musiał przechodzić przez podobne piekło; dopiero teraz, poprzez Eda Hardina, zrozumiała, jak takie życie wygląda. Za jego sprawą pojęła, że wojna to nie tylko dłuższe godziny pracy i rozmaite ograniczenia, zaciemnienia i naloty; że jest też śmiercią, destrukcją, ofiarą złożoną z ludzi. Sara zawsze wiodła uprzywilejowane i łatwe życie. Naturalnie teraz nie było już tak przyjemnie – brakowało służby, samochodów, ubrań od słynnych krawców. Odwieczne przywileje przestały być czymś oczywistym. Ale to błahostka w porównaniu z okropnościami, jakie musieli znosić Ed Hardin i jemu podobni.

Giles pisał bardzo niewiele o tym, co robi, a przecież był pilotem bojowym. Brał udział w tych współczesnych pojedynkach: człowiek w samolocie przeciw człowiekowi w samolocie, szybszym i łatwiejszym do manewrowania niż zwalista Latająca Forteca, która – choć najeżona działkami – stanowiła stabilny cel dla zwrotnych myśliwców, atakujących ją ze wszystkich stron. Sara zdała sobie sprawę, że jedyne, co mogły zrobić załogi potężnych samolotów, to siedzieć w środku i znosić te ataki. Teraz, słysząc odlatujące samoloty, była pełna podziwu dla ich odwagi i pełna strachu o ich bezpieczeństwo. Do tego doszedł nowy strach. Bała się o Eda Hardina. Spędzało jej to sen z powiek i nie dawało chwili spokoju w godzinach czuwania.

W następną niedzielę, kiedy wyszła po skończonej zmianie, zastała go czekającego na nią w dziedzińcu pod bramą szpitala.

– Pomyślałem, że upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu – wyjaśnił. – Odwiedzę chorych i ofiaruję środek lokomocji pielęgniarkom. Proszę wsiadać, zawiozę panią do domu.

– Czy mogę wstawić do tyłu rower?

– Po co? Niech go pani tu zostawi, a ja przywiozę panią z powrotem do szpitala. W ten sposób będę mógł zobaczyć się z panią dwukrotnie. Nie zaprzepaściłbym takiej szansy, sama pani rozumie. – Zapalił silnik i ruszył. – Właściwie przyjechałem z przeprosinami – dodał – za nadużywanie pani cierpliwości i za uszkodzenie ręki. Właśnie, jak ona się miewa?

– Absolutnie normalnie – odparła, zwijając ją instynktownie w pięść.

– Proszę pokazać.

– Nie, słowo daję. Nic złego się nie dzieje.

Zignorował te zapewnienia i chwycił jej dłoń. Trzymał ją prawą ręką i ogłądał uważnie, a lewą prowadził dżipa.

– Wydaje się w porządku – ocenił. – Jest pani silniejsza niż można by sądzić z wyglądu... tak czy inaczej dziękuję.

Zanim zdążyła cofnąć rękę, podniósł ją do ust i pocałował. Dotyk jego warg sprawił, że zaczęła jej szumieć w uszach; przełknęła konwulsyjnie ślinę, ale nie zdołała opanować dreszczu. Cofnęła dłoń i przykryła ją drugą ręką.

– Potrafi pani służyć – stwierdził, skupiając całą uwagę na prowadzeniu – a to jest bardzo rzadka cnota.

Zachowała milczenie. Po chwili przyznała szczerze:

– Po prostu chciałam chociaż trochę pomóc.

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

– Pomogła pani. Proszę być pod ręką, ilekroć wracam z podobnego pikniku.

– Zrobiłabym to, gdybym mogła – zapewniła.

– Ale pani nie może. Znam tę wymówkę.

– Musiałby pan urządzić to tak, żeby moje wolne dni przypadły wtedy, kiedy pańskie – uświadomiła mu.

– Niech pani sobie nie wyobraża, że sam na to nie wpadłem – odparł, a ona się roześmiała.

Najwyraźniej poczuł się lepiej, skoro zaczął znów flirtować.

Tego dnia Sara i sir George jedli lunch u przyjaciół. Czas włókł się powoli, a ona bardzo chciała wrócić do Luttrell Park. O wpół do siódmej Ed przyjechał po nią; wypili coś, a potem zawiózł ją do szpitala. Zatrzymał dżipa przy wejściu i zapytał:

– Będzie pani miała znów wolne w najbliższą niedzielę?

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie.

– W takim razie proponuję, żeby poszło jeszcze lepiej i żeby pani spędziła dzień ze mną.

– Myślałam, że wy, Amerykanie, zawsze ciągniecie do Londynu.

– O nie, dziękuję bardzo. Wolę spędzić dzień z panią, jeśli to możliwe. Moglibyśmy wybrać się do Oxfordu. Nigdy nie widziałem uniwersytetu. O której pani kończy?

- O ósmej rano.
- Świetnie. Zrobimy tak... – przejął nad nią kontrolę tak samo prosto i naturalnie, jak prowadził dżipa. – Złapie pani kilka godzin snu, a ja przyjadę po panią o pierwszej. Zgoda?
- Zgoda – przytaknęła posłusznie. – Tak będzie najlepiej.

Oprowadziła go po Oxfordzie.

– Giles był w Christchurch – uśmiechnęła się do wspomnień. – Czasem przyjeżdżałam tu na weekendy... nieraz bawiliśmy się wspaniale.

– Przypuszczam, że znała go pani od zawsze.

– Tak. Prawdę mówiąc, jego matka była daleką kuzynką mojej matki. Znaliśmy tych samych ludzi, chodziliśmy na te same przyjęcia urodzinowe jako dzieci, nawet na te same kursy tańca. Giles był w Eton z moim bratem Richardem.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Minał rok i dwa miesiące od naszego ślubu. A pan jest żonaty?

– Nie.

Przeraziła ją ulga, jaką odczuła w tym momencie.

– Ale jestem pewna, że ma pan swoją dziewczynę w kraju – powiedziała lekким tonem.

– Mam mnóstwo dziewczyn w kraju.

– Nietrudno w to uwierzyć – zapewniła.

– Ach, ale pani nie widziała dziewcząt z Kalifornii... dziewcząt z Nowego Jorku... dziewcząt z Florydy czy dziewcząt z Teksasu...

Rozległ się ostrzegawczy pomruk grzmotu; Ed podniósł głowę i spojrzał w górę.

– Dobrze już, dobrze, angielskie dziewczęta też są wspaniałe – zapewnił niebiosu i uśmiechnął się do Sary porozumiewawczo. – Lepiej poszukajmy jakiegoś schronienia – zarządził. – Boi się pani piorunów?

– Ach nie, skądże znowu! – odparła ze śmiechem.

– Szkoda. Przepadła szansa na odegranie roli silnego mężczyzny-obrońcy.

Co więcej, załóżę się, że potrafi pani biegać.

Miała kłopoty z zaczerpnięciem tchu, ale zdołała potwierdzić:

– Jak wiatr.

– Znakomicie. – No to kto pierwszy do drzwi tamtego sklepu...

Wnęka przed wejściem była nieduża, ale wystarczyła, by ochronić ich przed deszczem. Sara zdjęła chustkę z szyi i wytarła nią twarz.

– Przykro mi – powiedziała przepaszająco – myślę, że deszcz rozpadał się na dobre i potrwa do końca dnia. – Popatrzyła na niego strapiona. – Może powinien był pan jednak pojechać do Londynu.

– Dlaczego powinienem był pojechać do Londynu? – spytał zaraz.

– Żeby... odprężyć się, rozluźnić. Tam jest znacznie więcej atrakcji niż tutaj.

– To, co teraz robię, jest dla mnie wystarczającą atrakcją.

– Lubi pan tkwić we wnęce sklepowej przy głównej ulicy w czasie burzy? – spytała sceptycznie.

– Ach... ale ja tu tkwię z panią.

– W dziesięć będzie sucho.

– Więc biegnijmy do niego na wyścigi. Kto przybiegnie drugi, ten naciąga dach.

Rzucili się biegiem, a kiedy dopadli samochodu przemoczeni do suchej nitki, tak się jakoś stało, że trzymali się ze śmiechem za ręce, po czym ona pomogła mu rozpiąć dach i wtedy już oboje ociekali wodą.

Pod dachem, w środku, dżip był zaparowany i wilgotny. Deszcz bębnił po płótnie i zamazywał okienko z pleksiglasu w płacie drzwiowym. W małej zamkniętej przestrzeni Ed wydawał się ogromny. Była tego świadoma tak mocno, że niemal nie mogła oddychać – jego rozmiaru, mokrej od deszczu twarzy, długich nóg w wilgotnych, beżowych spodniach, rąk o długich palcach, które właśnie sprawdzały, czy dach jest szczelnie zamocowany. Wyjęła chusteczkę, żeby się wytrzeć.

– Proszę – powiedział, wręczając jej swoją. – Pani chusteczka starczy najwyżej na wytarcie czubka nosa.

Wytarła twarz i włosy.

– Jest pani przemoknięta na wylot – stwierdził. – Proszę mi pozwolić...

Wzięła od niej chusteczkę i zaczął wycierać skręcające się w pierścionki włosy, które mokrymi kędziorkami okalały jej głowę.

– Wyglądam jak zmokła kura – skomentowała z grymasem.

– Raczej jak mokra owieczka.

Ich spojrzenia spotkały się. W następnej chwili odwróciła wzrok i odsunęła się od niego. Był niepokojąco atrakcyjny i wiedziała, że ona również go pociąga; ta świadomość zalegała między nimi, niewygodna, męcząca. Było to dopiero ich czwarte spotkanie, ale ona przyjęła od pierwszej chwili pozycję obronną. Niepokoiła ją własna wrażliwość i podatność na tego rodzaju podniety. Uważała, że dzięki Gilesowi jest uodporniona na wszystkich innych mężczyzn. Ale ten Amerykanin zdołał jej już zaszczerpić gorączkowe pragnienie: chciała widzieć go wciąż na nowo. Najrozsądniej byłoby zatrzymać się natychmiast, zanim sprawy wymkną się spod kontroli. Ostatnio prawie zapomniała o Gilesie, za to myślała ustawicznie o Edzie Hardinie. Zachowywała się nie inaczej niż kobiety z miasteczka, dowodząc tym, ile prawdy kryje się w starym powiedzeniu: co z oczu, to z serca.

Gdy tak siedziała, zapatrzona w strugi deszczu za okienkiem samochodu, Ed widział nurtujący ją niepokój. Odczuwał przemożne pragnienie dotknięcia jej, ale wiedział, że nie umiałby na tym poprzestać. Była mężatką; jej mąż przebywał daleko za granicą. W dodatku miała w nadmiarze coś, co się nazywa sumieniem. Marzył, by ją przytulić, mieć ją blisko, ale zdawał sobie sprawę, że to nie jest właściwy moment. Nauczył się czekać niecierpliwie na spotkania. Tęsknił do jej pogodnego spokoju, do głosu o krystalicznym angielskim brzmieniu, który potrafił mrozić lub przenikać ciepłem, mając w sobie tyle zrozumienia, tyle uczucia –

podobnie jak jej piękne oczy. Była balsamem dla wszelkich ran, szarpiących myśli, bolesnych wspomnień. Była jedyną osobą, przy której mógł odwrócić się od koszmarów przeszłości, zapomnieć o okropnej teraźniejszości i nie myśleć o niepewnym jutrze. Umiała łagodzić, pocieszać, dodawać otuchy. Niczego się nie spodziewała, niczego nie żądała; ograniczała się do akceptowania. Ed wiedział, że zdolna jest darzyć swoją osobowością bez ograniczeń, bez pytań. Coraz goręcej pragnął, żeby to jego obdarzała. Ale Sara przez małżeństwo była dla niego nieosiągalna. Powiedział sobie, że na tej przeklętej wojnie każdy musi myśleć o własnych interesach; pojęcia takie, jak honor, uczciwość czy normy moralne stały się równie dziurawe, jak fortece powracające chwiejnym lotem znad Niemiec. Cóż, jednak dla Sary wszystkie te słowa się liczyły. Ed wiedział, że nie powinien uzewnętrzniać swoich uczuć. Wystarczy jeden fałszywy ruch i ona gotowa odwrócić się od niego na zawsze, a taka myśl była nie do zniesienia. Spotkanie Sary, przyjaźń, która ich połączyła – to było więcej niż kiedykolwiek oczekiwał; nie powinien żądać cudów – przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Nie wydaje mi się, żeby deszcz miał ustać – powiedział lekko. – Może poszlibyśmy gdzieś na herbatę, co pani na to? Zna pani Oxford lepiej ode mnie; proszę mnie czymś zaskoczyć.

Odwrociła głowę i popatrzyła na niego z namysłem.

– Zaskoczyć pana? – uśmiechnęła się, a jemu nagle zabrakło tchu. – Niewykluczone, że to właśnie zrobię. Niech pan rusza. Pokażę panu, dokąd jechać.

– Powiedziała pani, zdaje się, że college’ę są zamknięte – przypomniał starając się dojrzeć coś przez przednią szybę; przysiągłby, że zatrzymali się przed jednym z nich.

– Tak się składa, że znam dziekana tego college’u, i jego dom nie jest zamknięty. Chodźmy.

Poszedł za nią na wewnętrzny dziedziniec. Przecięli go idąc po mokrej trawie i przeszli skrajem brukowanego kostką dziedzińca. Zatrzymali się przed dębowymi drzwiami, nabijanymi mosiężnymi ćwiekami. Sara zapukała. Otworzył starszy człowiek, lokaj czy służący.

– Dobry wieczór, Mancroft. Zastaliśmy lorda Johna?

– Lady Sara! Dobry wieczór. Tak, jego lordowska mość jest w domu.

– Przyprowadziłam ze sobą amerykańskiego znajomego z bazy bombowców w Little Heddington. Nigdy przedtem nie widział college’u, więc pomyślałam, że mogłabym mu jakiś pokazać. To jest kapitan Hardin.

– Oczywiście, milady. Dobry wieczór, sir. Jego lordowska mość jest w swoim gabinecie.

Wprowadził ich na korytarz. Trochę dalej otworzył jedno z drzwi, anonsując:

– Lady Sara Luttrell i kapitan Hardin z Amerykańskich Sił Powietrznych.

Człowiek siedzący przy kominku podniósł głowę, wstał i powiedział radośnie:

- Saro, moja kochana, co za miła niespodzianka! Nachylił się, żeby ją pocałować.
- Jak się miewasz, stryju Johnnie?
- Jakoś się trzymam – odparł stryj i spojrzął pytająco na Eda.
- To jest kapitan Hardin z Air Force. Stacjonuje w Little Heddington. Chcę mu pokazać Oxford. Mój stryj, lord John Brandon – zwróciła się do Eda. Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.
- Dobry wieczór panu – powiedział Ed.
- Dobry wieczór. Chodźcie tu i siadajcie przy kominku. Okropne popołudnie. Nikt by się nie domyślił, że mamy sierpień. Co słychać w Luttrell Park, Saro? Jak tam George?... Co pisze Giles?
- Sir George miewa się bardzo dobrze. Giles również. Podobno opalił się na brązowo i jest w świetnej formie, przynajmniej tak twierdzi.
- A ty? Nadal pracujesz jako pielęgniarka?
- Tak. Dzisiaj mam wolny dzień, więc wnoszę mój wkład w zacieśnianie stosunków angielsko-amerykańskich. Czy mogę oprowadzić kapitana Hardina po college'u?
- Naturalnie. Większość naszych skarbów została oddana na przechowanie, rozumiesz, z powodu działań wojennych, ale twój gość może obejrzeć budynki. Jednak najpierw napijemy się herbaty. Zdejmijcie płaszcze, a ja zadzwonię na Mancrofta. Jak się miewa twój ojciec, Saro?
- Przyczynia się do zwycięstwa przekopując ogród i wygłasza oracje w Ministerstwie Rolnictwa, jak to ma w zwyczaju.
- Zawsze twierdziłem, że powinien być zawodowym ogrodnikiem; nawet pustynia zakwitłaby pod ręką mojego brata.
- Pili herbatę przy kominku, w którym wesoło płonął ogień. Sara siedziała wygodnie w jego ciepłe i słuchała, jak Ed i stryj rozmawiają o historii Ameryki, dyskutują na temat doktryny Monroe'a i Lend-Lease, izolacjonizmu i Nowego Ładu. Widziała, że Ed świetnie się tu czuje. Radowała ją też myśl, że stryj tak serdecznie go przyjął. Wdał się z gościem w poważną dysputę i raz czy drugi zaperzył się nie na żarty, kiedy dochodziło do różnicy zdań. Przekonała się, że Ed potrafi doskonale bronić swoich przekonań. Lord John nalegał, żeby zostali na kolacji.
- Nieczęsto mam okazję omawiać losy świata z rodowitym Amerykaninem – oznajmił – w dodatku takim, który umie jasno i klarownie argumentować.
- Kiedy wychodzili, było wpół do dziesiątej; tego wieczoru Sara zaczynała zmianę w szpitalu o dziesiątej.
- Dziękuję za wspólny wieczór – powiedział Ed, żegnając się z gospodarzem.
- Cała przyjemność po mojej stronie – odparł rozpromieniony sir John. – Niech pan wpada, ilekroć będzie w Oxfordzie. Teraz wie pan już, gdzie mieszkam. Do widzenia, Saro, moja kochana. Przekaż pozdrowienia ojcu i sir George'owi. Kiedy wybierasz się do domu?

- Myślę, że w październiku. Będę miała wtedy kilka dni urlopu.
- Powiedz Jamesowi, że nie odmówiłbym paru kuropatw... i prześlij najlepsze życzenia Gilesowi, kiedy będziesz do niego pisała.
- No tak, naturalnie – oświadczył Ed, kiedy wsiadali do dżipa. – Powinienem się być domyślić. Wy, Brytyjczycy, zawsze byliście zdolnym narodem. Myślałem, że dzisiejsze popołudnie po prostu się rozmyje... dosłownie, w tym okropnym deszczu, tymczasem wyszło coś zgoła przeciwnego. To był bardzo miły wieczór. Dziękuję.
- Dla mnie to była prawdziwa przyjemność – odparła uświadamiając sobie, że istotnie tak uważa.

Po tym dniu Ed zaczął regularnie odwiedzać Luttrell Park, nie tylko na partie szachów, ale również w celu dostarczenia rozmaitych smakołyków z amerykańskich dostaw. Przynosił masło, jajka, amerykańską kawę, kubelki lodów z owocami.

– Domowej roboty – zapewniał. – Mieszymy jedno z drugim i zabieramy ze sobą; po kilku godzinach na wysokości siedmiu tysięcy metrów są akurat odpowiednio zamrożone.

Przynosił także pomarańcze – wielkie, soczyste pomarańcze kalifornijskie, które Sara zanosila do szpitala; puszki brzoskwiń, pudełka batonów czekoladowych Hersheya, a raz nawet pół tuzina steków. Prawie zawsze miał też butelkę whisky i karton papierosów dla sir George'a, chociaż sam nie palił. Kilkakrotnie zaprosił ich oboje na obiad do bazy – żadne z nich nie widziało od lat takiej obfitości jedzenia. Zabierał też Sarę na urządzane w bazie tańce.

Załoga Eda, której przedstawił Sarę, uznała ją za maskotkę. Piloci pokazali jej samolot Eda, „California Girl”, i poprosili, żeby zostawiła w nim swoją „pieczętkę” – pocałunek złożony umalowanymi ustami na przedniej szybie, nad siedzeniem pilota; ślad, pokryty bezbarwnym lakierem, stał się permanentnym całusem na szczęście.

Załoga stawiała się kilkakrotnie w Luttrell Park na herbatę, przynosząc ciasta, herbatniki i słoiki masła orzechowego. Traktowali sir George'a serdecznie, ale z respektem. Robili dużo hałasu, byli zaraźliwie weseli i absolutnie rozbijający. Żaden z nich nie przekroczył dwudziestu sześciu lat, a średnia wieku wynosiła dwadzieścia dwa. Tęsknili za krajem i Sara wysłuchiwała godzinami opowieści o domu, rodzicach, dziewczynach, żonach i o prowincjonalnej Ameryce. Przeszywała oberwane guziki i cerowała skarpety; w zamian dostawała paczki żywnościowe od wdzięcznych rodzin i listy od zachwyconych matek. Na jej protesty amerykańscy chłopcy otwierali szeroko oczy: jakie znaczenie może mieć mała paczka wśród przyjaciół? Mówili na nią „lady”. Wiedzieli, że jest mężatką, podziwiali portret Gilesa wiszący w salonie, jednak dla nich była przede wszystkim dziewczyną Eda. Co najdziwniejsze, ona też tak się czuła. Ed nie poczynił żadnych kroków, nie próbował jej uwieść. Flirtował z nią nieustannie, ale w lekkim,

niepoważnym tonie. Sara wiedziała jednak, że podobnie jak ona, świadomy jest iskrzenia między nimi. Nie zrobił jednak nic, żeby posunąć się dalej. To było tak, jakby zatrzymał się o parę kroków od niej mówiąc: „W porządku. Coś między nami istnieje. Ty o tym wiesz. Ja o tym wiem. Ale nie dojdzie do niczego, jeśli nie zechcesz”. Dla nich obojga była to sprawa niezwyklej wagi.

Nigdy nie miała zapomnieć tych tygodni. Wryły jej się trwale w pamięć, przede wszystkim jako okres śmiechu, wesołości i dobrej zabawy. Wiedzieli, że każde spotkanie może być ostatnim i nie kryli swoich uczuć pod maską obojętności.

Ale nade wszystko liczył się Ed – niepodobny do żadnego mężczyzny, jakiego w życiu spotkała. Wpadła w pułapkę własnych uczuć. Pociągał ją nieodparcie i wiedziała, że jest to wzajemne. Dopiero poznawszy Eda uświadomiła sobie, jak bardzo była samotna. Z nim czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Czekwała na chwilę, kiedy go zobaczy i smuciła się, kiedy go nie było. Ostatnimi czasami było mniej lotów. Rany, jakie Ósma Air Force odniosła nad Schweinfurtem, wymagały zaleczenia. Po jakimś czasie Sara uzmysłowiła sobie, że ogarnia ją przerażenie i rozpacz na samą myśl o wznowieniu lotów. Niestety ten dzień stał się coraz bliższy.

W środy i soboty, kiedy Sara miała wolne, nabrali zwyczaju spotykania się w pawilonie, gdzie widzieli się po raz pierwszy. Jeśli Ed nie odbywał akurat lotu, szedł tam i czekał na nią. Niekiedy zabierał ją do Oxfordu, do kina albo na koncert, a czasem na herbatę ze stryjkiem Johnem. Jednak najczęściej spotykali się nad jeziorem – tylko po to, żeby być ze sobą. Już od dawna mówili sobie po imieniu.

Ed opowiedział jej o swoich pradziadkach, którzy przyjechali do Kalifornii pociągiem towarowym z Pensylwanii, gdzie rodzina mieszkała przez poprzednie sto lat. Ze strony ojca Ed miał w sobie krew angielską, po stronie matki francuscy hugenoci mieszała się ze Szkotami. Opisał jej swoją rodzinę. Ojciec był zawodowym żołnierzem, stacjonującym obecnie gdzieś na Pacyfiku; matka mieszkała w San Francisco, a młodsza siostra, Jennifer, była studentką drugiego roku uniwersytetu na wschodzie kraju, noszącego nazwę Vassar. Sara opowiedziała mu o swoim ojcu – matki prawie nie pamiętała, bo umarła, kiedy ona miała osiem lat. Wychowywała ją niezamężna siostra ojca, imponująca i onieśmiałająca wiktoriańska dama, która wierzyła w zimne kąpiele, Biblię oraz w to, że dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć. Z trzech starszych braci Sary John był majorem w gwardii przybocznej, Richard komandorem-porucznikiem w marynarce, a David kapitanem komandosów piechoty morskiej.

Opowiadali sobie o swoim dzieciństwie. Ed opisywał jej San Francisco i Kalifornię, ona mówiła o Brandons, swoim domu rodzinnym w Northumberland. Zdumiała go wiadomość, że nigdy nie chodziła do szkoły, kształcona od początku przez guwernantki. Rozmawiali o sztuce, muzyce, literaturze i polityce, o tym, co każde z nich najbardziej lubi i co się każdemu najmniej podoba we własnym kraju. Rozmawiali o wojnie i o własnych nadziejach na czas pokoju. Poruszali każdy

temat, jaki przyszedł im do głowy, a Sara wyczekiwała tych spotkań tak gorączkowo i niecierpliwie, że nabrała zwyczaju chodzenia do parku, kiedy tylko mogła. Wiedziała, że źle robi, ale nie mogła nic na to poradzić. Ed zaczął panować nad jej życiem. Myślała o nim nieustannie, zastanawiała się, co robi, martwiła się o niego, nawet o nim śniła.

Ciekawa była, czy on odczuwa to samo w stosunku do niej... i co porabia, gdy go przy niej nie ma. Czy widuje się z innymi kobietami? Gdy była z Edem na tańcach w bazie, zauważyła spojrzenia, jakie kobiety kierowały w jego stronę: taksujące, prowokujące, kuszące. Dzięki temu poczuła się wówczas, pierwszy raz w życiu, kimś wyjątkowym i rozkoszowała się tym doznaniem. Była upojona, podekscytowana, rozjaśniona szczęściem. Jeszcze nigdy nie czuła tak dojmująco, że żyje. U boku Gilesa szczęście odbierała jako spokojne zadowolenie, uczucie znajome i niczym nie zmaczone. Przebywając z Edem czuła się zupełnie inaczej. Coraz trudniej przychodziło im utrzymać lekki i neutralny ton rozmowy. Spędzali zbyt wiele czasu w swoim towarzystwie i zaczęli się zbyt szybko angażować w tę znajomość, zbyt wiele dla siebie znaczyć. Na drodze, którą szła, Sara widziała drogowskaz z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO; jednak podniecenie i radość życia, jakie odczuwała, były tak przemożne, że biegła naprzód nie zważając na nic.

Nieustannie zdumiewało ją opanowanie Eda. Nie posunął się nigdy za daleko. Nie zdarzyło się ani razu, żeby spróbował zmusić ją do czegośkolwiek; ani razu nie przekroczył granicy, którą sami ustanowili. I właśnie ta powściągliwość powodowała, że Sara tym bardziej go pragnęła. Myśl o kochaniu się z Edem wywoływała drżenie nóg i suchość w ustach. Złapała się na tym, że nie może oderwać oczu od jego ust, od jego rąk, że wyobraża sobie ich dotyk. Próbowwała się przekonywać, że przyczyną tego była samotność. Wszystko to musiało być spowodowane tęsknotą za Gilesem, czysto fizycznym głodem i bliskością niezwykle atrakcyjnego mężczyzny. Ale widok wysokiej sylwetki Eda, potężnego ciała w cienkiej koszuli koloru khaki i oliwkowych spodniach, szczupłych dłoni o długich palcach, dłoni cudownie zręcznych i pewnych – ten widok powodował niemal fizyczny ból, nie pozwalał jej spać w nocy. Nigdy w życiu nie była tak bardzo świadoma obecności mężczyzny, tak podniecona, tak przepełniona pożądaniem.

Raz czy dwa umyślnie pozbawiła się przyjemności jego towarzystwa, jednak w rezultacie czuła się tak pusta, tak zrozpaczona i nieszczęśliwa, że nie mogła się doczekać, kiedy znów go zobaczy.

A potem przychodził list od Gilesa i natychmiast ogarniało ją poczucie winy i wyrzuty sumienia. Nie odsuwało to jednak przemożnej, bolesnej tęsknoty za Edem. Zabrała się do powtórnego czytania wszystkich starannie przechowywanych listów Gilesa, żeby odnowić go w pamięci, przypomnieć sobie, co czuła będąc przy nim. Przeraziło ją odkrycie, że ma z tym spore trudności. Pisała do niego długie listy; opowiadała mu o „California Girl” i jej załodze, o Edzie i o tym,

jak zaprzyjaźnił się z sir George'em, o paczkach żywnościowych przysyłanych z Ameryki, o serdeczności Amerykanów, którzy tak się cieszyli gościnnością okazywaną im w Luttrell Park. Pisała mu, że rozpaczliwie za nim tęskni – bo przecież musiało tak być. Inaczej nie czułaby się taka samotna, nie próbowałaby tak zawzięcie ukoić tej samotności, nie byłaby tak przepełniona niezaspokojonym pragnieniem. Nie tylko Ed był winien temu, co przeżywała, to niemożliwe. Wszystko spowodowała rozłąka z mężem, z którym spędziła tylko sześć krótkich tygodni małżeńskiego życia. To Gilesowi składała przysięgę małżeńską. Powtarzała to sobie, żeby odwrócić myśli od Eda.

Odczuwała teraz nieustanne napięcie i skrępowanie w obecności Eda. Była go tak świadoma jako mężczyzny, że zachwiany został jej wewnętrzny spokój. Próbowwała rzucić się w wir pracy, biorąc dodatkowe dyżury, żeby nie starczało jej czasu na spotkania z Edem. Pracowała do momentu, aż wykończona, zdolna była wyłączyć się do spania.

Ed zauważył to od razu.

– Hej, zdaje się, że zamierzasz wygrać tę wojnę samodzielnie – perswadował łagodnie. – Twój pacjent tutaj też wymaga troskliwej opieki.

– Chodzący rami są na najlepszej drodze do wyzdrowienia – odpowiedziała lekko.

– Tak, ale moich ran nie widać.

Pilnowała się, żeby nie spojrzeć mu w oczy.

– Nie znam się na psychiatrii. Nie studiowałam tej dyscypliny – stwierdziła.

Leżeli pod kasztanem; był początek października, ale ciepłe popołudnie nasuwało myśl o babim lecie. Ed opierał się plecami o drzewo; Sara leżała wyciągnięta o parę kroków od niego, zapatrzona w jezioro.

– Może i nie – zgodził się – chociaż na temat dyscypliny wiesz chyba wszystko. Nie mam racji?

– Zawdzięczam to staroświeckiemu wychowaniu. Dzieci powinno się widzieć a nie słyszeć.

– Nie jesteś dzieckiem. – Urwał na chwilę. – Jesteś kobietą.

– Edukacja w Anglii jest gruntowna i bardzo głęboka.

– A więc to wynik edukacji?

Powoli, jakby chciała wytłumaczyć coś zarówno sobie, jak jemu, powiedziała:

– Uczymy się, że istnieją rzeczy, których się po prostu nie robi. Można to nazwać regułami, jeśli chcesz. Nie są nigdzie zapisane, ale obowiązują. Ja wolę nazywać je zasadami.

– Wiesz co? Wy, Brytyjczycy, wcale nie macie na nie monopolu.

– Naturalnie, że nie.

Milczał przez chwilę, po czym zapytał:

– I nie istnieją okoliczności, które pozwalają na... zignorowanie zasad?

– Nie. Właśnie w takich momentach wkracza dyscyplina. Jeśli przeżywamy ciężkie chwile, okazujemy przywiązanie naszym zasadom.

Zbyt późno zorientowała się, że użyła niewłaściwego słowa.

– Myślałem, że przywiązywać się można tylko do ludzi. Zasady nie dają nic w zamian.

– Nic poza satysfakcją, że się od nich nie odstąpiło.

– A czy ten rodzaj satysfakcji wystarcza?

O Boże, pomyślała, błagam, niech on nie pyta już o nic.

– Niezmiernie dużo od siebie wymagasz – zauważył łagodnie, ponieważ nie odpowiedziała.

– Nie więcej niż powinnam zgodnie z moim wychowaniem.

– A więc jesteś miła dla samotnego Amerykanina wskutek wychowania? – spytał bezbarwnym tonem.

– Ty jesteś dla nas więcej niż miły. Nie myślę tu o prezentach, które nam sprawiasz. Chodzi mi o to, że tu jesteś i że robisz to, co robisz. Walczysz razem z nami i możesz zginąć razem z nami.

Milczał przez chwilę.

– To jest niezupełnie działanie z wyboru – odrzekł w końcu.

– Ale nie odmówiłeś, prawda? Robi się to, co trzeba zrobić.

– Niemniej nadal ma się w pewnym stopniu wolność wyboru.

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Ja także ślubowałam wierność i lojalność.
– Rozumiem. „Nie mógłbym kochać cię tak bardzo, najmiłsza, gdybym bardziej nie kochał honoru” – zacytował.

O Boże, westchnęła w myślach, udręczona:

– Właśnie tak – odpowiedziała.

Staram się, Giles, pomyślała jeszcze. Naprawdę się staram.

Żadne z nich nie odzywało się przez długi czas. Ona leżała na brzuchu, z twarzą ukrytą w ramionach. Nie chciała, żeby Ed ją teraz widział – i bała się, co będzie, gdy ona na niego spojrzy. Gardło miała ściśnięte aż do bólu i drżała na całym ciele od wewnętrznej walki o zachowanie spokoju.

– Saro... – powiedział wreszcie.

– Tak?

– Nie podziękowałem ci jeszcze za to, że pozwoliłaś mi dzielić ze sobą część twojego życia.

W jej oczach wezbrały łzy. Przygryzła mocno wargę, aż poczuła ból i smak krwi.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale kiedy cię poznałem, goniłem resztkami sił i zbliżałem się do kresu wytrzymałości. Odciągnęłaś mnie od krawędzi. Zrobiłaś wiele dobrego dla mnie... i dla mojej duszy.

Nie mogła wykrztusić słowa.

– Przygarnęłaś mnie, kiedy potrzebowałem oparcia. Jestem ci za to bezgranicznie wdzięczny. Byłem nieznanym Amerykaninem, a ty sprawiłaś, że poczułem się znów człowiekiem, nie tylko maszyną do zabijania.

– Mam nadzieję, że gdyby Giles znalazł się w takim stanie, ktoś zrobiłby dla niego to samo – powiedziała z trudem panując nad sobą.

– Wszystko się zawsze sprowadza do Gilesa, prawda? – zapytał Ed ponuro.

– Tak musi być.
– Dlaczego?
Mało jej serce nie pękło, kiedy usłyszała ból w jego głosie.
– Jestem jego żoną.
– Naprawdę?
Wiedziała, o co mu chodzi, o co pyta.
– Tak.
– Bez żadnej wątpliwości?
Starła się odpowiedzieć z możliwie najgłębszym przekonaniem:
– Bez cienia wątpliwości.
Znowu milczał przez chwilę.
– W porządku – powiedział w końcu z westchnieniem. – Nie masz mi za złe, że próbowałem?
Brak nadziei w jego głosie załamała ją ostatecznie.
– Och, Ed – uniosła ku niemu twarz z desperacją. – Nie mam ci za złe niczego. Ale nie mogę... Zrozum, nie mogę...
Wybuchnęła płaczem. Narastające emocje zwyciężyły. Zerwała się gwałtownie, porzuciła swoje miejsce na trawie i porwała się do ucieczki.

4

Jego wieczoru zatelefonowała do ojca i zapowiedziała, że wybiera się na tydzień do domu. Wyruszy w podróż w najbliższą sobotę i przyjedzie akurat na kolację.

Do chwili wyjazdu nie mogła spać, nie mogła jeść. Sir George martwił się o nią.
– Potrzebujesz odpoczynku, to pewne – powiedział patrząc na jej bladą twarz i cienie pod oczami. – Wyglądasz bardzo marnie, wyostrzyły ci się rysy. Zdaje się, że... za dużo ci się zważyło na głowę.

Pod prostoduszną powierzchownością sir George był bystrym obserwatorem. Musiały być doprawdy ślepy, żeby nie dostrzec, jak się mają sprawy między Sarą a Amerykaninem. Trapił się tym od jakiegoś czasu.

– Jedź koniecznie do domu i odpręż się. Zapomnij o Luttrell Park, o szpitalu i o wszystkim innym. I nie martw się o mnie. Dam sobie radę.

Mam nadzieję, że ty również sobie poradzisz, pomyślał. – Nie tylko przez wzgląd na mojego syna, ale także na ciebie. Sir George znał dobrze Sarę; wiedział, że nigdy nie zdecydowałyby się na kochanka, chyba że w grę wchodziłoby naprawdę wielkie uczucie. Takie uczucie, jakie żywiła do Eda Hardina.

Sara nie zobaczyła się z Edem przed wyjazdem; nie przyszedł do Luttrell Park. W zatłoczonym, sapiącym pociągu toczącym się wolno na północ siedziała

nieszczęśliwa i zrozpaczona, świadoma, że ucieka. Postąpiła wbrew wpojonym przez wychowanie zasadom, których powinna przestrzegać, niewzruszenie. Nie przypuszczała jednak, że zagrozi im niebezpieczeństwo w postaci Eda Hardina. Z dała od niego – od przemożnego wpływu, jaki wywierała jego obecność – spróbuje myśleć jaśniej, odrzucić emocje, spróbować odzyskać zachwianą równowagę. Nigdy w życiu nie czuła się tak rozdarta przez sprzeczne uczucia. Wiedziała, co powinna zrobić, ale z drugiej strony wiedziała też, czego pragnie; to się niestety wzajemnie wykluczało. Obowiązek i pożądanie. Sytuacja pasowała wypisz wymaluj do stałego porzekadła jej ciotki:

– To, czego chcesz, a to, co dostajesz, to zupełnie różne rzeczy.

Ale ciotka kierowała się nieodmiennie rozsądkiem i wychowała Sarę w przekonaniu, że ona też tak powinna zawsze postępować – aż do chwili, kiedy Sara zorientowała się, że pierwszy raz w życiu zdana jest na łaskę emocji, podczas gdy rozum jest bezsilny. Kiedy przyjechała do Brandons, ojciec powitał ją z radością, oświadczając bez ogródek, że Sara wygląda na wykończoną.

– Pewnie zawalają cię robotą i zapracowujesz się na śmierć w tym piekielnym szpitalu.

– Tak – skłamała Sara – ostatnio miałam mnóstwo pracy.

– Tutaj także jest co robić. Nie można powiedzieć, żebyśmy nie wykonywali naszej części wysiłku wojennego.

Ojciec pracował po czternaście godzin na dobę w posiadłości, której każdy wolny akr został przeznaczony pod uprawę. Wziął Sarę na objazd majątku w dwukółce ciągniętej przez kucyka – benzyny oszczędzano dla traktorów – i pokazał jej owoce swojej pracy. Jednak przez większość czasu Sara pozostawiona była sama sobie. Spędzała długie godziny chodząc po wrzosowiskach lub siedząc na przybrzeżnych skałach i patrząc na Morze Północne, nieczuła na wiatr i deszcz, świadoma jedynie bezgranicznej tęsknoty za Edem. Odczuwała dojmujący brak jego obecności, jego ciepła i siły, spokoju i pewności. Nigdy przedtem nie czuła się taka samotna, tak dalece odarta ze wszystkiego. Miłość do Eda Hardina nie przypominała w niczym spokojnej akceptacji osoby Gilesa. To uczucie było dzikie, namiętne, desperackie – lodowata rozpacz tęsknoty i niespełnione pragnienie przemieszane z gorzką zgryzotą wyrzutów sumienia. Kochała Eda; potrzebowała go i bała się o niego. Miłość Sary podobna była do ogniska, które nieobecność Eda rozpałała do rozmiarów stosu ofiarnego, który trawił wszystko prócz tej miłości. Nigdy dotąd nie skoncentrowała tak bez reszty uczuć na drugim człowieku, zapominając o wszystkim innym. Ed stał się centrum jej świata. Nikt nie był ważny, nic się nie liczyło. Sens życia polegał na tym, żeby być częścią Eda. Zdała sobie sprawę, że nawet gdyby wyparła się tego uczucia, ono zdążyło zmienić jej życie. Już nigdy nie będzie umiała wrócić do dawnej egzystencji, którą wiodła u boku Gilesa. Teraz wiedziała, że stać ją na dużo więcej, że jej życie mogłoby być o wiele bogatsze. Przedtem tkwiła w zamkniętym pomieszczeniu – co z tego, że wygodnym i bezpiecznym, skoro ograniczało jej poglądy i możliwości. Nie wie-

dząc, na co ją stać, nie próbowała wydostać się poza linie wytyczone od dnia, w którym się urodziła. Teraz wiedziała, że nigdy więcej nie pogodzi się z podobnym zamknięciem. Życie z Gilesem przypominało dreptanie w miejscu; życie z Edem byłoby podróżą, pełną nowych przeżyć, widoków, odczuć, możliwości. Byłaby rozwinięciem i wzbogaceniem jej osobowości, połączeniem z drugą połową w całość.

Nie chodziło tu wyłącznie o fizyczne pragnienie Eda, choć rozłączenie z nim odczuwała jako mękę nie do zniesienia. Chciałaby wciąż patrzeć w uśmiechnięte orzechowe oczy, widzieć uśmiech, który opromieniał i zmieniał całą jego twarz, podziwiać wspaniałe ciało, którego – teraz już wiedziała – pragnęła tak namiętnie. Giles nigdy nie sprowokował takiej reakcji, nie wzbudził w niej uczuć tak silnych, że aż się ich bała. Namiętność była dla niej nieznanym lądem; Giles nigdy jej tam z sobą nie zabrał, ale wiedziała, że mogłaby się tam znaleźć z Edem.

W miarę upływu dni czuła się coraz gorzej. Nie mogła zapanować nad uczuciem, nie umiała go w sobie zdusić. Natomiast ono opanowało ją bez reszty.

Wiedziała, że kiedy raz zwiąże swoje losy z Edem, małżeństwo z Gilesem będzie skończone. Nie potrafiłaby być żoną jednego mężczyzny, kochając razem drugiego. Oznaczałoby to poświęcenie wszystkich wartości, którymi żyła, a także dokonanie spustoszenia w życiu innych. Sumienie mówiło jej, że nie wolno tego robić; serce przekonywało, że powinna. Czuła się rozdarta, zdezorientowana. I choć prawie bez przerwy zastanawiała się nad sytuacją, nie mogła do niczego dojść. Kiedy próbowała jakoś się pozbierać, każda myśl o Edzie rozbijała ją na nowo. Miał nad nią władzę absolutną. Usiłowała sobie przedstawić, jak fatalne skutki miałyby odejście od Gilesa – dla niego, dla jego ojca, dla jej rodziny – ale wtedy natychmiast brały górę uczucia, które kazały jej wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby jednak nie odeszła. Ostatecznie zrozumiała, że sprawa jest prosta. Miała do wyboru: albo wyzbyć się egoizmu, myśleć tylko o Gilesie i tym samym okaleczyć się emocjonalnie, albo postąpić samolubnie i okaleczyć emocjonalnie Gilesa. Czuła się tak, jakby chodziła w kieracie; dreptała w kółko, ale prowadziło to donikąd.

Wreszcie w środę wieczorem usłyszała, że Ósma Air Force rozpoczęła znów naloty na Niemcy. Strach o Eda zwyciężył natychmiast wszelkie skrupuły. Wiedziała, co musi zrobić. Poszła prosto do telefonu i zadzwoniła do sir George'a.

Powiedział jej, że nie widział ostatnio Eda, ale spodziewał się z nim zobaczyć jeszcze tego wieczoru.

– Powiedz mu, że jutro wracam – poprosiła Sara. – Wsiądę do pociągu, który powinien dotrzeć do Little Heddington mniej więcej za kwadrans piąta. Mój rower czeka na stacji, więc nie potrzeba wychodzić mi na spotkanie.

Wysiadła z pociągu w czwartkowe popołudnie, czternastego października, za kwadrans piąta. Pan Sargent, który łączył funkcje tragarza, zawiadowcy stacji i konduktora, znał ją dobrze.

– Miło znów panią widzieć, milady. Miała pani przyjemny wypoczynek?
– Tak, dziękuję. A co się działo tutaj?
– Zaczęli znów te naloty. W tym tygodniu latali codziennie, i to wszystkim, co tylko udało im się oderwać od ziemi. Powinni wracać tu do nas lada chwila.

Żeby dostać się do Luttrell Park, musiała po drodze minąć bazę. Miała przed sobą trzy kilometry. Pan Sargent wydzostał jej rower z szopy.

– Będzie ich pani mogła zobaczyć, jak tylko dojedzie pani do rozstajów. Stamtąd jest dobry widok, akurat można ich złapać, kiedy przelatują nad Luttrell Park. Niestety przez ostatni tydzień nieraz wracali w kawałkach. No i mnóstwa chłopaków brakuje teraz w Luttrell Park.

Sara umocowała walizkę na bagażniku roweru i ruszyła w drogę. Kiedy dojeżdżała do rozstajów, usłyszała w oddali pierwszy słaby warkot silników. To wracały samoloty. Dygotała tak mocno, że musiała zsiąść z roweru i oprzeć się o niego. Zobaczyła w oddali pierwszy samolot lecący ponad polami i ponad jeziorem; za nim leciał drugi, a jeszcze dalej trzeci. W następnej chwili wskoczyła błyskawicznie na siodełko i zaczęła pedałować z całej siły. Kiedy jej nogi pracowały jak szalone, w myślach przesuwały się słowa litanii:

– Niech to będzie Ed. Błagam cię, Boże, spraw, żeby to był Ed.

Nie miała pojęcia, ile samolotów wystartowało, a była nadal zbyt daleko od nich, żeby móc odczytać ich nazwy, więc nie wiedziała, czy „California Girl” była jednym z tych trzech, jakie przyleciały. Jeśli pojedzie do pawilonu, zobaczy je z bliska i może dostrzeże emblematy, jeśli nawet nie będzie mogła odcyfrować nazw. „California Girl” miała wymalowaną na dziobie dziewczynę o długich blond włosach i okazałym biuście, ubraną w czerwony sweter. Kiedy Sara przejeżdżała koło pola, pierwszy samolot usiadł na ziemi i minął ją pędem. Drugi i trzeci wlokły za sobą ogony dymu i wypuszczały rakiety świetlne – znak, że mają rannych na pokładzie. Usłyszała syreny karettek szpitalnych, „wozów z mięsem”, jak nazywał je Ed, i dźwięk dzwonu straży pożarnej. W polu widzenia pojawił się czwarty samolot, także w smudze dymu i z raketami świetlnymi, w oddali majaczył piąty. Niech jeden z nich będzie maszyną Eda. Błagam, niech w jednym z nich będzie Ed.

Nie zdawała sobie nawet sprawy, że szlochła i powtarza jego imię raz za razem, wzywając go całą siłą woli, żeby powrócił bezpiecznie. Musiała na niego czekać, kiedy wróci. Musiała czekać, żeby mu to powiedzieć.

Jeszcze jedna forteca nadleciała nisko ponad drzewami. Koła miała schowane i sposobila się do lądowania na brzuchu. Wypuszczała rakiety i kolebała się ze skrzydła na skrzydło, jak zataczający się pijak. Bóg jeden wiedział, kto znajduje się za jej sterami; niejednokrotnie maszyny wracały pilotowane przez kogokolwiek, kto pozostał przy życiu – strzelców, radiotelegrafistów, bombardierów, nawigatorów. Ta uderzyła o ziemię ze szczękiem torturowanego metalu, sypiąc iskrami, by wreszcie zwalić się i zastygnąć w nieruchomą stertę martwego żelastwa. A ilu w niej było martwych ludzi? Widziała pędzące karetki, dżipy, biegnących

ludzi. Ale nie była w stanie dojrzeć nazwy samolotu. Nie mogła stwierdzić, czy patrzy na „California Girl”. Sześć. Wróciło sześć.

Przez chwilę ocierała oczy i próbowała się opanować, ale Ed był w tym momencie zdecydowanie najważniejszy, więc rzuciła się naprzód i wbiegła do domu. Sir George podniósł głowę, kiedy wpadła przez drzwi zadyszana, z rozwianymi włosami, na granicy szaleństwa.

– Powtórzyłem mu, że wracasz – zdążył tylko powiedzieć.

Odwrociła się i wybiegła znowu, kierując się w stronę pawilonu. Stamtąd miała najlepszy widok na samoloty, które leciały już nisko nad ziemią. Jeżeli „California Girl” jeszcze nie wróciła, będzie mogła dojrzeć stamtąd namalowaną blondynkę w czerwonym swetrze. A jeśli to Ed będzie ją pilotował, może dostrzec Sarę na ziemi. Oczywiście pod warunkiem, że uda mu się wrócić, zanim zrobi się zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć...

Kiedy dochodziła do jeziora, następna forteca przeleciała z rykiem, ciągnąc za sobą welon dymu i rakiety. Dwa silniki nie działały, a w prawym skrzydle ziała wielka dziura. Siedem. Musi ich wrócić więcej. Po prostu musi. W Little Heddington stacjonowały dwie eskadry. Ich pełny skład wynosił dwadzieścia cztery samoloty, ale jeśli w tym tygodniu poniesiono poważne straty, jak twierdził pan Sargent, mogło wystartować ich tylko osiemnaście. A może piętnaście? Powiedzmy, że piętnaście; to oznaczało, że musi wrócić jeszcze osiem. Ledwie zdążyła sformułować tę myśl, pojawiła się następna maszyna, również mocno uszkodzona i sygnalizująca rakietami. Osiem. Chodziła tam i z powrotem wzdłuż brzegu jeziora jak zwierzę w klatce, zamknięta w więzieniu własnych myśli. Spojrzała na zegarek. Dziesięć po piątej. Maruderzy z zepsutymi silnikami spóźniali się nieraz nawet o godzinę. Będzie musiała poczekać, nie ma rady. Może czekać całą noc, jeśli będzie trzeba. Tylko pozwól mu wrócić, daj mu wylądować za pagórkami. Niechby był zmęczony i spięty, powracający z Bóg wie jakiego piekła, byle tylko przyleciał i był żywy. Żywy.

Wiedziała, że latająca forteca jest wyjątkowo mocnym samolotem. Sama widziała niektóre maszyny powracające z nalotów; dziury wielkości drzwi w kadłubie, utracone w strzelaniu stateczniki na ogonie, brak końcówek skrzydeł. Ed opowiadał jej, jak któraś z fortec wróciła o jednym silniku. On sam nieraz wracał na dwóch, straciwszy w dodatku panowanie nad sterem i podwoziem.

Następny płonący samolot ukazał się nisko ponad drzewami. On również używał czerwonych rakiet. Wszystkie, które przyleciały dotychczas, miały na pokładzie rannych. Musiało być naprawdę ciężko. Dziewięć. Powinno wrócić jeszcze sześć.

Ed był wspaniałym pilotem. „Urodzonym”, jak to określił pułkownik Miller. Potrafił robić – i robił – z fortecą takie rzeczy, do jakich ta maszyna teoretycznie nie była zdolna. Był pilotem-specjalistą od lotów próbnych; kochał latać dla czystej przyjemności latania i miał niemal mistyczne porozumienie z samolotami. Sara słuchała oczarowana, kiedy mówił o lataniu. Brzmiało to jak poezja. Podarował jej także książkę napisaną przez Francuza – Antoine’a de Saint-Exupéry’ego – która,

jak twierdził, stanowiła apoteozę lotnictwa. Naziemna załoga „California Girl” była przekonana, że ich maszyna ma ludzką naturę; mówili o niej, jakby była kobietą i traktowali ją podobnie, zajmując się nią z miłością i czułą troską, graniczącą niemal ze czcią. Maszyna wyruszała na każdy lot we wspaniałym stanie, bowiem sierżant Hoffman, mechanik, był wymagającym kochankiem. Musiała być możliwie bliska ideału, zanim zdecydował się przekazać ją w ręce Eda.

Sara krążyła nadal tam i z powrotem, niespokojna, nerwowa, ogarnięta strachem graniczącym z paniką, gotowym ją sparaliżować, jeśliby do tego dopuściła. Obserwowała niebo przez długi czas, ale więcej samolotów nie było. O szóstej trzydziści ich liczba nadal wynosiła dziewięć. Sześciu – a może więcej – brakowało. Jeżeli Ed już wrócił, miał mnóstwo do zrobienia: przekazanie rannych, odmeldowanie się, przebranie w zwykły mundur. Jeśli sam został ranny – nie daj, Boże, żeby do tego doszło, ale nawet taka ewentualność była lepsza od śmierci – będą musieli go opatrzyć. No i trzeba jeszcze doliczyć drogę z pola. Powiedzmy, siódma trzydziści. To powinno mu wystarczyć, nawet z zapasem. Jeżeli nie zjawi się do tej godziny, nie przyjdzie w ogóle.

Czas zwolnił bieg, zatrzymał się. Nie pokazał się żaden następny samolot. Zrobiło się zimno, ciemno i bardzo cicho. Sara nie przestawała krążyć, wyczekiwać, wpatrywać się w niebo i natężyć słuchu. Minęła za kwadrans ósma, a on wciąż się nie zjawiał.

Stała nieruchomo patrząc w nocne niebo. Nic.

Podeszła do schodków pawilonu i usiadła na stopniu. Teraz już się nie bała. Niczego nie odczuwała; była oziębiała i pozbawiona czucia, ale nie z zimna. Znajdowała się w stanie odrętwienia, ogarnięta beznadziejną rozpaczą. Ed zginął, a ona mu nawet nie powiedziała, że go kocha, że teraz Giles nie był już najważniejszy, że przestał się liczyć. Był tylko on. Tylko Ed. Nie mogła płakać. Mogła tylko siedzieć i patrzeć przed siebie tępo, apatycznie. Umarł i nigdy się nie dowie, że ona go kocha. Zmarnowała wszystkie minione tygodnie, kiedy mogła mu dać tak wiele; całą miłość, którą przecież on powołał do życia; namiętność, którą w niej wyzwolił. Wszystkie te uczucia, o których nawet jej się przedtem nie śniło, bo Giles – drogi, stały w uczuciach, powściągliwy, angielski Giles – nigdy ich nie wywołał.

Odchyliła się do tyłu, opierając o zimną, marmurową ścianę pawilonu. Nadal niczego nie czuła. Była jak martwa. Ból przyjdzie dopiero, kiedy przeminie odrętwienie. Nie mogła skupić myśli na niczym prócz rzeczywistości, od której niepodobna uciec – że nigdy więcej nie zobaczy Eda. Ryzyko było zbyt wielkie. Wiedziała przecież, że średnia lotów wynosi piętnaście. Ale Ed w żadnym razie nie był średni. I to była jego szesnasta misja. Jedna ponad średnią. Czyli znów wyjątek od reguły...

Ósma. Trzy godziny spóźnienia. To znaczy, gdyby w ogóle miał się zjawić. Ale wiedziała, że nie przyjdzie. Nigdy więcej. Podniosła się z trudem. Sir George będzie jej oczekiwał. On wie. Odgadła to z wyrazu twarzy, kiedy na nią spojrział. Tak, on umiał patrzeć, a ona nie potrafiła niczego ukryć. Ale był przy tym dobrym współ-

czującym człowiekiem. On to zrozumie. A co do Gilesa... Nie, nie będzie myślała o Gilesie. Nie teraz. Może później, kiedy będzie zdolna pomyśleć o czymkolwiek.

Odwrociła się, by ruszyć w stronę domu. W bladym świetle gwiazd dostrzegła jakąś postać. Ktoś schodził ze wzgórza. Wyteżyła oczy, by zobaczyć, kto to taki. Może sir George postanowił po nią przyjść? Nie, ten człowiek był o wiele wyższy.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Zadrzała. Tak, to był Ed. Świat zawirował jej przed oczami, w uszach szumiało, zęby szczykały. Objęła się ramionami, żeby powstrzymać dygotanie.

Podszedł do niej nie mówiąc ani słowa. Otworzył tylko ramiona, a ona wtuliła się w nie, obejmując go z całej siły. Drżał tak samo jak ona. Trwali tak w milczeniu.

– Ed, najdroższy – przemówiła w końcu cichym głosem. – Najukochańszy, najmilszy. Myślałam, że nie żyjesz i nie mogłam tego znieść, bo nie powiedziałam ci, że cię kocham.

Oparła mu głowę na piersi.

– Jesteś tu naprawdę? To nie złudzenie?

– Nie. – W głosie Eda, nagle ochryplym, czuło się napięcie. – Jestem żywy.

– Liczyłam samoloty. Nie mogłam odczytać ich nazw, więc po prostu czekałam.

– Wiedziałem, że będziesz czekała. Sir George zawiadomił mnie, że wracasz dzisiaj, więc byłem pewien, że tu przyjdiesz. Bardzo długo to wszystko trwało. Mieliśmy pożar na pokładzie. „California Girl” jest skończona, ale przywiozła nas z powrotem; ostatecznie po prostu spadła z nieba na ziemię, choć dzielnie doleciała do pasów.

Podniósł obie ręce, owinięte grubą warstwą białych bandaży.

– „California Girl” była wspaniałą damą – powiedziała Sara po prostu. – Niech spoczywa w pokoju.

Ostrożnie ujęła jego dłonie i przytuliła najdelikatniej jak umiała do twarzy.

– Wygoją się – zapewniła go. – Ja ci pomogę, Ed. Wygoję twoje rany i będę wdzięczna, że mogłam to zrobić. Myślałam, że straciłam taką możliwość na zawsze.

– Przebyłbym tę drogę wplaw, gdybym musiał, byle tu dotrzeć. W jakimś momencie maszyna była tak nisko nad wodą, że wydawało się to nawet prawdopodobne. Ale ona wiedziała, że muszę do ciebie wrócić. Och, Saro – powiedział z tęsknotą w głosie – tak bardzo mi ciebie brakowało.

Wtuliła się znów w jego ramiona.

– Jestem tu i nigdy więcej nie odjadę. Od tej chwili będziemy razem, Ed, kiedy tylko będzie to możliwe. Każda moja wolna minuta należy do ciebie, tak samo jak ja cała. Przemyślałam to dokładnie i wiem, co mówię. Od tej chwili, Ed, jestem twoja.

Westchnął.

– Tak bardzo chciałem to usłyszeć, marzyłem o tym od tak dawna. Kiedy wyjechałaś, czułem się tak, jakbym stracił połowę samego siebie. Stałaś się dla mnie wszystkim, Saro. Kocham cię, tak bardzo cię kocham.

Pocałował ją wtedy po raz pierwszy. Pod naciskiem jego ust wargi Sary rozchyliły się, namiętne, niepohamowane, czułe i szczodre. Stali przytuleni do siebie ciasno; ramiona Eda – bo nie mógł użyć dłoni – trzymały ją blisko, jakby nie mógł znieść myśli, że będzie ją musiał kiedyś puścić.

– Saro, przejście z tamtego piekła do raju tutaj jest po prostu cudem. W jakimś momencie zdałem sobie sprawę, że spędzam życie czekając na dzień, w którym będę cię mógł zobaczyć; pomiędzy jednym a drugim spotkaniem istniałem tylko dla tego następnego razu. Ostatnie dziesięć dni były prawdziwą pustynią; nic, tylko pustka wokół. Ja też się bałem, że nie będę już miał okazji powiedzieć ci, czym dla mnie jesteś. Ale kiedy zobaczyłem, że czekasz tutaj, zrozumiałem, że wszystko będzie dobrze. Tyle mam ci do powiedzenia, Saro, ale jestem taki zmęczony... to nic, poczekamy, teraz wreszcie mamy czas. Poczekamy, aż się spełni to, czego pragniemy.

– Będę na ciebie czekała, kochany, aż całkiem wyzdrowiejesz. A teraz musisz odpocząć i odzyskać siły. Pomogę ci.

Objęmując się ruszyli wolno pod górę. Na żwirowanym podjeździe przed stopniami tarasu stał dżip z wojskowym za kierownicą.

– Do jutra – powiedziała Sara. – Mam cały dzień do dyspozycji. Moja zmiana zaczyna się dopiero wieczorem. I nieważne jeśli nie uda ci się do mnie wpaść; wiem, że jesteś bezpieczny, a tylko to się liczy. Mamy czas, kochanie. Odpoczywaj i wracaj do zdrowia, a potem pomogę ci zapomnieć.

Pocałowali się ostatni raz; później Ed wsiadł do dżipa, a Sara patrzyła, jak odjeżdżał. Dopiero wtedy weszła do domu.

Ed nie pojawił się następnego dnia. Ktoś z bazy dał jej znać telefonicznie, że zabrano go do amerykańskiego szpitala w Churchill. Miał poparzone nie tylko dłonie, ale również klatkę piersiową, plecy i ramiona. Jadąc do szpitala, żeby się z nim zobaczyć, wstąpiła do bazy, do tamtejszego lekarza. Spotkała go kilka razy, przychodząc tu z Edem. Doktor, ziomek Eda z San Francisco, był sympatycznym, łagodnym człowiekiem, z którym miała dobry kontakt. Wiedziała, że powie jej prawdę o Edzie.

– Poparzenia drugiego stopnia na piersiach, plecach i w górnej części ramion; poparzenia trzeciego stopnia na dłoniach. Te są najgorsze i będą się najdłużej goiły.

– Nie miałam pojęcia, że jest tak źle! – Sara była przerażona i zrozpaczona.

– Ed nie chciał, żebyś wiedziała. W żaden sposób nie można było go powstrzymać wczoraj wieczorem, musiał pójść się z tobą spotkać. Był tak zdeterminowany, że wyprawiłby się sam, bez pytania. Doszedłem do wniosku, że po jego przeżyciach podczas lotu godzina czy dwie na nogach nie zrobią wielkiej różnicy. Więc zabandażowałem go i poleciłem, żeby go zawieźli na miejsce. Niestety wymaga bardziej specjalistycznej opieki i pielęgnacji niż to, co mogę mu tutaj zapewnić, więc posłałem go do szpitala. Zresztą i tak trzeba mu odpoczynku. To był

prawdziwie czarny tydzień. Zbyt wielu ludzi udało się na znacznie dłuższy odpoczynek.

– Co się właściwie przytrafiło Edowi?

– Z tego, co mi mówiono, dwudziestomilimetrowy pocisk z działka uderzył wabinę, zabił drugiego pilota i zapalił wszystko dookoła, łącznie z Edem. Ed ugasił pożar gołymi rękami... stąd te poparzenia.

– Dzięki, że mi o tym powiedziałeś.

– Dzięki, że czekałaś i że Ed miał do kogo wrócić – uśmiechnął się do niej. – Powinni cię skierować do produkcji masowej.

Ed nienawidził szpitala. Sara odwiedzała go, kiedy tylko mogła, ale obciążenie, jakie stanowiły nocne zmiany w połączeniu ze spędzaniem każdej wolnej chwili z Edem, wykańczało ją.

– Na miłość Boską, Saro, zwolnij tempo – powiedział Ed z troską. – Tracisz resztkę sił. Nie chcę, żebyś się załamała, akurat kiedy jestem bliski wyjścia ze szpitala. Mam inne plany.

– Ja także – odparła tajemniczo – i moje są już opracowane.

Widząc jego zdumione spojrzenie, wyjaśniła:

– Mamy niewielki letni dom w Dorset, położony nieopodal portu Poole. Należy mi się jeszcze tydzień wolnego. Kiedy wypiszą cię ze szpitala, pojedziemy tam razem. Dom jest oddalony od portu, zupełnie odizolowany. Z dala od bomb, karabinów, samolotów i śmierci. Pojedziesz ze mną?

– Czy pojedę? Poszedłbym z tobą do piekła, gdybyś tego zażądała.

– Byłeś w piekle – przypomniawszy łagodnie. – Teraz chcę ci pokazać coś przeciwnego.

Eda zwolniono ze szpitala dopiero pod koniec listopada. W przeddzień planowanego wyjazdu Sara powiadomiła o wszystkim sir George'a. Spodziewała się protestów czy wymówek, była przygotowana na konsternację, ból czy urazę, natomiast zupełnie nie oczekiwała pełnej smutku, ale i zrozumienia akceptacji.

– Wiedziałem, że ta chwila nadchodzi – powiedział jej. – Chociaż dziś jestem stary, to kiedyś też doświadczyłem miłości, a ty i Ed ogromnie się kochacie. Dostrzegam to. Rozumiem was i sympatyzuję z wami, naprawdę, wierz mi. Dla was jest to sprawa niezwykle ważna; gdyby było inaczej, nie cierpiałabyś tak długo w rozterce. Widzisz, zauważyłem to. Oczywiście wojna sieje zamęt wśród ludzkich emocji. Kiedy żyje się w takich czasach, wszystko odczuwa się jakby ostrzej, o wiele bardziej intensywnie i głęboko. Moja młodość przypadła na poprzednią wojnę, więc wiem, jak to jest. Nie pochwalam tego, co robisz i pragnąłbym z całego serca, żeby do tego nie doszło – ze względu na Gilesa. Ale rozumiem, dlaczego uważasz, że musisz to zrobić.

– Tak, muszę – potwierdziła Sara. – Po prostu muszę. Spotkałam na swojej drodze miłość, jak sam stwierdziłeś. Nigdy w życiu nie żywiłam do nikogo takich uczuć, jakie żywię do Eda. Nie wierzyłam, że jest to w ogóle możliwe. Czytałam

o takich rzeczach, owszem, ale dotychczas uważałam, że to albo *licentia poetica*, albo nazbyt wybujała wyobraźnia autora. Tymczasem wcale tak nie jest, prawda? Nie jestem osobą, za jaką się uważałam. Ed wyzwolił we mnie uczucia, których istnienia nie podejrzewałam, i poddałam się im. Po raz pierwszy naprawdę czuję, że żyję. Być może dzieje się tak dlatego, że – jak mówiłeś – tkwimy w środku wojny i Ed może nie mieć wiele czasu. Wiem tylko, że chcę ten czas z nim dzielić, dać mu to, czego ode mnie potrzebuje i co potrafię mu dać.

Pochyliła się do sir George'a i położyła rękę na jego dłoni.

– Jest mi tylko przykro, że robiąc to muszę zranić Gilesa i ciebie. Żałuję szczerze, że nie ma sposobu, żebym mogła nadal mieszkać tutaj, z tobą...

Spojrzał na nią skonsternowany.

– Ale przecież chyba zamierzasz tu wrócić?

Sara drgnęła zaskoczona.

– Kiedy, widzisz, ja opuszczam Gilesa. Wyjeżdżam stąd z Edem.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale chyba nie zamierzasz rezygnować z pracy w szpitalu? Po powrocie z urlopu Ed będzie nadal stacjonował w bazie w Little Heddington i zapewne chciałabyś z nim zostać. W takim razie niewątpliwie powrócisz do tego domu i życia, jakie tu wiesziesz. W oczach świata nadal jesteś moją synową. Byłbym wdzięczny, gdybyś zostawiła wszystko po staremu... oczywiście na zewnątrz. Jedno, o co chciałem cię prosić, to żebyś zachowała dyskrecję, chociaż sam wiem, że będziesz bardzo uważać.

Sara po prostu osłupiała. Duma rodowa sir George'a ujawniała się niespodziewanie w najdziwniejszych chwilach. Dobro rodziny było dla niego wartością nadrzędną. Sara nadal należała do Luttrellów i dopóki nosiła to nazwisko, musiała wykonywać pewne obowiązki, przestrzegać pewnych formalnych powinności. To, co robiła prywatnie było jej sprawą, zachowanie pozorów na zewnątrz – zupełnie inną. Sir George szanował jej prywatność, ale nalegał, by zachowała ją w ukryciu. Poczuli się zarazem rozbawiona – tu działał już wpływ Eda, i zasmucona – to znów długoletni wpływ ciotki.

– Postąpię, jak będziesz sobie życzył – zwróciła się do sir George'a. – Nie chciałam wywoływać skandalu, wiesz o tym. Nikt poza tobą i doktorem z bazy nie wie, że wyjeżdżam z Edem. – Pochyliła się i pocałowała go w policzek. – Jesteś dobrym, wyrozumiałym człowiekiem i kocham cię za to.

– Nie zrozum mnie opacznie – ostrzegł ją. – Absolutnie nie popieram tego, co chcesz zrobić; jestem przygnębiony i boleję nad takim obrotem spraw ze względu na mojego syna, ale przez wzgląd na ciebie staram się być wyrozumiały. Wiesz chyba, jak bardzo zranisz Gilesa.

– Wiem, oczywiście. Nie musisz mi tłumaczyć, co mu wyrządzam. Zamierzam napisać do niego i wszystko mu wyjaśnić.

– Jestem pewien, że napiszesz. Będąc sobą, nie mogłabyś postąpić inaczej. – W jego słowach nie krył się żaden wyrzut. – Rozumiem, jak ważne jest dla ciebie, żeby Giles o tym wiedział, a Ed mówił mi, że dla niego również jest to bardzo istotne.

– Ed z tobą rozmawiał? – Sara była zaskoczona.

– Naturalnie! Ed rozumie powagę tego kroku, bądź pewna. Był ze mną bardzo bezpośredni i szczerzy. Wiem, że chce cię poślubić i wziąć ze sobą do kraju, do Kalifornii, i to możliwie szybko. Rozmawialiśmy dużo o całej sprawie. Ed wie równie dobrze jak ja, że jesteś typem dziewczyny, która nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego, gdyby to nie było nieuniknione. Traktujesz poważnie swoje zobowiązania. Ed o tym wie i naprawdę docenia, że dla niego gotowa jesteś odłożyć je na bok. Jesteś dla niego kimś ogromnie ważnym, Saro. Właśnie dlatego powiedziałem ci, że wszystko rozumiem. Dla niego to nie jest taka sobie zwykła przygoda. Jeśli chodzi o kobiety, Ed naprawdę mógłby przebierać, sama wiesz, jaki jest pociągający. On jednak pragnie ciebie, Saro, i to na resztę życia. Nie ukrywał tego przede mną. Zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką na siebie bierze, i wie, przez co oboje musicie przejść, zanim będziecie się mogli pobrać. Gdyby tak nie było, gdybym podejrzewał choć przez chwilę, że on nie traktuje całej sprawy poważnie, nie pozwoliłbym ci na krok, który właśnie zamierzasz zrobić – nawet gdybym musiał trzymać cię pod kluczem. Ale to jest niezwykle ważny krok dla was obojga. Mówiłem ci już, że od dawna wiedziałem, co się święci. Patrzyłem, jak z każdym dniem głębiej brniecie we wzajemne uczucie. Cały czas miałem nadzieję, że zdołasz to przezwyciężyć, odsunąć od siebie – westchnął – ale to były tylko pobożne życzenia. Widzę to teraz jasno. Miłość, choć jest czymś ulotnym, stanowi niezwykle siłę. Wedle wytartego frazesu, to przecież ona wprawia w ruch ten świat.

Sara objęła go spontanicznie, bliska łez.

– Jesteś najwspanialszym teściem, jakiego mogłaby pragnąć synowa!

– Jestem po prostu łagodnym i pobłażliwym starym człowiekiem, który lubi, kiedy ludzie wokół niego są szczęśliwi, a jeszcze nigdy nie widziałem cię tak szczęśliwej, jak od momentu poznania Eda. Powtarzam to sobie stale, inaczej błagałbym cię na kolanach o rezygnację z tego kroku. – Spojrzał na nią smutno. – Ale to by się na nic nie zdało, prawda? Jestem absolutnie świadomy, że cokolwiek powiem czy zrobię, nie będzie miało na waszą decyzję najmniejszego wpływu.

Sara, niezdolna przemówić, potrząsnęła tylko głową.

Sir George patrzył na nią ze smutkiem, ale i z miłością.

– Ty i Giles musicie dojść do własnych rozwiązań – powiedział z przygnębieniem. – Ja proszę cię tylko jeszcze raz, żebyś nie zraniła go zbyt mocno. – Zawahał się chwilę. – I żebyś jeszcze do niego nie pisała. Poczekaj trochę i przekonaj się, co będzie. Wiem, że kochacie się z Edem, ale niekiedy takie namiętne przygody miłosne wypalają się bardzo prędko... nie, nie twierdzę, że tak się stanie w waszym przypadku, ale proszę cię, Saro, poczekaj jeszcze trochę. Nie rób nic, dopóki nie wrócisz z tego wyjazdu, na który się wybierasz z Edem. Musisz być całkowicie pewna, zanim wykluczysz Gilesa ze swojego życia. Pamiętaj, gdzie on jest i co teraz robi. Tego rodzaju szok mógłby być... groźny.

Napotkała proszące spojrzenie teścia i wśród wypełniającego ją szczęścia pojawił się ślad poczucia winy. Jednak dostrzegała sens tego, co powiedział i kiwnęła głową.

– Jak sobie życzysz. Kiedy wyjadę z Edem, uznam moje małżeństwo z Gilesem za skończone. Ale skoro uważasz, że tak będzie lepiej, na razie mu o tym nie powiem. Zdajesz sobie chyba jednak sprawę, że kiedyś będę musiała to zrobić. Muszę zachować się uczciwie w stosunku do niego, ale chcę również być w porządku względem Eda i siebie samej. Nie jestem z tego zadowolona, ale dla ciebie wstrzymam się jeszcze trochę z powiadamianiem Gilesa.

– Dziękuję wam obojgu – odparł sir George formalnie. Poklepał Sarę po ręce. – Dobra z ciebie dziewczyna, chociaż chcesz opuścić Gilesa. Mówię szczerze, Saro. Mimo wszystko życzę ci szczęścia i powodzenia – i niech cię Bóg błogosławi.

5

Sara planowała wyjazd do Dorset pociągiem, ale Ed wyczarował od pułkownika Millera samochód i benzynę.

– Niestety obawiam się, że ty będziesz musiała prowadzić. Nie mogę używać tych piekielnych rąk, dopóki są całe w bandażach.

– Żaden problem – odparła Sara z przekonaniem. – Jestem dobrym kierowcą.

– Mogę cię pilotować – zaproponował ochoczo.

– Znam drogę.

Dom stał samotnie na przylądku zamykającym Poole Bay. Kiedy dojechali na miejsce, było już ciemno, ale w kominku buzował ogień, rozpalony przez miejscową kobietę opiekującą się domem; w koszu obok piętrzyła się sterta polan. W spiżarni znaleźli tuzin jaj i świeżo zabitego kurczaka oraz mleko i kosz pieczarek. Ed przywiózł pudło różnych wiktuałów z kantyny: chleb, masło, szynkę, ser, konserwę wołową, kawę, duży placek, torebki ciasteczek oraz puszki owoców i kremu.

Sara usmażyła na kolację omlety z pieczarkami; jedli przy trzaskaniu szczap z aromatycznego drewna jabłoni, wypili też całą butelkę najlepszego czerwonego wina sir George'a. Potem Ed dołożył do ognia i usiedli na podłodze przed buchającymi płomieniami, trzymając się w objęciach. Niewiele mówili, tuląc się tylko, całując, pieszcząc i szepecząc do siebie.

– Siedem dni pełnych ciebie – powtarzał radośnie Ed. – Całe siedem dni, Saro! Żadnych samolotów, karabinów, bomb, żadnej śmierci i zniszczenia. Tylko ty, moja piękna Saro.

Całował jej oczy, jej policzki i szyję, przesuwając wargi nieprzerwanym szlakiem, który zawsze kończył się na jej chętnych ustach.

– Ach, Saro – powiedział namiętnie – szukałem cię przez całe moje życie, i pomyśleć, że znalazłem cię w samym środku wojny! Widywałem cię, wiesz, na długo przedtem, zanim cię poznałem. Zapytałem, kim jesteś, a kiedy mi powiedzieli, pomyślałem sobie: „To nie dla ciebie, Ed. Ona jest poza twoim zasięgiem, poza twoim światem”. Ale już nie jesteś poza moim światem, Saro, i na tym polega cud. Mam cię tutaj, przy sobie, a za chwilę zabiorę cię na górę i będę cię kochał mimo tych piekielnych rąk, będę cię kochał i kochał... bez końca.

Zaczął ją znów całować; pocałunki stawały się coraz głębsze i bardziej namiętne, a dotyk dłoni bardziej intymny.

– Nie musimy iść na górę – szepnęła tuż przy jego ustach. – Pozwól mi tylko dolożyć do ognia...

Ułożyła jeszcze większy stos polan, aż płomienie zahuczały i strzeliły iskrami, a powietrze wypełniło się wonią płonącego drewna. Zdmuchnęła płomyk w kulistej lampie parafinowej, tak że tylko ogień oświetlał teraz pokój, a cienie na ścianach tańczyły do wtóru płomieniom. Potem wróciła do niego i sięgnęła do zapiecia spódnicy.

– Nie – sprzeciwił się, przytrzymując jej dłonie. – To jest coś, co chciałem zrobić od bardzo dawna.

W tańczącym blasku ognia rozebrał ją, zdejmując każdą rzecz po kolei. Całował delikatną, wrażliwą skórę tam, gdzie ją odsłaniał – drobne, wysoko osadzone piersi, szczupłą talię, płaski brzuch, wąskie, choć zaokrąglone biodra. Wprawiała ją to w drżenie. Odwiązała mu krawat i odpięła koszulę, odsłaniając świeże blizny na piersiach i ramionach; ucałowała je z czcią, podczas gdy ręce rozpinają pasek. Wszystko, co robiła, było naturalne i instynktowne; ogarnęła ją nagle pewność siebie i niemal zachłanna śmiałość, a także całkowity brak wstydu, co zadziwiłoby ją samą, gdyby miała czas o tym pomyśleć. Wszystko, co robiła z Edem, było spontaniczne, naturalne i swobodne.

Potem leżeli razem w blasku i ciepłe ognia, osiągnąwszy pełną jedność duchową, zanim jeszcze połączyły się ich ciała. Ed zdjął bandaż z rąk pomimo protestów Sary.

– Jeśli tego nie zrobię, nie będę cię czuł tak, jak chcę.

Dotknął jej skóry końcami palców, gładząc smukłe ciało. W ślad za dłońmi poszły usta. Sara wygięła się, poddała ku niemu cała.

– Masz takie cudowne ciało, gładkie jak jedwab. Wiedziałem, że takie będzie. Saro, Saro...

Był czuły i pełen uniesienia, i namiętny, i dał jej tyle miłości, że gdy się połączyli, odpowiedziała mu z entuzjazmem. Po raz pierwszy w życiu oddała się bez reszty, zatracając w miłości absolutnej, którą wzajemnie dawali i brali. Obejmowała go mocno i nie odrywała warg od jego ust, przyjmując go w siebie i w zamian dając z siebie wszystko. Byli jedną istotą, złączeni duchem i ciałem, skupieni na dzieleniu rozkoszy i absolutnego oddania. Każde z nich czuło rozkosz

drugiego jak własną: intensywną, spazmatyczną, namiętą, jak głos Eda, powtarzającego raz za razem, w rozkołysanym rytmie: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię”.

Później leżeli nasyceni miłością. Sara spojrzała na Eda i wodząc koniuszkiem palca po jego twarzy wyrecytowała cichym głosem:

*Każda mnie myśl z tobą jednoczy,
A dusza łaknie wciąż jednego,
By patrzeć tylko w twoje oczy,
By pragnąć tylko serca twego.*

– Co to jest?

– Herrick.

– A... Przewaga angielskiej edukacji. Choćby nawet odbywała się w domu.

– Ty masz różne własne przewagi.

– Na przykład?

– To – dotknęła jego ust. – I to – ujęła jego rękę. – I to przesunęła dłonią po ciele.

– Wyposażenie standardowe.

– Z amerykańskim wyrafinowaniem.

– To mój wkład w Lend-Lease... z tą różnicą, że wynająłem się na resztę życia i należę do ciebie bez reszty. Chcę z tobą żyć, uwielbiać cię i chronić od złego, mieć z tobą dzieci.

– Będziesz... będziesz miał to wszystko.

– Mam za sobą szesnaście misji. Zostało mi jeszcze tylko dziewięć, a potem koniec. Ta wojna nie może trwać wiecznie. Musi się kiedyś skończyć, a kiedy ten dzień nastąpi, mam zamiar być wśród żywych. Mam teraz dla kogo żyć, Saro, i to mnie ochroni.

Zaczął ją znów całować, tym razem gwałtownie, z desperacją, jakby chciał w ten sposób wydrzeć sobie prawo do życia, do kochania Sary przez przyszłe lata – i wkrótce połączyli się znowu w następnym spełnieniu.

Sara była wstrząśnięta, niemal przestraszona bezmiarem uczucia, jakie odsłonił przed nią Ed.

– Przed tobą nie żyłem, tylko egzystowałem, Saro. To tak, jakbyś zdjęła ze mnie wszystkie warstwy nieczułości, jakie bezwiednie nagromadziłem przez lata, podobnie jak zdjąłem bandaż z rąk. Teraz jestem odnowiony, jak skóra na moich rękach, i boli mnie to, ale Boże drogi, cóż to za uczucie!

Żaden mężczyzna nie przemawiał nigdy do Sary tak otwarcie, tak wymownie i szczerze. Giles nie odsłonił się przed nią nigdy do końca; nawet w miłości pozostawał powściągliwy i zamknięty w sobie. Obca mu była żywiołowość w słowach i czynach, jaką przejawiał Ed. Nigdy nie otworzył się przed Sarą do końca, ani w chwilach wielkiej namiętności, ani poza nimi. Ed wydawał się zupełnie naturalny i niczym nie skrepowany, co było dla niej zupełną nowością.

– Kiedy jestem daleko od ciebie, usycham z tęsknoty, jestem tylko cieniem. Muszę mieć cię stale przy sobie. Potrzebuję twojego widoku, żeby zaistnieć. To dzięki tobie uświadomiłem sobie, co to znaczy żyć pełną piersią; tragedia polega na tym, że odkryłem to dopiero teraz, kiedy usiłuję wygrać ze śmiercią.

Zadrżała i przytuliła się do niego mocniej. Trzymał ją w ramionach delikatnie, czule, z wielką miłością.

– Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Saro. Nie możemy się chować przed świadomością zagrożenia, bo to nic nie pomoże. Ta sytuacja nadaje naszym przeżyciom niezwykłą intensywność. Przez ciągłą groźbę, jaka wisi nad nami, ta miłość jest tym bardziej drogocenna. Kocham cię tak absolutnie, tak głęboko i gorąco, że wszystko inne schodzi na drugi plan. Ale jestem w stanie stawić czoło temu, co nas czeka, ponieważ czerpię siłę z tej miłości.

Poczuł, jak drży w jego ramionach. Przyłgnęła do niego tak mocno, jakby się chciała w niego wtopić.

– Widzisz? – powiedział. – Rozumiesz mnie tak całkowicie, że na dobrą sprawę słowa nie są nam potrzebne.

– Jesteś najbardziej zdumiewającym i cudownym człowiekiem, jakiego znam – zawołała Sara. – Nigdy w życiu nie czułam do kogokolwiek tego, co czuję do ciebie. Nie wiedziałam nawet, że jestem zdolna do odczuwania emocji, które we mnie obudziłeś. Cokolwiek się zdarzy w przyszłości, nigdy nie będę już taka, jak byłam. Zmieniłeś mnie, Ed. Wszystko, co mam, wszystko, czym jestem, należy do ciebie, tak długo, jak długo będę żyła. Niezależnie od tego, co się z nami stanie, Ed, kocham cię. Zawsze będę cię kochała.

Leżeli objęci, a ogień zaczął przygasać, aż pozostał z niego tylko czerwony żar. Polana obsunęła się, rozpadając w szary popiół, ale nadal biło z nich gorąco, które dochodziło aż do nich. Ed gładził jasne włosy Sary, a ona przytuliła twarz do różowej skóry blizn na jego piersi. Czerpali z siebie wzajem głęboką pociechę, siłę i oparcie. Nie istniało nic i nie było nikogo poza nimi. Sara czuła się wspaniale.

– Niczego więcej w życiu nie będę potrzebowała. Cokolwiek nam zgotuje przyszłość, Ed – powiedziała – będę pamiętała ten czas do końca moich dni i zawsze będę za niego wdzięczna. Oby Bóg sprawił, że będzie trwał nadal.

– Amen – dokończył żarliwie. Przeciągnął się, aż zatrzeszczało. – A teraz chyba pójdziemy do łóżka. Jestem zmęczony i chcę zasnąć w twoich ramionach, a rano obudzić się koło ciebie i znów cię kochać, i spędzić z tobą każdą minutę mojego czasu. Całe siedem dni.

Objęci powędrowali do sypialni na poddaszu, do wielkiego podwójnego łóżka z puchowymi poduszkami i kwiecistą kołdrą, nagrzanego przez dwa kamionkowe termofory, które Sara umieściła w nim zawczasu. Leżeli wtuleni w siebie, bo tak było cieplej i wygodniej. Tak też zapadli w sen.

To był tydzień, którego żadne z nich nie miało zapomnieć. Siedem dni kontaktu fizycznego i duchowego, przeżywanego z taką intensywnością, jakiej żadne z nich nigdy dotąd nie doświadczyło. W ciągu dnia chodzili na spacer po falistych wzgó-

rzach hrabstwa Dorset. Schodzili cichymi drózkami na puste plaże w najodleglejszym zakątku zatoki, gdzie słychać było tylko krzyk ptaków morskich. Nie tęsknili do towarzystwa. Poza pobliską farmą, gdzie kupowali mleko i jajka, rzadko widywali ludzi, a nie potrzebowali ich wcale. Wieczorami wracali do domu, układali polana w kominku i rozpalali ogień; kładli się przed nim, rozmawiali, kochali się słodko, długo, dojmująco i zasypiali w swoich objęciach.

Zapomnieli o wojnie. Z twarzy Eda zniknął wyraz napięcia. Jego dłonie goiły się doskonale. Pod koniec tygodnia odrzucił bandaż, bo różowa skóra pokrywająca rany straciła siny odcień. Kiedy zmysł dotyku powrócił niemal całkowicie, nie mógł po prostu oderwać rąk od Sary.

– Twoje ciało jest jak jedwab – powiedział, kiedy leżeli w łóżku, a przez rozsunięte zasłony sączyła się do pokoju poświata księżycowa. – Rozpoznałbym cię po dotyku, jak niewidomy. Wszystkie moje zmysły skupiają się w czubkach palców i w ustach.

Sara nie miała pojęcia, że kochanie się może być tak do głębi wstrząsającym, tak przejmująco odczuwanym przeżyciem. Gorliwie podążała w ślad za Edem ścieżką czystej zmysłowości, która wiodła ją na szczyty erotycznej rozkoszy. Pierwszy raz w życiu zrozumiała, co kryje się pod określeniem „rozkosze cielesne”. Noc po nocy wyczerpywali swoje siły, by następnie po obudzeniu czuć świeżość i gotowość do jeszcze jednej podróży w najdalsze zakątki odkrywania samych siebie.

Którejś nocy, po paroksyzmie rozkoszy, z którego wychynęli rozdygotani, Sara powiedziała bez zazdrości, ale raczej jako zwykłe stwierdzenie faktu:

– Musiałeś mieć w życiu mnóstwo kobiet, skoro osiągnąłeś takie mistrzostwo w sztuce kochania.

– Ćwiczyłem bez przerwy – przyznał skromnie.

– Właśnie o to mi chodziło.

Schowała twarz w poduszkę. Patrzył na nią przez chwilę wyrozumiale; przestał się uśmiechać i odwrócił ją do siebie, tak żeby móc spojrzeć jej w oczy. Spoglądał na nią z powagą.

– Nieważne, ile kobiet było w moim życiu... chociaż rzeczywiście niemało... wszystkie stanowiły tylko przygotowanie do ciebie.

Zobaczył, jak w jej oczach jaśnieje coraz żywszy blask. Nie potrzebowała nic mówić. Oczy powiedziały za nią wszystko.

– Mieliśmy masę szczęścia – zauważył Ed. – Od początku wiedziałem, że jesteś wyjątkową kobietą. Ale jak bardzo wyjątkową, odkryłem dopiero teraz. Takie uczucie jak nasze dla wielu jest nieosiągalne, choćby i po siedemdziesięciu latach monotonnego życia. Można by to nazwać objawieniem. Zaczęło się żartami i flirtem, a skończyło odkryciem – odkryciem krainy serca, Saro. Poznawaliśmy ją razem i znaleźliśmy w niej siebie.

Sara słuchała oszołomiona i drżąca. Nikt nigdy nie mówił do niej w taki sposób. Jego słowa spowodowały, że otworzyła się do końca, jak nigdy dotąd. Miłość

weszła w niej ogromną falą, która pozostawiła ją bezsilną i bez tchu. Ona również uświadamiała sobie, że w miłości osiągnęli kulminację, że wspięli się na sam szczyt. Ed kipiał życiem, miał go w sobie więcej niż jakikolwiek znany jej człowiek. Rozumiała teraz, że w jej małżeństwie z Gilesem brakowało elementu wzajemnej ekscytacji. Ufała Edowi bezgranicznie. Powierzyła mu swoje życie bez chwili wahania, uwalniając się gwałtownie z więzów przeszłości. Ed podał jej nóż, którym przecięła krępujące ją pęta. A wśród tych uniesień czuła się cudownie bezpieczna. Ed strzegł jej i opiekował się nią jak nikt. Zanim wyjechali, Ed postawił sprawę jasno, oświadczając, że będzie nad nią czuwał, biorąc na siebie odpowiedzialność należącą do Gilesa. Tak więc była żoną Gilesa Luttrella w oczach prawa; ale była także żoną Eda, z którym łączyła ją duchowa więź i wzajemne zobowiązania. Teraz należała do tego samego świata co Ed.

Kiedy jeszcze była z Gilesem, stanowiła w pewnym sensie jego własność – podobnie jak Luttrell Park czy przyszyły tytuł. Z Edem wiązała ją wyłącznie miłość i ta świadomość wystarczała, żeby tym mocniej pragnęła się z nim związać. Chciała urodzić mu dzieci, nie ze względu na powinność, jaką w swoim pojęciu miała wobec Gilesa, ale dlatego, że byłyby one częścią Eda. W tej dziedzinie zresztą Ed również okazał się niezastąpiony.

W najnaturalniejszy sposób, nie dopuszczając ani przez chwilę do skrępowania czy wstydu, zabrał ją do lekarza w bazie, miłego człowieka pochodzącego także z San Francisco, który wiedział o ich związku. Lekarz zaopatrzył Sarę w najnowocześniejszy model amerykańskiego krążka, dający prawie stuprocentową pewność uniknięcia niepożądanego ciąży. Traktował przy tym całą sprawę zupełnie zwyczajnie, pochwalając przezorność Eda, tak że Sara nie czuła ani zażenowania, ani niesmaku, a jedynie ulgę.

Nie miała wątpliwości, że Edowi chodzi wyłącznie o jej dobro; powiedział jej to otwarcie.

– Nie chcę zostawić cię z dzieckiem, które musiałabyś sama wychowywać – oświadczył. – Na wypadek, gdyby coś mi się przydarzyło, napisałem testament, który powinien cię zabezpieczyć finansowo. Nie jestem Rockefellerem, ale powodzi mi się nieźle, więc z tej strony możesz się niczego nie obawiać; w ten sposób byłabyś finansowo niezależna od rodziny. Natomiast nie życzę sobie, żebyś została sama z dzieckiem na głowie... to jest na rękę. Bardzo bym chciał, żebyśmy mieli dzieci, Saro – ale razem, żebym mógł się wami opiekować. Kobieta wychowująca samotnie dziecko, zwłaszcza nieślubne, ma ciężkie życie, a ty dotychczas wiodłaś raczej beztroską egzystencję. Wiem, co dla mnie poświęcasz, Saro, więc najmniejsze, co mogę zrobić, to nie obarczać cię dodatkowym ciężarem.

Wrócili do Little Heddington po tygodniu. Ten okres do końca życia miał pozostać jako niezatarte wspomnienie w pamięci obojga.

Eda nie zakwalifikowano do dalszego latania, bo ręce mu się dotychczas nie zagoiły na tyle, by mógł usiąść za sterami fortocy. Ku niezmiernej uldze Sary skierowano go do pracy na ziemi do końca roku.

Jednak dostał nowy samolot: był to nowy B17-G, który nazwał imieniem Sary – Sally B. Brandon było jej nazwiskiem panińskim. Zupełnie jakby Giles został wymazany z jej życia. „California Girl” wracała z misji wielokrotnie i zaliczano ją do szczęśliwych samolotów; teraz Sara ochrzciła „Sally B” na szczęście, przy użyciu butelki szampana. Tej zimy pogoda była fatalna, zimno i deszcz, mgły, nawet śnieg. Kilka misji odwołano. Bombowce gromadziły się wokół pomalowanego jaskrawymi farbami samolotu-przewodnika tylko po to, żeby kierować się z powrotem do bazy.

W te zimne, słotne dni Sara i Ed urządzili sobie w greckim pawilonie miejsce spotkań. Nigdy, ani razu nie skorzystali z rezydencji. Ed jakimś sposobem zdobył piecyk parafinowy i zapas czegoś, co nazywał paliwem. Sara dostarczała poduszki i koców, przynosiła też gorącą kawę, a Ed butelkę whisky. Zwykle czekał na nią, kiedy wychodziła z pracy, po czym spędzali razem tyle czasu, ile mogli, rozmawiając, kochając się lub po prostu przebywając ze sobą. Parę razy wyjeżdżali na weekend do małych, spokojnych miejscowości, odległych od wojny, ale kiedy Ed zaczął znów latać, stworzyli z pawilonu swój prywatny raj. Często nawet się nie kochali, leżeli tylko przytuleni i rozmawiali, szczęśliwi, że są razem.

Snuli plany na wspólne życie po wojnie. Zastanawiali się, gdzie będą mieszkali i ustalili, że Sara przyjedzie do Eda do Kalifornii. Ed nigdy nie przynaglał Sary, żeby powiadomiła Gilesa; zostawiał to całkowicie do jej uznania. Czuł instynktownie, że tak będzie wolała. Nie napisała jeszcze do Gilesa, aby wyznać wszystko. Nie raz i nie dwa zabierała się do tego, ale nie znajdowała słów, które by go nie zraniły, nie zabolowały, nie zniszczyły. Zima miała się ku końcowi, a ona nadal nic mu nie powiedziała – za to jego listy przychodziły jak zawsze, nieświadome zmiany, kochające, pełne instrukcji i projektów.

Nadeszło Boże Narodzenie, które Ed i załoga „Sally B” spędzili w Luttrell Park. Sir George był nienagannie uprzejmy w stosunku do Eda; nigdy nie robił wymówek, nigdy nie potępiał. Sara wiedziała, że Ed odbył z nim rozmowę, świadoma była także, że mówili na jej temat, ale nie miała pojęcia, co z tego wynikło i nigdy o to nie zapytała. Dobrym znakiem wydawało jej się to, że teść nadal traktował Eda przyjaźnie i była mu za to wdzięczna. Sir George urządził jedno świąteczne przyjęcie w klubie oficerskim, a drugie w domu dla załogi „Sally B”, na które goście przynieśli tyle mocnego alkoholu, że mogłaby w nim pływać cała amerykańska marynarka. Ed zabrał Sarę na gwiazdkowy bal w bazie, na którym wystąpiła w przedwojennej sukni Molyneux z szafirowego jedwabnego szyfonu, długiej, zachodzącej z przodu pod samą szyją, a wyciętej głęboko na plecach.

Ed podarował Sarze odznakę-skrzydła Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, zrobioną ze złota; ona ofiarowała mu zegarek od Aspreya, ponieważ jego poprzedni rozbił niemiecki odłamek w „California Girl”. Sara poleciła wygrawerować na nim imię Eda oraz słowa wiersza Herricka, które zacytowała mu w domu nad zatoką.

Z nowym rokiem Ed został uznany za zdolnego do służby i zaczął znów latać. Idylla dobiegła końca, ale ich związek zdążył się przez ten czas umocnić i pogłębić. Ed zawsze wiedział, że wraca do Sary, która na niego czeka, a ona czekała wiedząc, że on do niej wraca. W przerwach między lotami pokrzepiali się wzajemnie, dodając sił i otuchy.

Któregoś dnia na początku maja Ed obwieścił jej niespodziewanie:

– Mam trzydniową przepustkę. Poproś o urlop albo weź go sobie sama, bo zrobimy sobie szaleńczy wypad. Zapakuj swoją niebieską szatkę i nie zadawaj żadnych pytań. Zamierzam cię zadziwić.

Udało mu się to w pełni. Taksówka, do której wsiedli na dworcu Paddington, zatrzymała się przed hotelem „Dorchester”. Sara oniemiała.

– Jakim cudem...? – zaczęła.

– Nie słyszałaś? Przejęliśmy go na czas trwania wojny. Został czterdziestym dziwiątym stanem USA.

Czekał na nich apartament z łazienką. Na małym stoliku stał wazon wypełniony różami, a w kubelku z lodem chłodziła się butelka szampana.

– Jak udało ci się to wszystko zorganizować? – zapytała Sara z podziwem.

– Mam znajomego, który jest kimś w rodzaju organizatora przy czterogwiazdkowym generale. Sama wiesz, że ranga pociąga za sobą pewne przywileje. Użyłem łagodnej perswazji, a ponieważ winien mi jest to i owo... byliśmy razem w college’u, wiesz, jak to jest wśród starych przyjaciół... .

– Co on ma do roboty? – zainteresowała się Sara.

– Można go określić jako człowieka, który dba o generała. Załatwia jego wszystkie potrzeby i zachcianki nie przebierając w środkach i używając sposobów zarówno prawych, jak i lewych.

– Jakby rodzaj adiutanta?

– Hmm... Powiedzmy, że da się to tak uprościć. Kimkolwiek jest, możemy czuć się zaszczytzeni, więc po prostu cieszymy się z tego, co mamy. Drugi raz może nam się nie poszczęścić. A teraz przebierz się w jakąś śliczną przedwojenną sukienkę i pójdziemy na lunch. Poinformowano mnie o kilku czarnorynkowych lokalach.

Restauracja, do której poszli, mieściła się w Soho. Zapelniali ja oficerowie amerykańscy oraz ich kobiety. Zjedli tam solę i wypili wino. Potem powędrowali spacerkiem do Picadilly, przeszli Lower Regent Street i przecinając The Mall zagłębili się w St James Park. Londyn pachniał kwiatami i świeżością, a wiosna obsypała drzewa pąkami. W parku wojskowa orkiestra grała „Yours” i „Don’t Fence Me In” oraz wiązanek utworów Gilberta i Sullivana. Na trawie siedziało mnóstwo przytulonych par. Ed i Sara przeszli cały park, doszli do stawu, a następnie doszli aż do Buckingham Palace.

– Jak tam jest w środku? – zapytał Ed z ciekawością.

– Och, wiesz... białe, złote i przytłaczająco.

– Czy składałaś ukłon, jak przystoi każdej dobrze ułożonej młodej debiutantce?

– Oczywiście.
– A co takiego powiedział ci król?
– Ani słowa. Ale uśmiechnął się do mnie i królowa również, a potem oboje mi się odклонili.

– I w tym momencie zostałam wprowadzona do tak zwanego towarzystwa?
– Po dłuższym oczekiwaniu. Nogi bolały mnie niemiłosiernie. Skoro już przy tym jesteśmy... – odwróciła się do niego impulsywnie. – Nie miałbyś nic przeciwko temu, Ed? Na dobrą sprawę powinnam rzucić okiem na Brandon House, korzystając z tego, że jestem w mieście. Dom jest zamknięty i agenci mają na niego oko, ale ojciec byłby zadowolony, gdybym tam zajrzała. On sam bardzo rzadko przyjeżdża do Londynu. Agenci rezydują przy St James, więc nie zajęłoby nam to dużo czasu. Co ty na to?

– Prowadź. Jeszcze nigdy nie byłem wewnątrz eleganckiego londyńskiego domu i jestem ogromnie ciekaw, jak żyje uprzywilejowana połowa.

Agenci okazali pełne szacunku zadowolenie na widok lady Sary zapewniając, że w Brandon House wszystko jest w najlepszym porządku, jeśli jednak lady Sara chciałaby przekonać się osobiście... Wręczyli jej klucze i odprowadzili ukłonięci do drzwi.

– Ciągłe zapominam, że jesteś arystokratką – wyznał Ed, jakby go to nagle uderzyło. – Może na twój widok powinienem kłaniać się albo salutować?

– Jeśli nie zamilkiesz, dostaniesz po głowie – uprzedziła Sara.

– Co takiego? Na ulicy? Nigdy... nigdy nie ośmieliłabyś się tego zrobić!

– Tak uważasz? Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz, a rzucanie mi wyzwania jest jedną z nich. Moi bracia mogliby opowiedzieć ci coś nieośmieliłabyś na ten temat.

Coś w jej oczach i głosie upewniło go, że mówi serio. Wypowiedział tę myśl na głos.

– Rzucanie wyzwania któremuś z Brandonów niesie ze sobą spore ryzyko – przestrzegła go. – Lepiej uważaj, Jankesie!

Potrząsnął głową ze smutkiem.

– Musiałaś się widywać z okropnie wulgarnymi Amerykanami – westchnął. – Nie wyrażasz się wcale, jak przystoi dobrze wychowanej angielskiej dziewczynie.

– Zostałam zdeprawowana i skorumpowana – przyznała ze skrucą. – I to za pomocą jednego batonika Hersheya...

Wybuchnął śmiechem, który nagle przeszedł w jęk, kiedy Sara odwróciła się błyskawicznie i uszczypnęła go z całej siły w kroczce.

– Chryste! – wybuchnął.

Ale ona zdążyła się już oddalić. Zobaczył tylko migające w biegu długie nogi i usłyszał jej śmiech. Próbował ją dogonić, mijając Ritza i przecinając Picadilly. Jedni przechodnie patrzyli z wyrozumiałością, a inni z oburzeniem na piękną, długonogą, jasnowłosą dziewczynę gonioną przez wysokiego amerykańskiego oficera – oboje młodzi, oboje roześmiani. Przejeżdżająca taksówka zatrzymała się z piśkiem opon, a kierowca wychylił się wołając:

– Niech mnie gęś kopnie! Wy, Jankesi, nie rozumiecie, jak wam się mówi „nie”!
Złapał ją wreszcie przed „Brown’s Hotel”. Chwyił za ramiona i przywoździł do ściany budynku. Dyszała roześmiana, zarumieniona, z błyszczącymi oczami.

– No, no – powiedział, oddychając ciężko. – Ależ z ciebie bezwstydne lada-co! Zostałem srodze oszukany. Miałem cię za jedną z najbardziej subtelnych i wrażliwych przedstawiolek angielskiej płci pięknej, uroczo nieśmiałą i wstydliwą. A tymczasem co się okazuje? Atakujesz mnie bez żenady! I nie gdzie indziej, tylko na ulicy St James! U White’a niewątpliwie wszyscy powypadali z okien. To się nazywa skandal...! – Oczy iskrzyły mu się od śmiechu.

– Mówiłam, żebyś mi nie rzucał wyzwania – przypomniała mu.

– W przyszłości nic takiego się nie zdarzy... w każdym razie nie na ulicy.

– Ten policjant, o tam, przygląda nam się dość podejrzliwie. Pewnie myśli, że mnie napastujesz albo robisz mi niemoralne propozycje.

– Przecież to ja byłem napastowany! Mogłaś mi zrobić nieodwracalną krzywdę!

– W takim razie może chcesz złożyć skargę? On jest akurat po drugiej stronie ulicy. Mam go zawołać? – Teraz ona z kolei rzucała mu wyzwanie.

– Tylko spróbuj! W takim wypadku zaaresztowaliby nas oboje. Nie, teraz pójdziemy spokojnie i statecznie w kierunku Brandon House, a tam zbadamy, jak poważną szkodę mi wyrządziłaś.

Patrzył, jak jej oczy zmieniają się, ciemnieją, zaczynają lśnić.

– Tak jest, kapitanie – powiedziała pokornie, ale takim głosem, że zapraгнаła kochać się z nią natychmiast, tak jak stała oparta o ścianę „Brown’s Hotel” przy Dover Street. – Wszystko, czego pan sobie życzy, kapitanie.

– Życzę sobie oświadczyć, że cię kocham – powiedział pełnym głosem – i mam zamiar dowieść tego, o ile nie pozbawiłaś mnie takiej możliwości.

– O tak, bardzo proszę, kapitanie – odpowiedziała skromnie, czemu przeżył wyraz jej oczu.

– W porządku, ale idź spokojnie, nie biegnij.

Ruszyli ulicą trzymając się za ręce.

– Dobry Boże, więc to jest ten dom? – zdumiał się Ed, kiedy do niego doszli. – Wygląda raczej na siedzibę parlamentu!

Wewnątrz wszystko spowite było w ciszę i otulone w pokrowce chroniące przed kurzem. Ich kroki stukwały głucho na parkietach i dźwięczały na posadzkach z marmuru, z których zdjęto dywany. Żyrandole wisiały w zawojach z muslinu, niektóre nawet zdjęto, ponieważ były bardzo cenne. Zimne powietrze pachniało stęchlizną. Ed otworzył wspaniale rzeźbione i bogato złożone drzwi.

– Na miłość Boską! – wykrzyknął – to rzeczywiście jest parlament!

– To był salon nazywany przedpołudniowym.

– Wiedziałem! Jedynie Anglikom przyszłoby do głowy używać innego pokoju przed południem, a innego po południu. Ale tak naprawdę chciałbym zobaczyć te, których używaliście w nocy.

– Zaraz, zaraz – oburzyła się Sara. – Jesteś nienasycony. Nie minęła jeszcze czwarta po południu.

– W porządku, w takim razie skorzystamy z salonu popołudniowego. Nie jestem grymaśny.

– Muszę obejrzeć wszystkie pokoje po kolei. Opanuj się!

– Wolałbym opanować ciebie.

– Myślałam, że wolałbyś... nie, nie ma mowy! – Zręcznie ominęła jego ręce i wbiegła żwawo na ogromne schody, ale dogonił ją na podeście.

– Jest mowa – oznajmił. – Mówiłem ci już, muszę sprawdzić, czy nie doznałem uszczerbku, a żeby tego dokonać, będzie mi potrzebna fachowa pomoc, siostrze.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – odparła z powagą.

– Niech mi siostra pokaże drogę do gabinetu lekarskiego.

– Proszę iść za mną.

– Gdziekolwiek siostra poprowadzi.

– Widzisz – westchnęła później – wszystko funkcjonuje idealnie.

– W moim zegarku także wszystko funkcjonuje idealnie, a on tylko pokazuje godziny. Tu chodzi o mnie, Saro. Coś ty ze mną zrobiła? Rozebrałaś mnie na części, a następnie złożyłaś z powrotem i teraz zupełnie siebie nie poznaję.

– Ja wiem, kim jesteś.

– Bogu dzięki, że jedno z nas wie! Nie opuścisz mnie nigdy, prawda? Inaczej nie znalazłbym nikogo, kto mógłby mi wyjaśnić, kim jestem.

– Jesteś w bezpiecznym miejscu – odparła. – W moim sercu, gdzie pozostaniesz na zawsze, nawet gdybyś się znalazł daleko ode mnie.

– To już chyba naprawdę niedługo. Żadna wojna nie może trwać w nieskończoność.

Zmarszczyła brwi i twarz jej się zachmurzyła.

– Umrę, jeśli coś ci się stanie, Ed. Już przedtem było wystarczająco strasznie, ale teraz... przekłeta wojna!

– Gdyby nie ta przekłeta wojna, nie spotkalibyśmy się wcale – przypomniał jej łagodnie. – Ja żyłbym sobie nadal w Kalifornii, a ty zajmowałabyś się dobroczynnością i otwierała festyny parafialne. Bóg świadkiem, że coś podobnego nie przeszło mi nigdy przez myśl – ale doprawdy mam powód, żeby być wdzięcznym czemuś, czego nienawidzę. Nie straciłbym tego za nic i nie zamienił na długi, spokojny i bezpieczny żywot. Warto przeżyć ten czas, nawet gdyby wszystko miało się skończyć szybciej.

– Nie mów tak! – powiedziała błagalnie.

– Groźba nie zniknie tylko dlatego, że będziesz ją ignorowała.

– Wiem, ale dla mnie jest zbyt koszmarna, żeby o niej wspominać.

Ramiona Eda objęły ją ciasniej. Sara wiedziała, co mu przebiegło przez myśl. On potrafił się nad tym zastanawiać; ona po prostu nie mogła. Im więcej lotów

miał za sobą, tym mocniej śruba się zaciskała. Z każdą ukończoną misją szanse na następny szczęśliwy powrót malały. W Little Heddington śmierć wygrywała z ludźmi bez trudu. Spośród tych, których Sara poznała, bardzo wielu już nie żyło. Tylko jednej załodze udało się wykonać przepisowe dwadzieścia pięć lotów; zostali potem odesłani do Ameryki i objeżdżali kraj sprzedając obligacje wojenne. Modliła się, żeby podobny los spotkał Eda. Rozstanie z nim mogłaby jeszcze znieść, śmierci by nie zniosła. Potrafiłaby żyć i czekać, ale nie umiałaby żyć wiedząc, że nie ma na co czekać.

Ed poruszył się i spojrzął na zegarek.

– Hej, już prawie piąta – zauważył.

– Dlaczego masz taką obsesję na temat czasu? – spytała ze złością. – Czy dlatego, że odmierzasz tak skąpo minuty, chcesz, żeby każda trwała jak najdłużej?

– Mamy moc czasu – skłamał, łagodząc jej rozdrażnienie. – Każdy dzień, który spędzamy razem, jest jak подарowany. Popatrz na to od tej strony.

Westchnęła.

– Pewnie masz rację. Tylko tak możemy patrzeć na każdy kolejny dzień.

– Mamy również noc. I wieczory. A dziś wieczorem idziemy potańczyć. Chcę trzymać cię w ramionach i obściskać na parkiecie, i nie życzyć sobie, żeby mi cię odbijali jacyś goście, którzy patrzą na mnie z wściekłością i zastanawiają się, czemu, u licha, tak mi się poszczęściło.

– Ach! – westchnęła z zachwytem. – Cóż za cudowne plany.

– Sama jesteś cudowna. Chcę, żeby im oczy wyszły na wierzch z zachwytu!

Usiadła raptownie.

– Ano właśnie. Niewykluczone, że uda mi się tego dokonać – oznajmiła.

Wyskakując z łóżka pobiegła nago do szafy, zajmującej całą ścianę sypialni.

– Powinno tu jeszcze być trochę moich łaszków.

Otworzyła drzwi, za którymi ukazał się rząd długich sukien w pokrowcach z kretonu.

– Cudownie – zachwycił się Ed. Usiadł i poprawił poduszki za plecami. – Przymierz je kolejno, a ja ci powiem, która mi się najbardziej podoba.

– To są modele przedwojenne. Tu jest Patou, tu Schiaparelli...

– A ta białosrebrna kreacja?

Wyciągnęła spośród innych brzeg srebrzystej spódnicy.

– To jest toaleta, w której zostałam zaprezentowana na dworze królewskim.

– Naprawdę? Chciałbym cię w niej zobaczyć. Nigdy nie widziałem prawdziwej debiutantki prezentowanej na dworze w pełnej gali.

– Będiesz musiał mi z tym pomóc. Ona ma miliony haftek z tyłu.

– Jestem równie dobry w ubieraniu, co w rozbieraniu.

Zachęcona jego entuzjazmem, wyjęła suknię z szafy i zdjęła pokrowiec. Biały atlas haftowany srebrną nicią lśnił w jej rękach. Ed patrzył, jak wkłada suknię, po czym zapiął haftki z tyłu.

– A co z piórami, rękawiczkami i całą resztą? – zainteresował się.

– Jakim cudem orientujesz się w takich szczegółach? – spytała.
– Widziałem zdjęcia w magazynach... wiesz, w San Francisco mamy czasopisma. Poza tym – dodał – w Luttrell Park jest twoja fotografia w paradnej sukni.
Odrzuciła się udając, że przegląda zawartość szuflad. Tę fotografię podarowała niegdyś Gilesowi.

Znalazła pióra zawinięte w bibułkę, długie białe rękawiczki, atlasowe pantofelki i – zupełnie niebywałe – parę pończoch z czystego jedwabiu.

- Ach! – wykrzyknęła – to jak manna z nieba! Będę mogła je dziś włożyć!
- A nylony, które ci dałem? – zapytał oburzony.
- No tak, ale te są z czystego jedwabiu.

Włożyła pończochy i usiadła przy toalecie, żeby się uczesać i przypiąć pióra. Ed musiał jej w tym pomóc. Wreszcie, wygładzając długie rękawiczki, odrzuciła się do Eda, który siedział znowu na łóżku oparty o poduszki, i odrzucając za siebie tren jednym wprawnym ruchem stopy, obwieściła:

- Proszę bardzo: oto debiutantka z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Widząc wyraz jego oczu dodała niezupełnie pewnym głosem:
- To wszystko wydaje się trochę przytłaczające...
- Nie – powiedział. – To jesteś po prostu ty. Pokaż mi, jak wygląda dworski ukłon.

Złożyła mu głęboki rewerans, poruszając się z niewymuszoną gracją.

Coś w jego twarzy, w wyrazie oczu kazało jej podejść do niego i usiąść obok na łóżku.

– To tylko suknia – zauważyła, przemawiając mu do rozsądku. – Kreacja pod tytułem Kopciuszek-Idzie-Na-Bal.

– Może, ale to ja będę musiał sobie poradzić z powrotem do rzeczywistości o północy.

Wziął ją za rękę i zaczął powoli rozpinać długie rękawiczki.

– Nie będzie ci żal rozstać się z tym wszystkim, żeby wyjechać ze mną do Kalifornii?

– Z czym wszystkim? – spytała nie rozumiejąc.
– Z tym, co przedstawia sobą ta suknia... z życiem, jakie tu prowadziłaś, pozycją, jaką zajmowałaś.
– Dokąd ty, Kaju... – zacytowała z uśmiechem.

– Mówię poważnie, Saro. – Istotnie nie żartował. Miał posępną minę. – Kiedy widzę cię w tej sukni i słyszę, jak ludzie zwracają się do ciebie, używając twojego tytułu... Zdałem sobie dziś sprawę z paru nieuchronnych prawd, Saro, a jedna z nich, wcale niebagatelna, to fakt, że pochodzimy z innych światów, całkowicie różnych. Do tej pory prowadziłaś, można powiedzieć, uprzywilejowane życie na tak wysokim poziomie, że powietrze musi tam być rzadsze niż na szczytach wzgórz w San Francisco. Jesteś córką lorda i żoną arystokraty, a nie panną Iks czy Igrek znikąd; natomiast ja jestem po prostu Jankesem z Yerba Buena. W Little Heddington ty pielęgnujesz chorych, ja latam. Ale wszędzie indziej jesteś lady Sarą

Luttrell, urodzoną Brandon. Uświadomiłem sobie ten fakt dość gwałtownie – i nie widzę, w jaki sposób mógłbym go zignorować.

– Wobec tego cofnij się o parę kroków – powiedziała miękko – i przyrzyj mi się, bo masz przed oczami jedyny sposób na to. Przede wszystkim mój tytuł jest tytułem grzecznościowym, który umrze razem ze mną. Jedyny tytuł przekazywany dalej w rodzinie należy do mojego ojca. A ja nie muszę używać swojego? Nie mam zamiaru być lady Sarą Hardin. Pan i pani Hardin – to brzmi idealnie. Oczywiście – uśmiechnęła się szelmowsko – jeśli masz jakiś tytuł, to zawsze będziesz dobrze obsłużony, w każdym razie w tym kraju, czyż to nie zdumiewające? Rozumiesz, Anglicy uwielbiają tytuły. Tylko że to jest absolutnie nieistotne, Ed. Nauczono mnie, że za przywileje się płaci; wiesz – *noblesse oblige*. Tak czy owak, mój ojciec jest przekonany, że po wojnie wybuchnie rewolucja i on oraz inni z tak zwanych wyższych sfer zostaną załadowani na wozy i wywiezieni na Marble Arch. Ja jednak wolę jechać z tobą do Kalifornii.

– Myślę, że polubiłbym twojego ojca – zdecydował Ed i dorzucił: – Mam tylko nadzieję, że on także mnie polubi!

Przestał odpinać haftki i ujął dłoń Sary.

– Następna sprawa, Saro. Przeze mnie przeżyjesz wiele nieprzyjemności i ciężkich chwil. To ty będziesz musiała znosić obrzucanie błotem. Tak bym chciał ci tego oszczędzić, ale nie ma na to rady. – Zmarszczył brwi, rozważając sytuację. – Chyba że... gdybym tylko mógł zabrać cię ze sobą do Kalifornii.

Popatrzył na nią przenikliwie.

– Czy miałabyś coś przeciwko załatwieniu rozwodu *in absentia*?

– Zrobię wszystko, żeby to poszło jak najszybciej. Wiem, że ani moja rodzina, ani Luttrellowie nie będą sobie życzyli rozgłosu.

– Ja też tego nie chcę. – W ponure spojrzenie Eda wkradła się niepewność. – Uważasz, że jestem tego wart? Mam nadzieję, że tak.

Zachowywał się tak, jakby na nieskazitelnej powierzchni jego wiary w siebie pokazało się nagle drobne pęknięcie. Pochyliła się nad nim i pocałowała go ze słodyczą i czułością.

– Ed, najdroższy, wart jesteś każdej ceny, wszystkiego, przez co trzeba będzie przejść. Nie mam najmniejszych wątpliwości i nie zawaham się ani na moment. – A potem dorzuciła pogodniejszym tonem: – Jestem pewna, że mój ojciec chętnie przyjedzie do Kalifornii, żeby cię pouczyć, jak masz uprawiać swoje własne pomarańcze.

– Wcale się tym nie przejmę – odparł Ed. – Nie uprawiam pomarańczy.

Coś przyszło jej do głowy.

– Ed, co zamierzasz robić po wojnie?

– Mogę zawsze, jak sądzę, wrócić do Lockheed. Będę miał za sobą o niebo więcej doświadczenia w lataniu. Nie byłem tam zbyt długo przed odkomenderowaniem tutaj.

- A przedtem byłeś w Dartmouth?
- Nie. Przedtem był MIT. W Dartmouth byłem jeszcze wcześniej.

Popatrzyła na niego z ukosa.

– Strój John twierdzi, że MIT jest najlepszą tego rodzaju uczelnią na świecie – oznajmiła nieco protekcjonalnym tonem, jakby z trudem dopuszczała fakt, że coś nieangielskiego może mieć jakąkolwiek wartość.

Ed uśmiechnął się szeroko, rozbawiony. Nie było mu obce niezachwiane przekonanie Sary, że to, co brytyjskie, jest ze wszech miar najlepsze. Dyskutowali niejednokrotnie na temat tego jej uprzedzenia.

– Owszem, to prawda. Nie macie równie dobrej tutaj, w Anglii.

Sara przyglądała mu się z namysłem.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że masz stopień doktora nauk humanistycznych.

Ed uśmiechnął się, ale mówił poważnym tonem:

– Nie umrzemy z głodu, Saro. Moja rodzina niezupełnie dorasta klasą do twojej, ale nie żyjemy z pomocy społecznej.

– Przecież mówiłeś, że twój ojciec jest zawodowym żołnierzem, a oni... – przerwała i spojrzała na niego podejrziwie. – Czy twój ojciec nie jest przypadkiem tym czterogwiazdkowym generałem z Dorchester?

– Nie z Dorchester. Ale przypadkiem jest czterogwiazdkowym generałem.

Wlepiła w niego oburzone spojrzenie.

– Edzie Hardin, jesteś podstępny nabieraczem! Rzeczywiście, biedny jankeski chłopak z Yerba Buena! Wiedziałam, że tkwi w tobie znacznie więcej niż tylko prosty Amerykanin, który przyjechał do Anglii.

– Do licha – powiedział szepczony – a myślałem, że mój kamuflaż był skuteczny.

– Zawsze wiedziałeś, jak się do mnie zwracać. Amerykanie przeważnie nazywają mnie lady Luttrell. Ty nigdy tego nie robiłaś, nawet na samym początku, poza tym orientowałeś się w subtelnościach prezentacji u dworu i tak dalej, a to jest chińszczyzna dla większości Amerykanów. Jak to się dzieje?

– Widzisz, tak się akurat składa, że mój ojciec był tu attaché wojskowym przed wojną.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Tu? W Londynie?

– Tak.

– Kiedy?

– Od trzydziestego drugiego do trzydziestego czwartego.

– Byłam wtedy w Northumberland.

– I miałaś aż jedenaście lat. Założę się, że składałaś się głównie z oczu i z nóg.

– Hmm... w tym wieku szalałam za końmi.

– Dziękujemy Bogu, że z tego wyrosłaś... czy ja przypadkiem nie wyglądam jak koń?

Przechyliła głowę na bok, zacisnęła wargi i przyjrzała mu się z namysłem.
– No więc... niezupełnie.

Tej nocy Ed obudził się nagle z uczuciem, że Sary nie ma koło niego w łóżku. Rozejrzał się po ciemnym pokoju i zobaczył ją siedzącą przy oknie, wpatrzoną w park. Odsunęła zasłony, tak że oblewało ją światło księżycowe; było dość jasno, żeby dostrzegł, jaka jest spięta.

Tego wieczoru poszli na kolację – Sara w blad różowej sukience Schiaparelli, która Edowi najbardziej przypadła do gustu. Pech chciał, że natknęli się na grupę znajomych Sary, którzy zatrzymali się przy ich stoliku i zapytali o Gilesa. Jedna z kobiet zlustrowała Eda z aprobatą i powiedziała cedząc zjadliwie słowa:

– Jak to miło z twojej strony, kochana Saro, że wykonujesz swój odcinek pracy i zabawiasz naszych amerykańskich przyjaciół! Jestem pewna, że Giles by to pochwalał. Przekaż mu pozdrowienia ode mnie, kiedy będziesz pisała. Mam nadzieję – co też mu przekaż – że trzyma się dzielnie. Ty w każdym razie trzymasz się chyba nieźle. Muszę powiedzieć, że pielęgnowanie chorych... chyba tym się zajmujesz? ...znakomicie ci służy.

Pożegłowała dalej, pozostawiając za sobą pachnącą smugę L'Heure Bleue. Od tej chwili nastrój Sary wyraźnie zwiądł. Ed usłyszał, jak mruczy pod nosem:

– Wredna baba!

– To twoja przyjaciółka? – zapytał Sarę ironicznie.

– To niczyja przyjaciółka. Caro Maudesley jest obrzydliwą, wredną jędzą. Utopiłaby nas w łyżce wody od czasu, kiedy mój brat wymknął się z jej szponów i ożenił z kim innym.

Nie powiedziała nic więcej, ale Ed odgadł, że myśli o Gilesie Luttrellu. Sprowokowała to z bezbłędnym wyczuciem „niczyja przyjaciółka”, która na swój sposób przypięła Sarze i Edowi etykietkę z napisem „kochankowie wojenni”. Ed spodziewał się tego wcześniej czy później i był nawet zadowolony, że nie zdarzyło się już dawno. Nic nie mógł poradzić, że w umyśle Sary pojawiło się poczucie winy.

W tym, co się zdarzyło, nie było nic niezwykłego. Wyjazd z Little Heddington do Londynu stanowił oczywiste ryzyko. Sara musiała mieć przyjaciół w mieście, choć spotkanie ich akurat tego wieczoru było zwykłym pechem. Sara nie stanowiła oczywiście żadnego wyjątku. Wiele kobiet mających mężów na froncie przyjaźniło się z Amerykanami, choć nie wszystkie miały z nimi romanse. No, może większość. Ale nie tylko o to chodziło. Było również samo miasto, a także wizyta w Brandon House i paradna suknia dworska, dawne miejsca spotkań, znajome twarze. Wreszcie ludzie, którzy znali ją jako żonę Gilesa Luttrella, a teraz widząc ją z Amerykaninem, zaczęli natychmiast podejrzewać najgorsze – bo nie mieli pojęcia, że to jest akurat najlepsze, myślał Ed. Wszystko to razem przywołało Gilesa z dalekiej Afryki; ulokował się pomiędzy nimi i spędził tak całą noc.

Sara wyglądała przez okno pogrążona w ponurej zadumie, przygryzając dolną wargę, jak miała w zwyczaju, kiedy coś ją gnębiło. Żałował, że nie może wziąć na swoje barki choć części tego poczucia winy, które ją przygniatało. To prawda, Ed nie miał przeczulonego sumienia, z którym musiałby walczyć, bo został wychowany w całkowicie różnym środowisku. Sara jednak za tę sytuację obarczała winą jedynie siebie. To ona była cudzołożnicą, to ona opuściła męża i nawet nie zdobyła się jeszcze, żeby mu to wyznać; to ona będzie musiała się rozwieść. Traktowała wszystko, co się wydarzyło, jako własne dzieło i choć Ed toczył z nią na ten temat dyskusje i choć wiele razy starał się jej przemówić do rozsądku, nie potrafił sprawić, żeby spojrzała na to innym okiem.

Powtarzał jej ciągle:

– Żeby wpaść w takie tarapaty, trzeba dwojga. Saro, to dla mnie porzuciłaś Gilesa, ze mną popełniłaś cudzołośćwo, z mojego powodu się rozwiedziesz. Wina jest w takim samym stopniu moja, jak twoja, i można oskarżać mnie tak samo jak ciebie.

– Ale ty nie popełniasz cudzołóstwa, prawda? Nie mógłbyś tego zrobić, bo nie jesteś żonaty. To ja popełniłam ten grzech, ja porzuciłam męża, ja jestem kobietą, z którą mąż się rozwiedzie; ty będziesz jedynie współpозwanym. Wiedziałam, co robię, kiedy się na to zdecydowałam, Ed. Muszę wziąć na siebie odpowiedzialność... i zrobię to, oczywiście.

Ed wiedział, że nic jej nie powstrzyma. Teraz jednak chodziło o Gilesa Luttrella. Poczucie winy na wspomnienie tego, co zrobiła mężowi, zaprawiało goryczą jej myśli, a on oblewał się zimnym potem na myśl, że mogłoby to zmienić jej uczucia do niego. Życie bez Sary było nie do pomyślenia. Dawała mu tak wiele. Teraz, kiedy to poznał, wiedział, że nie potrafiłby się bez tego obyć. Potrzebował jej, żeby żyć. Tak, obawiał się tej chwili i był pewny, że musi nadejść. Ale co on, u diabła, wtedy zrobi? Teraz, kiedy nadszedł ten moment, czuł się zupełnie bezradny. Miał tylko świadomość, że się boi. Zaakceptowałby chętnie każdą decyzję Sary, z wyjątkiem powrotu do Gilesa Luttrella. Powiedziała wprawdzie, że nawet gdyby nie zdecydowała się dzielić losów Eda, nie umiałaby nigdy wrócić do Gilesa Luttrella i żyć z nim jak dawniej. Mimo wszystko jednak zastanawiał się...

Czuł się zupełnie bezradny, ponieważ nie mógł nic zrobić. Jedną Sarą wiedziała, co Giles Luttrell dla niej znaczy, a że znaczył dużo, było zupełnie oczywiste. Bo inaczej dlaczego nie mogła zdobyć się na to, żeby mu powiedzieć, że go opuściła? Wciąż jeszcze nie napisała tego listu, dzięki któremu stałaby się wolna. Giles Luttrell nie miał pojęcia, że cokolwiek się zmieniło. Jego ojciec wiedział o wszystkim, ale Ed wątpił, żeby jakoś zareagował. Angielski wstręt do wtrącania się w prywatne sprawy innych ludzi, u sir George'a stanowił autentyczną fobię. Syn czy nie syn, nie była to jego rzecz, toteż zajmował całkowicie neutralną pozycję. Z jego strony nie należało z pewnością oczekiwać żadnego nacisku. Nie, nie, rzeczywisty problem stanowiło to przekłete sumienie Sary. Była kryształowo uczciwa, absolutnie prostolinijna. Zdrada budziła w niej wstręt. Fakt, że w ogóle zdecydowała się zrobić to, co zrobiła, powinien być wystarczającym dowodem jej

miłości. Z tego Ed zdawał sobie świetnie sprawę. I wiedział, że Sara go kocha. Okazała to dziesiątki razy. A mimo to drętwiał ze strachu na myśl, że ona może tego pożałować, dojść do wniosku, że jednak nie jest w stanie zrobić ostatecznego kroku. Być może to było podświadomym powodem nienapisania do Gilesa. Miłość wcale nie jest pewna i bezpieczna, myślał Ed, nawet nasza. Sądziłem, że zabezpieczyłem ją przed wszystkim – żadnych słabych punktów, żadnych zbędnych nacisków – a jednak siedzę teraz i patrzę, jak jej poczucie winy i moja zazdrość wypalają w naszej miłości dziury.

Nagle poczuł, że nie znieśie tego dłużej. Nie mógł tkwić dalej bez ruchu i czekać, co się zdarzy. Wstał z łóżka, usiadł przy oknie i wziął ją na kolana, tuląc w ramionach jak dziecko, zapewniając bez słów, że rozumie. Usiłował kiedyś wytłumaczyć Sarze, czym jest dla niego świadomość, że powraca do niej z każdego lotu. Wtedy ona stwierdziła po prostu:

– To moja rola: czekać i kochać.

Teraz nadeszła jego kolej i pierwszy raz uświadomił sobie, jak Sara wspaniale grała tę rolę, jakie to było trudne.

Trzymał ją więc w objęciach, uspakajał i starał się samą swoją obecnością rozwiać jej rozterki i strachy. Po raz pierwszy od czasu, kiedy ją poznał, pogoda ducha Sary została zmacona, pewność siebie naruszona – to idealne opanowanie, które stanowiło nieodłączną część jej osobowości i z którego on sam czerpał własną odnowę duchową. Ale ta wrażliwość na ciosy sprawiła jedynie, że kochał ją tym mocniej i pragnął tym goręcej dbać o nią i chronić za wszelką cenę.

Zamknięta w ramionach Eda Sara oparła się o jego twardą pierś, chłonąc ciepło i pociechę, jaką jej ofiarowywał. Musiała jakoś uśmierzyć przejmujący ból tego cierpienia, które ją opanowało. Giles był w jej myślach przez całą tę noc – pierwszy raz od czasu, kiedy go opuściła – i ta obecność zasnęła wszystko mgłą winy.

Nie spowodował tego sam Londyn ani wspomnienia związane z domem, w którym ona i Giles spędzili tyle szczęśliwych godzin i gdzie poprosił ją, żeby została jego żoną. Nie wywołała tego również kolekcja sukien, które nosiła, kiedy wychodziła gdzieś z Gilesem, ani nawet spotkanie dawnych przyjaciół i wrogów, którzy uświadomili tak brutalnie jej niewierność, jej zdradę. Dokonał tego ostatecznie ten luksusowy hotel, gdzie Amerykanie pysznili się dużymi kostkami białego mydła, sokiem pomarańczowym i nylonami, whisky i gorącą wodą na zawołanie; przyjmowali za oczywiste i traktowali jako niezbędne różne rzeczy, które dla niej od dawna były zbytkiem. Przyjemności podsuwane przez Eda przemieniły życie Sary w piekło w momencie, kiedy opanowało ją przemożne poczucie winy. Giles był o tysiące mil od niej, pośród skwarnej, zapyłonej pustyni, wykonując bez słowa żołnierski obowiązek, podczas gdy ona wyskoczyła sobie do hotelu z Amerykaninem.

W minionych miesiącach zapomniała o Gilesie; tylko jego listy, przybywające nadal regularnie, były przyczyną wyrzutów sumienia, jednak gorączkowe, nerwowe życie, jakie prowadziła u boku Eda, łatwo spychało na dalszy plan poczucie winy...

Giles był równie daleko od jej myśli, jak i od jej życia, tak przynajmniej sądziła – do tej nocy. Teraz pokonał tę odległość jednym skokiem, strącając jej z oczu różowe okulary. Poczowała się winna cudzołóstwa, niewierności, zdrady. Czowała się szczęśliwa bez Gilesa – nie pamiętała o nim, kiedy pławiła się w luksusie, gdy tymczasem on cierpiał niedostatek i niewygody. Była winna, bo nie kochała jego, tylko Eda; teraz wszystkie jej błędy obudziły wyrzuty sumienia. W Little Heddington była kobietą zakochaną w mężczyźnie, który ją kochał; tutaj, w Londynie, w tym kosztownym pokoju hotelowym z cieplarnianymi kwiatami i szampanem, była dziwką, jak wszystkie inne dziwki ze swoimi amerykańskimi kochankami. Hotel był ich pełen. Wiedziała, że Ed to czuje. Widziała to w jego oczach, w jego gestach. Choćby najbardziej się starała, nie potrafiła o tym zapomnieć. A raniąc Eda, szarpała na strzępy własną duszę – bo przecież tak go kochała. Jednak pewnie nie dosyć; nie dosyć, żeby dźwigać ciężar winy bez samozniszczenia.

Żałowała teraz, że nie napisała do Gilesa na samym początku, nie wytłumaczyła, co się wydarzyło, nie wyjaśniła, że spotkała miłość; że chociaż dzięki niemu, Gilesowi, wiedziała, co to jest być kochaną, nie rozumiała, co to znaczy kochać; że teraz, kiedy już wie, na czym polega różnica, nie może, nie potrafi zrezygnować ze swojej miłości; że jest odmieniona, że po prostu przeszła metamorfozę. Powinna była kierować się bardziej uczciwością, a mniej egoizmem. Starła się nie zranić Gilesa, a w rezultacie zraniła Eda. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Ed wiedział; o tak, on wiedział. Czytał w niej jak w otwartej księdze. Ale nie mógł jej pomóc. Nikt nie mógł jej wydobyć z dna upodlenia, cierpienia i rozpaczki. Położyła Edowi głowę na piersi i wybuchła gorzkim płaczem.

– Co ze mną będzie, Ed? – szlochała. – Co mam robić?

– Powiedz mu.

– Ale to go tak zrani. Nie mogę sobie wyobrazić, jak się będzie wtedy czuł.

– To dlatego, że go kochasz. Gdybyś go nie kochała, nie troszczyłabyś się o to, co będzie czuł. Napisałabyś do niego bez skrpułów.

– Ale ja nie czuję do Gilesa niczego nawet w przybliżeniu podobnego do tego, co czuję do ciebie! I nigdy nie czułam, teraz dobrze to wiem. Kocham cię tak rozpaczliwie, Ed, tak szaleńczo...

– Jest wiele rodzajów miłości i nie można ich mierzyć ani katalogować. To, co czujesz do Gilesa, to na pewno jakiś rodzaj miłości – w końcu wyszłaś za niego. Mnie kochasz inną miłością, ale przecież trzeba zaakceptować każdą.

– Ale ja chcę być tylko z tobą, na zawsze, na wieczność. Im więcej mam ciebie, tym więcej pragnę. Nic podobnego nie przeżywałam nigdy z Gilesem, a jednak czuję się taka winna, bo wybrałam twoją miłość kosztem jego uczucia. Wzięłam, co mi dawał, a teraz mówię, że to za mało. Najstraszniejsze w tym wszystkim jest, że to rzeczywiście nie wystarczy i nigdy nie wystarczy!

– Nie możemy zawsze wygrywać – stwierdził po prostu Ed. – W każdej bitwie ktoś przegrywa. Najgorsze są takie, gdzie przegrany nie jest nawet świadomy, że walczył.

– Tak, to jest najstraszniejsze. Powinam mu była powiedzieć o wszystkim na samym początku, wiem, ale chciałam to zrobić twarzą w twarz; list wydawał mi się taki okrutny, taki... bezosobowy i ostateczny.

– Nie możesz znieść myśli, że kogoś zranisz – powiedział Ed czule. – Myślisz, że tego nie wiem? Nie sądzisz, że Giles także o tym wie? Musiał to zauważyć, jeśli zna cię tak dobrze jak ja. – Otarł jej łzy palcem. – Powiedz mu wszystko, Saro, zanim twoje poczucie winy rozbije nasze uczucie. Żadna miłość na świecie nie wytrzyma spustoszenia, jakiego potrafi dokonać świadomość winy. Zrobiłbym to za ciebie, gdybym mógł, chyba wiesz, ale to jest sprawa między tobą a Gilesem. Nie chciałabyś tego załatwić inaczej, prawda?

Potrząsnęła głową.

– Wobec tego powiedz mu. Zrób to, bo inaczej zaczniesz używać poczucia winy i wstydu jako usprawiedliwienia...

Odskokczyła, jakby ją uderzył.

– Usprawiedliwienia? – Wstała gwałtownie. – A któż ty jesteś, żeby wygłaszać kazania o usprawiedliwieniach? To ja jestem wiarołąmną żoną! Jestem dziwką! Dziwką, która używa z tobą w tym amerykańskim burdelu! Biorę od ciebie frykasy i oddaję ci się w zamian! Nie próbuję wymyślać usprawiedliwień! Nie da się usprawiedliwić tego, co zrobiłam! Myślisz, że sama nie wiem? Zachowałam się jak dziwka, bo jestem dziwką – i to mi się nie podoba! Nie podobam się sobie, nie podoba mi się to, czym się stałam. Tak, tak, wiem, trwa wojna. Usprawiedliwienie uniwersalne. Wszystko da się usprawiedliwić, bo szaleje wojna! Porzuciłam wszystko, co nauczono mnie uważać za przyzwoite i honorowe, ale trwa wojna – więc nie ma się co martwić; przestało się cokolwiek liczyć, prócz chwili obecnej – bo przecież możemy nie mieć przed sobą żadnego jutra. Po co gryźć się przeszłością, która może nigdy nie nastąpić?

Łzy spływały jej po policzkach i wsiąkały w szlafrok; z twarzą wykrzywioną odrazą, goryczą i furią, ciskała w Eda ostrymi słowami w męce samooskarżenia.

– I jeszcze coś ci powiem: choć wiem, że robię źle, nadal będę to robiła! Los nieźle sobie ze mnie zakpił, nie uważasz? Więc nie praw mi kazań na temat usprawiedliwienia. Nie zamierzam się do niego uciekać. Bo nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłam!

Podniosła ręce, jakby chciała zasłonić widok jego zmartwiałej twarzy. Wstrząsnął nią gwałtowny szloch.

Chryste! Saro, Saro... – pomyślał Ed w udręce, co ja ci zrobiłem? Tak bardzo chciał jej dotknąć, ale wiedział, że ona go odepchnie. Gotowa była się bronić, nie pozwolić, by ktokolwiek zbliżył się do jej bólu. Nawet Ed. Więc niech się wypłacz. Może te łzy rozpuszczą w jej piersi twardy kamień wyrzutów sumienia. Może dzięki temu przestanie ranić i jego, i siebie.

Podszedł do toaletki, wziął czystą chusteczkę i podał Sarze w milczeniu. Wzięła chusteczkę i spojrzała na nią niewidzącym wzrokiem. Potem podniosła wzrok na Eda i rzuciła się do niego z rozpaczliwym okrzykiem:

– Boże drogi! Ed, mój najdroższy Ed, dlaczego ci to robię? Przecież to nie twoja wina, nie twoja! Wybacz, że zwałam to wszystko na twoją głowę.

Trzymał ją w mocnym uścisku.

– Postaraj się mnie zrozumieć – błagała zdesperowana. – Jeśli powiem o wszystkim Gilesowi, będzie tak, jakbym rzuciła swoją winę na niego. Znam Gilesa; natychmiast zacznie się obwiniać i wierzyć, że mnie zawiódł – co oczywiście jest w jakimś sensie prawdą, ale on nie ponosi za to winy. Winna jestem wyłącznie ja sama. Nigdy go nie kochałam i nie powinnam była nigdy wyjść za niego za mąż. Postąpiłam wtedy niewłaściwie. Widzisz, wszystko sprowadza się do tego, że to moja wina.

– Moje biedne kochanie – powiedział Ed ochryłym głosem.

– Nie mogę z ciebie zrezygnować, Ed! Wiem, że powinnam, ale nie mogę! Wiem, że postąpiłam niewłaściwie, ale nawet gdybym teraz zrezygnowała z ciebie, i tak nie mogłabym wrócić do Gilesa. Nie kocham go dostatecznie... nie tak jak powinnam. Nigdy nie obdarzałam go takim uczuciem, jak ciebie. Jestem słaba i wiarołomna, ale bez ciebie po prostu nie mogę istnieć. Wiem, co jest moim obowiązkiem, tylko nie mam woli, żeby go wypełnić. Za bardzo cię kocham.

Pocałowała go namiętnie, próbując się w nim zatracić, uciec przed głosem sumienia, który ścigał ją, jak wściekły pies z obnażonymi kłami. Rozwiązała gorączkowo pasek od szlafroka i przyłgnęła do niego nagim ciałem, szukając potwierdzenia, że to, co ich łączyło, warte było wszystkiego.

Pomogło. Ed ukoił jej gorączkową, zachłanną namiętność. Rozmawiali potem długo o swoim związku. Ed cierpliwie tłumaczył Sarze, że ją uwielbia i chociaż rozumie jej mękę i obawy, to powinna zdać się bez reszty na niego i na miłość, która ich łączy. Ta miłość powinna stanowić sens ich życia. Oślonił Sarę murem swojego oddania, a ona przyjęła to z ulgą i wdzięcznością, ustępując mu w zamian ciężar swojej winy. Wreszcie zapadła w sen. Ed leżał nadal bezsennie trzymając ją z miłością w ramionach.

Uświadomił sobie, że dotarli do następnego przystanku. Od tego momentu ich podróż stanie się znacznie bardziej niebezpieczna. Jeśli nie chciał stracić Sary, nie mógł dopuścić, by zniszczyły ją wyrzuty sumienia i poczucie winy. Musiał być czujny.

Sara stała się jego gwiazdą przewodnią, ukazując mu kierunek, w jakim zdążało jego życie. Gdyby ją stracił, błąkałby się bez celu. Był od niej tak zależny, jak „Sally B” od swoich skrzydeł. Bez nich samolot był jak martwy, podobnie jak on bez Sary. I nie polegało to bynajmniej na nieustannym pożądanym, na stałym dążeniu do przyjmowania i dawania. Nie wiedział, jak określić łączącą ich miłość. Nie wystarczyło tu proste „kocham”. Trzeba by opowiedzieć o dwóch osobach połączonych skomplikowanym węzłem wzajemnych zależności, o ewolucji, jakiej podlegało ich uczucie. To, co ich teraz łączyło, niepodobne było do ich związku sprzed ośmiu miesięcy, a to co wyniknie za następne osiem mie-

sięcy, nie będzie już przypominało tego, czym jest dzisiaj. Nie może być inaczej, skoro oni sami ciągle się zmieniają. Ed był teraz inny niż przed spotkaniem Sary. Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się tak mocno emocjonalnie zaangażować w związek z kobietą.

Miewał dziewczyny od piętnastego roku życia. Kobiety mógł liczyć na tuziny. Nigdy nie stanowiły najmniejszego problemu w jego życiu. Wykorzystywał je, czerpał z nich przyjemność, nie odczuwając żalu, kiedy przychodziło do rozstania. Parę razy sądził, że jest zakochany, ale to było jedynie chwilowe zafascynowanie. Poza ciałem, nic go właściwie w kobietach nie interesowało. Dopiero Sara... Chciał wiedzieć o niej wszystko: czym i kim była, i dlaczego tak go urzekła. Stanowiła część jego samego do tego stopnia, że bez niej nie potrafił funkcjonować. Podarowała mu chęć do życia, zmieniła jego osobowość tak bardzo, że czuł się teraz innym, lepszym człowiekiem. Niekiedy miał jej za złe władzę, jaką nad nim zyskała. Stracił wolność, ale jeżeli miałby ją odzyskać kosztem utraty Sary, to gotów był nosić pęta do końca życia. Miłość, myślał. I cóż to, u diabła, takiego? Miłość ma tyle przyczyn, tyle skutków, a jak ją, na miły Bóg, określić? Brak tu wzorców, które można by zbadać pod mikroskopem czy rozważyć w chłodnym świetle intelektu. Niepodobna jej zanalizować, bo w sterylnej próżni racjonalnych myśli miłość ginie, umiera. To uczucie popychało ludzi do czynów szaleńczych, do aktów wielkiej odwagi lub szlachetności. Czyż widok kąpiącej się kobiety nie sprowokował króla Dawida do popełnienia bezwzględного morderstwa? Miłość rzucała na człowieka urok, mąciła mu rozum, krzyżowała plany; pod jej wpływem, zauroczony i oczarowany, stawał się ślepy na wszystko, z wyjątkiem obiektu swojej miłości. Jednak pomimo ich ścisłego związku oraz ogromnego wzajemnego zaangażowania, Sara ugodziła go do żywego, kiedy cisnęła mu w twarz ostre słowa, mówiąc, że używa sobie z nim w tym amerykańskim burdelu. Przeraziło go, że Sara może myśleć o sobie w podobny sposób. Prawda, że hotel pełen był Amerykanów i ich kochanek, ale przecież on i Sara różnili się od całej tej gromady.

Doprawdy? – pomyślał. Wszyscy kochankowie są przekonani, że ich związek jest „inny”. W naszym przypadku wszystko zawsze wracało do Gilesa Luttrella. Mąż Sary. Związany z nią, połączony węzłem małżeńskim w oczach prawa. Myśl o nim była jak zimny, wilgotny podmuch, pod wpływem którego matowiał złoty blask ich miłości, ciemniał i pokrywał się brudem winy. Uwaga, pomyślał, nie dopuść, żeby wyobraźnia wymknęła ci się spod kontroli, bo to wstęp do zazdrości. Zazdrość jest obłędem, ale choć zdajesz sobie z tego sprawę, bardzo trudno się przed nią obronić. To szaleństwo, które rodzi się z poczucia niepewności i z zabójczego w skutkach niedoceniań siebie. Zazdrość to ogniem ziejący smok, który waruje u bram prowadzących do raju kochanków. A ty nie jesteś świętym Jerzym. Przecież masz Sarę, jest twoja, ale spójrz no tylko na nią pod kątem własności i jesteś przegrany. I tak już daleko zaszedłeś: od znajomości i wspólnych zainteresowań, przez sympatię i przyjaźń, aż po szczyty intymności, by osiągnąć abso-

lutne zespolenie. Nie patrz na tego smoka, bo wpadniesz prosto w jego otwartą paszczę. I nie pozwól, żeby zobaczyła go Sara; już i tak musi stawić czoła rozmaitym potworom. Nawet jeśli uda jej się otrząsnąć z poczucia winy, ma w perspektywie rozwód, a tu jest Anglia, nie Reno. Nie da się szybko i łatwo przeciąć tego węzła. Tutaj będziemy mieli do czynienia z oskarżeniem o cudzołóstwo i wszystkimi związanymi z tym nieprzyjemnościami. Sara robi dla ciebie diabelnie dużo, stary. Na miłość Boską, nie dorzucaj już nic do tego brzemienia, które dźwiga. Następny drobiazg gotów ją złamać. Przystań mydlić sobie oczy, Ed. Idylla skończona. Pora spojrzeć na fakty. I pora przygotować się do walki. Sara pomogła ci to robić w „California Girl” i w „Sally B”. Nadeszła twoja kolej. Zrób to, Ed, i zrób dobrze. Od tego zależy twoje życie.

6

Pierwszą rzeczą, którą zrobiła Sara, kiedy wrócili do Little Heddington, było napisanie listu do Gilesa. Scysja w Londynie dostarczyła niezbędnego bodźca. Wyraz twarzy Eda, gdy go wówczas zaatakowała, popchnął ją do szybkiego i bezwzględnego działania. Okropne było już to, że musi zranić Gilesa, ale za nic nie chciała jeszcze raz zranić Eda. Zasiadła do listu i używając krótkich, ostrych, rzeczowych i nieuchronnych słów opowiedziała mężowi, co się wydarzyło. Nie próbowała się usprawiedliwiać, nie powoływała się na okoliczności łagodzące, nie zatajała niczego. Przeraziła ją własna bezwzględność: oto pozbyła się Gilesa ze swojego życia jednym stanowczym cięciem.

Weekend w Londynie był nieudany pod każdym względem, prócz jednego; zbliżył ich jeszcze bardziej, w stopniu, jakiego nigdy przedtem nie osiągnęli. Ed nie czynił jej wyrzutów, nie próbował niczego zabraniać, a jednak zdjął z niej ciężar winy i przez to samo związał ją ze sobą mocniej niż kiedykolwiek. Rozumiał jej stan ducha, głęboko i do końca, co wzbudzało w Sarze podziw i uwielbienie. Wiedział, jaki zamęt panuje w jej myślach, umiał ukoić jej wahania i wątpliwości – nie, nie wątpiła w Eda, jedynie w siebie samą. Myślała, że boryka się samotnie ze swoją winą, a jednak Ed potrafił dzielić z nią cierpienie, troszczyć się o nią, przejmować inicjatywę, jak to zrobił tego pierwszego dnia, kiedy się poznali. Przewyciężył opory i związał ją ze sobą zrozumieniem i przenikliwością. Uwięził ją w swojej duszy na zawsze, a jednocześnie obdarzył wolnością działania; nawet sobie nie wyobrażała, że jest zdolna postępować tak jak teraz.

Nigdy jeszcze nie była nikogo tak pewna jak Eda. Wiedziała też, że on jest jej absolutnie pewien. Ten Amerykanin zburzył całe jej dotychczasowe życie, uładzone i przewidywalne. Przewrócił jej zasady do góry nogami. Uformował ją po

swojemu. Jego pewność i wiara we własne możliwości były niewzruszone. Przy całej stanowczości nie wykazywał nigdy arogancji. Zdumiewało ją to i zachwycało. Ed stanowił opokę. Dzięki niemu Sara nabrała pewności siebie; próbowała coś zrobić, przekonywała się, że potrafi, więc to robiła.

Kochanie się z Edem było dla Sary nieopisanym przeżyciem. Nauczył ją nie tylko miłości fizycznej. Otworzył jej oczy, ukazał różne możliwości, a ona wyciągnęła obie ręce, by je pochwycić. Przyswoiła sobie tę nową wiedzę z rozkoszą i dreszczem zachwyty. Ed miał wiele talentów w różnych dziedzinach, ale jako nauczyciel w dziedzinie miłości był bezkonkurencyjny. Nigdy nie mówił jej, że ma robić to czy myśleć tamto. Jednak dzięki niemu dostrzegła rzeczy, których dotąd nie zauważała albo o istnieniu których nie wiedziała. Od tego pierwszego popołudnia stał się centrum jej świata. Życie bez Eda było nie do pomyślenia. Umiał zawsze właściwie zareagować na jej postępowanie. Była mu za to tak wdzięczna, że chętnie oddałaby dla niego życie. Czytał w niej jak w otwartej księdze, nieomylnie trafiając w sedno. Wychodził naprzeciw jej pragnieniom. To dzięki niemu wyrwała się ze swojego kokonu i jak zachwycający motyl poszybowała prosto ku gorącemu, jasnemu słońcu, którym był dla niej Ed.

Ed dał jej wolność nie tylko seksualną, ale także duchową. Przy nim robiła i mówiła rzeczy, na które przedtem nigdy by sobie nie pozwoliła. Przyswajała sobie nowe zachowania z szybkością i bystrością, która ją samą zadziwiała. Wiedziała teraz, że choć była żoną Gilesa, seksualnie pozostawała uśpiona. Dopiero Ed obudził ją, pokazując, czym może być miłość fizyczna. Seks z Edem nie polegał jedynie na oddawaniu się i posiadaniu; było to urzeczywistnienie marzeń i wyzwolenie. Oddając mu się Sara nigdy nie czuła się podporządkowana; czuła, że jest darem, który przynosi. Ed tłumaczył na język seksu przepełniające ich uczucia. Nigdy w życiu nie czuła tak dogłębnie, że żyje; nigdy nie doznała takiego zaspokojenia. Jej samotność i izolacja dobiegły końca. Po raz pierwszy naprawdę pokochała – przemożnie i nierozzerwalnie. Nie chciała niczego poza Edem. Dla niego gotowa była poświęcić wszystko. Nawet własne sumienie.

Po południu w przeddzień dwudziestej piątej misji Eda spotkali się jak zwykle w pawilonie. Sara miała służbę, ale zatelefonowała do szpitala i skłamała, że jest chora. Ed kładł się zawsze wcześniej przed nocą poprzedzającą nalot, bo musiał być na nogach o czwartej nad ranem albo nawet jeszcze wcześniej. Dlatego spotkali się po południu. Sara powiedziała mu, co zrobiła. Westchnął zadowolony i przytulił ją mocno.

– Wszystko zaczyna się układać – stwierdził. – Załatwiłaś sprawę z Gilesem, a mnie pozostało tylko odbyć tę ostatnią misję... i jesteśmy w domu.

Ed nie dzielił skóry na niedźwiedziu – nigdy nie popełniał tego błędu; rozważał raczej ewentualności i kalkulował szanse. Fakt, że dotrwał do dwudziestego piątego nalotu na Niemcy, dawał mu szansę rychłego powrotu do kraju.

– Czy potem odeślą cię do domu?

Marzyła o tym, a zarazem obawiała się tego.

– Nie wiem. Zresztą i tak bym nie pojechał. Chyba, że będą chcieli wysłać mnie w objazd po Stanach... ale też odmówię, o ile będę miał jakikolwiek wybór. Chcę być z tobą możliwie jak najdłużej. Przypuszczalnie wrócę do kraju, zanim ty będziesz mogła do mnie przyjechać, ale wierz mi, poruszę niebo i ziemię, żeby to przyspieszyć.

Zamilkł. Sara wiedziała, że teraz robi plany, rozważając i licząc. Ed miał w sobie zawsze pewien chłód, który czasem wywoływał u niej gęsią skórkę. Jedyne z nią i przy niej go zatracił. Miała jednak zawsze niewzruszoną pewność, że cokolwiek Ed zrobi, będzie to najlepszym rozwiązaniem, toteż zdawała się na niego bez reszty. Nie był tajemniczy, ale w niektórych rozgrywkach trzymał karty przy sobie. Wystarczała jej świadomość, że otoczy ją taką opieką i troską, jak nikt inny; a w jaki sposób tego dokona, to jego sprawa.

Kiedy rozstawała się z nim tego popołudnia, była zupełnie spokojna i przeświadczona, że wszystko dobrze się skończy. Ed był także zadowolony – pewny siebie, jej i swoich zamiarów. Teraz Sara musi tylko poczekać na koniec ostatniej misji.

Następnego popołudnia wróciła ze szpitala myśląc z przyjemnością o uroczystej kolacji, którą jej obiecał Ed; skupiła się na kwestii wyboru sukienki. Miał ją gdzieś zabrać razem z resztą załogi, a Sara cieszyła się na to z góry. Mówił, że przyjedzie po nią o siódmej. O szóstej Sara pomyślała, że trzeba zacząć się już powoli szykować. W tym momencie wszedł sir George.

Rzuciła jedno spojrzenie na jego twarz... i już wiedziała, że coś się stało.

– Chodzi o Eda, prawda? – spytała. – Nie wrócił.

– Na dole czeka major Kelly. Chce się z tobą zobaczyć.

Spokojnie odwiesiła do szafy suknię, którą zamierzała włożyć i odwróciła się do lustra, żeby przyglądać włosy. Wyrzała ku niej własna twarz, blada i nieruchoma. Nie czuła nic, poza odrętwieniem. Sir George czekał na nią. Kiedy schodzili na dół, wziął ją za rękę, a wtedy nabrała pewności. Tak, wiedziała, ale jakby nie do końca. Jeszcze nie zrozumiała. Koszmar dopiero się zaczynał.

Hank Kelly był najbliższym przyjacielem Eda w bazie. Niewysoki, uśmiechnięty, rodem z Georgii, odbył razem z Edem szkolenie na Florydzie i od tamtej pory zawsze byli w jednej eskadrze. Czekał teraz w salonie. Stał przed wiszącym nad kominkiem portretem Gilesa w mundurze RAF-u. Kiedy weszła Sara, odwrócił się. Sir George zostawił ich samych.

– Major Kelly... Miło pana widzieć.

– Dobry wieczór pani.

– Proszę usiąść. Ma pan ochotę czegoś się napić?

– Nie, dziękuję pani.

Sara usiadła na jednym z foteli ustawionych wokół kominka; major zajął drugą, naprzeciw niej.

– Chodzi o Eda, prawda? Nie wrócił z misji.

To nie było pytanie, ale stwierdzenie.

– Tak. Kiedy go ostatnio widziano, miał kłopoty. Jeden z silników przestał działać, a na drugim śmigło pracowało nierówno, przynajmniej tak to wyglądało. Ostatni raz, kiedy miałem go w polu widzenia, pikował w dół, uciekając przed hordą niemieckich myśliwców. Jego radio przestało funkcjonować, więc nie mogliśmy się z nim porozumieć. – Major zamilkł na chwilę, ale musiał powiedzieć jej prawdę. – Jest na liście zaginionych w akcji.

Zaginiony w akcji.

– Rozumiem – powiedziała.

Głos miała spokojny, beznamiętny. Kiedy jednak major spojrzął na jej rękę, zobaczył, że kostki zupełnie jej zbiały. Podniosła głowę; jej twarz była tego samego koloru.

– Dziękuję, że przyszedł pan osobiście, żeby mi o tym powiedzieć. Jestem panu bardzo wdzięczna.

– Ed mnie o to prosił – wyjaśnił otwarcie. – Powiedział, że gdyby... gdyby coś się wydarzyło, mam przyjść tu i powiadomić panią. – Przerwał znowu. – Proszę posłuchać, Ed jest urodzonym pilotem. Najlepszym w bazie i jednym z najlepszych w całym lotnictwie. Umie robić zdumiewające numery z fortecą... to jest fantastyczny samolot, proszę pani. Polec i na dwóch silnikach, bez obaw. Jeśli tylko „Sally B” może się utrzymać w powietrzu, Ed przyprowadzi ją z powrotem. Gotów jestem dać za to własną głowę. Albo może na przykład doprowadzić ją na jakieś inne lądowisko... niewykluczone, że byli zmuszeni wodować w Kanale. Radio im wysiadło, więc nie można wiedzieć na pewno. Na razie jest tylko zaliczony do zaginionych. A to wcale nie znaczy, że nie żyje.

Nawet nie drgnęła. Siedziała bez ruchu i patrzyła na niego kamiennymi oczami z lodowatym spokojem. Jezu! – pomyślał major, Ed wiedział co robi, kiedy wybrał akurat tę kobietę. On sam zawsze czuł się przy niej trochę onieśmielony, właśnie przez ten chłód. Jednak, trzeba przyznać, była prawdziwą damą. Żadnych szlochów, żadnych jęków. Jeśli nawet wszystko w niej w środku krzyczało, nic nie wydostało się na zewnątrz. Jedyne papierowa bledność twarzy i rąk zdradzała, że serce jej musi krwawić. Major wiedział, że Ed szalał za nią. Cóż, wpakował się przy okazji w dość głupią sytuację, bo przecież ona była mężatką, w dodatku z wyższych sfer. W ciągu dwóch i pół lat znajomości z Edem miał okazję się przyjrzeć, jak przyjaciel kosi kobiety jedną po drugiej, niczym kombajn na polach w Kansas. Dopiero ta zatrzymała go w pędzie i od tej pory jej nie odstępował. Ed zawsze traktował nieosiągalne kobiety za swoisty rodzaj wyzwania, aż do chwili, gdy Sara Luttrell wzięła się za niego i podbiła go bez najmniejszego trudu. Ed poprosił kiedyś Hanka, żeby opowiedział jej dokładnie, co się zdarzyło... gdyby coś się zdarzyło.

– Nie owijaj niczego w bawełnę – uprzedził wtedy. – Przekaż jej to po prostu. Będzie chciała znać całą prawdę. Może i wygląda delikatnie, ale jest twarda.

Założyłbym się... gdybym miał okazję zgarnąć potem wygraną... że nie krzyknie, nie zemdleje i nie wpadnie w histerię. Nie ma tego w swojej naturze. Będzie się bardziej troszczyła o ciebie niż o siebie. Po prostu taka już jest.

Jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

– Jest pan bardzo dobry, majorze Kelly. To z pewnością nie było dla pana łatwe.

Chryste Panie, kobieto! – pomyślał z pasją. Niech mi pani przestanie dziękować! Już by chyba wolał, żeby płakała, krzyczała, mdlała – cokolwiek, tylko nie ten pozbawiony nerwów drętwy spokój. To było nienormalne. Czy na tym polegało to sławetne zaciskanie zębów? Jeśli o niego chodzi, nigdy się nie przyzwyczai do tego, że Anglicy uważają każdy normalny przejaw ludzkich uczuć za złe maniery. O wiele lepiej by na tym wyszli, gdyby się rzucali, jęczeli, wrzeszczeli. Może to jest hałaśliwe, ale za to naturalne – i o wiele zdrowsze. Taka drewniana uprzejmość była doprawdy niezdrowa... a przecież w jej żyłach z pewnością nie płynęła woda. Ed Hardin nie był typem, który traciłby czas na manekin z wystawy.

Najstraszniejsze w tym wszystkim było to, że chodziło o ostatnią misję Eda. Maszyna Hanka, „Georgia Peach”, była drugim samolotem spośród eskadr stacjonujących w Little Heddington, który wykonał pełne zadanie z takim samym od początku składem załogi. Ed latał już drugim samolotem, a połowa jego pierwszej załogi nie żyła. No, teraz może nikogo już nie zostało. Śmierć mogła ostatecznie wygrać na całej linii. Klęska potrafi wyrwać łup nawet z paszczy zwycięstwa, jak zwykł powtarzać Ed. Do diabła z tym wszystkim, pomyślał gniewnie Hank. Im prędzej wrócę do Macon, tym będę szczęśliwszy. Wstał, żeby się pożegnać, a Sara podniosła się razem z nim.

– Proszę posłuchać – powiedział bez ogródek. – Cokolwiek usłyszę... jeśli dostanę jakąkolwiek wiadomość, dobrą lub złą, przyjdę osobiście, żeby ją pani przekazać.

Uśmiechnęła się znowu, ale jakby mechanicznie.

– Dziękuję. Jest pan bardzo dobry.

– Na razie wpisano go tylko na listę zaginionych, więc jest nadzieja.

– Tak. Nadzieja... – powtórzyła. A potem dodała sztywno: – Jestem panu ogromnie wdzięczna, majorze Kelly.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł machinalnie, a kiedy zorientował się z przerażeniem, co powiedział, umknął pospiesznie.

Kiedy sir George wszedł do salonu, Sara stała przy oknie, nieruchomo jak posąg, patrząc w kierunku jeziora. Podeszedł do niej. Dotknął jej ręki; była zimna jak lód. Przez chwilę oboje stali w milczeniu. Potem Sara oznajmiła głosem bez wyrazu:

– Pójdę na spacer.

Odsunęła się od niego i przeszła równym krokiem przez pokój. Wydawała się odległa jak postać na portrecie. Wyrzał przez okno. Wiedział, dokąd idzie, więc zaczął, aż zniknie za pagórkami, podążając w stronę pawilonu.

Nigdy nie widział jej płaczącej. Zamknęła się po prostu w sobie, jak kwiat stulający płatki, aby ukryć w środku swoje życie, otoczyć je milczącą ciemnością. Z Sary uleciała żywotność. Stała się jakby pusta wewnątrz. Chodziła, rozmawiała, funkcjonowała, ale jakby odizolowana pod szklaną kopułą. Nic jej nie mogło dotknąć. Zaczęła spędzać każdą wolną chwilę w pobliżu jeziora, niezależnie od pogody. Gdy wracała, była jak zamrożona. Nie pozostało w niej ani trochę ciepła. Straciła na wadze, a skóra napięta na szlachetnym kościcu twarzy upodabniała ją do trupiej czaszki. Sir George wiedział, że ona prawie nic nie je, był także pewien, że nie sypia. Zaczął tracić nadzieję na jej powrót do życia. Kiedy czerwiec dobiegał końca, Ed został oficjalnie uznany za zaginionego, przypuszczalnie zmarłego.

Nigdy go nie wspomniała, jakby pogrzebała razem z własnym życiem. Siadywała długimi godzinami w milczeniu, zapatrzona w przestrzeń. Przestała cokolwiek czytać, nie słuchała radia, nigdzie nie wychodziła. Nie przyjmowała żadnych zaproszeń. Jedynym miejscem, które odwiedzała, był pawilon. Robiła to bez względu na pogodę. Sir George wiedział, że może ją tam zawsze spotkać, więc pewnego popołudnia udał się do pawilonu w potokach deszczu. Zastał Sarę przemoczoną do nitki. Siedziała na trawie oparta plecami o drzewo, niepomna na nic, z wyjątkiem własnych myśli. Sir George odprowadził ją do domu pod własnym parasolem, choć była już mokra na wskroś. Skłonił ją, żeby wzięła gorącą kąpiel, potem zapakował do łóżka z gorącym grogiem. Mimo to wywiązało się przeziębienie, które wkrótce przeszło w zapalenie płuc; przez dziesięć dni Sara znajdowała się na granicy śmierci. Przestała walczyć o życie.

Sir George był zrozpaczony. Czuł się zupełnie bezradny, nie wiedział, co robić i do kogo się zwrócić. A potem, w dwa tygodnie od zachorowania Sary, przyszedł do niej telegram z Ministerstwa Lotnictwa. Zawierał informację, że jej mąż, Giles Luttrell, dowódca eskadry, został zestrzelony i spadł w płonącym samolocie na Monte Cassino. Doznał licznych oparzeń, a jego stan był poważny. Miał zostać przewieziony do kraju i umieszczony na oddziale oparzeń szpitala w East Grinstead, gdzie poddadzą go leczeniu.

Sara była już poza bezpośrednim zagrożeniem. Leżała wymizerowana, blada i bardzo słaba, jednak od chwili, kiedy sir George powiadomił ją możliwie najdelikatniej, co przydarzyło się Gilesowi, zaczęła zdrowieć. Nie minęły dwa dni, jak wstała z łóżka i nawiązała kontakt telefoniczny ze szpitalem Królowej Wiktorii. Dowódca eskadry Giles Luttrell przybył tam istotnie, jednak stan jego był krytyczny i nie wolno go było odwiedzać. Sara telefonowała do szpitala codziennie i codziennie odpowiadano jej to samo. Jej mąż był nadal w bardzo złym stanie, ale trzymał się przy życiu.

Wreszcie Sara i sir George mogli pojechać do szpitala, ale nie pozwolono im odwiedzić Gilesa, który był cały czas pod działaniem silnych środków usmierz-

jących. Zobaczyli się tylko z lekarzem, który niczego nie ukrywał mówiąc o zasięgu uszkodzeń ciała u Gilesa. Mąż Sary stracił blisko sześćdziesiąt procent powierzchni skóry od twarzy do kolan; włosy ocalały dzięki hełmofonowi, a dolna partia nóg dzięki długim butom, ale skóra na udach, torsie i ramionach, zupełnie spalona, zeszała z niego jak mokra bibuła. Wymagał przeszczepów skóry, które miały potrwać dłuższy czas, oraz uformowania na nowo twarzy. Stracił jedno oko, drugie, choć uszkodzone, udało się uratować. Przez dłuższy czas będzie wyglądał przerażająco lub wręcz odrażająco. Wszystko to przekazano im energicznie, kategorycznie i bez sentymentów. Sara dowiedziała się ze szczegółami, co czeka Gilesa i jakie będą w związku z tym jej zadania.

Doktor patrzył z aprobatą na jej reakcję. Rzecz jasna, przeżyła wstrząs; każda kobieta słysząc, co zostało z jej przystojnego męża, byłaby w szoku, ale ona przyjęła to z wielką klasą i wykazała niebywałe opanowanie, więc lekarz był z niej zadowolony. Najcięższy okres, przestrzegł ich, nastąpi wtedy, kiedy Giles zacznie wracać do życia. Kiedy uświadomi sobie, co się z nim stało. Najgorsze były zawsze konsekwencje takiego wypadku w psychice chorego. Jednego dnia chodził po świecie przystojny młody człowiek, następnego przeistaczał się w monstrum. Ponadto kolejne operacje osłabiały coraz bardziej organizm i tym samym skracały życie. Od tego momentu trzeba czuwać nad Gilesem i otoczyć go troskliwą opieką; będzie wymagał stałej kontroli, przywożenia na zabiegi, obserwacji stanu ogólnego pod kątem ewentualnych oznak pogorszenia. Ale najtroskliwszej, najzręczniejszej, najbardziej niestrudzonej opieki będzie potrzebowała jego psychika.

To ostatnie zadanie Sara wzięła na siebie. Sir George widział, jak przygotowuje teren, by poświęcić się temu zajęciu. Dostosowała godziny swojej służby szpitalnej tak, żeby móc spędzać maksymalnie dużo czasu z Gilesem. Ponieważ pracowała jako ochotniczka, szpital wyraził zgodę, żeby robiła dla Gilesa to, co potrafi; była to ulga dla nich, dla Gilesa, a także dla niej samej. Nigdy, najmniejszym drgnieniem powieki, nie zdradziła się z obrzydzeniem, które musiało ją ogarniać na widok tego, co zostało z Gilesa. Siedziała przy nim, rozmawiała, czytała mu, obsługiwała go. Była dla niego podporą, zachętą, pomocą. Niczym uosobienie siły, stała się ostoją i ucieczką dla Gilesa. Jego rzeczy, które zwrócono, przeszukała starannie. Znalazła wśród nich wszystkie swoje listy, ułożone porządnie datami; wszystkie, z wyjątkiem tego, w którym wyznała, że od niego odeszła. Przejrzała ponownie każdą rzecz, ale ostatniego listu nie znalazła. Najwyraźniej nigdy go nie dostał. Tego więc przynajmniej los mu oszczędził. Sara zdwoiła wysiłki, koncentrując się zaciekle na pielęgnowaniu męża. Wyglądało na to, że pośród bezładnych strzępów pozostałych po jej życiu znalazła coś, czego się mogła uchwycić. Giles jej potrzebował, i to było najważniejsze. Powrót Gilesa do zdrowia stał się dla niej jedynym celem w życiu i dążąc do niego funkcjonowała w sposób perfekcyjny. Powodowała to bezlitosna wola i rozum, nie uczucie. Uczucia Sary umarły wraz z Edem. Niemniej sir George nie mógłby jej niczego zarzucić, jeśli

chodzi o opiekę nad synem. A jeżeli straciła przy tym ludzkie cechy, stając się automatem... Giles był zbyt chory, by potrzebował czegoś więcej poza fizyczną obecnością Sary i jej oddaniem.

Przez cały lipiec i sierpień poświęcała się bez wytchnienia pielęgnowaniu go, a Giles robił niewielkie, ale stałe postępy. Nie przebywał już w kąpieli z soli fizjologicznych i oparzenia zaczynały się goić. Lekarze mówili optymistycznie o przystąpieniu do przeszczepów skóry w ciągu miesiąca czy może dwóch. Giles, kiedy wyszedł ze stanu krytycznego i odzyskał świadomość na tyle, by zrozumieć i ocenić, co się z nim stało, pogrążył się w apatii, która była niemal równie trudna do przeniknięcia, jak duchowa izolacja Sary.

Po jakimś czasie otrząsnął się z apatii; przeżył kolejno stadium ponuractwa, potem gniewu, by ostatecznie pozostać przy kapryśnym, wybuchowym usposobieniu i zjadliwym języku. Jego osobowość uległa metamorfozie. Spokojny, łagodny chłopiec przekształcił się w mężczyznę o paskudnie złośliwym charakterze, który z upodobaniem upokarzał otoczenie. Sir George był przerażony słysząc jadowity ton, jakim Giles zwracał się do Sary, ton nabrzmiały czystą nienawiścią. Wobec Sary zachowywał się zawsze ostro i uszczypliwie, a brak reakcji z jej strony prowokował go tylko do dalszych zniewag. Zrobił z niej kozła ofiarnego i biczował ją bezlitośnie, kiedy z nim przebywała. Miał obsesję na punkcie swojego obecnego stanu i w żaden sposób nie potrafił pogodzić się z rzeczywistością. Napadał z furją na lekarzy, złorzeczył pielęgniarce, ubliżał współtowarzyszom niedoli, wreszcie zrażał do siebie każdego, kto próbował zbliżyć się do niego z sympatią czy współczuciem. Zdarzyło się parokrotnie, że zdecydowanie odmówił wypuszczenia Sary, która miała za sobą długą podróż do East Grinstead, a teraz musiała beczynninie czekać w szpitalu na wypadek, gdyby zmienił zamiar. Doprowadziło to do furii sir George'a, który zmył głowę Gilesowi. To z kolei naraziło go na atak ze strony syna, a cała awantura spowodowała niemal całkowite oziębienie stosunków między ojcem a synem. Nawet komuś najbardziej wyrozumiałemu, kto uwzględniał jego cierpienia, kalectwo, zmarnowane życie, nietrudno było stwierdzić, że Giles stał się innym człowiekiem i że nie jest to zmiana na lepsze.

Sir George wstydził się za niego i oburzał na sposób, w jaki syn odnosi się do żony. Zdumiewało go opanowanie Sary, którą uważał za kobietę niezwykle cierpliwą, pozbawioną egoizmu, dopóki nie odkrył, że ona nie reaguje, ponieważ nic nie czuje. Była tak odrętwiała, że nic jej nie mogło poruszyć. Sir George zaczął się zastanawiać, czy nie dlatego Giles przejawia wobec niej takie okrucieństwo. Czy coś zauważył? Coś wiedział? Czy zorientował się, że dzisiejsza Sara nie jest tą kobietą, co dawniej? Sir George przeprowadził dyskretne śledztwo i odkrył, że dla Gilesa Ed Hardin jest tym miłym Amerykaninem, który był taki dobry i uprzejmy dla jego żony i ojca, przynosząc im rozmaite dobra z amerykańskiej kantyny i zapewniając ojcu whisky oraz cygara w zamian za okazjonalną partyjkę szachów. Giles wiedział także o załodze „Sally B”, o tym, że jakby zaadoptowali Luttrellów, którzy ich przedtem przygarnęli w swoim domu – ale to było wszyst-

ko. Giles wykazywał kompletną obojętność, kiedy sir George o tym opowiadał. Nie objawiał żadnego żywszego zainteresowania. Z tego wynika, myślał ojciec, że on o niczym nie wie. Dzięki Bogu, choć za tę drobną pociechę. Gdyby coś do Gilesa dotarło... To już nie był ten dobry i wyrozumiały człowiek sprzed katastrofy. Tamten nie skrzywdziłby muchy; ten zmiażdżyłby ją z satysfakcją.

Koniec końców sir George pojął, że to, co robi Sara, jest rodzajem pokuty. Giles był jej krzyżem; wzięła jego kalectwo na ramiona i będzie je niosła przez resztę życia. Od tej chwili skupi się wyłącznie na wykonywaniu swoich obowiązków. Własne kalwińskie sumienie przekonało ją, że musi teraz płacić za szczęście, jakie znalazła u boku Eda. Wzięła od życia to, co chciała, teraz nadszedł czas zapłaty. Ale cóż to za monstrualny rachunek, myślał sir George. Będzie się z nim borykała do końca życia. Tylko co to za życie!

Sierpień przeszedł w wrzesień, a Sara nadal przyjeżdżała regularnie do szpitala w każdy weekend. Usposobienie Gilesa nie zmieniło się na lepsze. Raczej stał się jeszcze trudniejszy do zniesienia. Po kolejnych operacjach terroryzował swoim cierpieniem wszystkich, którzy znaleźli się w jego zasięgu, przede wszystkim zdrowych i całych. Na przykład Sarę. Był tak obsesyjnie skupiony na sobie, że nie wracał uwagi na nic innego, a jeśli cokolwiek zauważył, nigdy o tym nie wspominał.

A potem, pewnego niedzielnego wieczoru w końcu września, kiedy sir George czekał na Sarę, która poszła do szpitala sama, ponieważ on i Giles nadal byli na siebie wściekli – pojawił się niespodziewanie z powtórnią wizytą Hank Kelly. Towarzyszył mu drugi mężczyzna, w którym zaskoczony sir George rozpoznał z radością Williego Moscovicza, tylnego strzelca z „Sally B”, spokojnego, solidnego i trochę nieśmiałego dwudziestodwulatka z Fort Wayne w stanie Indiana, najmłodszego członka załogi, który latał jeszcze na „California Girl”. Hank Kelly uśmiechał się od ucha do ucha.

– Co ma wisieć, nie utonie – zażartował. – „Sally B” miała przymusowe lądowanie w Holandii, a załoga przez cały ten czas ukrywała się u członków tamtejszego podziemia, aż w końcu uciekli. Ed ma się całkiem dobrze, ale został trochę podziurawiony, więc musieli go tam zostawić, zresztą niech Willie opowie. W końcu on tam był... Willie, opowiedz sir George’owi o wszystkim.

– Więc to było tak, sir... kiedy wracaliśmy do bazy, zaatakowała nas nagle cała gromada tych focke-wulfów. Już wcześniej nam się dostało z ziemi i w jednym silniku wysiadła sprężarka, mieliśmy też jedno urwane śmigło. Musieliśmy opuścić szyk, a te myśliwce... opadły nas jak komary. Kapitan tylko skierował „Sally” dziobem w dół, żeby je strząsnąć. Słowo daję – głos Willie’ego ożywił się dawnym zachwytem i podnieceniem – to śmigło, jak poleciało, mogło z powodzeniem urwać prawe skrzydło, ale kapitan, jak wyrównał „Sally”, to zaraz je ustawił równoległe i jak nie ruszy nad tą autostradą – grzał jak sam diabeł! Nie wchodziliśmy powyżej trzydziestu metrów, czasem zeszło się i do dwudziestu, a to dlatego, że lecieliśmy tylko na dwóch silnikach. To było fantastyczne. Gnali-

śmy nad drogami, jakby forteca była najnowszym modelem samochodu, ale że miała dziur tyle co sito i ciekła potężnie, kapitan nie mógł wylecieć poza holenderskie wybrzeże. Widzieliśmy morze, ale brakowało już paliwa i musieliśmy gdzieś wylądować, więc kapitan usiadł na jednym z tamtych płaskich pól, jakby miał pod sobą dwukilometrowy pas startowy. Wyskoczyliśmy szybko, a jacyś Holendrzy przyszli i ukryli nas, i wydaje mi się, że od tamtej pory uciekaliśmy i kryliśmy się przez cały czas bez przerwy, a oni tylko przekazywali nas z rąk do rąk jak paczkę, aż wreszcie doprowadzili nas w pobliże naszych oddziałów we Francji i przepawili przez morze pod osłoną ciemności. Kapitan dostał w udo przez to, że natknęliśmy się na niemiecki patrol; kula złamała kość udową i nie mógł chodzić. Właśnie dlatego musieliśmy go tam zostawić. Ale z nim jest całkiem dobrze, sir, i jak tylko będą mogli, to go przerzucą. – Sięgnął do górnej kieszeni, wyjął kopertę i wręczył ją sir George'owi. – Dał mi ten list. To dla pani.

Sir George wziął list lewą ręką, a prawą uściśnił serdecznie dłoń młodego człowieka.

– Mój drogi Willie – powiedziała. – Trudno mi wyrazić, jak się cieszę, że cię znów widzę i że reszta załogi „Sally B” jest cała i zdrowa. Uczymy to, kiedy wróci kapitan Hardin, a tymczasem wypijmy wasze zdrowie tą whisky, którą dostałem od waszego Człowieka z Żelaza. Proszę za mną, bardzo proszę...

Wypili drinka, potem drugiego, a Willie opowiadał o przygotowaniach załogi od chwili, kiedy „Sally B” wylądowała niedaleko holenderskiego wybrzeża. Kiedy goście poszli, sir George usiadł ciężko w fotelu. Mijał już rausz wywołany przez whisky; zastąpiła go panika na myśl o tym, co będzie, gdy wróci Ed. Sara prędzej czy później musi się o tym dowiedzieć. Nie mogą tego przed nią ukryć, myślał sir George. Tylko co ona zrobi? Zdążyła się już pogodzić ze śmiercią Eda i powrócić – jeśli nie duszą, to przynajmniej ciałem – do Gilesa. Ed nie miał pojęcia, co się wydarzyło podczas jego nieobecności. Na pewno martwił się, jak Sara reaguje na brak wieści od niego i dlatego do niej napisał.

Sir George spojrzął na list leżący na bocznym stoliku. Tania koperta w marnym gatunku; z pewnością najlepsza, jaką udało mu się zdobyć. Nie było na niej imienia ani nazwiska. Ed postąpił przezornie, pomyślał sir George z podziwem. W obecności Eda zawsze odnosił wrażenie, że każdym jego posunięciem, każdym czynem kieruje chłodna inteligencja, chociaż jego uczucia były całkowicie i bez reszty skupione na Sarze. Sir George nie wątpił ani przez moment, że Ed kocha ją naprawdę głęboko, mimo rozsądnego opanowania, jakie wykazywał w działaniu. Dowodem był choćby ten list. Żadnego imienia czy nazwiska na kopercie i prawdopodobnie również w środku. Gdyby Williego złapano, a list znaleziono, Sara nie zostałaby w ogóle w tę sprawę zamieszana; byłby to po prostu list do nieznannej kobiety, nic więcej. Wszystko dlatego, że Sara była także żoną Gilesa. Przez minione trzy miesiące grała tę rolę perfekcyjnie, chociaż w dramacie jej życia zmienił się główny bohater. Nie dorównywał poprzednikowi, ale z przyczyn od siebie niezależnych. Sara, rzecz jasna, wzięła to pod uwagę i w swojej

nowej roli dała z siebie wszystko. Ci, którzy ją oglądali, orzekli zgodnie, że jest wspaniała. Jeden sir George wiedział, że w grę wchodzi wyłącznie technika aktorska, że brak tu autentycznego uczucia, które potrafił wywołać jedynie Ed. A teraz miał powrócić. Kto więc zagra główną rolę męską u boku Sary?

Ed wraca. Jakiż jest więc sens poświęcenia, na które zdobywała się Sara? Powrót Eda do życia oznaczał dla Sary zmartwychwstanie. Ale jak będzie teraz mogła poświęcać odzyskane życie ratowaniu Gilesa? Czy gdyby go opuściła potrafiłaby żyć w zgodzie z własnym sumieniem? Nie po tym, co spotkało jej męża. Giles taki, jaki był niegdyś – cały, zdrowy, wytrzymałby każdy wymierzony przez nią cios. Giles, który cudem uniknął spalenia żywcem, bezradny, chory, nieszczęśliwy człowiek – na pewno by tego nie zniósł. Sir George widział tylko jedno wyjście: Ed będzie musiał się wycofać. I to Sara obwieści mu ten wyrok. Zrobi to na pewno, nawet wbrew swojej woli. Dawna Sara nigdy nie miałaby dość siły. Ta nowa zdobędzie się na to.

I zdobyła. Kiedy sir George powiedział jej o Edzie, rozjaśnił ją na mgnienie oka płomień czystej radości, strzelił wielkim, jasnym ogniem, po czym zgasł. Sir George cierpiał, patrząc na nią. A potem niemal na jego oczach powzięła nieodwracalną decyzję. Czuł niemal jej udrękę, której nie potrafiła ukryć. Pociemniałe oczy płonęły w białej jak papier twarzy. Od tego czasu znikła gdzieś jej lodowata obojętność. Stała się napięta, stale poirytowana, żyła nerwami. Starszy pan obserwował, jak zbiera powoli siły, żeby zrobić to, co musi: powiedzieć Edowi. Uzmysłowił sobie, że sam czeka z zapartym tchem i z trwogą na pojawienie się Eda. Sara, która jeszcze niedawno siadywała godzinami bez ruchu, patrząc w przestrzeń, teraz była niespokojna, rozdrażniona, podminowana. Wydawało się, że nieustannie czegoś nasłuchuje. Na dzwonek telefonu reagowała gwałtownym wzdrgnięciem, a codzienną poranną porcję listów przeglądała po prostu z lekkiem. Kiedy wyjeżdżali do East Grinstead, nie przychodziła nigdy do salonu po kolację. Szła od razu do swojego pokoju i sir George wiedział, że siedzi przy oknie patrząc i czekając.

Nocami płakała. Nigdy przedtem sir George nie słyszał tak gorzkiego szlochu. Wydawało się, że ten płacz rozdziera ją na strzępy. Zbierała siły, by zdobyć się na popełnienie emocjonalnego samobójstwa, a jemu, który na to patrzył, krwawiło serce. Był szczęśliwy ze względu na swojego syna, ale ogromnie przygnębiony ze względu na nią. Nie mówiła mu nawet, co zamierza zrobić. Nie było takiej potrzeby. W tych dniach pomiędzy sir George'em a jego synową istniało nieme porozumienie. Od czasu, gdy nadeszła wiadomość o Edzie, potrafili komunikować się spojrzeniem i gestem. Byli sobie bliżsi niż dawniej. Zawsze odnosili się do siebie z sympatią, ale teraz sir George kochał Sarę mocniej niż kiedykolwiek. Żywił do niej głęboką wdzięczność, niejako w imieniu syna, ale także w swoim własnym. Jednak było mu jej bardzo żal. Wiedział, że w szpitalu wszyscy mają ją za wzorową żonę, dokładnie taką, jaką być powinna; a choć nikt nie znał przyczyn, dla których to robiła, sir George był z niej bardzo dumny i starał się jej

pomóc, na ile mógł. Wiedział, czego wyrzekła się dla Gilesa. Ed Hardin nie był mężczyzną, z jakiego kobieta łatwo rezygnuje, a Giles Luttrell nawet przed wypadkiem nie stanowił dla niego żadnej konkurencji. Sara nigdy nie była taka szczęśliwa, tak pełna życia, tak kobieca jak od chwili, kiedy spotkała i pokochała Eda. Teraz gotowa była wyrzec się tego dla kalekiego, mściwego człowieka, którym trzeba się będzie opiekować jak dzieckiem do końca życia. Przepęniało to sir George'a podziwem, uwielbieniem i ściskającym za gardło wzruszeniem. Pragnął zrobić coś, żeby pomóc Sarze w tym ciężkim okresie, ale nawet nie próbował jej tego proponować. Musiała przejść przez to sama. Nieobcy mu był sposób rozumowania Sary: jeśli coś musi być zrobione, po prostu się to robi; nie ma wyboru. Skoro raz powzięła decyzję, wypełni swoją powinność, obojętne ile ją to będzie kosztowało. Problem polegał na tym, że aby tego dokonać, zmobilizowała wszystkie swoje siły. Sir George modlił się, żeby Ed wrócił, nim ona się załamie.

Wrzesień miał się ku końcowi, kiedy Ed wreszcie się odnalazł i pojawił w hotelu w East Grinstead. Sara leżała już w łóżku. Spędzili ten dzień w szpitalu, ale sir George – który pojechał z Gilesem, bo nie mógł znieść dłużej takiej zapiekłej wrogości w rodzinie – wrócił do hotelu wcześniej. Potem pokazała się Sara, tak wyczerpana, że odmówiła zjedzenia kolacji i poszła prosto na górę. W rezultacie sir George zjadł samotnie, a potem przeszedł do salonu z książką. Szybko się zorientował, że siedzi patrząc w przestrzeń i rozmyśla, martwiąc się sytuacją, w którą – jak się okazało – był uwikłany w równej mierze, co syn, synowa oraz Ed Hardin. Miał coraz większe wyrzuty sumienia na temat swojego udziału w tej sprawie. Gdyby wykazał swego czasu więcej stanowczości i sprzeciwił się ostro, gdyby zasypał Sarę wymówkami, zagroził jej lub wywarł na nią presję, wytykając jej błąd, jaki miała zamiar popełnić, gdyby zrobił cokolwiek – to wszystko może by się nigdy nie wydarzyło. Sara miałaby na głowie chorego Gilesa, ale nie mariałaby w oczach ze zgryzoty; miłość nie walczyłaby w niej z poczuciem winy, co doprowadziło ją do chorobliwego stanu nerwowego niepokoju połączonego z lękiem. Stary człowiek pomyślał ze wstydem, że nie potrafił zapewnić jej moralnej podpory. Sir George lubił, żeby ludzie wokół niego czuli się szczęśliwi. Bóg świadkiem, że szczęście nie było wcale łatwe do osiągnięcia, a Sara znalazła je u boku Eda. Nigdy w życiu nie widział jej tak szczęśliwej. Dlaczego dopuścił, by sprawy zaszły tak daleko? Dlaczego nie przeszkodził Sarze, zanim zaangażowała się tak głęboko, tak nieodwołalnie? Zdecydował, że ma za miękkie serce, że był zbyt uległy. Zbyt słaby, powiedział sobie bez ogródek. Za bardzo lubił wygodę życiową, więc pozwalał, by sprawy szły swoim torem. Był wreszcie za leniwy, zbyt nieudolny, zbyt... ach, na cóż się zda wyliczanie, pomyślał. Co się stało, to się nie odstanie. Samooskarżenia nic tu nie zmieniają.

Sir George wstrząsnął się i sięgnął po szklaneczkę whisky. Odstawiał ją właśnie na stół, kiedy podszedł do niego boy hotelowy, by zawiadomić, że w recepcji pyta o niego niejaki kapitan Hardin z Amerykańskich Sił Powietrznych. Sir George omal nie upuścił szklaneczki. Wielki Boże, pomyślał. A więc stało się. Ed jest tutaj.

Ed stał przy ladzie recepcji i sir George miał okazję przyjrzeć mu się niewidziany. Ed był chudszy i bledszy niż dawniej, jakby przez długi czas nie oglądał słońca, twarz miał nieruchomą i zawziętą. Sir George poczuł, że braknie mu odwagi. Ed nie był głupcem. Kiedy wrócił do Little Heddington, musiał się dowiedzieć, co spotkało Gilesa. W końcu wszyscy o tym wiedzieli. Cokolwiek wydarzyło się w rodzinie Luttrellów, stanowiło pożywkę dla plotkarskiego światka Little Heddington. To z tego powodu sir George błagał Sarę, żeby zachowała dyskrecję. Teraz odetchnął głęboko i ruszył naprzód.

– Ed, drogi chłopcze.

Ed odwrócił się szybko i podszedł do sir George’a, który zauważył, że młody oficer lekko kuleje.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię znów widzę. Chyba wiesz, że straciłszy już nadzieję. Myśleliśmy... ale to nieistotne. Jesteś tutaj, a mnie naprawdę trudno wyrazić, jaka to radość. Chodź, wypijemy drinka i opowiesz mi o wszystkim.

Ed nie zareagował na zaproszenie. Stał nadal w miejscu.

– Sara... jak się czuje Sara?

– Teraz śpi. Spędziła cały dzień w szpitalu. Giles miał dziś następną operację. – Sir George zamilkł, po czym podjął spokojnym tonem: – Zapewne wiesz, co się przydarzyło Gilesowi?

– Tak. Powiedzieli mi w bazie. O ile dobrze zrozumiałem, został bardzo poważnie poparzony.

– Prawie śmiertelnie – oświadczył otwarcie sir George.

– Przykro mi to słyszeć.

Nie wiem, czy ci przykro, pomyślał sir George i zaraz dorzucił zawstydzony:

– Giles zaczyna wracać do zdrowia, ale oczywiście to będzie bardzo długi proces.

– A Sara? Jak ona się miewa?

– Niezbyt dobrze – stwierdził sir George krótko. – Ostatnie miesiące były dla niej bardzo ciężkie.

Twarc Eda stężała.

– Myśli pan, że nie zdaję sobie z tego sprawy? – odparł gwałtownie.

Sir George cofnął się o krok.

– Naturalnie, naturalnie – potwierdził szybko.

Popatrzył na Eda niepewnie i z troską.

– Wiem o tym – powtórzył Ed, tym razem łagodniej. – Właśnie dlatego muszę zobaczyć się z Sarą.

Tak, pomyślał sir George. Pewnie, że wiesz. Dlaczegoż by nie? Nie jesteś głupcem.

– Czekala na ciebie – przyznał uczciwie. – Ale wolałbym, żebyś jej teraz nie budził. Jest zmęczona, wyczerpana. Od jakiegoś czasu znajduje się w ciągłym napięciu i prawdę powiedziawszy, to ją całkiem wykończyło. Poza tym nie tak

dawno temu przechodziła zapalenie płuc. Przemokła do suchej nitki przy pawilonie... – dostrzegł błysk w oczach Eda, który zrozumiał natychmiast – a Giles... Giles to niełatwe zajęcie. Okazał się bardzo... oporny. Chyba nie muszę ci tego bliżej wyjaśniać.

– Nie potrzeba – zgodził się Ed, który wiedział, o co chodzi.

Sir George zawahał się. Chciał wyznaczyć więcej, ale bał się, że powie nie to, co należy.

– Rozumiesz, Ed, sprawy się... skomplikowały – zaczął delikatnie. – Sara myślała, że nie żyjesz. Wszyscy tak myśleliśmy. Ta wiadomość była dla niej wielkim ciosem. Na swój sposób także umarła. Po prostu... odeszła, zamknęła się w sobie, odcięła od wszystkiego i wszystkich. Bardzo się o nią martwiłem. Ale odkąd Giles... Naprawdę mu się poświęciła, od kiedy go tu przywieziono. Trudno byłoby opowiedzieć, jaka jest wspaiała. Gdyby nie ona...

– Nie musi pan kończyć – odparł Ed ciężko; w oczach miał smutek.

– Wiem, że Sara chciałaby cię zobaczyć – oznajmił sir George szczerze. – Ale wolałbym, żebyś jeszcze trochę zaczekał. Potrzeba jej każdej minuty snu.

– Ja po prostu muszę się z nią widzieć – powiedział Ed spokojnie.

Był nieugięty, odporny na argumenty.

– Więc dobrze. Chodź ze mną, zaprowadzę cię na górę.

Sara nie poruszyła się, kiedy weszli do jej pokoju. Zasłony nie były zaciągnięte i przez okno wpadało dość światła, żeby mogli dojrzeć, że leży w łóżku na plecach, z jedną ręką na brzuchu, a drugą odrzuconą na poduszkę. Wyglądała na wyczerpaną i spała ciężkim, nieruchomym snem. Pod oczami miała ciemne cienie, a kości twarzy rysowały się ostro pod skórą. Sprawiała wrażenie kruchej, bezbronnej, potrzebującej opieki. Sir George został przy drzwiach, a Ed podszedł do łóżka, żeby na nią popatrzeć. Stał tyłem do sir George'a, który nie mógł widzieć jego twarzy, ale trwało to tak długo, że starszy pan się zdenerwował. W końcu podszedł do łóżka.

– Myślę, że powinniśmy już iść – wyszeptał.

W tym momencie dostrzegł wyraz oczu Eda i zorientował się, na co on patrzy. Jego oczy nie były utkwione w twarzy Sary, ale w jej lewej ręce, leżącej bezwolnie na brzuchu. Sir George również na nią spojrział i doznał szoku: Sara włożyła z powrotem obrączkę. Popatrzył na Eda i zorientował się, że on też rozumiał. Sir George położył mu rękę na ramieniu.

– Chodź już – szepnęła bardzo cicho. – Dajmy jej spać. Możesz z nią porozmawiać jutro.

Ed odwrócił się i wyszedł z pokoju krokiem lunatyka. Sir George zamknął za sobą cicho drzwi. Zobaczył, że twarz Eda jest pozbawiona wszelkiego wyrazu, zastygła pod wpływem szoku. Patrzył na sir George'a pustym spojrzeniem, nie widząc go wcale. Sir George wziął go za ramię i zaprowadził obok, do swojego pokoju. Posadził go na krześle, nalał porcję whisky z butelki podarowanej mu kiedyś przez Eda i włożył mu szklaneczkę do ręki.

– Proszę – powiedział. – Wypij to.

Ed spojrział na szklankę i wychylił jej zawartość jednym haustem. Siedział teraz bez ruchu, zapatrzony w przestrzeń. Kiedy się odezwał, jego głos był równie pusty jak spojrzenie.

– Straciłem ją – stwierdził bez wyrazu. – Wróciła do Gilesa.

Sir George odchrząknął.

– Nie zapominaj o tym, że... – zaczął, po czym urwał i westchnął. – Ona myślała, że nie żyjesz – przypomniał łagodnie.

– Nie żyję – zgodził się Ed beznamiętnym tonem. – Właśnie mnie zabiła.

Jego twarz, jego oczy zdawały się mówić, że nie wierzy. To po prostu nie mogło się zdarzyć.

Sir George nalał mu następnego drinka.

– Powiedziałem ci, że sprawa jest skomplikowana – zauważył z nieszczęśliwą miną.

Ed wstał raptownie.

– Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień – powiedział szorstkim głosem. – Wystarczy mi to, co wiem.

– Giles jej potrzebuje – odparł sir George po prostu.

– A ja ją straciłem.

Sir George westchnął.

– Cóż mogę ci poradzić?

– Nic.

To jedno słowo było ostrzeżeniem.

– Nie chcesz... porozmawiać z nią później?

– Po co?

– Ona na ciebie czekała.

– Żeby mi to powiedzieć?

– Owszem – zgodził się sir George. – To i inne rzeczy.

– Nie ma żadnych innych rzeczy. Wróciła do niego.

– Więc co mam jej przekazać? – spytał sir George. Uświadomił sobie, że mówi błagalnym tonem.

– Że nie musi mi niczego mówić. Że wiem wszystko.

– Nic więcej?

– Nie ma niczego więcej.

Sir George spróbował jeszcze raz.

– Ed, postaraj się zrozumieć. Giles jest teraz...

– Wiem, jaki jest teraz Giles – uciął Ed ostro niczym skalpelem.

– W takim razie musisz również wiedzieć, jaka jest teraz Sara – zauważył niegłęboko sir George.

W oczach Eda widniała przepojona goryczą udreka.

– Owszem. Na moje nieszczęście.

Wyszedł, zanim sir George zdołał go powstrzymać i zamknął drzwi za sobą.

Nazajutrz rano sir George wstąpił do Sary, żeby zabrać ją na śniadanie. Stała przy toalecie i szczotkowała włosy. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Ręka trzymająca szczotkę znieruchomiała, zeszywniała.

– Wrócił – powiedziała.

– Tak.

Odłożyła szczotkę, jakby zrobiła się nagle za ciężka.

– Jak... jak on się miewa?

– Jest chudszy, trochę utyka. Widział cię.

Nie odezwała się, wpatrzona w niego płonącymi oczami.

– On już wie – dodał sir George. – Zauważył twoją obrączkę. Powiedział... że nie trzeba mu nic mówić.

Sara opadła na taboret przed toaletką. Przyglądała się obrączce, obracając ją wokół palca. Sir George widział, jaka ta obrączka jest luźna.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem. Po prostu... poszedł.

– Wróci tu?

Spojrzała na sir Georga, który wreszcie przyznał:

– Nie wydaje mi się.

– Tak... bo i po cóż miałby to robić? – odparła Sara. – Nie ma przecież po co wracać.

Poszli do szpitala i spędzili dzień z Gilesem, który był dziś wyjątkowo dokuczliwy i ponury. Dogryzał Sarze mówiąc, że wygląda jak śmierć i sama powinna leżeć w szpitalu, a nie przychodzić w odwiedzin. Nie dał się w żaden sposób rozweselić ani pocieszyć. Ten dzień był bardzo ciężki i sir George opuścił szpital z ulgą. Sara nie odzywała się w drodze powrotnej. Siedziała w ciszy, spowita nią jak całunem.

W poniedziałek rano przy śniadaniu Sara położyła przed teściem list zaadresowany do Eda.

– Dopilnujesz, żeby go dostał? – zapytała. – To znaczy, żeby go dostał do rąk własnych. Jestem mu winna wyjaśnienie.

– Oczywiście – przytaknął sir George.

Obserwował ją, jak nalewa filiżankę kawy. Ręce jej nie drżały. Była całkowicie spokojna i opanowana. Tylko oczy zdradzały wewnętrzną mękę. Wezbrała w nim litość połączona z poczuciem winy.

– Saro...

Podniosła szybko oczy.

– Nie – powiedziała, a po chwili powtórzyła: – Nie.

Nagle jej ręka trzymająca filiżankę zaczęła drżeć tak silnie, że musiała postawić naczynie na stole.

– Myślisz, że nie wiem, jaką krzywdę mu wyrządzam? – zapytała szeptem. – Myślisz, że nie wiem, jak on się musi czuć? Tylko co ja mam zrobić? Powiedz mi! Powiedz z czystym sumieniem, co innego mogę zrobić?

– Nic – odparł po prostu sir George. – Jesteś tym, kim jesteś, Saro. I dlatego nic nie możesz zrobić.

Nagle twarz Sary, dotąd nieruchoma, jakby rozpadła się na kawałki; wpadnięte oczy, gorące i suche, wypełniły się łzami, a usta drżały jak w febrze.

– Czemu nie zginął i nie został wśród zmarłych? – spytała z rozpaczą, głosem, w którym czuło się cierpienie. – Zniosłabym świadomość, że nie żyje. Ale dlaczego go skrzywdziłem? Już lepiej, żeby umarł, niż żeby musiała go tak ranić. O Boże, dlaczego on tego dożył?

Zerwała się od stołu tak gwałtownie, że krzesło runęło na podłogę i ze zduszonym okrzykiem wybiegła z pokoju.

Sir George dostarczył list do bazy, ale nie zastał tam Eda. Poinformowano go, że Ed ma wolne. Sir George pojechał tam ponownie po tygodniu. Ed nie podlegał już bazie w Little Heddington, został przeniesiony do innej, na wschodzie Anglii. Sir George zdobył nowy adres i tam przesłał list. Nie ujrzał Eda nigdy więcej.

Wracając teraz do Londynu, Ed czuł się za kierownicą samochodu jak w samolocie. Zupełnie jak wtedy, kiedy wyruszył za sterami „Sally B” w drogę powrotną, przemierzając Niemcy nad autostradą; nie wyżej niż trzydzieści metrów nad ziemią, chwilami schodząc jeszcze niżej, grzał głównymi szosami jak samochód sportowy, przynaglając „Sally B” siłą woli, żeby doleciała z nimi do kraju albo choćby do Kanału. Gdyby wodowali, pomogłaby im zapewne Brytyjska Powietrzna Pomoc Morska – to jest, oczywiście, jeśli zostaliby dostrzeżeni przez inny samolot, jako że nie mieli radia. W jakiejś chwili zobaczył dwie wąskie, wysokie wieże kościelne, które wyrosły przed nimi. Przechylił „Sally B”, a ona prześliznęła się między nimi na boku, wskazując czubkiem skrzydła w dół, i kontynuowała lot jakby nigdy nic, z załogą, która śmiała się z radości, gwizdała i krzyczała, bo pomimo niebezpieczeństwa wszystko to było cudownie radosne, jak wtedy, kiedy pierwszy raz spróbował surfingu na Hawajach.

Teraz miał podobne uczucie. „Sally B” nie zdołała dolecieć poza wybrzeże Holandii, ale dziś czuł taką samą bezgraniczną pewność siebie. Odnalazł ten sam stan upojenia. Co za zwariowany los, pomyślał. Przydzielił ci same błotki dwadzieścia lat temu, za to teraz siedzisz i patrzysz na fula, którego trzymasz w rękę, a jeszcze masz asa w rękawie. Nieważne, że Gilesowi Luttrellowi trafił się sekwens. Ty masz Sarę. Poker nigdy nie był twoją mocną stroną, ale tym razem dostałeś karty, które ratują ci życie. Rozegraj je mądrze i trzymaj blisko siebie. To nie szachy, w których jesteś o tyle lepszy. Grałeś ze śmiercią i wygrałeś z tą najgroźniejszą przeciwniczką w grze o swoje ciało. Ona za to zwyciężyła w tej drugiej rozgrywce – uśmierciła w tobie ducha trafiając tam, gdzie najmocniej boli, najbardziej krwawi.

Wrócił pamięcią do tamtych pierwszych miesięcy bez Sary, kiedy błądził, potykając się, jak człowiek w szponach przeraźliwego bólu; kiedy wszystkie myśli wyrażały się jednym słowem: „odeszła”, choć jeszcze nie mógł uwierzyć, że mu to zrobiła. Nie po tym wszystkim, co mówiła, co robiła, co między nimi istniało. A jednak odeszła. Do tego, co zostało z Gilesa Luttrella. A on od tamtego czasu błądził w ciemności. Nic nie mogło mu pomóc. Ani inne kobiety, ani alkohol, ani gniew, niebezpieczeństwo czy czas. Nic nie pomogło; a przecież, Bóg świadkiem, że się starał. To po prostu śmieszne, myślał, żeby jedna kobieta potrafiła związać na tak długo jego uczucia. Nadaremnie próbował z innymi. Szedł przez ich szeregi jak ogień przez suchy las, tylko po to, żeby wyłonić się nietkniętym, nadal pragnąc tylko jej jednej, kochając ją jedną. Serce dalej miał wypełnione po brzegi gniewnym, palącym żalem.

Zdumiewało go, że jedna istota ludzka może sprawić tyle bólu drugiej. Zrobił, co w jego mocy, żeby spojrzeć na to chłodno i analitycznie. Poniósł sromotną klęskę. Nie było żadnego wytłumaczenia. Cóż za dziecinada, myślał, żeby pozostawać tak długo pod wpływem jednej kobiety. Świat był przecież pełen kobiet. Według teorii prawdopodobieństwa musiały istnieć jakieś inne, zdolne wywołać taką samą reakcję. Ale on nigdy na taką nie trafił, choć bardzo się starał. Nigdy więcej nie napotkał tej fascynującej kombinacji pożądania, fantazji i uczucia, które składały się na Sarę Luttrell. Przypomniał sobie, jak na niego patrzyła, kiedy mówił jej, że mógłby umrzeć z miłości do niej.

– Mężczyźni zawsze umierali, ale nie z miłości – powiedziała.

Co ty możesz wiedzieć, myślał. W jakimś momencie byłem naprawdę gotów to zrobić, a teraz jestem taki szczęśliwy, że do tego nie doszło. Bo dzisiaj wszystko zostało wynagrodzone. Kto by pomyślał? Kto na całym bożym świecie przypuściłby coś podobnego?

Sam, durniu, sam powinieneś być się domyślić, powiedział sobie. Zrozumiałbyś to niechybnie, gdybyś był w ogóle w stanie myśleć. Chodziło o Sarę, nie o pierwszą lepszą kobietę. Od początku wiedziałeś, że ona jest jedna na milion, jedna na dziesięć milionów, ta jedyna przeznaczona dla ciebie. Gdybyś tylko zdobył się na to, żeby się uspokoić i pomyśleć – ale ty wtedy potrafiłeś wyłącznie czuć. Chryste, co to był za ból!

Przeklinał ją i lżył, urągał jej, ale wystarczyło, że zobaczył kogoś, kto ją przypominał, a robiło mu się słabo. Wiedział, że nic mu to nie pomoże. Każda kobieta, jaką miał od chwili powrotu, wzmagała w nim tylko tęsknotę, pragnienie, samotność. Jego choroba była nieuleczalna, zatem nauczył się z nią żyć. Prawdę powiedziawszy, był w gorszym stanie niż Giles Luttrell. No i oczywiście Giles miał Sarę, która się nim zajmowała. Dzielił z nią życie, razem z nią się starzał i korzystał z bogactwa jej natury, która przy nim rozwijała się i dojrzewała. To prawda, że Giles nie miał jej miłości; ale cóż z tego? Istniało tak wiele rozmaitych rodzajów tego uczucia. Skąd Ed Hardin miał wiedzieć, co Sara czuła lub czego nie czuła do człowieka, z którym łączyły ją więzy

mażeńskie? Wszystko, co wiesz o miłości, powiedział sobie, to jak sobie poradzić bez niej.

Przyzwyczał się tak dalece do swojej samotności i cierpienia, że nawet przez chwilę nie pomyślał o uczuciach Sary. Wzorem wszystkich samotników, zaprzątnięty był całkowicie własnymi potrzebami i własną stratą. Był w stanie myśleć wyłącznie o tym, co ona mu zrobiła; nigdy o tym, co zrobiła sobie samej. Nie znał jeszcze wtedy Gilesa Luttrella. Ten człowiek był dla niego abstrakcją, cieniem bez twarzy, aż do tego popołudnia, kiedy ujrzał to, co zostało z dawnego pilota: człowieka wymodelowanego na nowo, ulepionego z kawałków połączonych katgutem, pokrytego przeszczepioną skórą; lśniącą twarz jak z wypolerowanej mosiężnej kołatki, bezużyteczne nogi, ciało, które nigdy nie jest całkowicie wolne od bólu. Właśnie to zrobiła Sara sobie samej.

„Bull” Miller powiedział mu, że Giles Luttrell jest wspaniałym człowiekiem, ale to raczej Sara była wspaniałym człowiekiem. Zresztą „Bull” Miller też tak uważał, a kiedy rozmawiali o tym w Sajgonie – jego słowa stały się przysłowiowym piórkiem przeważającym szalę. Wtedy Ed przestał się wahać i podjął decyzję, by pojechać do Anglii. Zobaczyć wszystko na własne oczy, oblec abstrakcję w ciało. Bo do tej pory to on był tym, który gonił za abstrakcją. To, co przyjął za prawdy spisane na kamiennych tablicach, okazało się napisane na kostkach mydła. Wystarczyło zanurzyć się w głębinach pamięci, jak to zrobił tego popołudnia, by te prawdy się rozpuściły. Od tej chwili będzie musiał zdać się na wycucie, pójść śladem Sary. O tak, pójść tam, dokąd idzie Sara. Przecież zawsze wierzył i czekał, że to ona zaprowadzi go do Ziemi Obiecanej. No a co się działo, kiedy go porzuciła? Co chwila pakował się w ślepy zaułek. Teraz znów znalazł się na boisku; ale zamiast drugiej rundy szykował się całkiem nowy mecz. Nie spuszczaaj oczu z piłki, Ed, powiedział sobie. Pamiętaj, trzy pudła i tracisz kolejkę.

Jedna rzecz była w tym wszystkim niewątpliwa. Zupełnie nie docenił Gilesa Luttrella. Myślał zawsze, że jeśli Sara podjęła decyzję na korzyść Gilesa, to kierowało nią jej własne sumienie nieustannie karmione poczuciem winy, a także sposób, w jaki została wychowana: tradycja fair play i obowiązku, starej zasady for dla słabszej strony. Tymczasem nic z tych rzeczy. Sara i Giles Luttrell byli ludźmi tego samego pokroju. To odegrało wielką rolę wówczas, przed dwudziestu laty. Zapomniał o wszystkim, co opowiadała wtedy tak beztrąsko: że wyrosli razem, prowadzili podobne życie, znali tych samych ludzi, uznawali te same wartości, byli sobie bliscy – tak bliscy, że nawet młody, dzielny Ed z Dalekiego Zachodu nie mógł się zmieścić między nimi. W sytuacjach kryzysowych zawsze lepiej trzymać się swoich; w ten sposób wiadomo, czego się spodziewać. A kiedy ta bliskość została wystawiona na próbę, więzy wytrzymały. Sara także wytrzymała. Zmęczyło ją to, wyczerpało, ale zniosła wszystko – i nadal znosiła – z powodzeniem. Poświęcenie jest równie potężnym lekiem jak litowanie się nad sobą. Jedno i drugie poprawia samopoczucie, póki działanie nie zaczyna słabnąć, a wtedy należy zażyć nową dawkę.

Powinieneś był to wiedzieć, skarcił się Ed w duchu. Powinieneś był to rozumieć o całe niebo lepiej. Jej list ci o tym powiedział, a znasz każde jego słowo na pamięć.

List przyszedł po czterech tygodniach od dnia, w którym widział ją ostatni raz. Szedł jego śladem i w końcu dopadł go w nowej bazie. Czekał na niego w dniu, kiedy wrócił z trzydziestej misji. Równie dobrze mogła być trzechsetna; nie robiło mu to wielkiej różnicy. Przystało mu zależeć; stał się obojętny wobec własnego losu. I wtedy właśnie przyszedł list. Ed rozpoznał pismo na kopercie. Wiedział, że należy ono do sir George'a, toteż otworzył list sądząc, że zawiera przyjazne pytania o to, jak mu się wiedzie. Ale wewnątrz była druga koperta zaadresowana ręką Sary. Poczul się, jakby go ktoś dzielił po głowie. Bał się ją otworzyć, dołożyć następną porcję cierpienia zranionej duszy. Wypił prawie całą butelkę whisky, zanim się na to zdobył; przedtem po prostu siedział z wlepionymi w kopertę oczami. Powody, myślał. Wyjaśnienia. List pożegnalny od Sary. Taki jak ten do Gilesa, którego napisanie zajęło jej długie miesiące. A jednak teraz zwracała mu wolność po czterech krótkich tygodniach – nawet niecałych, jeśli odliczyć czas na wędrowkę listu jego śladem. Bał się, że nie zniesie odpowiedzi na pytanie „dlaczego”. Whisky zupełnie na niego nie podziałała; list okazał się lodowatym przysznem, który zupewrził go rzeczywistości.

W końcu trzęsącymi się rękami otworzył kopertę niemal ją rozdzierając. List był krótki, bez nagłówka, litery ciężkie, grube, jakby wciskała pióro w papier z całej siły, żeby opanować drżenie ręki. Wtedy po raz pierwszy usłyszał, pośród własnego cierpienia echo jej bólu. Przeczytał list szybko, żeby mieć to już za sobą, nie wiedział jeszcze, że będzie go czytał wciąż na nowo, setki razy.

Nie mogę się z Tobą zobaczyć, Ed. Nie mam na to dość siły. Myślałam, że nie żyjesz. Potem dowiedziałam się, że Giles może umrzeć, więc zawarłam układ. Przyrzekłam sobie, że jeśli Giles wyżyje, ja z nim zostanę. Przyrzekłam solennie. I Giles będzie żył. Nie mogę znów złamać słowa, Ed. Proszę, spróbuj zrozumieć. I spróbuj wybaczyć. Zawsze Cię będę kochała.

Sara

Wyszedł i upił się do nieprzytomności. Nie trzeźwiał przez dwa dni. Omal nie został za to zdegradowany, ale miał za sobą trzydzieści misji i wszyscy wiedzieli, że rzuciła go kobieta, więc mu się upiekło. A on zanurzył się po szyję w rozczulaniu się nad sobą i o mały włos się nie utopił.

Posłała go do piekła, ale gdzie ona sama żyła przez ostatnie dwadzieścia lat? Uwiązana do człowieka, z którego prawie nic nie zostało, który potrzebował pielęgniarstwa, a nie żony; którego siły były prawie wyczerpane przez niezliczone operacje. Była więc pielęgniarką, aniołem opiekuńczym, dając mu opiekę, oparcie i siłę, a dostając w zamian, co? Wdzięczność? Uznanie? Miłość? Jeśli nawet, to duchową, nie fizyczną. Sara, która pocałowała go tego popołudnia, obchodziła

się bez seksu od bardzo dawna. Poznał to po tym, jaka była wygłodzona. Wrócił we właściwym czasie. Potrzebowała go, a on w końcu mógł odnaleźć jakiś cel w życiu, nadać mu jakiś sens. To było doprawdy opatrnościowe; trudno o właściwsze słowo. Zrobi, cokolwiek uda mu się zrobić, da, co będzie mógł dać; a ona może się nim posłużyć w dowolny sposób. Oprzyj się o mnie, Saro, myślą. Znajdź oparcie we mnie i wykorzystaj je, jak zechcesz. Jestem ci to winien od zawsze. Boże! A gdyby tak nie przyjął tego stanowiska? Zimno mu się zrobiło na samą myśl. Mało brakowało, by z niego zrezygnował; zastanawiał się długo nad ewentualnością powrotu do Anglii, bo wiedział, że jeśli się na to zdecyduje, nie zdoła się powstrzymać, żeby nie pojechać do niej, by zobaczyć, jaka jest teraz. Wąty płomyk nadziei, rozniecony przez „Bulla” Millera, rozpalił się jasno, kiedy postawił znów stopę na ziemi angielskiej. Przypuszczenie, że Sara mogłaby się ucieszyć na jego widok, dołało tylko oliwy do ognia. Tak długo omijał wszelką sposobność powrotu, bo bał się otworzyć tę puszkę Pandory.

Od razu zobaczył, że Sara wcale się nie zmieniła. Była starsza, to wszystko. Miała inną fryzurę, już nie krótką i jedwabistą, jak dawniej. Teraz włosy sięgały do linii brody, a obcięto je tak, że tworzyły popielatoblond chmurę wokół głowy; widać było, że wystarczy przeciągnąć po nich grzebieniem, żeby ułożyły się i wróciły na miejsce. Jeśli nawet zdarzały się wśród nich srebrne nitki, to nie było ich widać. Ubierała się także inaczej; miała na sobie sukienkę do kolan, miękką i zwiewną. Na delikatnej tkaninie kolory przechodziły jeden w drugi, tworząc wielobarwne plamy. I jej twarz: skóra nadal jędrna i napięta, bez żadnych zwiótczeń, cera jasna i bez skazy, profil o liniach czystych jak antyczna kamea, oczy błyszczące po dawnemu, rzęsy gęściejsze i ciemniejsze niż zapamiętał. Kolorytem przypominała, jak zawsze, najprzedniejszą angielską porcelaną, a twarz była prawie nietknięta makijażem. Podkreśliła jedynie oczy i usta – te przepiękne usta o czystym rysunku, tylko pozornie ascetycznym. Wyglądała na to, czym w istocie była: na piękną kobietę wkraczającą ze spokojem i bez lęku w wiek średni. Nie próbowała walczyć z metryką ani ukrywać swoich czterdziestu czterech lat, bo też wcale nie potrzebowała tego robić. Było jej we własnych latach do twarzy. Pozostała, jak zawsze, prawdziwą kobietą, choć wcale nie manifestowała swojej kobiecości; pełną wewnętrznego ciepła, mającą duszę, wolę i osobowość; kobietą obdarzoną indywidualnością, opanowaniem i samokontrolą; taką, która nie musi uciekać się do sztuczek czy strategii, ponieważ to, co sobą reprezentuje, jest wystarczająco doskonałe.

Ogarnęło go dawne, niemal bolesne pragnienie, by po nią sięgnąć, by zatracić się znów w tej esencji kobiecości. Była nadal wszystkim, czego poszukiwał w kobiecie, i czego nigdy nie potrafił znaleźć w żadnej. Wydawało mu się też, że z Sarą było tak samo. Giles Luttrell nie dawał jej tego, czego potrzebowała. Kiedyś odkryli, że są dwiema połówkami tej samej duszy, które się cudem odnalazły. Dziś Sara zobaczyła Eda Hardina, zasłużonego pułkownika lotnictwa, zmierzającego prosto w kierunku pierwszej gwiazdki; człowieka, na którego dowództwo

patrzyło przychylnym okiem, widząc w nim cechy niezbędne dla generała lotnictwa. Jeszcze nie wiedziała, że ten Ed, którego niegdyś tak dobrze знаła, żył emocjonalnie zamrożony, zastygły jak mucha w bursztynie, niezdolny wyrwać się z klatki, jaką wokół siebie zbudował, by ochronić się przed następną klęskę uczuciową. Nie wiedziała, że cios zadany przez nią uniemożliwił mu stworzenie stałych więzów z inną kobietą. Ed niekiedy przypuszczał, że jak schizofrenik przeżywa dwa życia – albo raczej jedno życie i jedną egzystencję; brał sobie kobiety, wykorzystywał je, ale nie potrafił wyjść poza seks. Zresztą wcale tego nie pragnął. Nigdy się nie angażował, stracił zdolność czucia, delektowania się kobietą, czystej radości. Po Sarze patrzył na świat jak przez szklaną ścianę, która otaczała go ściśle chroniąc od następnych ran. Żadna z jego kobiet nie była zdolna stopić tej ściany, by stworzyć z nim prawdziwą jedność. Nawet jego żona – która, miał nadzieję, wreszcie go od siebie uwolni – nie sprostała tej roli, chociaż miał taką nadzieję. Zrobił jej tym krzywdę, chociaż teraz wyszła ponownie za męża, a związek okazał się szczęśliwy.

Teraz jednak Ed Hardin miał być zwolniony z więzienia; Sara podpisała odpowiedni dokument. Kto, na miły Bóg, przypuściłby coś podobnego? W każdym razie Ed nie spodziewał się tego, co zdarzyło się po południu. Do tej pory sam nie bardzo mógł w to uwierzyć. Musiał się w tym kryć jakiś haczyk, jak w sprytnie zredagowanej umowie notka petitem na samym dole: „Rzeczonemu pułkownikowi Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, Edwardowi Jamesowi Hardinowi, przyznaje się niniejszym Nowe Życie...”

Edward James Hardin. Uśmiechnął się do siebie. Tak tytułowała go Sara, kiedy chciała sobie z niego zakpić. Zawsze jednak lubiła jego imiona – imiona angielskich królów. Nazwała swojego syna James Luttrell. Ciekawe, dlaczego to zrobiła. Z jego powodu? Nadanie dziecku imienia Edward byłoby chyba jednak przesadą. Jeśli rzeczywiście zrobiła tak ze względu na niego... Gdyby to był mój syn, pomyślał... W tym momencie nagle go olśniło. James Luttrell miał dwadzieścia jeden lat. Urodzony w tysiąc dziewięćdziesiąt czterdziestym piątym roku. Wcisnął ostro hamulec i samochód zatrzymał się z przeraźliwym piskiem opon. Chryste Panie! pomyślał. Urodzony w czterdziestym piątym. Musiało tak być. Po prostu nie mogło być inaczej. Ty idioto, pomyślał ze ściśniętym sercem, przecież dlatego nazwała go James. Bo to twój syn!

Samochody jadące za nim trąbiły niecierpliwie. Zjechał na bok, zgasił silnik i siedział bez ruchu. Pomyśl, nakazał sobie. Pomyśl. Giles Luttrell rozbił się niedługo po tobie. To był lipiec czterdziestego czwartego roku. Potem tygodniami lawirował między życiem a śmiercią. Miesiącami był ciężko chory. Latami przebywał w szpitalu. W żaden sposób... po prostu w żaden sposób nie może być ojcem Jamesa Luttrella. Chłopak jest twój, ty zakuta pało. Ty zidiociały półgłówku. On jest twój! Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem i słyszał znów głos Gilesa Luttrella, który przy kolacji powiedział zupełnie naturalnym tonem:

– Tak uważa nasz syn, James.

O czym to oni wtedy mówili? Ależ tak, o Beatlesach. O młodszym pokoleniu; o długich włosach, muzyce pop i zarzucaniu starych obyczajów. Wreszcie o tym, że młode pokolenie jest o tyle bardziej szczerze i wyzwolone od poprzedniego.

– Tak uważa nasz syn, James – oświadczył Giles Luttrell.

A on stwierdził uprzejmie:

– Nie wiedziałem, że macie państwo syna.

Na co Giles Luttrell odparł swobodnie i z uśmiechem:

– Ma dwadzieścia jeden lat i jest teraz w moim dawnym college’u. I podobnie jak reszta tego pokolenia zamierza zmienić świat.

Mój świat, pomyślał Ed. Boże miłosierny! Mój świat także! I co teraz będzie? A potem z bólem ostrym jak cios nożem dodał w myśli: Dlaczego mi nie powiedziałaś, Saro? Dlaczego? Ach, Saro, jak mogłaś zrobić mi coś takiego? W tej chwili przypomniał sobie jej słowa, kiedy zwróciła się do niego:

– Musimy porozmawiać, Ed. Są pewne sprawy...

To było wszystko, co powiedziała, a on przypuszczał, że chodzi o następne wyjaśnienia różnych „po co” i „dlaczego” sprzed dwudziestu lat. Zresztą w pewnym sensie o to właśnie chodziło. Czy ona miała tę sprawę na myśli? Miał nadzieję. A to spojrzenie, jakim go obrzuciła mówiąc, że się z nim skontaktuje... Nic dziwnego, że była taka poważna, taka skupiona. Rzeczywiście miała mu wiele rzeczy do powiedzenia. Na przykład, że jej syn jest jego synem. Na miłość Boską, warknął do siebie, to jest równie jasne, jak słońce na niebie. Jest twój, bez wątplenia. Niczyj inny. A ona nie powiedziała słowa. Przez całe popołudnie nie powiedziała ani jednego słowa.

Dlaczego? Dlaczego Giles Luttrell wrzucił Jamesa jak bombę z zapalnikiem czasowym w sam środek rozmowy, robiąc to z równą nonszalancją, z jaką posłodził sobie kawę? Nasz syn, powiedział. Nie: mój syn. Nasz syn. Czy musisz szukać następnych dowodów? – zapytał siebie Ed. Ale możesz się zabawić w przesłedzenie całej sprawy, jeśli chcesz. Ostatni raz kochałeś się z Sarą trzeciego czerwca czterdziestego czwartego roku. Jeżeli poczęła właśnie wtedy, James Luttrell powinien się być urodzić w marcu czterdziestego piątego. Dwadzieścia jeden lat. Wszystko pasowało. Dlaczego w takim razie nie napisała mu nic w tamtym liście? Przecież musiała być już w ciąży. Zamknął oczy i zobaczył Sarę leżącą na łóżku w pokoju hotelowym w East Grinstead, z ręką na brzuchu, na kołdrze w kwiatki. Pamiętał, że były żółte i zielone. Wtedy widział tylko tę rękę z obrączką na palcu i przepełniała go straszliwa pewność, że stało się to, czego się zawsze obawiał. Czy ona wiedziała, że pod tą ręką leży jej syn? Ale dlaczego sir George nic mu nie powiedział? Może on także nie miał o tym pojęcia? Czy też nie chcieli, żeby Ed się dowiedział? Może pragnęli dziedzica dla Luttrell Park ze względu na to, co spotkało Gileasa Luttrella?

Boże drogi, naprawdę muszę się nad tym zastanowić, powiedział sobie. Ale zanim to zrobię, powinienem zyskać pewność. Istnieje jeden niezawodny sposób, żeby się przekonać. Zapalił silnik i ruszył. Wyjechał na drogę i pognął z maksy-

malną szybkością, bo spieszo mu było wrócić i potwierdzić swoje podejrzenia. Jedna część jego mózgu przesyłała skomputeryzowane instrukcje do rąk na kierownicy i stóp na pedałach; druga badała i analizowała to, co właśnie odkrył, szukając potwierdzenia albo błędów w rozumowanie. Dotarł do ambasady, nacisnął nocny dzwonek, udał się prosto do biura informacji i zdjął z półki herbarz Debrett. Otworzył go na literze L i odnalazł żadaną informację: „Giles Luttrell, 9. baronet, urodzony w 1918, poślubił Sarę Emily Jane, jedyną córkę 14. hrabiego of Brancepeth; jeden syn, James Giles, urodzony 2 marca 1945”. Usiadł na krześle; otwarta książka leżała przed nim na biurku. I co teraz? – pomyślał. Jakie będzie moje następne posunięcie? Mam ją skonfrontować z faktami czy poczekać i zobaczyć, co zrobi? Przecież z pewnością zamierza mi powiedzieć. Musi. Nie może milczeć. Sara wiedziała, jakimi drogami chodzą jego myśli; zdawała sobie sprawę, że przebiegnie pamięcią wydarzenia tego dnia, przeanalizuje wszystko i dojdzie do własnych wniosków.

Jednak to Giles Luttrell wymienił imię Jamesa. Ed nie potrafił tego zrozumieć. Dlaczego? Dlaczego właśnie Giles? Czy było to umyślne, czy też bezwiedne? Nagle Ed nabrał pewności. On wie, pomyślał. Wiedział od początku. Siedział sobie, rozmawiał ze mną tak miło... i wiedział. To było zamierzone. Bravo! – pomyślał. Jeśli chodzi o Gilesa Luttrella, powrót na pierwsze pole. Cała sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż przypuszczałeś. Od tej chwili trzeba będzie poruszać się z wielką ostrożnością. Za tym kryje się znacznie więcej, niż wydawałoby się na oko, nawet na wprawne oko. Ale dlaczego? – pomyślał znowu. Dlaczego Giles to zrobił? I dlaczego Sara nie podjęła tematu? Bo nie odezwała się ani słowem.

Może James Luttrell nie przypominał w najmniejszym stopniu swojego prawdziwego ojca; może wyglądał jak jego domniemany ojciec albo był drugim wcieleniem Sary: blondynem z jasnymi oczami. Choć to było raczej wątpliwe; zwykle dominował ciemny gen. Szanse na to, że ciemnowłosy mężczyzna i jasnowłosa kobieta będą mieli jasnowłosego syna, były naprawdę niewielkie. No więc jak on w końcu wyglądał? Przywołał przed oczy obraz salonu w Luttrell Park. Nie widział tam żadnej fotografii młodego człowieka. W salonie wisiało nadal zdjęcie Sary w uroczystej kreacji, w której była prezentowana na dworze królewskim, oraz, oczywiście, portret Gilesa, przykro kontrastujący z jego obecnym wyglądem. Ed kojarzył go sobie z typem groteskowego angielskiego jegomościa z przedstawienia kukielkowego; ta sama nieruchoma błyszcząca twarz, haczykowaty nos i wytrzeszczone oczy. Trudno byłoby wytropić jakiegokolwiek podobieństwo między nim a jego synem, ponieważ twarz Gilesa została uformowana ludzkimi rękami. Ale jak mógł wyglądać James? Ed uświadomił sobie, że za wszelką cenę chce się tego dowiedzieć. Czy jest podobny do Sary? Czy też przypomina jego samego? Przez moment igrał z myślą powrócenia do nich i natychmiastowej konfrontacji, ale w końcu uśmiechnął się do siebie. W Luttrell Park wybiła północ, czyli strzelamy do nieproszonych gości. Po chwili uśmiech przeszedł w głośny śmiech i Ed

zaśmiewał się przez jakiś czas. Boże drogi, pomyślał, zachowuję się jak dumny ojciec... dwadzieścia jeden lat po całym zajściu. On musi być mój. Nie może być inaczej. Zbyt dokładnie się wszystko zgadza. Do diabła, pomyślał jeszcze sfrustrowany, żebym tylko wiedział, jak on wygląda! Nasz syn, powiedział Giles Luttrell. Nie: mój syn. Dlaczego Sara się nie odezwała?

Tylko w jaki sposób, na miłość Boską, można komuś obwieścić tego rodzaju nowinę? Czemu tego nie zrobiłaś, Saro? Nic o nim nie wiem. Nie wiem, jaki jest i jak wygląda. Czy jest przystojny? Mądry? A może tępy? Wysoki czy niski, ciemnowłosa czy blondyn? Czy ma po tobie grację i wdzięk, a po mnie koloryt? Musi być typowym Anglikiem; w końcu tak został wychowany. Bez wątplenia mówি jak Sara, działa jak Sara, myśli jak Sara. Zdażyli go umieścić w dawnym college'u Gilesa. A powinien być w moim, pomyślał z ukłuciem bólu. I co takiego kombinuje Giles Luttrell? Co tu jest grane? Po co ta cała dobroćliwość, zainteresowanie i radość ze spotkania z Edem po tak długim czasie? Z powodu Jamesa? Z racji tego, co Sara i jej mąż wyrządzili Edowi? „Ależ ja pana znam”, powiedział Giles Luttrell. Trudno się dziwić – miał przed sobą ojca swojego syna. I jeszcze zaprosił go na następną wizytę! „Byłoby nam ogromnie przyjemnie gościć pana przez weekend, Ed – oświadczył. – Kiedy pan się już roztasuje, Sara zatelefonuje do pana...” Boże drogi, pomyślał znów Ed, coś bardzo dziwnego dzieje się w tym Luttrell Park. Ale co? I dlaczego? Pytania, pytania, pytania. Sara musiała mieć wtedy piekielnie ważny powód, powiedział sobie. Na przykład jaki? Przypuśćmy, że nie wiedziała, gdzie jesteś.

Nic z tego. Mogła się dowiedzieć bez większego trudu. Były różne sposoby i możliwości, a jej rodzina miała pewne wpływy i możliwości działania – tylko może wolała utrzymać całą rzecz w tajemnicy? A jeśli ona bała się, że zechcesz zabrać dziecko? Ale dokąd i dlaczego? Nie, to możesz skreślić. Nie mogła mieć więcej dzieci? Wątpliwe. Fakt, że urodziła jedynie Jamesa, spowodowany był tym, co Ed zrozumiał tego popołudnia: Giles Luttrell nie był zdolny do spółdzenia dziecka. Więc wreszcie może Sara nie chciała, żeby Ed czuł się odpowiedzialny? Do licha, przecież zawsze był człowiekiem odpowiedzialnym i ona musiała wiedzieć aż za dobrze, że nie tylko wzięłby na siebie taki obowiązek, ale że zrobiłby to z radością. Wiedziała, że chciał, żeby mu urodziła dzieci. Mówili o tym wiele razy.

A może bała mu się o tym powiedzieć? Ale dlaczego? To było po prostu śmieszne. Bo też z jakiego powodu miałyby się bać? Czy dlatego, że krążek dający prawie sto procent gwarancji nie uchronił jej od zajścia w ciążę? Skądże znowu.

A jeśli z dzieckiem było coś nie w porządku? Głupi pomysł. Przecież studiował w Oxfordzie, prawda? Zresztą to nie miało przecież najmniejszego znaczenia.

Nie, żaden z powodów nie był sensowny. Z wyjątkiem jednego. Tego, że po prostu nie chciała, żeby wiedział. Dlaczego? Ponieważ to dałoby mu pewne prawa, oto dlaczego; wgląd w jej życie, dostęp do niej przez syna. Tak, to było logiczne. Zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę, w jaki sposób został powiadomiony

o istnieniu Jamesa. Dlaczego Giles Luttrell zaakceptował dziecko tak chętnie? Bo wyglądało na to, że tak było. Ze względu na tytuł baroneta? Dlatego, że sam nie był zdolny zapewnić dziedzica Luttrell Park? Jednak w tej sytuacji on, Ed, nie mógł rościć w oczach prawa żadnych pretensji. A Ed nie lubił się czuć bezradny. Na miły Bóg, dlaczego mi nie powiedziałaś, Saro? – myślał z rozgoryczeniem. Nie zostawiłaś mi niczego, żadnych praw. Trudno porzucić czy opuścić coś, o czym się nie wiedziało. Jeśli nie znał własnego syna, nie była to jego wina. Ale poznam go, powiedział sobie. To jest pewne. Jaki on był? Męska wersja Sary, typ człowieka, który ruszy góry, żeby zdobyć kamienie na nasyp kolejowy? Mam wielką nadzieję, że taki się okaże, pomyślał. Sara musiała go wychować na swoją modłę; nie „robię to, co chcę”, ale „robię to, co muszę”. Lepiej uważaj, Ed. Ona gotowa jest zrobić ci to jeszcze raz, jeśli będzie musiała. Ale o ile ją znasz, powie ci o wszystkim. Pozostaje ci tylko cierpliwie czekać. Tak, tego możesz być zupełnie pewien. Chyba dzisiejszy dzień czegoś cię nauczył?

Siedział nadal, pogrążony w myślach, kiedy pojawił się strażnik, żeby sprawdzić, co oznacza palące się światło.

– Pułkownik Hardin? Przepraszam, nie wiedziałem, że to pan.

– Musiałem coś sprawdzić. Ale już znalazłem. Właśnie wychodzę.

To nieprawda, pomyślał, schodząc ze schodów i kierując się w stronę samochodu. Ja właśnie wchodzę – nareszcie. Zadzwoń do mnie, Saro. Napisz. Prześlij mi sygnały dymne, byleś tylko dała znać. I zrób to jak należy, tak jak zawsze robiłaś wszystko.

7

Telefon zadzwonił w poniedziałek, późnym rankiem. Telefonowała Sara.

– Ed?

– Sara – powiedział tylko, uświadamiając sobie, że wstrzymuje oddech.

– Przyjechałam na jeden dzień do Londynu. Może zaprosisz mnie na lunch?

– Kiedy i gdzie?

– O pierwszej. Przy pomniku Roosevelta. Dla rozpoznania będę trzymała białą flagę.

Odłożyła słuchawkę.

Kiedy tylko wszedł do parku, zobaczył ją siedzącą na ławce tuż za pomnikiem amerykańskiego prezydenta. Była szalenie wytworna w sukience z jakiegoś miękkiego, jedwabistego materiału, o szlachetnie prostym fasonie, w stonowanym szaroniebieskim kolorze. Na głowie miała obcisły turban, który ukrywał jej włosy, ale wydobywał czystość klasycznego profilu. Do tego perłowe kolczyki i pojedynczy, długi sznur pereł na szyi. Wyglądała, jakby właśnie zeszała z okładki „Vo-

gue”. Lśniąca, luksusowa, wykończona w każdym szczególe. Jeszcze nigdy nie widział jej w tak oszałamiającej wersji. Sara, którą przechowywał w pamięci jak relikwię, pozostała dwudziestotrzylatką w mundurze lub w spódnicy i swetrze... albo całkiem bez ubrania. Teraz patrzył na kobietę nieskończenie bardziej doświadczoną i światową. Nie dotykała plecami oparcia ławki, a kostki nóg skrzyżowała, eksponując długie rasowe nogi w przezroczystych nylonach. Siedziała z rękami na torebce, która leżała jej na kolanach i biła od niej pewność siebie.

Teraz szykuje się, żeby mi wszystko wyznać, pomyślał Ed. I cóż ona mi powie? Co sobie myśli? Że będę ją oskarżał? W końcu trzeba dwojga, żeby popaść w takie tarapaty. Popatrz, co ci przyniosła sobota. No tak, ale to było zupełnie inne spotkanie, a poza tym ta dama wcale się nie boi. Spokojnie, Ed, udzielił sobie porady. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, choćby się o to prosiły. Mogłyby się okazać bardzo dalekie od prawdy. Lepiej mieć otwartą głowę. No, ale o to nietrudno; sobotnia bomba zrobiła w niej dziurę.

Sara patrzyła, jak się do niej zbliża. Nie widziała go nigdy w błękitnym mundurze Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, a wyglądał w nim fantastycznie. Jakież to piękny mężczyzna, pomyślała bezstronnie. Jaki przystojny. Jak wspaniale zbudowany. To był Ed, a zarazem nie Ed. Stał się człowiekiem, którego przed laty dostrzegła kilkakrotnie na mgnienie oka, kiedy żądał odpowiedzi – i biada, jeśli udzieliło się nie tych co trzeba. Twardsza, bardziej stanowcza i zahartowana wersja jej młodego kapitana w oliwkowym mundurze i skórzanej lotniczej kurtce, którego radość życia ukrywała wolę i nieugięte dążenie do celu, już wówczas bezwzględne. Radość życia nie zniknęła, ale przetarła się mocno; przeświecał przez nią teraz bezwzględny błysk żelaza. Nie wątpiła ani przez moment, że kiedy Ed starannie rozważy jej racje, nie znajdzie w nich żadnych braków. Po sobocie zyskała całkowitą pewność, że relacja, którą zamierzała mu zdać, będzie prawdą, całą prawdą i tylko prawdą, i nie pozostawi najmniejszej wątpliwości. Została już przecież przesłuchana przez najskrupulatniejszego na świecie sędziego – jej własne sumienie.

Podszedł prosto do niej, a ona podniosła się z ławki. Oskarżony, proszę wstać, pomyślała przelotnie; ale potem Ed uśmiechnął się do niej i na widok tego uśmiechu uleciała z niej natychmiast wszelka trzeźwość myślenia. Poczowała, jak ogarnia ją dawne podniecenie, przyspieszając tętno i pędząc z łomotem krwi. Ed musnął ją wzrokiem niemal jak palcami, a ona wygięła się jak kotka czując znów dreszcz, który powędrował wzdłuż kręgosłupa pod tym niewidocznym dotknięciem. Mimo że brakło jej tchu, nie opuściła oczu pod jego spojrzeniem, które zdawało się zatapać w niej i unosić ją, bezradną, aż pod niebo. Patrzył na nią uważnie, ale ciepło.

– No więc? – spytała nadal bez tchu, ale pozornie spokojnie; sobotnie spotkanie nie było przecież przypadkiem.

– W porządku – odparł swobodnie.

– Naprawdę?

– Zdecydowanie.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej.

Popatrzyła na niego badawczo.

– Nie wydajesz się zbyt... rozbity – zawyrokowała w końcu.

– Lepiej nie przyglądaj mi się z bliska. Trzymam się tylko dzięki plastram, którymi jestem pozlepiany.

Przechyliła głowę na bok. Pod przylegającym do głowy turbanem piękne kontury jej twarzy rysowały się czystymi liniami, a szare oczy były równie jasne i przejrzyste jak niegdyś.

– Więc to była... miła niespodzianka? – spytała niewinnie, jak gdyby nigdy nic.

– Jeśli do kogoś przemawiają niespodzianki.

– A ta przemówiła?

– Prosto do mózgu.

Nie spuszczała z niego wzroku.

-To cię zabolalo?

– Bólu nie było. Raczej uczucie lekkiego oszołomienia, ale to przejdzie.

– Oznaka szoku – zdiagnozowała.

– Wcale by mnie to nie dziwiło.

Twarz miał nieruchomą niczym pokerzysta, ale orzechowe oczy się śmiały. Zachichotała jak dziewczyna.

– Nie mam pojęcia, czemu się martwiłam – oznajmiła. – Myślę, że to nerwy. Ty ich nigdy nie miałeś. Tylko odwagę.

Jego oczy przestały się uśmiechać.

– A jednak wstałaś, jakbyś się spodziewała, że zaraz ogłoszę wyrok. Uważam, że musimy porozmawiać serio, ale bez przesady, Saro. Żadnego bicia się w piersi. Jeśli chcesz dostać rozgrzeszenie, poszukaj sobie księdza.

Słuchała z otwartymi ustami, zastygła z oburzenia i zdziwienia. Był nadal bardzo uprzejmy, całkowicie swobodny, ton głosu nie uległ zmianie, ale wyczuła w nim nieugiętość, to nieprzejednanie, które zyskało mu przydomek w czasie wojny. Wiedział, rozumiał, akceptował, nie przejawiał tępego uporu, ale nie dopuszczał, by nim manewrowano, popychano czy ustawiano w niewygodnej sytuacji. Przypominał żelazny mur, zbyt potężny, żeby go zniszczyć, za wysoki i za gładki, żeby się na niego wspiąć i o wiele za długi, żeby go obejść. Nie było innej rady, będzie musiała poszukać drzwi.

– Przecież nawet nie wiesz, co chciałam ci powiedzieć – zauważyła rozsądnie, jakby chciała go udobruchać.

– To prawda, ale znam cię. Zawsze miałaś słabość do melodramatów na trzy mokre chustki z Joan Crawford w kreacjach od Adriana, poświęcającą się nieustannie dla takiego czy innego durnia. Nigdy nie lubiłem poświęceń... i nie mogłem znieść zapachu spalonego ciała.

Zobaczył, jak ona sztywnieje, ale zanim zdążyła odsunąć się od niego, on przysunął się bliżej i nachylił się do jej policzka.

– Za to ty pachniesz o wiele ładniej. Zawsze lubiłem twój zapach.

Patrzyła w orzechowe oczy człowieka, który tak sprawnie ustawił ją na właściwym miejscu; mogła tylko tam pozostać, nie miała innego wyjścia. Przełknęła ślinę.

– Och, Ed! – zaprotestowała słabo. – Nigdy nie zdołałam cię pokonać. – Rozesmiała się niepewnie i dodała: – No i nic z mojej wielkiej sceny!

– Nigdy nie przypominałaś Katharine Cornell, a próbowałaś dramatycznego tonu wyłącznie wtedy, kiedy nie byłaś pewna mojej reakcji. Więc odpręż się, a ja zakończę twoje i swoje męki. Przestań się martwić, Saro. Istnienie Jamesa jest dla mnie dobrą wiadomością. Może trochę późną, ale lepiej późno niż wcale. – Wzruszył ramionami. – Jak można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało? Dla mnie najważniejsze jest, że przyszłaś, żeby mi o tym powiedzieć, a nie sposób, w jaki to zrobisz. Jeśli chcesz, możesz paradować po ulicach z transparentem, mnie jest wszystko jedno. Nie byłoby mi wszystko jedno, gdyby nikt mi o nim nie powiedział – a już zwłaszcza ty. Przede wszystkim ty. Nigdy się nie spodziewałem, że mam syna, ale jestem piekielnie zadowolony, że istnieje. A teraz możesz mi wyjaśnić wszystkie szczegóły, wszystkie powody i nawet ubarwić je do woli. Co do mnie, liczy się tylko to, że przyszłaś i jesteś, żeby mi o tym powiedzieć.

Odzyskała już pewność siebie i odpowiedziała mu spojrzeniem na spojrzenie, stwierdzając dobitnie:

– Nawet przez moment nie zamierzałam ukrywać tego faktu przed tobą.

– Miałam taką nadzieję, ale zawsze miło to słyszeć.

– Po prostu James jest... obok ciebie... najlepszą sprawą, jaka mi się przytrafiła w życiu.

– Gilesowi także?

Wcale się nie zmieszała.

– Owszem, jemu także. Dlatego powiedział ci o nim w taki sposób. Wiedział, podobnie jak ja, że odgadniesz prawdę.

– Zastanawiałem się nad tym.

– On wie o wszystkim.

– Tego również się domyśliłem. – Wzruszył ramionami. – Spowiedź jest podobno balsamem dla duszy. Jak się teraz miewa twoja dusza?

Nie drgnęła nawet.

– Zraniłam cię, prawda?

– Tak, nie zaprzeczam. A co myślałaś, Saro? Że jestem jedną z tych gumowych piłek, co skaczą nawet, kiedy im wyciąć kawałek ze środka? Twoje kalwińskie sumienie tnie mieczem na oślep, bez zastanowienia.

– Powiedziałam już, że przepraszam.

– A ja powiedziałem, że ci wybaczam. Słowa to łatwa sprawa, Saro. Prawdziwym problemem są uczucia.

Odwróciła się od niego, żeby spojrzeć na ławkę, z której wstała, po czym usiadła na powrót. Poklepała miejsce przy sobie.

– Mówiłam ci, że musimy porozmawiać.

– Zastanawiałem się, o co ci może chodzić.
– No więc teraz już wiesz. – Otworzyła torebkę, wyjęła z niej małą paczuszkę i podała mu. – Dowód fotograficzny, wysoki sędzie.

Wziął paczuszkę, zważył ją w rękach.

– Jakąż to tajemnicę utrwaliłeś dla mnie, Kodaku? – spytał żartobliwie, a potem dorzucił: – Nie będzie żadnego przemówienia do sądu, zanim nie zaliczę tego do dowodów? Wymienienia okoliczności łagodzących? Żadnych próśb o złagodzenie kary?

– Słowa mogłyby stać się zasłoną, spoza której nie dojrzałbyś dowodu. – Potrząsnęła głową. – Obrona wstrzymuje się od głosu – dodała spokojnie, a na jej wargach pojawił się uśmiech, którego nie powstydziliby się sfinks.

Zmarszczył brwi.

– A jednak niespodziewanie przeistoczyłaś się w Katharine Cornell. Co takiego jest w tym pakunku, bomba zegarowa?

– Niewykłuczone.

Wzruszyła ramionami, a w oczach pojawił się błysk zadowolenia z siebie. Odniósł wrażenie, że Sara oblizuje się ze smakiem; w następnej chwili zdał sobie sprawę, że sam uśmiecha się mimo woli.

– W takim razie miejmy nadzieję, że plastry, którymi jestem pozlepiany, wytrzymają – powiedział lekko.

Nie odezwała się, patrzyła tylko jak przedtem, kocim, chytrym spojrzeniem.

– Ty coś knujesz – oskarżył ją otwarcie.

– Myślę, że to powinno cię zaciekawić, zresztą sam się przekonasz – obiecała tajemniczo. – Dalej, śmiało, otwórz paczkę. Rzucam ci wyzwanie.

– Ejże, powinnaś wiedzieć, że nie należy tego robić – stwierdził z wymówką.

Rozdarł opakowanie, wyjął kolorową fotografię w skórzanej ramce i spojrzał na nią. Sara zauważyła, że wygląda jak człowiek w głębokim szoku.

– Zdaje się, że w takich wypadkach używa się określenia „sobowtór” – podsunęła uprzejmie.

Wpatrywał się nadal w zdjęcie z niedowierzaniem.

– Mój Boże! – powiedział. – Dobrze, że jeszcze pamiętasz kurs pierwszej pomocy. Chyba do tego wszystkiego ogłuchłem. Nie przestaje dzwonić mi w uszach. – Potrząsnął głową z powagą. – Czy już mówiłem: „A to niespodzianka”?

– Kilkakrotnie.

– Wobec tego pozwól, że powtórzę to jeszcze raz. Pewnie powinno być na to jakieś inne określenie, ale akurat nie przychodzi mi na myśl... nic mi nie przychodzi na myśl, jeśli już o tym mowa. Boże święty, Saro! Mogłaś mi być powiedzieć!

– Właśnie ci powiedziałam.

– Doprawdy? Tak byś to określiła? A ja myślałem, że niebo zważyło mi się na głowę.

Podniósł na nią oszołomione oczy.

– Nabierasz mnie – stwierdził. – To jest po prostu moje stare zdjęcie.

– Kolorowe? Z czterdziestego czwartego roku? Raczej niemożliwe. Zresztą jeśli się przyjrzyz uważniej, zobaczysz, że on ma włosy brązowe, a nie czarne i że jego oczy są bardziej zielone niż orzechowe. No, ale muszę przyznać, że różnice są minimalne, i to w każdym sensie!

– To znaczy?

Nadal badał uważnie fotografię.

– Szybko myśli i szybko działa, jest bardzo zręczny zarówno w mowie, jak w ruchach, gładki w obejściu przy dziewczynach... prawdę mówiąc, gładki jak najdroższy jedwab, przemiły wobec matki i podobny jak dwie krople wody do ojca.

Ed podniósł na nią oczy.

– Jest moją radością i dumą, Ed. Jest wszystkim, czym powinien być syn, a często także tym, czym być nie powinien, ale za nic bym go nie zamieniła.

– Nawet na mnie? – Raz jeszcze spojrzął na fotografię; fascynowała go. – Co sprawiło, że czekałaś tak długo?

Wiedziała, o co mu chodzi.

– Ty. Nic o tobie nie wiedziałam: gdzie jesteś, co robisz, jak ci się powodzi, czy masz żonę, dzieci, hipotekę na głowie, zobowiązania... i nie przejawiasz najmniejszej ochoty, żeby wziąć na siebie następne. Więc myślałam sobie tak: „Jeżeli się zjawi i kiedy się zjawi...” Co roku. On był dla ciebie przygotowany.

– Jak prezent-niespodzianka?

– Takie prezenty potrafią czasem sprawić zawód, a innym razem zachwycić.

– Ten jest zachwycający. To nie ulega kwestii. – Prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami. – Ale sprawił mi również zawód. Nie, nie mówię o Jamesie – dodał widząc, że brwi Sary ściągnęły się odruchowo. – Chodzi mi o to, że dowiedziałem się o nim tak późno. – Powtórzył lekki ruch ramion. – Trudno, moja własna wina. W końcu to ja się nie pokazywałem.

– Wina leży po mojej stronie, a nie po twojej. Chciałam, żebyś się dowiedział o Jamesie, ale ponieważ nic o tobie nie wiedziałam, to było... trudne. Mogłam spróbować zdobyć jakieś informacje o tobie, ale... – skrzywiła się – ...dyskrecja nade wszystko. Tak czy inaczej – podjęła żywo – jesteś tu w końcu i wiesz o Jamesie. To znaczy, wiesz przynajmniej, jak wygląda. Może zacznijmy od tego.

– A na czym skończymy?

– O tym właśnie musimy porozmawiać.

Jego wzrok raz jeszcze podążył w kierunku fotografii.

– Miło, że nazwałaś go James. Próboweś w ten sposób przekupić sumienie? Tym razem poradziła sobie bez trudu.

– Wiesz, „Edward” mógłby się okazać zbyt trudny do przełknięcia, nawet dla mnie. Rozumiesz, dla ludzi, którzy cię pamiętali, nawet „James” wydawał się pewnie... skandaliczny.

– Skoro jesteśmy przy skandalu... jakim sposobem, na Boga, uszło ci to na sucho przez tyle lat? Mądra strategia, czy po prostu łut szczęścia?

– Dobre maniery. Nadal je tu kultywujemy, a poza tym minęło dwadzieścia jeden lat od czasu, kiedy byłeś w Little Heddington.

– Zjawiłem się tam w sobotę i mnóstwo ludzi mnie rozpoznało. Prawdopodobnie dzięki mojej wizycie Little Heddington spędziło bezsennie sobotnią noc. Trudno się dziwić, że tylu mnie jeszcze pamięta!

– Czy to ci robi różnicę?

– Nie, dlaczego? Ty tutaj mieszkasz, nie ja.

– I mieszkałam przez dwadzieścia parę lat. – Uśmiechnęła się kąpiąco. – To, co się dzieje w Luttrell Park, jest bardzo ważne dla miasteczka, Ed. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Mieszkałeś tam blisko dwa lata, powinieś pamiętać.

– Pamiętam.

– Anglia zmieniła się przez minione dwadzieścia lat, ale życie w miasteczku toczy się, jak toczyło.

– Jednak Jamesa nie było na zjeździe.

– Nie, bo jest w trakcie semestru.

– W soboty też?

– Spędzał ten weekend z jedną z przyjaciółek.

– Jak to? Już?

– Powiedziałam ci. To twój syn.

Ed uśmiechnął się szeroko.

– Ale bywał na innych zjazdach? – dopytywał się uparcie.

– Tak, w dzieciństwie, ale przez ostatnie parę lat już nie. Najpierw był w szkole, a potem na uniwersytecie.

– Jest zdolny? Bystry?

– Co tylko zechcesz. Ma dociekliwy umysł.

– A zaczął kiedykolwiek dociekać, dlaczego wygląda tak, a nie inaczej?

– Owszem. Więc mu powiedziałam.

– On wie?

– Wszystko.

Ed milczał przez chwilę, koncentrując się na fotografii, jakby chciał ją sobie wryć w pamięć, choć miał przed sobą po prostu własną twarz z czasów młodości.

– Należy do ciebie – oznajmiła Sara.

– To jest raczej oczywiste – odparł Ed z uśmiechem się. – Dziękuję – dodał, a Sara od razu wiedziała, o co mu chodzi.

– Czy to oznacza, że wyrażasz aprobatę? – spytała spoglądając na zegarek. – Zamówiłam stolik na pierwszą piętnaście w „Connaught”. Słusznie zrobiłam?

– Chyba zawsze postępowałaś słusznie.

– No, to się dopiero okaże – stwierdziła z powagą. – Idziemy?

Wstała z ławki. Ich oczy spotkały się.

– Więc chodźmy – dodała bez tchu.

Odwróciła się, żeby odejść, ale chwycił ją za rękę. Spojrzała na niego pytająco, a on ujął obie jej dłonie, odwrócił, podniósł do ust i ucałował. Zaciśnęła palce na jego rękach, a Ed puścił ją i poszli przez ogrody w kierunku Carlos Place.

Ed zamówił szampana. Kelner przyniósł butelkę, napełnił kieliszki i odszedł zostawiając butelkę w kubelku z lodem. Ed podniósł swój kieliszek.

– Ooo, bardzo potrzebowałem szampana. A poza tym chciałbym wznieść toast. Wypijmy za życie – oby nas długo jeszcze potrafiło zadziwiać.

– I obyśmy jak najdłużej zachowali zdolność dziwienia się.

Tręcili się kieliszkami i wypili. Ed zauważył napełniając je ponownie:

– Zdaje się, że miałas mi powiedzieć, jak to się w ogóle stało.

Sara zakrzuszyła się szampanem.

– Te półtora procenta ryzyka – wyjaśniła, kiedy już mogła przemówić.

Ed wzruszył ramionami.

– Nic nie jest idealne – stwierdził z pełną powagą.

– Nawet najlepsze amerykańskie krawki – powiedziała Sara z nutą ironii.

– Mogłaś zaskarżyć wyrób.

– Nie. Zawsze chciałam mieć z tobą dziecko, Ed. Skoro nie mogłam zatrzymać ciebie, chciałam przynajmniej mieć jakąś twoją część. Jedyna rzecz, jaka mnie wtedy przerażała, to że mogę je stracić. Widzisz, chorowałam na początku ciąży. Opóźniony szok i dołek emocjonalny. To właśnie dlatego tak długo nawet nie wiedziałam, że w ogóle jestem w ciąży. Normalne objawy zostały przygłuszone przez inne dolegliwości, zresztą nie byłam wtedy zdolna do zauważenia cegółki. Kiedy pisałam do ciebie ten list, nie miałam o niczym pojęcia.

– Zastanawiałam się nad tym.

– Nie wiedziałam, wtedy jeszcze nie. Byłam... zagubiona, rozstrojona, zdezorientowana. Przez długi czas nie potrafiłam myśleć o czymkolwiek poza tym, że odszedłeś i ja w pewnym sensie również – każde z nas w inną stronę. Pracowałam nadal w szpitalu, odwiedzałam Gilesa, wstawałam z łóżka rano i kładłam się do niego wieczorem. Funkcjonowałam jak automat, aż pewnego ranka zemdlłam podczas dyżuru. Odzyskałam przytomność w karetce wiozącej mnie do domu; polecono mi odpoczywać i uważać na siebie, ponieważ, jak mi obwieszczono, jestem w piątym miesiącu ciąży. To było wprost niewiarygodne. Przecież zamiast przytyć, straciłam na wadze. Ale nie mogło być mowy o pomyłce. Lekarz przykazał mi odpoczywać pod groźbą utraty dziecka. Byłam wtedy niedożywiona i dość słaba. Powiedziała, że jeśli nie będę uważała, poronię. To było w październiku. Gdzie byłeś w październiku czterdziestego czwartego?

– We Francji.

– Pamiętam, że się nad tym zastanawiałam. Poszłam wtedy do pawilonu. Spędzałam tam mnóstwo czasu po twoim odjeździe. Było mokro i mgliście, a ja siedziałam i bardzo długo zastanawiałam się, co zrobić. Przemyślałam wszystko – każdy aspekt po kolei – w poszukiwaniu wyjaśnień i odpowiedzi. Bardzo byś mi się wtedy przydał, Ed. Pamiętam, że modliłam się o jeszcze jeden cud: żebyś

zszedł ze wzgórze, jak to dawniej robiłeś. Ale ty już tak dawno odjechałeś. Byłam zdana wyłącznie na siebie. Wciąż na nowo rozpatrywałam różne wersje przyszłości, tylko nie mogłam znaleźć takiej, w której nikt by nie ucierpiał. Zdecydowałam, że jedynym wyjściem jest postępować tak, by wyrządzić najmniej szkody. Odszedłeś. Trudno było zrobić ci coś gorszego niż to, co już ci wyrządziłam, a zresztą powiedziałam sobie, że nie płacze się po utracie czegoś, o czym się nigdy nie wiedziało. Skoro tak cię potraktowałam, uznałam, że nie mam prawa przybiec do ciebie i oznajmić: „Przykro mi, Ed. Tobie też musiało być przedtem przykro, ale ja jestem w ciąży”.

– Miałaś do tego wszelkie prawo.

Przesłała mu czuły, niedowierzający uśmiech.

– Wróć wstecz pamięcią, Ed. Sam mi powiedziałeś, jaki byłeś wtedy rozgoryczony. Pomyślałbyś od razu, że zależy mi wyłącznie na dziecku, ani trochę na tobie. Toteż cię odsunęłam. To był wyłącznie mój problem i musiałam sama go rozwiązać. Ale miałam również szczęście. Wiele straciłam, ale zostało mi dziecko. Dziecko od ciebie, Ed. To było więcej, niż się kiedykolwiek spodziewałam. Byłam w siódmym niebie. Pamiętam, że siedziałam tam w deszczu przepęłniona niewiarygodną radością. Słowo daję, uważałam, że los się do mnie uśmiechnął. Trudno mi było skupić się na czymkolwiek innym. Nieistotne się stało, co zrobiłam i co mi miało jeszcze przynieść życie, bo spodziewałam się twojego dziecka. Prócz tego nic się nie liczyło. Lekarz przykazał mi dużo leżeć, więc posłuchałam. Spędzałam dni w łóżku. Nic więcej nie było ważne. Ani Giles, ani inni ludzie, po prostu nic. Jedynie dziecko. Sir George powiedział Gilesowi, że jestem chora – wyczerpanie nerwowe – co zresztą było szczerą prawdą. Rzeczywiście chorowałam. A potem, w grudniu, Giles dostał pozwolenie na spędzenie Świąt Bożego Narodzenia w domu.

Wyznałam mu wszystko, nie pomijając niczego. Zachował się wspaniale. Widzisz, musiał zauważyć, że mam obsesję na punkcie tego dziecka, bo rzeczywiście tak było. Zdaje się, że w ogóle przestałam myśleć racjonalnie. Znajdowałam się po prostu w stanie upojenia. Jednak prawdziwym zaskoczeniem okazała się reakcja Gilesa. Na początku, po katastrofie, kiedy zorientował się, co się z nim stało, był po prostu nieznośny. Ale wyglądało na to, że wiadomość o dziecku jest dla niego nową szansą i nową nadzieją. Przyznał wtedy, że on w żadnym razie nie będzie mógł mi dać dzieci. Powiedział, że jeśli jestem gotowa z nim zostać, zaakceptuje dziecko i uzna je za własne. Ono będzie połową mnie samej i jedynym dzieckiem, jakie kiedykolwiek będziemy mieli. Wychowane zostanie na Luttrella i wszystko odziedziczy. Powiedział jeszcze, że nadal mnie kocha i że zaczniemy życie od nowa; zapewnił, że potrzebujemy się wzajemnie.

Zaakceptowałam jego propozycję. Nie myślałam właściwie, co robię – to znaczy, co robię jemu. To przyszło później. Wtedy byłam skupiona wyłącznie na dziecku i jego szczęśliwym przyjściu na świat. Był, jak się okazało, bardzo mały; ważył niecałe dwa i pół kilograma, przy tym miał problemy z oddychaniem. Przez jakiś

czas lekarze obawiali się, że umrze. Myślałam, że oszaleję. Zastanawiałam się, czy się z tobą nie skontaktować. Posunęłam się nawet do tego, że usiadłam i napisałam do ciebie na adres bazy lotniczej w Bushey Park. Jakoś wyobraziłam sobie, że może przyjedziesz zobaczyć Jamesa przed jego śmiercią... ale on nie umarł, a ja nie wysłałam listu. Kiedy tylko zdobyłam pewność, że James będzie żył, odzyskałam zdolność racjonalnego myślenia. Przynajmniej wówczas byłam zdania, że myślę racjonalnie. Wróciłam przecież do Gilesa i powiadomienie cię o dziecku otworzyłyby jedynie stare rany, a Giles borykał się z dostateczną liczbą własnych problemów. Doszłam do wniosku, że jest to dla mnie świetna okazja, żeby odpokutować. Znako-mita włosiennica. Stanowiłam chodzący kompleks winy. To nie Giles, ale ja potrzebowałam wtedy psychiatry. Wydawało mi się, że jeśli wyrzeknę się wszelkich nadziei związanych z tobą, jeżeli skoncentruję się na Gilesie i Jamesie, będzie to zadośćuczynienie za wszystko, co zrobiłam. Giles był w bardzo niedobrym stanie – zarówno fizycznie, jak psychicznie. Poza mną i tym wszystkim, co spotkało go z mojej strony, musiał zaakceptować mnóstwo faktów, pogodzić się z rzeczywistością. Był gotów przebaczyć mi i zapomnieć, przyjąć mnie z powrotem, a wraz ze mną również dziecko. Ale żeby to osiągnąć, potrzebował mojej pomocy. Dla mnie była to idealna sposobność, żeby odkupić swoje winy; w dodatku los mnie hojnie obdarzył, ponieważ miałam Jamesa. Więc zrobiłam, jak postanowiłam.

Opróżniła kieliszek i wyciągnęła w jego stronę, żeby napełnił go ponownie.

– Giles był cudowny. Uwielbia Jamesa, który darzy go tym samym uczuciem. Nadal myślę, że postąpiłam słusznie, że nie mogłam zrobić inaczej. Nie żałuję niczego, poza tym, co wyrządziłam tobie. Tego zawsze będę żałowała. Ale nie mogłam wiedzieć, jak ułoży ci się życie. Byłam absolutnie pewna, że spotkasz kogoś, ożenisz się i będziesz miał inne dzieci. A nasze wspólne dziecko pozostanie twoim darem dla mnie. Kiedy rozpoczęły się zjazdy, żyłam jednocześnie lekkiem i nadzieją, że może się zjawisz. Pragnęłam, żebyś się dowiedział o Jamesie. Nie chciałam, żebyś sądził, że chowam go przed tobą, ale sprawa nie była prosta. Zdecydowałam, że jeśli przyjedziesz sam, to ci powiem, a jeśli przywieziesz ze sobą żonę, będę milczała. Ale ty się po prostu nie pojawiałeś. Wtedy zaczęłam nabierać przekonania, że nie przyjedziesz nigdy; że to, co zrobiłam, zraniło cię zbyt mocno i musiałeś wykluczyć mnie ze swojego życia równie bezwzględnie, jak ja wykluczyłam cię z mojego. A potem, kiedy generał Miller powiedział mi, że widział cię w Sajgonie i że o ile się orientuje, nie jesteś żonaty...

– Czekał na samolot lecący w jedną stronę, a ja na inny, w przeciwnym kierunku. Nie rozmawiałem z nim dłużej niż pięć minut.

– Wiem. Mówił mi o tym. Powiedział również, że wiesz o zjazdach i wiedziałeś o nich od początku.

– Tak, on mnie o tym poinformował. Przekazał mi także, że o mnie pytałeś.

– To prawda. Ale nie umiał mi nic o tobie powiedzieć. Więc doszłam do wniosku, że rozmyślnie się nie pojawiaasz, że nie masz ochoty przyjechać i odnaleźć to wszystko na nowo. Widocznie łudziłam się, że mógłbyś mi przebaczyć.

To, że ja nie potrafiłam o tobie zapomnieć, nie znaczyło wcale, że z tobą jest tak samo; to również sobie powiedziałam.

– Gdybyś tylko wiedziała... – zauważył Ed z nutą ironii.

– Teraz wiem. Kiedy w sobotnie popołudnie zobaczyłam cię na ścieżce za trawnikiem, poczułam...

– Wiem, co poczułaś. Ja poczułem to samo. Myślałem, że okazałem ci to dość jasno.

– O, tak.

Wyciągnęła do niego rękę; chwycił ją i uściśnął.

– Tak się cieszę, że wróciłeś, Ed. Nie tylko ze względu na Jamesa, ale również na siebie. Jak ci mówiłam, nigdy nie zamierzałam ukrywać go przed tobą. Nigdy nie przydzieliłam ci roli czarnego charakteru. Zarezerwowałam ją dla siebie. Wszystko, co się zdarzyło, zawdzięczam sobie. Ech, te moje domki z kart; jedna karta upadła i pociągnęła za sobą wszystkie inne... ale chociaż moją miłość do ciebie przywaliły gruzy, wydobyłam ją żywą. Nigdy nie przestałeś być mi drogi, Ed. Nigdy nie przestałam cię kochać i myśleć o tobie. Jesteś i zawsze będziesz dla mnie wszystkim. Najlepsze, co od życia dostałam, to właśnie ty, a dzięki tobie mam również inny skarb – Jamesa. Jestem twoją dłużniczką, Ed, jeśli chodzi o Jamesa, a także o wszystkie te lata, kiedy byłeś go pozbawiony... ale widzisz, zbudowałam jeszcze inny domek z kart – w Kalifornii. Ten, w którym mieszkałeś ze swoją żoną i dziećmi.

– Nie zapytałaś o moją żonę.

– Twoje małżeństwo nie ma ze mną nic wspólnego.

– Ależ ma, i to bardzo wiele. Przede wszystkim ty byłaś powodem, dla którego się ożeniłem. Typowy przykład na to, że powód może być dobry, ale rezultat okazuje się fatalny.

– Jaka ona była?

– Podobna do ciebie... przynajmniej z wyglądu.

– Amerykanka?

– Tak.

– Kiedy to było?

– W pięćdziesiątym piątym. Małżeństwo utrzymało się trzy lata, i to tylko dlatego, że ona nad tym pracowała. Ona trzymała się mnie, a ja trzymałem się ciebie. Ten twój klej, Saro, jest niesamowity. Powinnaś go opatentować; co raz połączy, jest nie do rozerwania.

Przesunął kciukiem po aksamitnie gładkiej skórze wnętrza jej dłoni.

– A James? Jaki rodzaj więzi cię z nim łączy?

– To bardzo ścisła więź. Jesteśmy sobie tak bliscy, że mogłam mu opowiedzieć wszystko o tobie.

– Całą historię?

– Wszystko. James nie jest głupi, Ed. Od bardzo dawna wiedział, że nie przypomina Gilesa. Ani z wyglądu, ani z temperamentu, ani z charakteru. Właściwie

ci dwaj nie mają ze sobą nic wspólnego, prócz wzajemnej miłości, a ze strony Jamesa również podziwu i głębokiego respektu. James wzrastał przy Gilesie z wszystkimi tego konsekwencjami, ale on wie o twoim istnieniu, Ed. Wie, kim jesteś i czym byłeś dla mnie. Wie, że nie łączą go z Gilesem więzy krwi, zresztą właśnie w ten sposób wpadł na trop prawdy. W ciągu tych wszystkich lat Giles przeszedł wiele operacji, a niektóre z nich wymagały transfuzji. James miał prawie czternaście lat, kiedy przyszedł do mnie i zapytał wprost, kto jest jego ojcem. Okazało się, że akurat w tym czasie omawiali w szkole zagadnienia związane z krwią – podział na grupy, elementy dziedziczone i tak dalej. Dowiedziawszy się, jaką ma grupę krwi, zrozumiał, że nie może być synem Gilesa. Giles ma grupę krwi 0; James, podobnie jak ty AB Rh +. Pamiętam tę grupę z twoich znaczków tożsamości. Więc powiedziałam mu prawdę. A on odparł, że miał takie podejrzenia od czasu, kiedy szukał czegoś w mojej toalecie i natknął się na pudełko, w którym trzymam twoje listy, zdjęcia i odznakę lotniczą od ciebie... a że cechuje go nienasycona ciekawość, otworzył pudełko i zajrzał do środka. Potem popatrzył na siebie w lustrze i wiele rzeczy się wyjaśniło.

Uśmiechnęła się do tego wspomnienia uśmiechem tak pełnym słodyczy, że odczuło go niczym nagłe ukłucie bólu.

– James zachował się bardzo... elegancko w całej tej sprawie. Zapewnił mnie, że rozumie, chciał wiedzieć mnóstwo rzeczy o tobie, poklepał mnie po ręce i przysiągł dotrzymać naszej tajemnicy. – Jej oczy wezbrały łzami, niewypowiedzianie czułe na wspomnienie tamtej sceny. – Odczuł wyraźną ulgę, kiedy się przekonał, że nie gniewam się na niego za zagładanie do pudełka, natomiast nie wydawał się specjalnie przejęty tym, co mu powiedziałam. Zawsze byliśmy sobie z Jamesem bliscy – nie istniały między nami sekrety ani bariery. Możemy rozmawiać ze sobą o wszystkim, ale od tamtego dnia, w jakiś przedziwny sposób, James stał się bardziej... opiekuńczy, jakby bardziej męski. A teraz, w wieku dwudziestu jeden lat, w żadnym razie nie osądza mnie ani nie potępia. On należy do innego pokolenia, Ed. Ci młodzi ludzie nie patrzą na świat tak, jak my kiedyś. James rozumie, ponieważ mnie zna, a zna mnie równie dobrze jak ty. I mam nadzieję, że zna również ciebie, Ed. Opowiedziałam mu wszystko o tamtych czasach; o „California Girl” i „Sally B”, o bazie, o wojnie, o tym, jak się wtedy żyło, co nosiło i co jadło, jakie piosenki śpiewało. Słuchał zafascynowany, jak gdyby to była opowieść sprzed wieków, a nie zdarzenia, które miały miejsce zaledwie w poprzednim pokoleniu.

Twarz Eda była zastygła, daleka, jakby to, co mu powiedziała, okazało się trudne do przyjęcia i jakby musiał odsunąć się dalej, żeby móc zobaczyć wszystko z perspektywy. Odniosła wrażenie, że jest z jakiejś niewiadomej przyczyny rozgniewany, choć wyraz jego twarzy pozostał nieprzenikniony, kiedy oczy powędrowały raz jeszcze do fotografii. Czekwała więc w niepewności.

W końcu Ed odezwał się ostrym tonem:

– Jedno, na co się z pewnością nie zgodzę, Saro, to żebyś ofiarowała mi teraz Jamesa gotowego, jak na tacy. Nie dopuszczę także, żebyś potraktowała go jak

zastaw, za który mógłbym wykupić własne nadzieje. Żadnego namawiania, Saro... a swoje kalwińskie sumienie wyklucz całkowicie ze sprawy.

Był chłodny i zdecydowany, twardszy, niż go pamiętała. Był także czujny, miał się na baczości. Ale właściwie dlaczego miałby czuć do Jamesa to, co ona, tylko dlatego, że chłopak był jej – ich – synem? Jednak co do jednej kwestii miał niewątpliwie rację. Rzeczywiście szukała rozgrzeszenia, nie mogła temu zaprzeczyć. Chciała się pozbyć poczucia winy, które gnębiło ją od tylu lat na myśl o tym, co mu wyrządziła. Czemu więc miałby przyjąć Jamesa jak prezent w złożonym papierze? „Posłuchaj, Ed, jest mi szalenie przykro i naprawdę tego nie chciałam – ale spójrz, popatrz tylko, co dla ciebie mam. Prawda, jak to miło?” Skurczyła się wewnątrz; dla Eda to nie było miłe. Dla Eda na pewno nie.

Nie, nie... zrobiła to, co zrobiła, ponieważ pragnęła, żeby James pokochał Eda, a Ed Jamesa. Rzecz jasna, James orientował się w sytuacji daleko wcześniej i daleko lepiej, ale Ed posiadał w wysokim stopniu umiejętność doceniania i rozumienia. Gdyby tylko jakimś sposobem mogła doprowadzić do ich spotkania... Nie, pomyślała. Daj spokój. Nie możesz tego robić na siłę, to James musi podjąć taką decyzję, no i oczywiście Ed. Zrobiłaś, co mogłaś, jeśli chodzi o Eda. Namalowałaś portret – idealne podobieństwo – na bogatym w szczegóły tle zdarzeń. Edowi podoba się obraz, ale czy gotów jest go kupić? I co może istotniejsze, czy go na to stać?

Bezwiednie gryzła dolną wargę. Obserwował ją uważnie. Potrafił z taką łatwością czytać w jej myślach.

Sara rzuciła światło na różne ciemne dotychczas zakątki, choć istniały nadal miejsca wymagające oświetlenia. Jednak wiele spraw rysowało się teraz wyraźniej. Szacunek Eda dla Gilesa Luttrella znacznie wzrósł. „Bull” Miller, wypowiadając swój komentarz, nie docenił tego człowieka. Giles znał dobrze Sarę, to oczywiste. Wiedział, jak przypiąć ją do siebie stalowymi okowami. Moje okowy, myślał Ed, były z wosku, który topniał w gorączce chwili, a kiedy chwila mijała i można ją było zaliczyć do przeszłości, one również przestawały istnieć. Bzdura, zaprzeczył sam sobie. Wcale tak nie jest. One nadal w niej tkwią, zatopione głęboko. Inaczej nie siedziałaby tu i nie mówiła tego, co mówi. Wszystko, co dotychczas powiedziała, jest tego potwierdzeniem. Gdybyś nic dla niej nie znaczył, nie byłaby tutaj z tobą. Dla niej to też nie było łatwe. Myśleć o tym, to jak dosiadać konia na karuzeli; niby biegnie wciąż naprzód, a tak naprawdę goni w kółko. To nie karuzela, to pułapka. Jeśli Giles Luttrell może cię zaakceptować, dlaczego ty nie możesz zrobić tego samego? On ma nad tobą dwadzieścia jeden lat przewagi i aureolę na dodatek. A co ty masz takiego, Ed? Może Sarę? Teoretycznie, tak. Ale co z praktyką? Jest tak blisko, a zarazem tak daleko. Za daleko. I nie dość daleko. Dlaczego, do cholery, wróciłem? Co tu właściwie mam? Kobietę, której mieć nie mogę, i syna, którego nie znam. Ech, ty i te twoje wyliczenia! Powinieneś mieć dość rozsądku, żeby wystrzegać się gier liczbowych. Twój system jest zły i zawodzi. Giles Luttrell odkrył ten właściwy.

Twarz Sary zmaterializowała mu się przed oczami. Uświadomił sobie, że patrzył prosto na nią zupełnie jej nie widząc. Przyglądała mu się z lekko uniesionymi brwiami i pytającym wyrazem twarzy, a w jej spojrzeniu czaiła się niepewność.

– Tak więc – powiedział lekkim tonem – tu kończy się pierwsze czytanie.

– I czego się z niego dowiedziałeś?

Że nie należy mieć zaufania do krążków domacicznych, pomyślał cynicznie.

– Że jestem ojcem o długim stażu teoretycznym, ale krótkim praktycznym – odparł.

– To dałoby się zmienić.

– Jak? Proponujesz wieczorek zapoznawczy?

Nie przejęła się jego tonem.

– Zostaw to mnie – zaproponowała. – Mówiłam ci, że on jest na ciebie przygotowany.

– To jest twoja opinia. Ale co on na to?

– Zostaw to mnie – powtórzyła.

– Sądziłem, że w pewnym sensie zrobiłem to dawno temu.

– O tym już mówiliśmy – wyprostowała się i oparła złożone ręce na stole. – Czego jeszcze chcesz, Ed? Uważasz, że nie dałam ci dosyć?

– Aż za dużo... jeśli chodzi o punkt wyjścia.

– W takim razie zastanów się, co robisz – poradziła krótko. – Popatrz na siebie. Twoje wątpliwości są wyraźnie widoczne.

Roześmiał się.

– Jeśli mam patrzeć, to wolę na ciebie.

– No to patrz – zachęciła go z uśmiechem.

Oparł brodę na zwiniętej dłoni i wpatrzył się w nią bez żenady nieruchomym, kontemplującym wzrokiem.

– Nie w ten sposób, głuptasie.

Pochyliła się ku niemu i wzięła go znów za rękę.

– Nie mogę zrobić nic innego w publicznej restauracji.

– Więc na razie niech nam to wystarczy.

– A co potem?

Następne wzruszenie ramionami.

– Kto wie?

– Dawniej zawsze wiedziałaś.

– Wtedy byłam młodsza.

– A teraz?

– Teraz po prostu najczęściej nie wiem.

Znów to oddalenie, ta zaduma.

– Pośluchaj, Saro, jestem w twoich rękach. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to słuchać. Mówisz mi o sprawach, na które nie mogę zareagować... przynajmniej nie teraz. Wszystko, co było do zrobienia, ty dawno już załatwiłaś. Dlatego czuję

się teraz... niepotrzebny. W całej tej historii jestem tylko statystą bez roli do zagrania, nawet bez żadnych kwestii do powiedzenia. Ostatnią dużą rolę grałem przed dwudziestu jeden laty. Byłaś – i nadal jesteś – producentem i na dobrą sprawę również reżyserem, a ja nie miałem jeszcze nawet żadnych prób. Nie wiem nawet, co powinienem zrobić.

– Nie proszę cię, żebyś cokolwiek robił. Spotkałam się dziś z tobą, żeby ci wszystko opowiedzieć. Nic poza tym. Żebyś się dowiedział; żebyś znał prawdę. I doprowadziłam do tego. Miałeś wszelkie prawo wiedzieć, że urodził nam się syn. On jest twoim dzieckiem i chciałam, żebyś miał pewność – nie zakładałam, że zrobisz coś z tą wiedzą, tylko uważałam, że powinieneś ją posiadać. Ale jakoś teraz atmosfera kojarzy mi się ze szczerzącymi się na siebie psami – a ty zawsze byłeś z tych, co, jak to się mówi, więcej gryzą niż szczekają.

– Może pokażesz blizny? – spytał z lekką drwiną. Potem pochylił się ku niej. – Posłuchaj, Saro. Jestem szczerze wdzięczny za to, co dostałem. Proponuję ograniczyć się tymczasem do tego. Dałaś mi sporo do myślenia. I zapewniam cię, że chociaż szczerzę kły, nie zamierzam cię zaatakować za to, że nie powiedziałaś mi o wszystkim wcześniej. W porządku, powiedziałaś teraz i jestem ci za to wdzięczny. Daj mi się oswoić z nowymi faktami, zanim posuniemy się dalej. To, co mi powiedziałaś, brzmi wspaniale, ale pozwól, że przemyślę to sobie jeszcze raz od nowa i w samotności. Przestałem przyjmować cokolwiek na wiarę, Saro. Ed, który to robił, opuścił dom dawno temu.

– Zawsze odczytywałeś tekst między wierszami, nawet jeśli był napisany maczkiem.

– Teraz też to potrafię. Wszystko to wygląda bardzo atrakcyjnie, ale nie chcę ot, tak przyjmować roli, którą mi ofiarowujesz – w każdym razie jeszcze nie teraz. Nauczyłem się wybierać role z wielką rozwagą i jeśli jakaś nie jest dla mnie właściwa, po prostu rezygnuję. Masz rację, to nie jest tragedia, ale także nie farsa. Po prostu historia stara jak świat...

– Tak czy inaczej opowiedziałam ci ją.

– A ja jej wysłuchałem. Historia się nie zmieniła, za to ja ...owszem – Przerwał i oparł się o krzesło. Po chwili odezwał się znowu: – Rozumiesz? Proszę do nas nie dzwonić, my się do pani odezwiemy.

Siedziała sztywno i nieruchomo.

– Masz do tego pełne prawo – przyznała. – Czy mogę spytać, jak wyglądają moje szanse?

– Zupełnie dobrze – odparł. – Równie dobrze, jak zawsze.

– Dzięki za te kilka słów pokrzepienia.

Jego oczy były nieustraszone.

– Mówiłem ci – przypomniał. – Nie jestem księdzem.

– A jednak wysłuchałeś mojej spowiedzi.

– I to jest wszystko, co mogę zrobić.

– Mogę czy chcę?

– Tego jeszcze nie wiem. To się dopiero okaże.
– To znaczy, że może się zgodzisz zobaczyć Jamesa?
Wzruszył ramionami.
– Właśnie.
– Ja również się zmieniłam – oznajmiła.
Znowu oddalili się od siebie. Sara wzięła do ręki menu, podała mu drugie.
– Pomyśl o tym – powiedziała niemal obojętnie. – I daj mi znać, co zdecydowałeś, dobrze?

Sara kończyła właśnie pisać adres na paczce, kiedy ktoś pochylił się nad nią i pocałował ją lekko we włosy.

– Za wcześniej na przygotowania do Gwiazdki, a urodziny już obchodziłem, więc kim jest szczęśliwy odbiorca tej paczuszki?

Uśmiechnęła się do syna, który stał obok z przekornym uśmiechem na ustach.

– Witaj, kochanie. Nie słyszałam twojego samochodu.

– Bo nie przyjechałem swoim samochodem. Temu rząchowi pękł ostatni tłok.

Pamela mnie podrzuciła.

– Gdzie ona jest?

– Nie mogła zostać. Jej rodzice zaprosili jakichś ludzi na weekend, więc ona musi pomóc w „podejmowaniu gości”.

Przysiadł na krawędzi biurka, żeby na nią popatrzeć.

– A w ogóle co słychać? Wydarzyło się coś nowego?

– Tak, i to całkiem sporo. Mam z tobą do pomówienia.

– Naprawdę? A o co chodzi? Co przeskrobałem?

– Nic szczególnego.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła coś szokującego. *Déjà vu*?

– Można to tak nazwać.

– Więc nazywam. À propos, jak się udał zjazd?

– Wspaniale. Szczerze mówiąc ten był najlepszy ze wszystkich.

– Coś takiego! – Przyjrzał się matce uważnie. – Ty coś knujesz – stwierdził. –

Wyglądasz... jakoś inaczej. Może to sprawa uczesania... Czy to nowa sukienka?

Uniósł jej twarz ku sobie.

– Co się dzieje? Wygraliśmy na loterii? – Nagle oczy mu pojaśniały i zapytał pospiesznie: – Jakies dobre wiadomości o tacie?

– Owszem, to dotyczy twojego ojca – zgodziła się Sara ostrożnie.

– No? Powiedz mi – zachęcił ją.

Sara spuściła powieki patrząc na paczkę, po czym obróciła ją zaadresowaną stroną na wierzch i popchnęła w stronę syna. Posłał jej pytające spojrzenie spod uniesionych brwi i dopiero wtedy opuścił wzrok. Twarz mu momentalnie zastygła.

– No, no – powiedział. – Więc to dlatego sobotni zjazd był najlepszy ze wszystkich, jakie się kiedykolwiek odbyły... mówiłaś to poważnie.

Jego głos był tak samo bez wyrazu jak twarz. Spojrzał na matkę oskarżającym wzrokiem.

– Tak.

– I już mu posyłasz prezenty?

– To jest po prostu duplikat naszego dużego albumu fotograficznego.

– I jakoś tak się przypadkiem złożyło, że miałaś to dla niego w pogotowiu.

– Zgadza się.

– Rozumiem. Nie wystarczy opowieść ze wszystkimi szczegółami, potrzebne są jeszcze ilustracje. – Wyraźnie miał się na baczności. – Założę się, że był zdziwiony.

– To prawda.

– I jaki jeszcze?

– Niezmieniony.

– To więcej, niż można powiedzieć o tobie. Jesteś po prostu podniecona do białości. Wiedziałem, że musi być jakiś powód... a to był on?

– On.

– Proszę, proszę – skomentował James lekko. – Powiedziałbym, że ten szczęśliwy spłot wydarzeń godny jest uwiecznienia w literaturze, na przykład w pamiętnikach. Może lepiej opowiedz mi dokładnie o wszystkim.

– Miałam taki zamiar.

– Ja myślę! Poczekaj chwilę, chyba najpierw zrobię sobie drinka. Ty też chcesz?

– Tak. Napiję się sherry.

Po chwili James wrócił z kieliszkami, postawił przed nią sherry, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko.

– W porządku – oznajmił. – Siedzę wygodnie. To co, zaczynamy?

Sara wybuchnęła śmiechem.

– Uważasz, że ta historia jest zabawna?

– Nie, nie sędzę. W gruncie rzeczy roześmiałam się dlatego, że... widzisz, zawsze wiedziałam, jak bardzo jesteś do niego podobny; ale teraz, kiedy go znowu zobaczyłam, stwierdziłam, że podobieństwo jest wprost niesamowite.

– Czyli jest to historia o duchach.

– Nie bądź taki dowcipny, James – głos matki zabrzmiał jak ostrzegawczy klaps.

Miał zmieszana minę; wzruszył ramionami.

– No dobrze, powiedzmy, że to brzmi zachęcająco. Przynajmniej jest człowiekiem cywilizowanym.

Pod wpływem jej spojrzenia odwrócił oczy.

– Jest pułkownikiem amerykańskiego lotnictwa.

– Wielkie nieba! Więc on jest jednym z nich! Nie powiesz mi, że lata tymi olbrzymimi B-52, które unoszą się nad nami wyposażone w bomby wodorowe?

– Przyjechał do Londynu jako pracownik ambasady.

– Ach, wobec tego bezwzględnie musi być cywilizowany, poza innymi przymiotami, w których istnienie nie wątpię, ponieważ, moja droga mamó, widzę, że po prostu płoniesz.

Ten ironiczny komplement został wypowiedziany cierpkiem tonem. Tym samym tonem dodał niecierpliwie:

– Zaczynj mówić! Wyrzuć to z siebie! Wiem, że nie możesz się doczekać, kiedy mi wszystko opowiesz.

Więc Sara opowiedziała nie pomijając niczego. Słuchał w milczeniu, sącząc drinka, a kiedy doszła do końca, uśmiechnął się uśmiechem Eda. Na ten widok Sara poczuła lekkie ukłucie bólu.

– Nie ma co, ta historia jest jak z baśni braci Grimm – stwierdził ze zdumieniem.

Jego uśmiech pochodził z tej samej czarodziejskiej baśni.

Dostrzegając niełatwą sytuację syna, Sara postanowiła się roześmiać.

– Ed powiedział to samo.

– Nie wątpię, że powiedział jeszcze wiele innych rzeczy. Widać to po tobie doskonale.

– Naprawdę?

Zmarszczył brwi. Zorientowała się, że chyba go uraziła. Ze sposobu, w jaki na nią patrzył, odgadła, że po raz pierwszy w życiu widzi ją jako kobietę; nie swoją matkę, ale kobietę, zdolną odczuć silny pociąg do mężczyzny. Także seksualny. I to mu się nie podobało. Wcale mu się nie podobało. Wychował się przy kobiecie, która pochowała zmysły razem ze swoją miłością, a teraz grobowiec został nagle otwarty, ukazując nie prochy, ale doskonale zachowaną, żywą kobietę z krwi i kości. To go zaszokowało.

– A on? – To słowo zabrzmiało jak zniewaga. – Czy on czuje to samo?

– Tak.

– Całe wasze uczucie istnieje nadal? – W tonie Jamesa słychać było niedowierzanie.

– Tak.

– Po prostu zdumiewające – mruknął.

Nie chciał wierzyć, a jednak odkrył coś nowego, żywego w oczach i twarzy matki: świadomość własnej atrakcyjności, rozbudzoną przez kogoś. Ktoś, myślał, czyli Edward James Hardin, kapitan, a obecnie pułkownik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, który zdobył sławę jeszcze podczas drugiej wojny światowej, pilot „California Girl” oraz „Sally B”; mężczyzna z fotografii, które mama trzyma ukryte w pudełku na górze – i nie tylko w pudełku. Także w sobie. A on wrócił i ją otworzył, jak niegdyś James pudełko.

Sara знаła swojego syna lepiej niż on sam. Z wyrazistej twarzy – twarzy młodego Eda – odczytywała jego myśli, choćby nie wiadomo jak je skrywał. W tej chwili czuł się w jakiś sposób urażony, a także wstrząśnięty i zraniony, jak gdyby matka zrobiła coś kompromitująco żenującego.

– Rozmawialiśmy na zjeździe w sobotę i zjedliśmy razem lunch w poniedziałek, kiedy to opowiedziałam mu o tobie. I to wszystko – powiedziała łagodnie. – Tylko tyle i ani trochę więcej.

A jednak, myślał James nie podnosząc oczu znad szklaneczki. On sam dostrzegł różne rzeczy po raz pierwszy. I wcale mu się nie podobało to, co widział. Kiedy matka opowiedziała mu tę historię, był dość młody, żeby uznać ją za romans w hollywoodzkim stylu – sentymentalny film z czasów wojny. Przystojny, odważny i pełen fantazji amerykański pilot, piękna i czarująca angielska arystokratka, romantyczna, namiętna miłość – tylko że wtedy James miał za mało lat, żeby rozumieć, co znaczy namiętność. W filmach hollywoodzkich z tamtego okresu nie pokazywano nigdy mężczyzny i kobiety w łóżku. Ale ta siedząca obok kobieta nie mogła być przecież jego matką. Na to była zdecydowanie zbyt seksowna. Na miłość Boską, jego własna matka! Wchłonął w siebie historię, którą mu opowiedziała, podobnie jak wchłaniał bajki, które mu czytała; odłożył ją potem w to samo miejsce, gdzie spoczywały legendy o królu Arturze i jego rycerzach, o rycerskiej śmierci Custerza nad Big Horn i bohaterskiej obronie Alamo. Mieć za ojca pilota B-17, który odbył dwadzieścia pięć latających misji, a może nawet więcej, który walczył z messerschmittami i focke-wulfami, który wreszcie uratował „Sally B” wracając na dwóch silnikach prawie po szosach, jak samochodem wyścigowym – to było ekscytujące, pobudzające wyobraźnię o wiele mocniej niż kaleka cały w bliznach, przykuty do wózka inwalidzkiego. Ten prawdziwy ojciec był jakby tworem wyobraźni, jak Samotny Strażnik, o którym się czytało i którego się podziwiano, nie bardzo przy tym w niego wierząc. Rzeczywistością był człowiek na wózku oraz piękna, święta matka, która opiekowała się nim z takim oddaniem, kosztem tylu wyrzeczeń. Ale jak wysoki był to koszt, James zaczynał dopiero teraz sobie uświadamiać. Nigdy wcześniej nawet o tym nie pomyślał. Za to w tej chwili odczuwał coś w rodzaju zakłopotania. Na litość boską, przecież ona była jego matką! Nie miała prawa! Była mężatką od dwudziestu czterech lat i sama liczyła ich sobie czterdzieści cztery!

Chociaż James widział istniejące różnice między sobą a Gilesem, fakt, że on nie był jego ojcem, nie przyczynił się wcale do ich pogłębienia; więzy syn-ojciec były dość bliskie, by wytrzymać odkrycie tajemnicy prawdziwego ojcostwa. Nie przyszło mu nigdy do głowy, że jego matka może być cudzołożnicą. Dopiero teraz nagle to zrozumiał. Jego matka – jego własna matka – poszła do łóżka z innym mężczyzną; leżała naga w jego ramionach i pozwoliła, żeby wtargnął w nią i ją zapłodnił; a rezultatem był on, James Luttrell. Pierwszy raz w życiu pomyślał o sobie jako o bękarciu, nieprawym dziecku zrodzonym z zakazanego związku. Poczuł niemal odrazę. Jak ona mogła mi to zrobić? – pomyślał. Jak mogła? Miał wrażenie, że coś utkwiło mu w gardle. Boże kochany, powiedział sobie z przerażeniem, jeśli ona tak wygląda po zwykłej rozmowie z tym człowiekiem, to kto wie, jak by wyglądała, gdyby się z nią kochał. Kochał? Kochał po dwudziestu dwóch latach?

– A co na to „on”? – zapytał, podkreślając niewidzialny cudzysłów. – Czy był zachwycony twoją uroczą niespodzianką?

- Tak.
- Więc ty, rzecz jasna, też jesteś zadowolona... niepotrzebnie pytam, to oczywiste. – Dopił resztę whisky. – A tata?
- To on powiedział Edowi o tobie.
- Coś takiego! Czy ja nie mam w ogóle prawa głosu? Czy też może cała sprawa została przez was z góry zaaranżowana – dyskretny, wygodny związek we troje?
- Zachowujesz się idiotycznie i obraźliwie – stwierdziła zimno matka. – Nic nie zostało zaaranżowane. Zawsze zamierzałam powiadomić Eda o twoim istnieniu. Sam o tym dobrze wiesz.
- To było tylko założenie, takie teoretyczne „kiedyś”. Nigdy w to właściwie nie wierzyłem, jeśli chcesz wiedzieć. A on nigdy nie był rzeczywisty. Był tylko historią, którą mi opowiedziałas. Nigdy nie sądziłem, że poznam go inaczej niż z twojej opowieści, nie mówiąc już o ujrzaniu go na własne oczy! – Spojrzał na nią z wyrzutem. – Za to ty wyraźnie zakładałaś coś podobnego.
- Nie próbowała zaprzeczać.
- Tak, zawsze.
- James był zbity z tropu. Wlepił oczy w swoją pustą szklaneczkę.
- Dlaczego on wrócił?
- Ponieważ poczuł, że już potrafi to zrobić.
- Coś takiego... czyżby był nadal zadurzony?
- To kiepski dowcip, James – powiedziała ostro. Trzymała wyraźnie stronę tamtego.
- No, dla mnie ta cała sprawa jest śmiechu warta. Pomyśleć tylko, dwadzieścia lat! Na miłość Boską, więc co twoim zdaniem powinienem zrobić?
- Nikt nie każe ci niczego robić.
- A czy przypadkiem nie popychasz mnie leciuteńko w jego kierunku?
- Zawsze wiedziałeś, gdzie on się znajduje.
- Tak, żył oddalony o siedem tysięcy kilometrów i o dwadzieścia lat, a teraz jest tutaj i jeszcze w oczywisty sposób... – urwał raptownie i zmarszczył brwi.
- Co w oczywisty sposób?
- Rozgrzewa cię, prawda? – powiedział James brutalnie. – Chyba nie zaprzeczysz. Wiedziałem, kiedy tylko cię zobaczyłem.
- Na widok uśmiechu matki o mało się nie cofnął.
- Tak – potwierdziła.
- Gotował się wewnątrz, doprowadzony do furii jej arogancją. Tak, właśnie arogancją. Nagle nabrała pewności siebie, po prostu niebezpiecznej; pewności siebie, której nigdy wcześniej nie miała. Następny dowód potęgi tego człowieka.
- Odpowiem na pytanie, które z pewnością ciśnie ci się na usta – oznajmiła matka ze spokojem. – Tak, nadal go kocham. Zawsze go kochałam i zawsze będę.
- Wpatrywał się w nią, udręczony i sfrustrowany.
- Co on z tobą zrobił? – spytał niemal ze strachem. – Po prostu cię nie poznaję.

– Wrócił – wyjaśniła matka zwięźle.
– A dokąd ta sytuacja zaprowadzi nas... to znaczy twojego męża i syna?
Poza obręb twojego życia?

– Tam, gdzie zawsze byliście.

– Dzięki za ten drobny okrucuch pociechy.

– Nie mam najmniejszego zamiaru porzucić ani mojego męża, ani syna. Ed wcale nie po to wrócił.

– Skąd ta pewność? Może dowiedział się z poczty pantoflowej, że tata ma przed sobą niewiele życia.

Oczy matki były zimne jak lód.

– Dość tego, James. Chyba się zapominasz.

– Ja się zapominam! Ty się zachowujesz, jak byś postradała zmysły, a mnie mówisz, żebym się nie zapominał!

– Cicho bądź! – głos Sary przeciął powietrze jak świst biczka.

Uciszył się, choć minę miał nadąsaną. Sara nakazała sobie spokój.

– Zaszokowałam cię, prawda? Okazało się, że jestem kobietą, a nie wyłącznie twoją matką. Jesteś już dość dorosły, James, i wiesz wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, jakie było i jest moje małżeństwo. To właśnie dlatego nie widziałeś we mnie nigdy kobiety. Nie dzieliłam łóżka z twoim ojcem i to nie tylko dlatego, że on musi używać ortopedycznego gorsetu. Nie dostrzegaleś we mnie nigdy kobiety, ponieważ w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie miałam okazji nią być. Byłam pielęgniarką, James; towarzyszką, pomocnicą, przyjacielem. Jednak nie byłam żoną w pełnym sensie tego słowa.

– Ale będąc razem zawsze sprawialiście wrażenie dobrej pary.

– To dlatego, że pracowałam nad tym, a także dlatego, że jako towarzysze życia i przyjaciele byliśmy dobrani. Giles i ja mamy do siebie zaufanie i kochamy się, jak dwoje ludzi, którzy przeszli razem przez życie. Byłam lojalna, James. Zrezygnowałam z jedynej mężczyzny w moim życiu, z którym naprawdę chciałam być zawsze, dla Gilesa – ponieważ uważałam, że jestem mu to winna. Byłam przy nim niezmiennie, ilekroć mnie potrzebował, w nocy i we dnie, w szpitalu i poza nim, kiedy cierpiał i kiedy cierpienie mijało. Zawsze przy nim byłam. – Jej głos był spokojny, ale nabrzmiała emocją. – Mogłam go była opuścić lata temu i wziąć cię ze sobą, ale nie zrobiłam tego, bo on mnie potrzebował. Tylko co z moimi potrzebami, James? Nigdy nie przeszło ci nawet przez myśl, że i ja mogę mieć jakieś potrzeby, prawda? Byłam jak automat; moje zadanie polegało na tym, żeby wykonywać pewne czynności, dać z siebie to, co mogę. Miałam przychodzić z pomocą, dbać i zajmować się, i dawać, nieustannie dawać. Potrzebowano mnie i to mi miało wystarczyć. Oczywiście nie wystarczało, ale jakoś sobie radziłam. Tylko czy pomyślałeś kiedykolwiek, że ja również mogę mieć potrzeby, James? Nie przyszło ci nigdy do głowy, że ja też mogę pragnąć lub czuć się czegoś pozbawiona? Nigdy?

Potrząsnął głową z ponurą miną, jakby wbrew sobie.

– Naturalnie nigdy ci to nie przeszło przez myśl.
– Ale tata cię kocha i naprawdę cię potrzebuje! – zawołał James oskarżającym tonem.

– Wiem o tym. A ponieważ nie kochałam go dostatecznie, opuściłam go dla Eda, którego kochałam i Kocham. Nie można wybierać człowieka, którego się pokocha. Bądź tego pewien. Miłość nie respektuje ludzkich praw do uczucia. Ma swoje własne reguły i musisz się do nich stosować albo... Nie pojmujesz tego, ponieważ na razie nic ci o tym nie wiadomo. Dopóki nie zdobędziesz takiego doświadczenia, nie zrozumiesz do końca, o co mi chodzi. Ed był dla mnie objawieniem. Marzeniem, które stało się rzeczywistością. Coś podobnego zdarza się niezmiernie rzadko. Większość ludzi przekonuje się, że ich rzeczywistość jest tylko marzeniem.

– Na miły Bóg, nie karm mnie teraz nową wersją Tristana i Izoldy – zawołał James z odrazą.

– Nic o tym nie wiesz – ucięła krótko matka. – A dopóki się nie dowiesz, chowaj swoje porównania dla siebie! Powiedziałam ci prawdę o Edzie. A jemu powiedziałam prawdę o tobie.

– Ach, to twoje głoszenie prawdy za wszelką cenę! – powiedział James z gorczycą.

– Uważasz, że byłoby lepiej, gdybym skłamała? Gdybym cię oszukiwała? Uduwałam? Potraktowałam cię jak dorosłego, więc zachowuj się jak dorosły.

– Jak, u licha, mam się zachowywać w konfrontacji z taką sprawą?

– Jaką sprawą?

– Odkryciem, że moja matka jest... – zacisnął mocno usta, żeby nie wymknęły mu się słowa, których i tak nie ośmieliłby się wypowiedzieć.

– Że twoja matka jest czym? Powiedziałam ci, czym byłam, już wiele lat temu... i wyjaśniłam, jak do tego doszło.

– To całkiem coś innego! To była opowieść! A teraz chodzi o rzeczywistość!

– Czy myślisz, że zawinę cię i przewiążę jak paczkę, tak jak to zrobiłam z albumem, i wyślę na adres Eda? Raczej nierealne, James. Proszę cię tylko, żebyś go zaakceptował we właściwej roli. Jako twojego ojca. Nie powinieneś o nim myśleć jako o moim byłym kochanku. Pamiętaj, że to się zdarzyło dawno temu. On jest twoim ojcem – był wtedy, jest teraz i zawsze nim będzie. To jest fakt, James, a nie wymysł. Był moim kochankiem, przyznaję. Nikt mnie nigdy nie kochał tak jak Ed.

Gorzka, gryząca zazdrość zalała falą serce Jamesa. Zawsze wiedział, że stanowi ośrodek życia matki; ale nie przyszło mu do głowy, że to głównie ze względu na ojca, o którym nie potrafiła zapomnieć. Świadomość tego była bolesna. Wiedział, że wygląda jak ten nieznanany ojciec. Mówiono mu o tym wielokrotnie, poza tym oglądał fotografie. Ale twarz na fotografii zrobionej przed laty nie była czymś realnym; realna za to była matka, siedząca obok z twarzą rozjaśnioną wewnętrznym blaskiem. A powodem tego jest postać ze zdjęć.

Ciekawość jeszcze bardziej rozpałała jego gniew; ciekawość pchała go, by zobaczyć tę twarz i zbadać, co się za nią kryje. Chciał dowiedzieć się osobiście, co mianowicie opętało i zniewoliło na tak długo jego matkę.

– Pewnie chciałabyś, żebyśmy się z nim zobaczyli. Dobrze mówię? – spytał zniecierpliwiona.

– Owszem, chciałabym, żebyście się spotkali.

– W porządku. – Podjął już decyzję i teraz działał zgodnie z nią. – Zawiozę mu ten album. Co ty na to?

Zobaczył nagły błysk nadziei w oczach matki.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

– Powiedzmy, że jestem ciekawy. Chcę się przekonać, co to za rodzaj człowieka. Skoro potrafił pozostawić po sobie takie niezatarte wrażenie, musi się coś w nim kryć. Mieszka w Londynie?

W głosie Jamesa brzmiała wystudiowana niedbałość, ale matka od razu odgadła, w czym rzecz.

– Tak. Nie jestem pewna, gdzie to jest, ponieważ nigdy tam nie byłam. Natomiast mam jego numer telefonu. Myślę, że lepiej byłoby najpierw zadzwonić.

Wyjęła białą karteczkę z pojemnika na biurku i zapisała na niej numer. James włożył kartkę do portfela.

– Co powinienem mu powiedzieć? Masz jakieś sugestie? Może: „Cześć, tatusiu! Jestem twoim synem?”.

Brzmiało to zupełnie tak, jakby mówił Ed, do tego stopnia, że przeszedł ją dreszcz. James odziedziczył również przenikliwość swojego ojca.

– Co się stało? Czy on sam powiedziałaby właśnie coś takiego?

– I do tego dokładnie takim samym tonem. – Zaśmiała się cicho. – Och, James, jesteś do niego tak bardzo podobny...

– Z wyjątkiem amerykańskiego akcentu? – Zmarszczył brwi. – A tata? Co z nim? Gdzie jest jego miejsce pośród tego wszystkiego?

– On to rozumie. Zawsze rozumiał. Przecież przyjął mnie w końcu z powrotem.

James milczał przez moment, potem podniósł gwałtownie głowę i posłał jej dziwne spojrzenie – wrogie, a zarazem błagalne.

– Ale... nie zranisz go, prawda?

Sara obrzuciła go takim wzrokiem, że szybko spuścił oczy.

– Był dla mnie dobry – mruknął pod nosem. – To najlepszy ojciec, jakiego mogłem mieć.

I jedyny, jakiego chcę mieć, dopowiedział jego ton.

– Wiem, że go kochasz, James i nie proszę cię, żebyś to zmienił, żebyś pozbawił go swojej miłości. Proszę cię tylko, żebyś... żebyś zaakceptował Eda. Żebyś spróbował go zrozumieć i... docenić. On wykazuje podobną rezerwę w stosunku do ciebie, James. Jesteście sobie kompletnie obcy, a Ed ma o tyle gorszą pozycję, że dopiero teraz dowiedział się o twoim istnieniu. Natomiast ty wiedziałeś o nim od lat.

– Tak, wiedziałem.

– Giles też o nim wiedział.
– Dlaczego nazywasz go Giles? – warknął James. – Przedtem zawsze mówiłaś: „twój ojciec”. A jednocześnie twierdzisz, że nie chcesz go ranić!

Oczy Sary patrzyły na niego poważnie.

– Ed jest twoim ojcem, James.

– Tylko dlatego, że...

– Dokończ, nie krępuj się.

Nie ośmielił się. Jego matka zachowywała kamienny spokój. Nie podniósł na nią oczu, wpatrując się z buntowniczą miną w dywan.

– Pochodzisz w połowie od Eda, James. Kiedy na ciebie patrzę, kiedy cię słucham, wydaje mi się, że jesteś drugim Edem. Giles jest tego równie świadomy jak ja. Poznał Eda i polubił go. Mam nadzieję, że z tobą będzie podobnie.

– Czy sprawiłoby to jakąkolwiek różnicę, gdybym go nie polubił?

– Naturalnie, sam o tym wiesz.

– Czy w takim wypadku przestałabyś go kochać?

– Nie. Zawsze będę go kochała. Ale czułabym się zawiedziona.

– A ja? Co powiesz, jeśli ja się poczuję zawiedziony?

– To ci nie grozi.

– Jak możesz być tego pewna?

– Bo znam was obu.

– Ale jego trochę lepiej niż mnie, prawda?

– Nie, nieprawda. Tylko widzę go w tobie... Dzięki temu, że masz Eda za ojca, dla mnie jesteś kimś wyjątkowym i specjalnym, James. Naprawdę nie potrafisz tego zrozumieć?

– Ty rzeczywiście straciłaś przez niego rozum, nie widzisz tego? – Głos chłopca drżał lekko pod wpływem gniewu i desperacji. – I zupełnie ci nie zależy, kto się o tym dowie; nie mam racji? Ogłosiłabyś wszystko wszem i wobec... w końcu to prawda, a od kiedy prawda może wyrządzić coś złego? Jesteś fanatyczką, mamo, i jak każdy fanatyk nie dbasz, komu zrobisz krzywdę i kogo zranisz dążąc do celu. – A twoim celem jest on, tak? Powiedz!

Twarz Sary zastygła, tylko oczy mocno błyszczały, ale kiedy się odezwała, jej głos był spokojny.

– Tak.

– Widzisz! Nawet nie usiłujesz temu zaprzeczyć. Dalejże naprzód, nieśmy wysoko sztandar z hasłem: „Prawda, cała prawda i tylko prawda”. A ten slogan: „Prawda cię wyzwoli” – ustalmy od razu, że to jest kłamstwo. Prawda wyzwoli cię tylko pod warunkiem, że zakuje wszystkich wokół w okowy. Założę się, że on też jest w kajdankach.

– Bo miłość jest więzieniem – stwierdziła matka.

– Więc tam właśnie przebywałaś przez wszystkie minione lata? Więc te fajerwerki szczęścia biorą się stąd, że zostałam wyzwolona? Takie własne obchody święta Czwartego Lipca?

– Tak – powiedziała Sara po prostu.

Usta Jamesa zadrżały. Robił teraz wrażenie bardzo młodego i żałośnie bezbronego.

– Jesteś okrutna – powiedział, a jego głos drżał podobnie jak wargi.

Sara nie odezwała się.

– Nie jesteś już moją matką. Jesteś...

Zacisnął mocno zęby, by zdusić słowa, których nie mógł wypowiedzieć; obrzucił ją ostatnim spojrzeniem, w którym krył się wyrzut i ból, wstał i wyszedł z pokoju.

Bezwiednie, nawet o tym nie myśląc, skierował się prosto do gabinetu. Giles Luttrell siedział za biurkiem. Spojrzał na Jamesa z uśmiechem, ale spoważniał na widok twarzy młodego człowieka. Odchylił się do tyłu i przyglądał ręką włosy jakimś bezradnym gestem.

– Widzę, że twoja matka wszystko ci opowiedziała.

– Co się z nią stało, tato? W ogóle jej nie poznaję. Co on jej takiego zrobił?

– Wrócił.

– Dlaczego?

Giles wzruszył ramionami.

– Dlatego, że nie mógł wytrzymać z dala od niej ani chwili dłużej. James, chciałbym, żeby nie było nieporozumień: on kocha twoją matkę bardzo głęboko. A ona jego. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Jest taka odmieniona od czasu zjazdu. Nie poznajesz jej, bo przedtem nigdy jej takiej nie widziałeś. Wpływ, jaki wywiera na nią obecność twojego ojca, James, jest potężny i niszczycielski. Widziałem ich razem w sobotę i wiem, co mówię.

– Ale jak ona może robić ci coś podobnego? I jak ty możesz do tego dopuszczać?

– Nie mogę niczemu zapobiec. Zresztą zawsze o tym wiedziałem. Byłem tego świadomy, kiedy wróciłem do kraju po katastrofie lotniczej i zobaczyłem ją po przeszło dwuletniej rozłące. Znajdowała się wtedy w stanie głębokiego szoku i to wcale nie z powodu tego, co mnie się przydarzyło. Była taka, zanim mnie zobaczyła. Jak się później dowiedziałem, ta reakcja spowodowana była przekonaniem, że twój ojciec nie żyje. Potem, po jakimś czasie, dostrzegłem, że się zmieniała... Nie była już tą dziewczyną, z którą się ożeniłem. Rozwinęła się i dojrzała, ale tylko na tym skorzystałem, więc nie mam prawa się uskarżać.

James podszedł bliżej i usiadł na krześle przy biurku.

Giles spojrział na jego zbuntowaną, urażoną minę pewnym, spokojnym wzrokiem.

– Myślę, że nawet nie spróbowałeś zrozumieć, co twoja matka dla mnie zrobiła. Przypatrz mi się – jesteś przyzwyczajony, bo zawsze mnie takim widziałeś, ale kiedyś... kiedyś wyglądałem tak jak tutaj – ruchem głowy wskazał swój portret. – Zanim mi zrobili tę dzisiejszą twarz, nie miałem żadnej – podobnie jak wielu innych męż-

czyzn z mojej sali szpitalnej. Oni też byli żonaci i niejedna żona spojrziała raz na męża, po czym dała drapaka. Sara tego nie zrobiła. Dla mnie zrezygnowała z twojego ojca, dosłownie poświęciła swoje własne szczęście. A także jego szczęście. Zrobiła to dla mnie, dla bezradnego, groteskowo oszpeconego, bezsilnego kaleki. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata i była pełna życia, które tchnął w nią po raz pierwszy Ed Hardin. Wykluczyła to wszystko i jego samego ze swojego życia i poświęciła się mnie.

– Gnębiły ją wyrzuty sumienia – wtrącił James szorstko.

– Tak, możliwe, ale kierowało nią także poczucie odpowiedzialności. Widziała, że potrzebuję jej bardziej niż Ed. I rzeczywiście tak było. Nie ma co ukrywać, gdyby nie było wówczas przy mnie Sary, Bóg jeden wie, co by się ze mną stało. Nie miałbym niczego. Absolutnie niczego.

– Przecież była twoją żoną – przypomniał James z uporem.

– Ale porzuciła mnie dla twojego ojca. Napisała do mnie, żeby o wszystkim powiedzieć. Opuściła mnie, James i przestała się uważać za moją żonę. Ona i Ed byli kochankami przez dziesięć miesięcy. Z jej punktu widzenia nasze małżeństwo już się skończyło.

– Przecież mama myślała, że on nie żyje, prawda?

– Decyzję powzięła po jego powrocie. Obiecała wcześniej, że ze mną zostanie i dotrzymała tej obietnicy. Kiedy poznasz swojego ojca, zrozumiesz, co oznaczał taki wybór. Pozostała przy mnie, ponieważ jej potrzebowałem – to także jest coś, co nie uległo zmianie. Nadal jej potrzebuję i zawsze tak będzie.

– Więc powiedz, jak ty to możesz wytrzymać... jego i to, co się z nią dzieje? Gdybym był na twoim miejscu, nie mógłbym tego ścierpieć.

– Ciężko to znoszę, wierz mi. Ale jednocześnie zmuszony jestem to zaakceptować. Cóż innego mogę zrobić? – westchnął. – Jesteś jeszcze bardzo młody, James. W twoim wieku miłość jest... rodzajem gry. Raz wygrywasz, drugi raz przegrywasz. Ale jeśli Bóg da, jeśli masz wyjątkowe szczęście, spotykasz w życiu autentyczne uczucie i ono cię zmienia, modeluje cię i kształtuje. Błędem byłoby nie doceniać go, James. Kryje się w nim niesłychana moc. Tego właśnie szuka każda ludzka istota od dnia swoich narodzin. Twoja matka znalazła je w Edzie Hardinie, a on znalazł je w niej. Oczywiście czasy odegrały tu też swoją rolę. Miłość... i życie stają się o wiele cenniejsze, kiedy nie wiesz, jak długo jeszcze będziesz mógł się nimi cieszyć. Jednego jestem pewien, James. Twoja matka nigdy nie zdecydowałaby się na ten krok, gdyby to nie było dla niej tak ważne. Zawsze o tym wiedziałem, ale dopiero poznawszy twojego ojca uświadomiłem sobie, dlaczego tak się stało. Wiem, że to boli, James. Nie odczuwam tego mniej dotkliwie niż ty. Ale czemu mielibyśmy się uskarżać? Byliśmy beneficjentami wszystkiego, co twoja matka potrafiła dać z siebie przez ostatnie dwadzieścia jeden lat. A to, co dawała, to w dużej mierze zasługa Eda, który wydobył z niej najlepsze cechy. Zrozumiałem to dawno temu. Czerpałem z tego pełnymi garściami, a ty, nieświadomie, robiłeś to samo. Obaj mieliśmy ją kosztem Eda. Mogła była porzucić mnie lata temu i pójść do niego, zabierając cię naturalnie ze sobą,

a ja zostałbym bez niczego. Twój ojciec, James, jest człowiekiem samotnym. Przez uczucie do twojej matki stał się niezdolny do stworzenia stabilnego i trwałego związku z inną kobietą. To ja korzystałem z tego, co on powołał do życia. Miałem jej obecność, jej pomoc i otuchę, jej miłość – o tak, również jej miłość – powtórzył w odpowiedzi na pogardliwe, wrogie spojrzenie Jamesa. – Twoja matka niewątpliwie mnie kocha. To nie takie uczucie, jakim darzy Eda, ale jednak uczucie. Nie zostałyby ze mną, gdyby tak nie było. Stanowiła dla mnie niewyczerpane źródło pociechy, podpory i zachęty, a ponadto dała mi... ciebie. Nie osądzaj zbyt surowo, James. To jest najłatwiejsze; nieraz i mnie kusiło, by tak zrobić. Sara zapłacała tysiąckrotnie za wszelką nielojalność, jakiej się mogła dopuścić. Dlaczego więc miałbym odmawiać jej szczęścia, jakie on jej daje? Znam twoją matkę; nie zdradzi mnie, dopóki pozostaje moją żoną. Kiedy odeszła z Edem, uważała nasze małżeństwo za niebyłe. Teraz nie ma takich zamiarów. Nie dopuszczę, James, żeby ktoś zrobił jej krzywdę – czy miałbyś to być ty, czy ktokolwiek inny.

– Nie da jej się zrobić krzywdy – oświadczył zjadliwie James. – Opancerzyła się tą swoją miłością.

– Potrzebne jest jej poczucie bezpieczeństwa emocjonalnego, zwłaszcza teraz. James rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Obaj wiemy, jak się rzeczy mają. W pewnym sensie to szczęśliwy traf, że Ed przyjechał akurat teraz. Twoja matka go potrzebuje.

– Przecież ma mnie. – James był oburzony, zraniony, a poczucie krzywdy paliło go jak ogień.

– I ciebie będzie także potrzebowała. Ale Ed... z nim to co innego. On jest w stanie dać twojej matce coś, czego ty jej nie dasz.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć – powiedział James głosem nabrzmiałym goryczą.

– Nie jesteś tutaj jedynym, który odczuwa zazdrość – odparł Giles spokojnie – ale postaraj się nie okazywać tego za bardzo.

– Wyobrażasz sobie? Ona chce, żebym go poznał!

– Tak, uważam, że powinieneś to zrobić.

James oniemiał.

– Jest przecież, bądź co bądź, twoim ojcem.

– Nic podobnego! Jest nieznanym Amerykaninem, o którym nic nie wiem! Co on dla mnie kiedykolwiek zrobił prócz tego, że pomógł mi stworzyć?

– Właśnie to – zauważył Giles. – Jesteś jego częścią, James, a w dodatku bardzo go przypominasz. Nie możesz obarczać go winą za to, że się dotychczas nie znacie.

– Czyją ty trzymasz stronę? – spytał James gniewnie.

– Nie trzymam niczyjej strony. Staram się tylko patrzeć obiektywnie... tylko tyle. – Zamilkł na moment. – Ale naprawdę mam wobec niego dług wdzięczności... za twoją matkę i za ciebie. Sam rozumiesz, że miałem was oboje jego kosztem.

- Kosztem! A cóż on takiego dla mnie zrobił – i kiedy?
- Daj spokój, James – powiedział Giles zniecierpliwiony. – Jak można zrobić coś dla kogoś, czyjego istnienia się nawet nie podejrzewa?
- Ale nie można było przebić się przez zaślepienie Jamesa.
- Nic mu nie zawdzięczam – powtórzył z uporem.
- Nawet życia?
- James naburmuszył się.
- Jesteś tak samo niemożliwy jak ona – burknął ze złością. – Na Boga, kim on jest, że robi takie wrażenie na was obojgu?
- O tym będziesz musiał sam się przekonać. A dopóki tego nie zrobisz, będziesz jak ślepiec w muzeum – oświadczył Giles z przekonaniem. – Kluczem do tego dylematu jest osoba twojego ojca.
- Mojego ojca! – parsknął James szyderczo. – To ci dopiero ojciec! „Ojciec nasz, któryś jest w Niebie” – wyrecytował parodiując bezlitośnie.
- On nie jest z nieba, tylko z San Francisco – poprawił go Giles, nie przejęty tym wybuchem.
- I powinien był tam pozostać! Czy musiał wracać i wszystko burzyć? Nie potrzebuję go! Ten człowiek nic dla mnie nie znaczy, jest po prostu abstrakcją.
- Jest czymś więcej, znacznie więcej – powiedział cicho Giles. – Kiedy go poznasz, zrozumiesz, co mam na myśli.
- Oboje jesteście zdecydowani pchnąć mnie w jego kierunku, prawda?
- Giles westchnął.
- James, problemy nie znikną tylko dlatego, że cała sprawa ci się nie podoba. Ed wrócił, twoja matka się z nim widziała i piłka poszła w ruch... nie mogę jej zatrzymać, za to ty możesz ją złapać. Jeśli chcesz mojej rady, zrób to. Wtedy, i jedynie wtedy, będziesz wiedział, o czym mówisz. – Potrząsnął głową i dodał karcącym tonem: – Pomyśleć tylko, że zawsze byłeś zupełnie szczerze przekonany o swojej przynależności do waszego prawdziwie wyzwolonego pokolenia.
- James miał na tyle przyzwoitości, że policzki mu poczerwieniały.
- Mama nie należy do mojego pokolenia – pospieszył wyjaśnić we własnej obronie.
- A, rozumiem... to, co jest dozwolone w twoim pokoleniu, nie jest w porządku dla ludzi w jej wieku, tak?
- Jest moją matką.
- I należy ją trzymać pod szkłem?
- James zaczerwienił się ponownie.
- Wiesz, matki mają swoje życie również poza nianuczeniem dzieci, choć zapewne wydaje ci się to dziwne. A ponieważ widzisz to po raz pierwszy, reagujesz zazdrością i lękiem.
- A jak, twoim zdaniem, powinienem reagować – szaleć z radości? Przecież teraz wszystko się zmienia!

– Sądysz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? – Ton głosu Gilesa raptownie uciszył młodego człowieka.

Patrząc na sprzeczne uczucia przebiegające po twarzy Jamesa, Giles westchnął bezgłośnie. Spodziewał się, że do tego dojdzie. Nie mogło być inaczej, skoro Jamesa łączyły tak bliskie więzy z matką. Oczywiście dla niego historia tej miłości miała hollywoodzko-romantyczny wymiar. Przypuszczalnie sama Sara tak mu ją przedstawiła. I nawet teraz, kiedy był już dość duży, by mieć za sobą doświadczenia z dziedziny seksu, nadal nie kojarzył ich ze swoją matką.

Siedząc tak i obserwując syna, Giles dosłyszał cichy skrzyp otwieranych drzwi. Podniósł wzrok i ujrzał w nich Sarę. Napotkał jej spojrzenie i potrząsnął lekko głową. Sara przeniosła oczy z niego na syna i na jej twarzy pojawił się wyraz takiego współczucia i takiej czułości, że Giles omal nie krzyknął. W następnej chwili zamknęła za sobą drzwi równie bezszelestnie. Ach, Saro, Saro... – pomyślał Giles, niemal zmiążdżony głęboką udręką. Zamknął oczy i pozwolił cierpieniu owładnąć sobą.

– Dobrze się czujesz? – James dotknął delikatnie jego ręki.

– Jestem trochę zmęczony i to wszystko – skłamał Giles. – Położę się po lunchu.

– Nie cierpisz z... jego powodu?

Giles zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie – skłamał ponownie. – Powodem jestem ja sam. Ostatnio bardzo łatwo się męczę.

– Co z tym wszystkim zrobimy? – zapytał James z nieszczęśliwą miną.

– Zrobić nic się nie da, możemy najwyżej postarać się zrozumieć i zaakceptować.

– Nie sądzę, żeby mi się to udało. – Jego głos brzmiał żałośnie.

– Wiem, że to niełatwe, zwłaszcza dla ciebie.

– Dla ciebie chyba równie trudne.

– Jestem starszy i moje stosunki z twoją matką są... nieco inne.

– Ale ją kochasz, prawda? Jak możesz pozwolić, żeby tak cię raniła?

– Mogę, bo wiem, że nie robi tego umyślnie. Twoja matka nigdy nie zadała by mi takiego ciosu; zawsze starała się mnie chronić. Myślę, że stałem się dla niej jakby następnym dzieckiem. Bóg świadkiem, że nie z wyboru. Ale przynajmniej miałem ją przy sobie i wszystko się dobrze układało.

– Dotychczas.

– Nawet teraz. Nie powinieneś obnosić się ostentacyjnie z obrażoną miną tylko dlatego, że zdrażnięto twoją dumę, a tobie się to nie podoba. Nie możesz żądać, żeby kochano cię tak, jak byś sobie tego życzył. Uczuć nie zamawia się jak ubrań na miarę. Nie możesz także zmienić swojej matki tak, żeby pasowała do wizerunku, który bardziej ci odpowiada. Jesteś jej dużo winien, James. Nie sądzisz, że nadszedł czas, żeby pomyśleć o spłacie długów?

James rozwichrzył ręką włosy.

– Nie wiem – powiedział udręczonym tonem. – Nie potrafię myśleć spokojnie. Jestem kompletnie wytracony z równowagi, zły i zdezorientowany.

– W takim razie zaaplikuj sobie chłodzącą dawkę zdrowego rozsądku. Nie dzieje się nic naglącego. W końcu czekali na siebie dwadzieścia jeden lat.

We wzroku Jamesa malowało się przerażenie i niemal odraza.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ona za niego wyjdzie po... – nie mógł dokończyć.

– Mam nadzieję. Wiem, ile czasu mi dano i zużyłem go już prawie w całości. Ale na razie... twoja matka będzie dzieliła moją ziemską drogę.

– Nie mogę tego znieść – wykrztusił James zdławionym głosem, zrywając się na równe nogi. – Jak możesz mówić z takim spokojem o tym koszmarnym zamieszaniu...

– Od dawna na to czekam. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się nawet, że to będzie trwało tak długo. Następną rzeczą, jaką zawdzięczam twojej matce. Więc, jak widzisz, miałem czas przywyknąć do tej myśli.

– Za to ja nie przywykłem i nie mam najmniejszego zamiaru kiedykolwiek się z tym pogodzić!

– To naturalne, skoro jesteś młody, silny i zdrowy. Ja też taki byłem... kiedyś. – Jego wzrok powędrował w stronę portretu. – Ale to było dawno temu. – Przymknął powieki. – Jestem zmęczony, James, i nie mam ochoty na lunch. Bądź jak dobry i przywołaj Batesa; pójdę na górę odpocząć.

Opadł na oparcie wózka. Rozmowa była skończona.

8

Sara czytała w łóżku, kiedy ktoś zapukał do drzwi jej pokoju.

– Proszę – powiedziała odkładając książkę.

Zza drzwi ukazała się ręka powiewająca białą chusteczką. Dzięki Bogu, pomyślała, mówiąc:

– Zbliź się i daj poznać, ktoś zasz.

James wychylił głowę zza drzwi.

– Możemy porozmawiać?

– Wydaje mi się, że nawet powinniśmy... miło mi, że do tego dojrzałeś. – Poklepała miejsce koło siebie. – Chodź, myślę, że przyda nam się taka szczerza pogawędka od serca.

James powstrzymał się od komentarza.

– Przykro mi z powodu moich humorów – oświadczył tylko. – Popisałem się złymi manierami i krótkowzrocznością. Czy mogę cię przeprosić?

– Tak, o ile robisz to szczerze.

– Ależ naturalnie.

– W takim razie...

James podszedł do łóżka i przycupnął w jego nogach, opierając się plecami o jeden z czterech bogato rzeźbionych słupów podtrzymujących baldachim z brokatu, obrzeżony okazałymi chwastami. Matka i syn patrzyli na siebie przez moment. James pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział matki tak pięknej jak teraz, w różowawym świetle nocnej lampki. Patrzę na nią nowymi oczami, powiedział sobie. A może po prostu przedtem dostrzegałem jedynie to, co chciałem? Szyfonowa nocna koszula w delikatnym odcieniu różu odsłaniała białą szyję i ramiona, nie kryjąc zaokrąglonej linii piersi. Na twarzy nie było śladu makijażu. Nie potrzebowała podejmować prób ukrywania spustoszeń czynionych przez czas – on jeszcze jej nie dotknął; a ta nagle przemiana w kobietę, która otworzyła się niczym pąk i rozwinęła w najdoskonalszy kwiat, zbiła Jamesa z tropu, napawając go nabożnym podziwem. Leżała spokojnie i pozwoliła mu się studiować, uśmiechając się do niego, dumna, że ją admiruje. Nie było w niej teraz arogancji, uszczypliwości, sarkazmu; promieniowała za to spokojem i szczęściem, jakby czuła się absolutnie bezpieczna.

– Będziesz mi musiała pozwolić, żebym się oswajał z twoją nową osobowością kolejno, etapami – stwierdził w końcu. – Byłem tak zżyty z twoim starym wizerunkiem, że przyjmowałem go bez zastanowienia za coś oczywistego. I tu popełniłem błąd; teraz to rozumiem. Myślałem o tym, nie masz nawet pojęcia, jak długo. Nie mam czternastu lat; wiem, że w waszej historii kryje się więcej, niż w sentymentalnym filmie z czasów wojny. Czy zechciałabyś opowiedzieć mi ją od nowa? Ale tym razem w konwencji filmu dokumentalnego – obraz czarno-biały i fakty zamiast fikcji. Nie chcę przez to powiedzieć, że przedtem mówiłaś nieprawdę czy zmyślałaś. Tylko... wiesz, teraz możesz być bardziej otwarta i bezpośrednia. Sama rozumiesz, że jestem już dość dorosły, żeby wszystko zrozumieć. – Na słowie „wszystko” położył lekki nacisk. – Myślę, że bardzo by mi to pomogło. Im więcej będę wiedział, tym łatwiej mi będzie zrozumieć.

– To mi się wydaje sensowne – zgodziła się Sara.

– Dzięki Bogu, że tak to przyjąłeś! Dreptałem w kółko bez sensu przez cały dzień.

– Rozumiem. Chcesz, żeby każdą sukienkę umieścić na właściwym wieszaku – o to ci chodzi?

James uśmiechnął się rozbawiony.

– Hmm, może nie użyłbym podobnego porównania, ale... tak, nie przeczę. Chodzi mi mniej więcej o to, żeby odpowiednie rzeczy ustawić na właściwym miejscu.

– A istnieje takie właściwe miejsce?

– To ty powinnaś udzielić mi informacji na ten temat! Widzisz, nie mam pojęcia o bardzo wielu sprawach. Wiem tylko, że musiało się wydarzyć coś absolutnie wyjątkowego, co trwa nadal i co przemieniło moją matkę w seksowną damę, przed którą czuję zabobonną trwogę. Wcale nie żartuję, to prawda. Wytrąciłaś mnie całkowicie z równowagi, co ci się nigdy przedtem nie zdarzyło. I nigdy tak nie wyglądałaś... jakbyś się właśnie przebudziła do życia niczym Śpiąca Królewna.

na. – Widząc wyraz twarzy matki James dodał zrezygnowanym tonem: – Co takiego znowu powiedziałem?

– Pierwsze słowa, jakie twój ojciec do mnie powiedział, były o Śpiącej Królownie.

– No właśnie! Sama widzisz! Dokładnie o to mi chodziło. Co sobie powiedzieliście? Co w nim było takiego specjalnego? Co wtedy czułaś? Co właściwie okazało się najważniejsze? Czasy, miejsce, jego osobowość, twoja osobowość? Tyle czynników składa się na związek między dwojgiem ludzi, a jedyne, czego jestem zupełnie pewien, to, że rezultatem waszego związku było powołanie mnie do życia. Ale dlaczego, moja droga mamó? Dlaczego? Czemu akurat on? Czemu akurat ty? Nie bawię się w podglądacza czy szpiega, zapewniam cię – pospieszył z zapewnieniem. – I nie chcę się okazać wścibski. Nie żądam też od ciebie żadnych wyznań, ale teraz możesz ze mną rozmawiać na tematy, których nie mogłaś poruszać kiedyś...

– W porządku – zgodziła się prędko, zanim opuści ją odwaga. – Teraz słuchaj. Spotkałam go tutaj, w Luttrell Park, niedaleko pawilonu, pewnego sierpniowego popołudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Chodziłam wówczas bardzo często w okolicę pawilonu.

– Ach, więc dlatego do tej pory uparcie odwiedzasz tamto miejsce. Zastanawiałem się nad tym, pamiętam.

– Właśnie. On leżał na trawie pogrążony we śnie, co mnie, prawdę mówiąc, dość zdenerwowało. Zazwyczaj nikt tam oprócz mnie nie bywał i przyzwyczaiłam się uważać ten zakątek za własne królestwo...

Opowiedziała mu wszystko, malując sytuację żywymi barwami, sporządzając możliwie precyzyjny i autentyczny obraz; znalazły się tam słowa i odczucia, emocje i lęki.

James nie odzywał się wcale, po prostu siedział i słuchał zafascynowany. Sara mówiła długo, a on po raz pierwszy zobaczył w niej kobietę, a nie swoją matkę; ujawniała strony swojej natury, których istnienia nawet nie podejrzewał. Miał uczucie, że to, co było dotychczas pustą, białą kartą, wypełniło się kolorami i bogactwem szczegółów, radujących oko i zachwycających wyobraźnię. Wezbrała w nim zachłanna ciekawość i pragnienie, żeby zobaczyć swojego ojca.

– Więc tak to było – westchnął, kiedy skończyła mówić. – Ale w sumie miałas przecież szczęście?

– Niewiarygodne.

– Mimo, że sprawy przybrały taki a nie inny obrót.

– Tego nigdy nie przestanę żałować.

– Ale on, koniec końców, zrozumiał, prawda? Przecież też był młody, wcale nie tak wiele starszy ode mnie, chociaż sześć lat może stanowić wielką różnicę... no i była wojna, a jego życie było mocno niebezpieczne... Wygląda na to, że jest... wspaniałym człowiekiem.

– Z całą pewnością.

– Mówisz to z takim absolutnym przekonaniem.

– Bo jestem tego absolutnie pewna.
– Wiem, to widać. Mówiłem ci – dzisiaj po prostu oślepiasz... to znaczy promieniejesz. – Westchnął z zazdrością, wyznając: – Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. Przedtem też byłem ciekaw, ale przy tym wściekły, a może uznałem to w duchu za wizytę obowiązkową... rozumiesz, chciałem go zobaczyć, żeby potwierdzić wszystko, co sobie już na jego temat ustaliłem. Tylko teraz on wcale nie wydaje się taki, jak myślałem. Jest zupełnie inny. Teraz czekam na to... niecierpliwie. Mam wrażenie, że okaże się niezwykły. – Spojrzał na matkę spod rzęs dokładnie tak, jak zwykł robić to Ed. – Wreszcie rozumiem, co miał na myśli tata mówiąc, że jest ci wiele winien. A propos, czy on wie o tacie?

– Tak.

Uśmiechnął się przelotnie.

– Ta więc między wami autentycznie istnieje, prawda? Skoro wrócił właśnie teraz, skoro wybrał akurat ten moment... nazwałbym to szczytowym osiągnięciem tak zwanego szóstego zmysłu.

– Ed zawsze go przejawiał w stosunku do mnie.

James pochylił się ku matce, biorąc ją za rękę.

– Wybacz, że rano byłem taki złośliwy i uszczypliwy, że pozwalałem sobie na tanie uwagi i ton wyższości, że wątpiłem, czy on jest człowiekiem cywilizowanym. Gdybym zadał sobie trud, żeby choć przez chwilę pomyśleć, wiedziałbym, że jeśli ktoś zrobił na tobie tak piorunujące wrażenie, musi być kalibru Zeusa.

Sara wybuchnęła śmiechem i uściśnęła mu dłoń.

– Ach, James, mówisz zupełnie jak on.

– Podniecasz moją ciekawość.

Wstał z łóżka, podszedł i pochylił się, żeby ją pocałować.

– Dzięki, że mi wszystko opowiedziałaś. Bardzo mi to pomogło – błysnął uśmiechem Eda. – Ja też potrafię czytać między wierszami.

Stał chwilę trzymając ją za rękę i patrząc na nią z bezwiedną tęsknotą w oczach.

– Dobrze musi być komuś, kto jest tak kochany – stwierdził z zazdrością.

– Święta prawda. Dobrze jest też umieć tak kochać. To, widzisz, działa w obie strony.

– A to znów brzmi jak coś, co on by mógł powiedzieć.

– Bo powiedział.

– Właściwie jesteś jakby jego dziełem, chyba przyznasz? – Tym razem w jego głosie nie było ani pogardy, ani goryczy, jedynie akceptacja.

– Tak.

– I *vice versa*?

– Tak.

Stał nadal patrząc na nią, ale bez uśmiechu.

– A tata? – spytał w końcu.

– W dalszym ciągu potrzebuje nas oboje.
– Ile życia ma jeszcze przed sobą? Pytam poważnie. Możesz mi powiedzieć prawdę.

– Każdy dzień jest teraz wygraną. Jest zmęczony, serce ma słabe. Wszystkie operacje, jakie przeszedł, wyczerpały serce – i jego samego. Skalpel odcinał mu życie kawałek po kawałku. Może zostało mu trzy tygodnie, a może trzy miesiące. Musimy przeżywać każdy dzień, w miarę jak przychodzi.

– To nie jest... To jest... on nie wrócił dlatego...

– Nie. – W głosie Sary brzmiała absolutna pewność. – Nie wiedział nawet o tym, że Giles jest... chory. Wrócił przez wzgląd na mnie i tylko na mnie. Ale cieszę się, że jest tutaj, ponieważ akurat teraz nikogo bardziej nie potrzebuję. Wiem, że mam ciebie, James. Jesteś dla mnie wspaniałym oparciem i pomocą, ale są rzeczy, których mi dać nie możesz. Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć? Ed zawsze dawał mi siłę. Sprawiał, że stałam się silna. Dość silna, żeby przeprowadzić Gilesa przez wszystkie minione lata; a świadomość, że on jest tutaj i że mogę się na nim oprzeć, kiedy będę go potrzebowała – ta świadomość daje mi dodatkową siłę, żeby poradzić sobie z tymi ostatnimi miesiącami.

James kiwnął głową.

– Rozumiem – poświadczył.

Sara uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

– Wszystko się ułoży – zapewniła. – Zobaczysz. Zrozumiesz znacznie więcej, kiedy poznasz Eda.

Pochylił się, żeby ją jeszcze raz pocałować.

– Mam nadzieję – powiedział.

Odrzucił się i podszedł do drzwi, przystając z ręką na klamce, żeby posłać jej ostatni uśmiech.

– Przyjemnych snów – dodał.

James Luttrell stał przed masywnymi drzwiami z tekowego drewna. Od jakiegoś czasu próbował zebrać się na odwagę, żeby nacisnąć dzwonek, ale ręka mu drżała i miał kłopoty z jej opanowaniem. Gardło mu się ścisnęło i to pewnie na resztę dnia, a stremowany żołądek podjechał w okolice tego ściśniętego gardła.

Wybrał późne popołudnie, bo chciał zyskać pewność, że nie odbędzie podróży na próżno. Nie zatelefonował wcześniej, ponieważ pragnął wykorzystać przynajmniej element zaskoczenia. Stał więc tak pod domem w nastroju nerwowego wyczekiwania, by wreszcie ujrzeć dużego brązowego forda. Samochód stanął i wysiadł z niego mężczyzna w błękitnym mundurze oficera Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, by w chwilę potem zniknąć w drzwiach bloku mieszkalnego. James odczekał dziesięć minut i poszedł jego śladem.

Naprzód, pomyślał. Do dzieła. Dotknął palcem dzwonka, po czym nacisnął go zdecydowanie. Kiedy drzwi się otworzyły, osłupiał do tego stopnia, że po pro-

stu wrósł w ziemię. Starannie przemyślana mowa wstępna uleciała mu z pamięci na widok mężczyzny, który stał w progu. Wpatrywali się w siebie, a cisza aż dzwoniła w uszach. Każdy z nich widział odbicie własnego wstrząsu na identycznej twarzy drugiego i obu na moment zatkało z wrażenia.

James słyszał własne serce, które waliło tak mocno, że cały drżał; nawet podłoga pod jego stopami pulsowała w tym samym szalonym rytmie. Czuł, że jest w tej chwili prześwietlany do ostatniego kręgu i ostatniego włosa na głowie. Wszystko to było tak niesamowite, że stał zupełnie bezradny. A potem zobaczył, że oczy tego drugiego rozjaśniają się stopniowo, w miarę napływu radości, i już wiedział, że wszystko będzie dobrze. Wreszcie od oczu rozjaśniła się cała twarz. James czuł to wyraźnie, jakby go ogrzewały te ciepłe promienie. Nieśmiało, bezwiednie, jego zastygłe mięśnie drgnęły, choć nie bez oporu, jak zardzewiałe zasuwy, które wreszcie udało się ruszyć, i w końcu on sam mógł się uśmiechnąć w odpowiedzi.

– Dzień dobry – powiedział jego ojciec; głos był trochę zdziwiony, ale ciepły.

– Dzień dobry – odparł James bez tchu; wyciągnął beżmyślnie rękę z paczką, mówiąc pierwsze słowa, jakie mu przyszły na myśl: – Przyniosłem ci to.

– Dziękuję. – Ed wziął paczkę, uniósł brwi, spojrzął na nią i rozpoznając pismo uśmiechnął się, a potem zrobił krok do tyłu. – Wejdz, proszę.

– O tak, dziękuję bardzo.

James przestąpił próg odrobinę niepewnie, jak zwykle wchodzi się w nową sytuację, a Ed zamknął za nim drzwi. Stali znów przez moment przyglądając się sobie, niezdolni odwrócić od siebie oczu. Nie mogli uwierzyć w ich świadectwo, choć było tak oczywiste.

James zobaczył, że w błyszczących oczach człowieka naprzeciwko pojawiają się iskierki rozbawienia, które znalazło oddźwięk w nim samym.

– Pstryk! – powiedział Ed, jakby robił zdjęcie.

Patrzył, jak kopia jego własnego uśmiechu ukazuje się zwolna na twarzy syna, niby na światłoczułym papierze; poczuł raczej niż usłyszał powietrze wypuszczane po długo wstrzymywanym oddechu, zobaczył, jak rozluźniają się zaciśnięte szczęki, odpręża cała twarz i odsłaniają w uśmiechy zęby.

– Właśnie miałem zamiar powiedzieć to samo – wyznał James lekko tylko drżącym głosem.

O rety! – pomyślał czując zawrót głowy. Nie do wiary! Ach, moja droga mamo! Nie przygotowałaś mnie na to ani w połowie...

Ed spojrzął znowu na trzymaną w rękę paczkę. James roześmiał się.

– Mama stwierdziła, że ostatnio wysłuchałeś opowieści ze wszystkimi szczegółami. A tutaj są ilustracje do niej.

– To miło z jej strony – stwierdził Ed tonem aprobaty.

Oczy Jamesa błysnęły.

– Mama zapewniała, że jestem do ciebie podobny, ale nie wspomniała, że identyczny.

– Rzeczywiście, można by niemal sądzić, że patrzy się w lustro, prawda?

Ed odwrócił się i otworzył szafę na ubrania tuż obok drzwi frontowych. Miały wewnątrz dużą lustrzaną taflę. Ed otworzył je na całą szerokość, tak że obaj się w niej odbijali. James postanowił, z przyczyn dość irracjonalnych, włożyć swój najelegantszy garnitur, jakby wybierał się na ważną rozmowę kwalifikacyjną – zresztą czy ta wizyta jej nie przypominała? Jestem kandydatem na nie obsadzone dotąd stanowisko syna-jedynaka... Patrząc w lustro przekonał się, że jeśli chodzi o wygląd, posadę ma w kieszeni.

Ed był nadal w mundurze, chociaż zdążył zdjąć marynarkę i podwinąć rękawy koszuli. Z wyjątkiem stroju, ich podobieństwo nasuwało myśl o taśmowej produkcji. Różnili się jedynie kolorytem: włosy Eda były czarne, Jamesa ciemnobrązowe; Ed miał błyszczące, orzechowe oczy, James – brunatnozielone. Ed był mniej więcej o pięć centymetrów wyższy i jakieś dziesięć kilogramów cięższy, ale cała reszta – układ kości, linia włosów, wyraz twarzy, szczupłość sylwetki, długie nogi – wszystko to było identyczne.

– Myślisz, że jesteśmy przykładem tego, co nazywają reinkarnacją? – spytał James oszołomiony, z mieszaniną podziwu i lęku.

– Reinkarnacja dotyczy podobno raczej duszy niż ciała, a co do tego... będę musiał poznać cię bliżej.

– Po to tu jestem.

Ed zamknął drzwi szafy.

– Myślę, że należy nam się po drinku, który postawi nas na nogi – oświadczył.

– O tak – zgodził się skwapliwie James. – Muszę przyznać, że czuję się trochę chwiejnie. Może powinienem być przyprowadzić ze sobą mamę, żeby trzymała mnie za rękę.

– Skorzystałbym chętnie z jej drugiej ręki.

James uśmiechnął się szeroko myśląc, że Ed Hardin reprezentuje sobą to wszystko – i jeszcze sporo ponadto – co powiedziała mama, nawet jeśli wziąć poprawkę na jej wyraźny brak obiektywizmu. Był postacią niezwykłą, zarówno fizycznie, jak duchowo. Miał istotnie znakomitą prezencję i imponującą osobowość.

James przeszedł za Edem do obszernego salonu i rozejrzał się wokół, badając otoczenie. Pokój był nowoczesny i dość luksusowo urządzone, ale nie agresywnie: współczesne meble, grube dywany, koloryt beżowo-brązowo-czarny, przydymione szkło, lśniąca stal i duże okna.

– Ładnie tu – pochwalił.

– Luttrell Park to nie jest, ale doskonale spełnia swoje zadanie. Odziedziczyłem to po moim poprzedniku.

Ed podszedł do stolika na kółkach, gdzie stały różne butelki i kieliszki.

– Whisky?

– Bardzo proszę.

Ed wrzucił po garści lodu do dwóch niskich szklanek o ciężkim dnie i zalał je whisky.

– Jaka ci się wydaje Anglia po tak długiej nieobecności? – spytał James ciekawie.

– Wyraźnie zmieniona, co chwila spotyka mnie jakaś nowa niespodzianka.
– Mam nadzieję, że wszystkie przyjemne.
– Wszystkie pod rząd trafione? To by była niezła średnia.
– Baseball – domyślił się James natychmiast. – Wiesz, w niedziele rozgrywane są mecze baseballowe w Hyde Parku.

– Chodzi o softball – poprawił go Ed. – Wyjaśnię ci kiedyś, na czym polega różnica. Ale gdybyś miał kiedy ochotę pójść na mecz baseballowy, powiedz, to cię zabiorę.

– Wspaniale! – odrzekł James z entuzjazmem. – Sam też grasz?

– Nie. Moją specjalnością była piłka nożna.

– Mama mówiła mi, że grałeś w reprezentacji swojego college'u... Dartmouth?

– To prawda. A w co ty grasz?

Ed przyniósł szklaneczki i podał jedną z nich Jamesowi.

– W rugby. Także w krykieta, a poza tym reprezentuję mój college w wioślarstwie. Jeśli mi dopisze szczęście, w przyszłym roku wystąpię w barwach uniwersytetu.

– W takim razie życzę, żeby ci to szczęście dopisało. – Ed podniósł szklaneczkę i dodał: – Wypijmy również za to, że patrzę na siebie samego.

James uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Jak się miewa twoja mama? – chciał wiedzieć Ed.

– Kwitnie – odparł bez wahania James. – W całym tego słowa znaczeniu.

Odkrył, że temu mężczyźnie może powiedzieć wszystko, mając przy tym pewność, że zostanie zrozumiany. Nerwość i obawy zniknęły. Czuję się trochę tak, jakbym mówił do siebie, pomyślał. Znam go. Bóg raczy wiedzieć, jakim sposobem, ale go znam.

Spostrzegł, że Ed przygląda mu się z uśmiechem. Te oczy wiele zauważały i wiele rozumiały.

– Najdziwniejsze jest to – stwierdził James z pełnym zaufaniem – że wcale nie czuję się dziwnie. Ani obco. Jak sądzisz, dlaczego tak się dzieje? Mam wrażenie, że znam cię od lat; wcale mi się nie wydaje, że dotychczas tylko o tobie słyszałem.

– To też jest rodzaj poznania.

– Wiesz, mama przedstawiła mi dokładną i szczegółową wersję całej historii, tak samo jak tobie – z dopiskami, odsyłaczami i niewiarygodną bibliografią – a mimo wszystko nie byłem na to przygotowany; chodzi o ten rodzaj...

– Synchronizacji między nami?

– Tak, dokładnie o to. – Wypił łyk whisky. – Prawdę mówiąc, kilka dni temu poprosiłem mamę, żeby opowiedziała mi o wszystkim jeszcze raz, tylko nie pomijając niczego.

– I zrobiła to?

– Tak.

Obrzucił Eda ostrożnym spojrzeniem; w końcu był to teren oznaczony wyraźnie napisem: „Własność prywatna – nie upoważnionym wstęp surowo wzbroniony”. James jednak wyczuwał, że przysługuje mu prawo wstępu.

– Nie masz nam tego za złe?

– Dlaczego miałbym mieć za złe? – Ed patrzył na to po amerykańsku. – Masz prawo do pełnych wyjaśnień, a twoja mama zawsze uważała, że należy ich udzielać.

– Ach, mama jest... – James urwał i wzruszył ramionami. – Ale przecież ty wiesz o mamie wszystko, prawda?

Mówił to zupełnie zwyczajnie, tonem człowieka, który zaakceptował coś do końca.

– Nadal potrafi zbić mnie z nóg – przyznał Ed.

– Jakby rzucała za mocną piłką i ścinała?

– Można to tak ująć.

– Więc posłużę się tym wyrażeniem, bo odkąd wróciłeś, ciągle posyła mi takie piłki! Kiedy tylko zobaczyłem ją w czasie ostatniego weekendu, wiedziałem, że coś się wydarzyło. – Dojrzał uśmiech uznania w oczach Eda i dodał po prostu: – Masz niesamowity wpływ na mamę.

– Czy to ci przeszkadza?

James spojrzął otwarcie w błyszczące orzechowe oczy.

– Z początku przeszkadzało. Byłem piekielnie zazdrosny. Nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym... to znaczy, jeśli chodzi o nią. To... to mną wstrząsnęło. Myślałem, że świetnie ją znam i kiedy sobie uświadomiłem, że wcale tak nie jest, poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Byłem naprawdę zazdrosny – przyznał.

– Byłeś?

– Ach, przeszło mi to. Przecież teraz wiem, jaki jesteś, prawda? No i w końcu jesteś moim ojcem.

Stało się; wypowiedział to na głos i wcale nie zabolalo.

– Nie mam co do tego cienia wątpliwości – zapewnił go Ed z powagą, a James uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

– Właśnie. Chyba tylko głupiec byłby zazdrosny o własnego ojca. Czy to jest jakaś grecka tragedia, czy co?

– Nie... raczej komedia omyłek.

James wybuchnął śmiechem. Odczuwał rodzaj tęsknego żalu na myśl, że nie znał tego człowieka od początku życia. Cóż to za bezsensowna strata czasu, pomyślał z oburzeniem. Ed patrzył na trzymaną na kolanach paczkę z lekko zmarszczonymi brwiami.

– Może miałbyś ochotę zajrzeć do zdjęć? – spytał zachęcająco James. – Mogę wziąć na siebie rolę komentatora kolejnych fotografii w miarę, jak będziemy je oglądali.

– Jestem pewien, że znakomicie sobie z tym poradzisz – odparł Ed poważnie.

– Mama mówi, że w tej dziedzinie jestem podobny do ciebie – nigdy mi nie brakuje słów.

Ed milczał przez chwilę.

– Słów rzeczywiście nie – przyznał wreszcie.

James doznał nagle wrażenia utraty czegoś najdroższego. Mama, pomyślał natychmiast. On ją naprawdę kocha. Oni się nawzajem prawdziwie kochają. Przypomniał sobie, co powiedział mu Giles – że Ed Hardin jest człowiekiem samotnym. Giles miał słuszość. James pragnął wyciągnąć do niego rękę, dotknąć go i zapewnić: „Ja cię rozumiem”, ale nie miał dość pewności siebie. Nie zdawał sobie sprawy, że jego pełne niepokoju i troski spojrzenie doskonale obrazuje nurtujące go myśli.

Ech, Saro, powiedział sobie Ed, znowu tego dokonałaś. Ten wspaniały chłopak jest wyłącznie twoim dziełem – choć wygląda jak mój sobowtór. Nie ma wątpliwości, czyje ręce go ukształtowały; jest to równie oczywiste, jak pismo na paczce. Więc choć jest taki podobny do mnie, tobie zawdzięcza, że ma w sobie współczucie, uczciwość, otwartość. Brak w jego naturze chytryści, udawania, zrozumiałstwa czy kompleksów. Patrzy na mnie z twoją krystaliczną uczciwością i oddaniem – w takim młodym, niewyszkolonym wydaniu, jak szczeniak, który ma w sobie ogromną radość życia i ochotę na nowe przyjemności.

– Obejrzyjmy fotografię – zaproponował, odstawił szklaneczkę i zabrał się do otwierania paczki.

Wewnątrz, na albumie, leżała koperta. List. Wziął go do ręki, a James w tej samej chwili podniósł się mówiąc:

– Jeśli pokażesz mi, gdzie jest łazienka, pójdę, jak to subtelnie określamy, umyć ręce. – I dodał pytającym tonem: – Dlaczego nazywacie to „klop”?

Ed roześmiał się.

– No, można powiedzieć, że zabiłeś mi klina – przyznał. – Ale dowiem się. Korytarzem i trzecie drzwi na lewo.

Patrzył, jak James szuka właściwych drzwi. Potem otworzył kopertę.

Kochany

Zebrałam te zdjęcia z nadzieją, że pewnego dnia – kiedyś – w końcu je obejrzysz. Mam również nadzieję, że przyniesie Ci je James. Ma dziś wrócić do domu i jeśli wszystko dobrze pójdzie, dostarczy Ci je osobiście. Jeśli nie pójdzie dobrze, będę musiała sobie z tym poradzić, ale znając Jamesa myślę, że nie ma się czego obawiać. To miły chłopiec, Ed. Kiedy się zobaczymy, powiesz mi, czy dobrze zrobiłam.

*Z miłością
Sara*

Miły chłopiec, pomyślał Ed. Miły chłopiec! Ty i te wasze brytyjskie niedomówienia. Na Boga, w jaki sposób mogę podziękować ci za kogoś takiego? Saro, na miły Bóg...

James wrócił do pokoju.

– Ale bajerancka łazienka – stwierdził. – Szkoda, że u nas takiej nie ma.

– Korzystaj z niej, kiedy tylko zechcesz – uśmiechnął się Ed.

– Bardzo chętnie – ucieszył się James. – To co, wyprawimy się razem do krainy wspomnień?

Album stanowił obrazkową historię życia Jamesa Luttrella, od dnia chrztu w atlasowej, zdobionej koronką sukience, poprzez okres niemowlaka i bobaska do późnego dzieciństwa, od wózka do szkoły podstawowej – pierwsze ubrania z szarej wełny z krótkimi spodniami – potem do Eton ze sztywnym kołnierzykiem i cylindrem, i wreszcie do Oxfordu. Wczesne fotografie były czarno-białe, późniejsze kolorowe. Na wielu z nich widniała Sara, a także Giles i sir George. Wiele zostało zrobionych podczas poprzednich zjazdów. Na jedno z nich Ed patrzył szczególnie długo i uważnie.

– Miałem tu jakieś siedem lat – pospieszył z wyjaśnieniem James. – Uwielbiałem zjazdy. Wszyscy się nade mną rozplywali i zwykle napychałem się aż do przesytu truskawkami ze śmietaną. Raz zwróciłem wszystko na trawnik – uśmiechnął się łobuzersko. – Mama się na mnie gniewała.

Sara stała na trawie, trzymając za rękę jasnowłosego chłopca w białej koszuli i szarych szortach, a drugą dłonią ocieniała oczy wpatrzone gdzieś w dal. Rozglądała się za mną? – pomyślał Ed. Zauważył, jak chłopczyk patrzy na matkę – jakby udzieliło mu się jej napięcie, nie dostrzegając, że trzymane w drugiej ręce lody rozpuściły się i kapią mu po palcach na szare spodnie o pięknie zaprasowanym kancie.

Było też wiele zdjęć zrobionych pod kasztanem przy brzegu jeziora.

– Spędzaliśmy tam masę czasu – wyznał James. – Zauważyłem, że mama upodobała sobie szczególnie ten zakątek, ale nigdy nie wiedziałem, dlaczego.

Następne zdjęcie ukazywało Sarę leżącą na plecach niemal dokładnie w tym miejscu, gdzie pierwszy raz ją zobaczył; mniej więcej dziesięcioletni James machał długim źdźbłem trawy tuż przed jej nosem.

– Skoczyła, żeby mnie złapać, a ja uciekłem i wpadłem do jeziora – uśmiechnął się szeroko James. – Całe szczęście, że umiałem pływać!

W tym momencie uderzyło go znowu wrażenie żałoby i smutku, które odczuwał patrząc na Eda: okropna aura pustki i samotności. Widniała w jego oczach i w twarzy, w liniach ciała i w wyrazistych dłoniach. James chciał coś powiedzieć, ale się zawahał. Siedział więc, milczał i czekał, aż Ed znów go zauważy. Po chwili doszło go głębokie westchnienie, które odebrał bardziej wzrokiem niż słuchem; Ed przewrócił następną kartkę, ale James zapamiętał zdjęcie jako temat do ewentualnej przyszłej rozmowy.

Ostatnia fotografia przedstawiała Sarę, Gilesa i Jamesa na tarasie; Sara siedziała z zamkniętymi oczami i twarzą uniesioną do słońca, Giles był zagłębiony w niedzielnej gazecie, a James, w białym stroju tenisowym, robił cudaczne miny do aparatu.

– To zdjęcie zrobiła Pamela – wytłumaczył. – Dziewczyna, z którą chadzam tu i tam.

Ed uśmiechnął się.

– Ja też kiedyś miałem zwyczaj chadzać tu i tam, głównie w kółko, do czasu, kiedy spotkałem twoją mamę.

– Pod kasztanem na brzegu jeziora... opowiedziała mi o tym. Ty oświadczyłeś, że nigdy nie wierzyłeś w księcia budzącego Śpiącą Królową pocałunkiem. Co pewnie znaczy, że mama ci się z nią skojarzyła? – spytał domyślnie.

Ed uśmiechnął się znowu.

– Tak.

– Czy była piękna? To znaczy... nadal jest piękna, ale wtedy, kiedy była młoda...

– Jej skóra przypominała porcelanę, a włosy puszysty jedwab. Miała ślad po czekoladzie na ustach i nie mogłem oderwać od niej oczu.

– Wiedziałeś, kim jest?

– Wiedzieliśmy wszyscy. Była „poza zasięgiem” dla nas, Jankesów, zbikowanych na punkcie seksu.

– Ale ty zignorowałeś zakaz?

Ed wzruszył lekko ramionami.

– Nigdy nie zadowalałem się potulnie odmową...

Jednak orzechowe oczy pociemniały znowu i James zrozumiał, że Ed myśli o tym „nie”, które Sara wypowiedziała przed wielu, wielu laty.

– Mój komendant nie wiadomo dlaczego nazwał ją idealną angielską różą – ciągnął Ed. – Mnie wydawała się osobą, z którą ze wszech miar warto się poznać bliżej.

– I okazała się... miła? Dobra?

Ed milczał długą chwilę. Wreszcie odezwał się znowu:

– Była jak szklanka zimnej, źródlanej wody dla człowieka umierającego z pragnienia. Taka... ożywcza. Spróbowałem i coraz bardziej chciało mi się pić. Wiedziałem, że jest mężatką i że traktuje swoje małżeństwo poważnie. Nawet wtedy miała umysł niczym kodeks karny i poczucie odpowiedzialności graniczące z fanatyzmem. Tylko niestety, kiedy to odkryłem, byłem już ofiarą nałogu, jakim stała się dla mnie Sara Luttrell. Nie mogłem żyć z nią, ale nie mogłem również żyć bez niej.

Oczy Eda miały szkliste spojrzenie kogoś, kto patrzy na niezwykle zjawisko.

– Kobiety nie stanowiły dla mnie nigdy problemu. Zawsze działałem według zasady: przyszła, zobaczyłem, zwyciężyłem. – Mówił beznamiętnym tonem. – Trawa zawsze wydawała mi się zieleńsza po drugiej stronie... póki nie spotkałem Sary. Nigdy w życiu nie miałem do czynienia z taką kobietą. Co ciekawsze, nie dotknąłem jej nawet końcem palca. Była... była zupełnie inna. Wiedziałem, że niepokoi ją i gnębi ta historia, która nie była zresztą żadną historią, ponieważ pierwszy raz w życiu nie myślałem o zwykłej przygodzie. Chciałem mieć Sarę całą, bez reszty. Doszło do momentu, kiedy to, co między nami było, musiało się skończyć... albo ulec zmianie. Więc zdecydowałem się zadać pytanie, a ona od-

mówiła. Nie dlatego, że naprawdę chciała to zrobić – tyle wiedziałem – ale dlatego, że nie mogłaby postąpić inaczej. Po czym wyjechała na jakiś czas.

Ed zamilkł, a James siedział absolutnie nieruchomo, żeby nie zmącić nastroju tej chwili.

– To było dziesięć okropnych dni. Każdy z nich trwał rok. Zaryzykowałem wszystko, co miałem, i zostałem z dużym, okrągłym zerem. Myślałem nawet o przeniesieniu się do innej bazy, wiedząc, że nie będę w stanie pozostawać w pobliżu Sary i... nie mieć jej dla siebie. Zaraz potem wznowiliśmy naloty na Niemcy, a ponieważ nie miałem już do kogo wracać, byłem niemal na dnie. Wreszcie poszedłem do sir George'a i zapytałem go otwarcie, kiedy Sara wróci. To był dobry człowiek. Oczywiście wiedział o nas wszystko. Nie próbował grozić czy odstraszać, choć mógł to zrobić. Nigdy nie ingerował. Tak czy inaczej, powiedział, że Sara wraca i że prosiła o przekazanie mi tej wiadomości. – Ed westchnął. – Ta misja była najgorsza ze wszystkich, jakie odbyłem. Wokół panował jeden wielki horror, ale ja bałem się tylko, że nie zdołam do niej wrócić i powiedzieć jej, czym dla mnie jest, ile dla mnie znaczy. Rzeczywiście mało brakowało, a nie udałoby się dolecieć. Pokieroszowali nas zdrowo, trzech zginęło, trzech zostało rannych, a w jakimś momencie samolot palił się niczym znicz olimpijski, ale „California Girl” wytrzymała, póki nie znaleźliśmy się nad naszym lądowiskiem. Chłopcy twierdzili potem, że przekonałem ją do powrotu metodą perswazji. Nie pamiętam tego. Natomiast pamiętam świetnie, że kiedy lecieliśmy na wysokości wierzchołków drzew, zobaczyłem w półmroku cień, który, jak wiedziałem, był Sarą – w miejscu, gdzie zawsze się z nią spotykałem, nieopodal pawilonu. Następna rzecz, jaką zarejestrowałem, to sala w szpitalu naszej bazy, zwoje bandażu i ból. Zrobiłem takie piekło, że pozwolili mi pojechać do Luttrell Park. Szczęściem doktor był moim przyjacielem i polecił, żeby mnie tam zawieziono. Było już ciemno, ale Sara czekała... i przyszła prosto do mnie...

Ed pogrążył się kolejny raz w zadumie, a potem znowu westchnął.

– Jeśli zdarzało mi się myśleć o Gilesie Luttrellu, robiłem to bez emocji. Nie mogliśmy mieć jej obaj, więc któryś musiał zwyciężyć – albo on, albo ja, a tak bardzo chciałem, żebym to był ja... Kiedy wyjechaliliśmy, przekonałem się, że miałem całkowitą rację. Sara była wszystkim, o czym kiedykolwiek marzyłem... i nawet więcej. Ten tydzień składał się z siedmiu najpiękniejszych dni w moim życiu. Sara dała mi szczęście, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem. Zaprowadziła mnie do naszego własnego raję i od tamtego czasu na próżno próbowałem odnaleźć do niego drogę... ale tam może mnie zabrać jedynie twoja mama. – Oparł się na fotelu. – Wszystko sobie ułożyłem; miała opuścić Gilesa i wyjść za mnie. Wziąłbym ją potem do Kalifornii, gdzie żylibyśmy długo i szczęśliwie. Plan był opracowany w najdrobniejszych szczegółach i gotowy do opatentowania. Ale potem zestrzelono nas w „Sally B” i zostałem rozdzielony z Sarą na trzy miesiące. To stanowiło początek całego nieszczęścia. Gdybym był przy niej, kiedy Giles Luttrell miał wypadek, sprawy mogłyby przybrać inny

obrót, ale te trzy miesiące ciszy i jej przekonanie, że nie żyję, były przyczyną tego, co się stało – przynajmniej, jeśli o nią chodzi. Skoro już raz wybrała, nie mogła zmienić decyzji. Nie miałem najmniejszej szansy w porównaniu z tym, co zostało z jej męża. Znając Sarę, zastanawiałem się potem wielokrotnie, czy nawet gdybym wówczas przy niej był, nie postąpiłaby tak samo. To jej cholerne sumienie... – wzruszył ramionami. – W każdym razie zniszczyła mnie. Została ze mnie bezładna płatanina uczuć, żalu i cierpienia. Nie bagatelizuj nigdy ludzkich uczuć, James. Potrafią zabijać.

Ed spojrzął na Jamesa i uśmiechnął się.

– A jednak nadal ma moc zadziwiania mnie, czego ty jesteś najlepszym przykładem. To następna rzecz, której nie należy robić – lekceważyć możliwości, ponieważ istnieją wszelkie szanse, że ta najmniej prawdopodobna trafi się właśnie tobie. Przyjechałem jedynie po to, żeby przekonać się, czy nie mógłbym się z niej... otrząsnąć. I odkryłem, że wprost przeciwnie, tkwię w tym wszystkim po uszy. Ty okazałeś się najbardziej niespodziewaną premią. Jak ci odpowiada taka rola?

– Podoba mi się – odparł szczerze James.

– Mnie także – zgodził się Ed. – Czy spodziewałeś się kiedykolwiek, że pewnego dnia naprawdę się spotkamy?

– Nie – wyznał James. – Wiedziałem, naturalnie, o twoim istnieniu i akceptowałem cię, ale byłeś kimś szalenie odległym, jeśli wiesz, co mam na myśli. Choć oczywiście przypuszczałem, że jestem twoją... kopia. Myślę, że gdybym nie wiedział o tobie i nagle stanął z tobą twarzą w twarz, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. W każdym razie muszę się przyznać, że czułem się strasznie zdenerwowany. Nie wiedziałem, czy... czy cię polubię. Mimo tego wszystkiego, co o tobie usłyszałem, nadal miałem pewne wątpliwości. Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że ktoś tak bliski ideału nie może istnieć w rzeczywistości... ale może, prawda? Mama wcale nie przesadzała.

– Tego jej nie można zarzucić – oświadczył Ed z powagą. – Wiele innych rzeczy tak, ale nie skłonność do przesady.

James milczał, obracając kolistym ruchem resztkę drinka na dnie szklanki.

– A co... co zamierzasz teraz zrobić?

– Z czym?

– Ze mną.

– Co byś chciał, żebyśmy zrobili?

James zastanawiał się przez chwilę.

– Myślę... że chciałbym cię lepiej poznać, no bo przecież chyba powinniśmy się bliżej poznać? Ale wolałbym...

– Nie robić z tego wielkiej afery? – podsunął Ed.

– Właśnie to chciałem powiedzieć.

– Ja też nie mam na to ochoty. Na razie oswajam się powoli z rzeczywistością. Wydaje mi się, że to chwilowo najlepsza polityka, nie sądzisz?

– Tak – stwierdził James z ulgą. – Jak najbardziej.

– Dobrze, więc... – Ed spojrział na zegarek. – Czy musisz wracać natychmiast do Oxfordu?

– Niekoniecznie. Mam seminarium jutro o jedenastej, ale to wszystko.

– W takim razie może zjedlibyśmy razem kolację? Pogłębimy naszą znajomość, jeśli mogę się tak wyrazić.

– Bardzo chętnie – James był zachwycony.

– W porządku. Czy twoja matka nie spodziewa się przypadkiem wiadomości na temat powodzenia operacji „Poznajemy Ojca”?

James parsknął śmiechem.

– Ona nawet nie wie, że tu jestem.

– Wobec tego... – Ed zerknął ponownie na zegarek.

– Czy to jest ten zegarek, który od niej dostałeś? – spytał James ciekawie.

– Tak.

Ed zdjął go z ręki i podał Jamesowi.

– Dobra marka – pochwalił James rzucając Edowi trochę niepewne spojrzenie. – Mogę?

– Możesz.

James otworzył kopertę zegarka i przeczytał napis.

– Lubię Herricka – oznajmił.

– Twoja matka zarzucała mnie cytatami z poezji – powiedział Ed zapinając pasek od zegarka.

– Przywileje klasycznej angielskiej edukacji? – podsunął James z półuśmiechem.

– Wspomniała ci o tym?

– Tak, opowiedziała, jak jej to zarzuciłeś.

– Od tamtej pory byłem w zdecydowanie niekorzystnej pozycji.

– Ach nie, to wykluczone – odparł James z przekonaniem.

– Gdzie chciałbyś zjeść kolację?

– Gdziekolwiek, wybierz sam. Jem wszystko.

– Ale ja nie. Lubię dobrą angielską kuchnię. Jak by ci odpowiadał Simpson?

– Świetnie – zgodził się James.

– Potrzebuję dziesięciu minut na przebranie.

– To niepotrzebne. Twój mundur jest bardzo elegancki – zapewnił szybko

James.

Usta Eda drgnęły.

– W takim razie wystarczy mi pięć minut.

– Myślę – powiedział James wolno – że dobrze by było zadzwonić do mamy.

Można?

– Śmiało. Telefon jest tam, na stoliku.

Na drugim końcu linii Sara zapytała:

– Co jest, kochanie? Coś się wydarzyło?

– Wydarzył się Londyn i wszystko jest w porządku – poinformował ją James.

Po krótkiej chwili Sara odezwała się ponownie:

- To znaczy, że dostarczyłeś paczkę?
- Właśnie to robię.
- Jesteś z Edem? – dosłyszał w jej głosie nagłą radość.
- Tak. Zabiera mnie na kolację.

Następna chwila ciszy.

– Więc wszystko dobrze? – spytała matka, a jej głos brzmiał trochę dziwnie.
– Więcej niż dobrze. Wspaniale. Omal nie zemdleliśmy na swój widok, ale to... zagrało od pierwszej chwili. – James mówił tonem lekkim, ale nabrzmiałym dumą.

– Cieszę się z twojej aprobaty.
– Zapewniam cię, że jest stuprocentowa.
– Upredzałam cię, że tak się stanie, prawda?
– Tak, ale ja ci nie wierzyłem. Myślałem, że twoja opinia jest mocno przesadzona. Muszę powiedzieć, że teraz rozumiem, skąd ona się wzięła. Chociaż raz człowiek okazał się rzeczywiście żywym wcieleniem swojej legendy!

– Wiedziałam, że tak będzie.
– Pomyślałem sobie tylko, że zadzwonię, bo miło ci będzie to usłyszeć.
– Bardzo – zapewniła go. – Jestem naprawdę szczęśliwa. Dziękuję, że do mnie zatelefonowałeś, kochanie.

- Czy tę sprawę uznajemy za załatwioną? – chciał wiedzieć James.
- Tak. Całkowicie i do końca.

W głosie matki brzmiało dalekie, nostalgiczne echo smutku, jak gdyby cudowna, długo grana sztuka, uwieńczona wspaniałym finałem, dobiegła końca, a ona sama zmuszona była opuścić uwielbiany, nierzeczywisty świat, by wrócić do rzeczywistości światła rampy i głośno wiwatującej widowni.

- Wracam na weekend. Zdam ci wtedy szczegółową relację – obiecał James.
- Cieszę się na nią z góry. Czy Ed jest gdzieś w pobliżu?
- Tak. Chcesz z nim rozmawiać?
- Tylko słówko.
- Poczekaj, już go proszę.

Zawołał Eda i zniknął dyskretnie z jego pola widzenia.

– Saro?
– Słyszałam, że wszystko poszło dobrze?
– Gładko jak po lodzie.
– A on zasługuje na twoją aprobatę?
– Ma ocenę celującą. Widać, że włożyłaś w niego mnóstwo pracy, Saro.
– Przygotowałam po prostu grunt i tyle – przyznała.
– Musisz to opatentować w ministerstwie rolnictwa. Twoja metoda czyni cuda – stwierdził Ed. – Kiedy będę mógł się z tobą zobaczyć, Saro? Mam ci sporo do powiedzenia, ale chcę na ciebie patrzeć, kiedy będę to mówił.

Odpowiedziała mu niezbyt pewnym głosem:

– Niedługo. Kiedy tylko będę mogła, obiecuję.
– No to w porządku – odparł. – Tyle mogę poczekać.
– Postaram się, żeby to było jak najszybciej – zapewniła.
– Nie wiesz, jak czas się dłuży.
– Ależ wiem doskonale. – Zmieniając ton dorzuciła żywo: – Bawcie się dzisiaj dobrze. Zdzwonimy się jeszcze.

Odłożyła słuchawkę, a Ed stał zdziwiony, wsłuchując się w jednostajne buczenie przy uchu. Ciekawe, co się stało. Może w pokoju zjawił się Giles? A może nie miała zamiaru dać się wciągnąć w dawne sentymenty? Zmieniła ton nadzwyczaj gładko, widać było, że ma wprawę. To by potwierdzało wrażenie, jakie odniósł w rozmowie z samą Sarą oraz z Jamesem, wnioskując bardziej z niedopowiedzeń niż ze słów młodego człowieka – wrażenie, że w Luttrell Park rządzi Sara. Dawna Sara pozostawiała jemu wszelkie działania; ta nowa była zdana na siebie od długiego czasu i przyzwyczajona do radzenia sobie w pojedynkę. Nie tylko Anglia zmieniła się w ciągu minionych dwudziestu lat; Sarę Luttrell spotkało to samo. Podatna na wpływy, łatwa do pokierowania, zgodna dziewczyna, którą kiedyś poznał, raczej odsunięta od praktycznego życia, chroniona przez uprzywilejowaną egzystencję w uprzywilejowanej warstwie społecznej, przeistoczyła się w pewną siebie, kompetentną, samowystarczalną i polegającą wyłącznie na sobie kobietę.

James wrócił do pokoju umyty, uczesany i gotowy do wyjścia.

– Jestem pewien, że ten telefon był ukoronowaniem dnia dla mamy – oświadczył gładko, uśmiechając się zarazem szelmowsko.

– Hmm, w końcu ona ukoronowała niemało moich dni – zauważył Ed z uśmiechem.

9

Zacząło padać, kiedy Ed skręcił przy drogowskazie z napisem „Little Hedington – 6”. Włączył wycieraczki, a ich rytmiczny świst nakładający się na jednostajny szum opon na asfalcie i bębnienie deszczu o dach samochodu skierował jego myśli, jak zwykle, ku Sarze. Minęły już trzy miesiące, pomyślał. Czy też dopiero trzy miesiące? Była połowa września! Fala czasu przetoczyła się nad nim z impetem, jak nad wystającym z wody głazem.

To miał być jego czwarty weekend w Luttrell Park w roli Eda Hardina, Przyjaciela Rodziny. Jak do tego doszło? – pomyślał. Manipulacja, manewrowanie, zręczna gra Sary i Gilesa Luttrella? Tak czy inaczej dał się wciągnąć i grał w tę ich bardzo angielską grę zwaną Utrzymywanie Pozorów. Polegała ona na jego wizytach, składanych regularnie w majątku Luttrell Park w drobnej rólce Przyja-

ciela Rodziny, pułkownika E. J. Hardina z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. I wyglądało na to, że został ustawiony w tej roli na dłuższy czas.

Giles Luttrell musiał teraz spędzać większość czasu w łóżku; zły stan jego serca nie był dla nikogo tajemnicą, ale Sara i James robili co mogli, żeby dalej biło, otaczając Gilesa kokonem najczulszej troski. Ed musiał też być ogromnie ostrożny, uważać na gwałtowniejsze reakcje czy ostrzejsze riposty. To wszystko jest doprawdy dziwne, myślał, i piekielnie angielskie. Jednak najdziwniej zachowywał się sam Giles Luttrell. Ten człowiek był z pozoru po prostu świętym, ale Ed miał przemożne wrażenie, że jemu samemu przypisano rolę wysłannika piekieł. Nie wątpił, że Giles Luttrell to człowiek o naturze złożonej i zawilej; miał także pewność, że jest on subtelny i przebiegły. Toteż Ed nie był zwolennikiem koncepcji aureoli. Przynajmniej nie w pełni. Każde z nich grało, rzecz jasna, swoją rolę, z wyjątkiem Jamesa, który nie miał jeszcze dostatecznego doświadczenia, a w dodatku niewiele z tej gry rozumiał. James zaakceptował Eda bez zastrzeżeń i bezkrytycznie, ale nawet on zachowywał się szalenie ostrożnie we wszelkich sytuacjach związanych ze swoim oficjalnym ojcem.

Ed widywał Jamesa często, znacznie częściej niż Sarę, która rzadko przyjeżdżała do Londynu; za to James zjawiał się w mieście regularnie i spędzał wiele weekendów z Edem, który zabierał go na mecze baseballowe i barbecue, mecze krykieta i regaty wioślarskie. Ich stosunki, oparte na wzajemnym uczuciu i szacunku, zacieśniły się w wyjątkową więź, różną od tej, która łączyła Sarę i Gilesa; czy też Gilesa i Jamesa; czy wreszcie Sarę, Gilesa i Jamesa. Nie istniała jednak więź, która mogłaby połączyć Gilesa, Sarę, Jamesa i Eda. Wydawało się, że każde z nich ma swoją osobną klatkę, przypominającą komórkę w plastrze miodu o niezwykle delikatnych i kruchych ściankach. Toteż każde poruszało się niezwykle ostrożnie, żeby nie uszkodzić wosku.

Ed pochodził z kraju, gdzie kobiety kierowały różnymi przedsięwzięciami na skalę szerszą niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie; gdzie miały większą władzę, więcej pieniędzy i większą kontrolę nad sprawami będącymi tradycyjną domeną mężczyzn. Tak więc dla Eda nie było szokujące, że Sara sprawuje rządy w Luttrell Park. Mając kalekiego męża i bardzo jeszcze młodego syna, zmuszona była zachowywać się tak, jak wiele amerykańskich kobiet – i wykonywała swoje zadanie znakomicie. Ed zawsze cenił kompetencję u kobiet; nie czuł się zagrożony ich umiejętnościami i zdolnościami. Zdziwił się więc, kiedy zrozumiał w trakcie kolejnych wizyt w Luttrell Park, że Sara wzbudza uczucie podziwu graniczącego z lękiem. Ludzie, z którymi rozmawiał w miasteczku, admiirowali ją z pewnym zdumieniem, a w jednym przypadku nawet z niedowierzaniem, ponieważ okazała się nadzwyczajna w dziedzinie dotychczas zastrzeżonej dla mężczyzn. Ed wydawał się jedyną osobą, która uważała ten stan rzeczy za normalny. Sara zajmowała się wszystkim, co dotyczyło zarządzania posiadłością – sprawami ziemi, budynków, upraw, prowadzeniem ksiąg i papierów oraz każdą inną czynnością, konieczną w zbiurokratyzowanej, socjalistycznej Anglii – i wszystko to

działało idealnie gładko. Sara dysponowała wiedzą i doświadczeniem, a jej agent pełnił drugoplanową funkcję zastępcy. Nawet Giles skomentował to z nutką drwiny mówiąc, że z Sary byłby pierwszorzędny dowódca eskadry. W pokretny sposób dał do zrozumienia, że świadomy jest udziału Eda w wykształceniu się tych cech Sary.

Ed nauczył się szanować Gilesa jako przemyślnego oportunistę, który wykorzystywał każdą szansę i miał się każdego środka, żeby wzmocnić stalowe, choć z pozoru niewinne więzy łączące go z Sarą, więzy tak silne, a przy tym delikatne, że nie zdawała sobie sprawy z ich mocy. Jego cierpliwość, tolerancja, wyrozumiałość pozbawiły ją praktycznie możliwości ucieczki od poczucia winy. Przebacząc jej całkowicie, do końca, umocnił tylko jej potrzebę odpokutowania, a zaakceptowaniem Jamesa zatrzęsnał na dobre drzwi więzienia.

Tak, tak, myślał Ed, Giles Luttrell nie był głupi. Wiedział doskonale, że James stanowi fundament, na którym można będzie odbudować rozbite małżeństwo. Ed przekonał się sam, jak mocne więzy łączyły Jamesa i jego matkę. Nie było między nimi nawet szczeliny, nie mówiąc o przepaści między pokoleniami. Potrafili się ze sobą porozumiewać bez masek, bez przybierania sztucznych póz. Rozmawiali ze sobą tak intymnie, tak swobodnie i bez ograniczeń, jak on sam z Sarą; zastanawiał się nieraz, czy Sara nie traktuje Jamesa jako substytutu, zamiennika jego, Eda. Oczywiście było, że James pozostaje pod wyraźnym wpływem matki; rzucało się także w oczy, że nie tylko ją kocha, ale także admiruje i szanuje. W gruncie rzeczy, uznał Ed, wyglądało to nawet bardziej na uwielbienie niż na normalną miłość.

Nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że jeśli ich drogi życiowe – losy Eda, Sary i Jamesa – układały się i przeplatały jak na wzorzystym gobelinie, tkaczem był tu Giles. Ed nie ufał mu do końca, choć nie umiałby podać żadnej konkretnej przyczyny, gdyż Giles Luttrell był niezmiennie przyjacielski i serdeczny. On jest po prostu zbyt doskonały, żeby być prawdziwy, pomyślał. W ocenie ludzkiego cierpienia Ed przychylił się zawsze do opinii Somerseta Maughama, że cokolwiek ono powoduje, to z pewnością nie uszlachetnia; cierpienie potrafiło wypaczać, skrzywiać, przepajać goryczą, niszczyć. Podejrzał, że za tą całą świętością kryje się płątanina emocjonalna, tak zagmatwana, że musi gryźć się we własny ogon. Giles Luttrell, myślał Ed, wyraźnie coś knuje. Ale co? I dlaczego?

Mijał właśnie lotnisko polowe w Little Heddington. Widział wieżę kontrolną, a także skupisko zardzewiałych prętów i cegieł w miejscu dawnego punktu odpraw. Niewidoczne były tylko duchy nawiedzające te miejsca. Choćby moje własne dawne ja, pomyślał. Po cóż bym tu wracał, jeśli nie w celu odprawienia egzorcyzmów? A może przyjechałem w poszukiwaniu azylu? Ktoś gdzieś powiedział, że miłość jest najlepszym azylem. Słusznie, uznał Ed, wszyscy potrzebujemy jakiegoś schronienia. Może Sara jest moim schronieniem? Takim miejscem, doskonale uszczelnionym, absolutnie pewnym i bezpiecznym, oparciem i osłoną, gdzie można przycupnąć i przetrwać tę nie kończącą się burzę, jaką jest życie. W końcu

umiejętność tworzenia związków międzyludzkich świadczyła o człowieczeństwie; kto nie potrafił ich budować, miał w jakimś sensie mniej tego człowieczeństwa.

Zamajaczyła przed nim brama Luttrell Park i skręcił w nią, wjeżdżając w szeroką aleję dojazdową; w głębi przeblyskiwał dom, lśniący ciepłym blaskiem nawet w to szare popołudnie, jaśniejący różowoczerwonymi ceglami. Jestem w jakimś sensie związany z Luttrell Park, pomyślał Ed. Ma nade mną władzę od dnia, kiedy pierwszy raz ujrzałem Sarę pod kasztanem. Niewykluczone, że to sprawa przeznaczenia. Może gdzieś tam jest ktoś, kto pociąga za sznurki i patrzy, jak wszyscy tańczymy. Kto wie? Z pewnością dziwne jest, że wróciłem akurat teraz – w czasie, kiedy Giles Luttrell szykuje się do odejścia. Być może w tym angielskim dżentelmenie kryje się zazdrosny demon zemsty. Z Anglikami nigdy nic nie wiadomo. Ta ich wrodzona uprzejmość nie pozwala w żaden sposób odgadnąć, kto, na przykład nienawidzi cię, a kto dąży do twojej zguby. Mówi się o nich, że nie mają uczuć; to oczywiście nieprawda – oni ich po prostu nie pokazują po sobie. Giles Luttrell nie jest człowiekiem z plastiku, nawet jeśli na takiego wygląda.

Wystarczy sięgnąć do przykładu Jamesa. Ed miał uczucie, że chociaż James kocha i podziwia Gilesa, to z tej drugiej strony jego uczucia nie są w pełni odwzajemniane. James był w tej grze pionkiem. Giles zaaprobował go, żeby mocno przywiązać do siebie Sarę. I umiał działać tak subtelnie, że żadnemu z nich podobne podejrzenie nie powstało nawet w głowie, tego Ed był całkowicie pewien. Akceptowali Gilesa takiego, jakim go widzieli, biorąc wszystko za dobrą monetę prosto z mennicy: żadnych zadrapań, wgłęć czy zniekształceń. Jedynie Ed dosłyszał nieczysty dźwięk monety. Nie była ze złota, jak sądzili inni. Ed podejrzewał, że jest sfalszowana.

Kiedy skręcał na zwirowany podjazd przed domem, przypomniała mu się, nie wiedzieć czemu, piosenka z czasów wojny, którą w tamtym czasie nadawano bez przerwy przez radio:

*Nie podziękowałem ci jeszcze za ten czarowny weekend,
Za dwa niebiańskie dni, które spędziłem dzięki tobie.*

Uśmiechnął się do siebie, rozbawiony. Wiedział, że jest zazdrosny o Gilesa Luttrella, więc spróbował zamknąć tę zazdrość na dwa zamki. Weekendy dawały mu możliwość widzenia się z Sarą, choć oznaczały też frustrację – „tak blisko, a przecież tak daleko”. Miał jednak do wyboru to albo nic. Role rozdawał Giles Luttrell i na tym etapie dyskusowanie z reżyserem nie miało najmniejszego sensu. Ale ja mu nadal nie ufam, pomyślał. Na jego miejscu nienawidziłbym Eda Hardina. I tak mam mu za złe, że Sara jest przy nim; będzie ją miał do końca życia – a może i po śmierci, kto wie? Skąd pewność, że nie prowadzi z Sarą nieustającej wojny obliczonej na wyczerpanie przeciwnika, wojny, w którą wdał się od momentu, kiedy się o mnie dowiedział? Założyłbym się, że to robi. Od razu wiedział, kim jestem, i to nie tylko z nazwiska. Znał mnie, ponieważ Sara opowiedziała mu wszystko

i poprzez Jamesa żył razem ze mną, natykał się na mnie codziennie przez ostatnie dwadzieścia jeden lat; w ciągu tak długiego czasu można zgromadzić potężny zapas nienawiści.

Zatrzymał samochód przed schodami i siedział chwilę bez ruchu, ogarnięty nagłym chłodem. Tak, tu kryło się sedno sprawy. Czy te przyjacielskie zaproszenia były za każdym razem wystosowane z premedytacją? Czy Giles, kiedy tylko zamknęły się drzwi za Edem, zaczynał rozmyślnie niszczyć widoczną radość Sary z jego wizyty, i jak zręczny alchemik obracał tę radość w poczucie winy? Ed zobaczył nagle oczami duszy postać Sary, która oddała się i maleje, odchodząc od niego w stronę tego zmarnowanego ciała, tego przegranego życia. Myśli Eda skupiły się na niej, na wyrzeczeniach i poświęceniach, które sama wybrała i które były jej udziałem przez wszystkie te lata. A przecież nadal chowała w sobie, ukryte pod pozornym opanowaniem i rezerwą, wrażliwe i czułe serce. Wiedział, że go kocha. Ale gdyby nie było Jamesa, czy sytuacja wyglądałaby tak samo? W końcu James stanowił łączące ich ogniwo.

W to mokre, szare popołudnie Ed zapragnął nagle znaleźć się z powrotem w San Francisco, gdzie niewątpliwie świeciło słońce; przez chwilę gorzko żałował, że nie potrafił zapomnieć Sary Luttrell; buntował się przeciw władzy, jaką nad nim miała. Zaraz potem drzwi frontowe otworzyły się i ukazał się w nich James, który podszedł do samochodu z otwartym parasolem; na jego widok nastrój Eda zmienił się w mgnieniu oka. Jasne, w Kalifornii z pewnością świeci słońce, ale nie ma tam Jamesa ani Sary... Chwileczkę, powiedział sobie. W ten rodzaj gry, który uprawia Giles Luttrell, mogą grać równie dobrze dwie osoby.

James uśmiechał się szeroko, zadowolony, że widzi Eda.

– Świetna pogoda dla kaczek – zauważył pogodnie.
– Wydawałoby się, że do tej pory ludziom w tym kraju powinny były wyrosnąć pletwy na stopach.

Ed odwrócił się, sięgnął na tylne siedzenie po torbę i podał ją Jamesowi.

– Ee, zdążyliśmy się do niej przyzwyczaić – zapewnił James. – Po prostu uśmiechamy się i znosimy ją dzielnie. A przy tym, widzisz, pogoda jest wspaniałym tematem do rozmowy.

James uśmiechnął się porozumiewawczo. Kiedy przekroczyli próg, zobaczyli schodzącą ze schodów Sarę. James dostrzegł spojrzenie, jakim obdarzyła Eda, gest rąk, które Ed wziął w swoje dłonie, całując ją lekko w policzek.

– Witaj znowu – powiedział lekko i swobodnie.

James dosłyszał jednak specjalny ton w jego głosie i zauważył, jak matka rozświetla się pod jego wpływem, a orzechowe oczy ojca rozjaśniają się uśmiechem.

– Weźmiesz torbę Eda na górę, dobrze, kochanie? – zwróciła się do Jamesa Sara, biorąc jednocześnie Eda pod rękę i prowadząc go w kierunku salonu.

– Giles zejdzie później – poinformowała go.

– Jak on się miewa?

Wszystko w Luttrell Park kręciło się wokół stanu zdrowia Gilesa Luttrella.

– Trzyma się – odparła Sara.

Zamknęła drzwi salonu, odwróciła się ku Edowi i objęła go mocno, Ignąc do niego z westchnieniem. Ed ujął ją za brodę i uniósł jej twarz ku gorze.

– A ty?

– Och, ja także – powiedziała.

Wyglądała na zmęczoną i podminowaną, jakby jej cierpliwość i wyrozumiałość były napięte do granic wytrzymałości, grożąc pęknięciem.

– Od razu mi lepiej na twój widok – dodała jeszcze.

– Cokolwiek mogę zrobić... zresztą sama wiesz.

– Dość już robisz przyjeżdżając tutaj. Naprawdę doceniam, Ed. Wiem doskonale, że w obecnym układzie nie jest to dla ciebie łatwe. Jestem ci tym bardziej wdzięczna. Wiesz, jak to dużo dla mnie znaczy.

– Dla mnie również.

– Chodź, usiądź przy mnie i opowiedz, co porabiałeś przez ostatnie dwa tygodnie.

Kiedy James wszedł do salonu, siedzieli na krzesłach naprzeciwko siebie, ale już od progu wyczuwało się intensywność łączącego ich uczucia. Odkąd James widywał matkę i ojca razem, zrozumiał bardzo wiele, choćby taką istotną prawdę, że to matka jest podstawą tego szczególnego trójkąta. Obaj mężczyźni byli od niej zależni, każdy na swój własny sposób, a gdy przebywali we troje, ona w cudowny, subtelny sposób obdarzała każdego tym, co mu było potrzebne. Otwierała się przed Edem jedynie wtedy, kiedy byli bez Gilesa, we dwoje, a James czuł, że jego uwielbienie i szacunek dla niej, już przedtem niemałe, rosą bezgranicznie.

Od czasu pierwszego spotkania z Edem, James był nieco zaniepokojony swoją własną entuzjastyczną reakcją; czuł, że przekroczył granice rozsądku, angażując się bez przemyślenia, akceptując bez zastrzeżeń, czerpiąc przyjemność bez myśli o konsekwencjach. Miał wrażenie, że zepchnął na bok Gilesa i wstawił na jego miejsce Eda, więc za każdym razem, kiedy wracał do Luttrell Park i przebywał znów z Gilesem, widząc jego łagodną cierpliwość i bezgraniczną wyrozumiałość, miał poczucie winy i w pewnym sensie wstydził się za siebie.

James zdawał sobie sprawę, że Giles zrobił Edowi miejsce w ich życiu, dlatego że Ed był ojcem jego, Jamesa, a także dlatego, że pragnęła tego Sara. James zrozumiał też w końcu to, co dotychczas tylko podejrzewał – że z nich dwojga, matki i jego samego, z punktu widzenia Gilesa Luttrella liczy się matka; podobnie jak wiedział, że dla matki liczy się Ed i on sam. Dla Gilesa Sara była wszystkim, i James doceniał fakt, że Ed niezmiennie honoruje tę zasadę, tak jak doceniał umiejętność absolutnego skoncentrowania się na jednej osobie, wykazywaną przez Gilesa. Nie miał żadnych pretensji do sposobu, w jaki był traktowany przez swojego oficjalnego ojca; cokolwiek kierowało Gilesem, dostawał od niego zawsze wszystko, co najlepsze.

W sumie, pomyślał James, ten układ był najbardziej zagmatwaną płataniną, jaką zdarzyło mu się widzieć, ale przypomniał sobie, co Ed mu powiedział parę tygodni wcześniej:

– Kiedy w grę wchodzi narzucenie rozsądku uczuciom, najwyższa inteligencja nie da sobie z tym rady.

No, skoro ktoś z inteligencją Eda nie potrafi dać sobie z tym rady, pomyślał znowu, ja nie będę nawet próbował.

Teraz zbliżył się do nich wolnym krokiem, z uśmiechem na ustach.

– Deszcz ustał – obwieścił – i będziemy mieli piękny zachód słońca, co jest dobrą wróżbą na jutro.

– A co takiego ważnego odbywa się jutro? – spytał Ed niewinnie.

James popatrzył na niego z wyrzutem.

– Mecz krykieta, rzecz jasna. Doroczna konfrontacja: Little Heddington przeciwko Great Heddington. Spodziewam się, że przyjdziesz i będziesz mi kibicował. Mama zajmuje się zawsze herbatą, a tata zapisuje punkty. Wiesz, to należy do tradycji.

– W takim wypadku... – zaczął Ed z powagą.

– W każdym wypadku – przerwał James surowo. – W końcu serwuję jak szatan, a w grze kijem też jestem nie najgorszy. Rozgromimy ich.

– Nie zapomnę włożyć kasku – zapewnił go Ed.

Siedzieli tak gawędząc do szóstej, kiedy dołączył do nich Giles, poprzedzony ukazaniem się Batesa z drinkami. Ed odniósł wrażenie, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni Giles jakby stracił ostrość, niczym stary dokument zacieraający się w miarę upływu czasu, coraz mniej wyraźny i żółknący po brzegach. Giles był, jak zawsze, niezmiennie pogodny, jednak Ed odczuł, że Sara jakby zeszytniała i stała się napięta jak struna. Choć starała się to ukryć, śledziła każdy ruch męża, jak kamera na oddziale intensywnej terapii. I ona, i James uprzedzali każde życzenie Gilesa i pilnowali, by nie musiał podejmować żadnych wysiłków, a wszystko to miało wydawać się naturalne i odruchowe. Doglądali go, pilnowali i pielęgnowali, wiedząc, że są dla niego dosłownie podporą życiową. Gilesowi pozwolono na jednego drinka przed kolacją, jeden kieliszek wina do kolacji i jedno cygaro po niej. Rozegrali z Edem partię szachów i o wpół do jedenastej Giles był już z powrotem na górze. Sara dotrzymała mu towarzystwa, ale potem przyszła znów do salonu i wówczas James dyskretnie zniknął.

Ed siedział na rozłożystej kanapie pod oknem; Sara podeszła do niego i opadła na miękkie siedzenie tuż obok, przysuwając się blisko, żeby móc oprzeć się o jego ramię.

– Jak dobrze – powiedział półgłosem.

– Ty jesteś dobry – westchnęła. – Jesteś dla mnie taką pociechą, Ed. Wiesz... rozwiązujesz wszystkie moje supły i węzły.

– Tak mocno są zaciśnięte? – zapytał z czułością.

– Teraz tak. Jestem zmęczona stałym wstrzymywaniem oddechu. – Zamilkła, a po chwili dorzuciła bezradnie: – Gdybym tak rzeczywiście mogła coś zrobić!

– Przecież robisz.

– Tylko, widzisz, to nie wystarcza. Czuję się bezsilna. – Westchnęła znowu. – Jedyne, co mogę, to stać i patrzeć, a tego po prostu nie znoszę! Boże drogi, jak ja tego nie znoszę!

Słyszając nutę hysterii w jej głosie objął ją mocniej i pocałował lekko we włosy. Ukryła twarz na jego ramieniu, jakby szukała ucieczki od tego, co ją nieuchronnie czekało.

– On ma taki cudowny stosunek do wszystkiego – powiedziała. – Nawet do ciebie.

W głowie Eda zapaliło się ostrzegawcze światełko.

– Doprawdy?

– On wie, że kiedy tu jesteś, czuję się szczęśliwa. Dlatego cię zaprasza. Jest szczęśliwy, bo ja jestem szczęśliwa, ale nie potrafię pozbyć się przeświadczenia, że to jest ta sama, zawsze ta sama historia. Moje szczęście jest kosztem.

– Posłuchaj, Saro – zaczął Ed kategorycznie, choć spokojnie. – Nawet ten kalwiński organ Inkwizycji, który nazywasz sumieniem, nie może zmusić cię do obwiniania się za coś, za co nie ponosisz żadnej odpowiedzialności. Giles rozbił się w płonącym samolocie, owszem; ale ty nie miałaś z tym nic wspólnego. Potem niezliczone operacje, które przeszedł, osłabiły mu serce, ale to też nie twoja wina. Co więcej mogłabyś zrobić dla niego ponad to, co robiłaś i robisz przez cały czas?

Milczała przez chwilę.

– Zapewne nic – stwierdziła wreszcie z desperacją.

– W takim razie jakież to ciężar winy za jakie nieodpokutowane grzechy zamierzasz wziąć teraz na swoje barki?

Mówił spokojnym głosem, ale wyczuła w nim niezadowolenie.

– Bo... widzisz, on umrze ze świadomością, że kiedy go zabraknie, ja będę żyła szczęśliwie z tobą – wyrzuciła z siebie gwałtownie.

Chryste Panie, pomyślał Ed ze zgrozą. Nienawiść wezbrała w nim gorącą falą. Ramię obejmujące Sarę zacieśniło uścisk tak bardzo, że spojrzęła na niego wystraszona nie na żarty. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, daleka, nieobecna. Sara wyczuła jego wściekłość, ale powiedział tylko głosem równie nieruchomym, jak twarz:

– Więc co zamierzasz zrobić? Wyrzucić mnie znów ze swojego życia?

Wlepiła w niego oczy, odsunęła się i sztywno wyprostowała. On również spojrzęła na nią.

– Saro, na miłość Boską – powiedział gwałtownie – czy musisz karmić się i poić poczuciem winy, śnić o winie i jeszcze się w niej kapać?

Zastygła w pozie wyrażającej wyrzut, niedowierzanie i ból; w następnej chwili, kiedy na nią spojrzęła, ta sztywność załamała się, gniewne iskry w oczach zmieniły się w mokre błyski, a lód, który się w nich taił, stopniał w palącym bólu i spłynął łzami.

– Och, Saro – westchnął wyciągając po nią rękę.

Wybuchnęła płaczem padła mu w ramiona, szlochając spazmatycznie. Wziął ją na kolana i przytulił. Czuł konwulsyjne łkania i trzymał ją blisko przy sobie, myśląc z ulgą, że tama runęła i cała ta sztywna samokontrola, nagromadzenie obaw, napięcie nerwowych i zrodzonego w niej poczucia winy może z niej wreszcie wypłynąć.

Płakała długo, i nawet kiedy łzy już wyschły, wstrząsały nią nadal suche łkania, które zdawały się ją rozdzierać.

– Potrzebowałaś tego – powiedział w końcu.

Kiwnęła głową, niezdolna przemówić.

– Nie płaczesz często, ale kiedy się to zdarza, można się spodziewać prawdziwego potopu. Właśnie dlatego, że przychodzi tak rzadko.

– Wszystko przez to, że tu jesteś – powiedziała z trudem. – Przy tobie mam zawsze poczucie, że nie muszę ukrywać uczuć, bo ty przecież zrozumiesz. Giles nie lubi, kiedy płaczę. To go rozstraja. Czuje, że płaczę z jego winy – a przecież z tyloma przeciwnościami musi się stale borykać.

– Ale ja jestem przy tobie. Oprzyj się o mnie, Saro. Mam silne ramiona, bez trudu udźwigną twój ciężar.

– Jaka to ulga, móc z tobą o wszystkim porozmawiać.

– Więc rozmawiaj. Nie duś tego w sobie, bo w końcu pęknieś. Chcę cię mieć całą, a nie w kawałkach. Najwyższy czas, żebyś wyrzuciła to wszystko z siebie.

– Czas – powtórzyła z goryczą. – Ty i ja, Ed, toczyliśmy nieustanną walkę z czasem. Najpierw była kwestia twojego czasu. Teraz chodzi o Gilesa, tylko że jego czas został odmierzony i niewiele go już zostało.

– Obojętnie ile go zostało, nie możesz zrobić dla Gilesa więcej niż robisz, a popatrz, ile już zdziałałaś.

– Tylko że to ciągle za mało! Nawet teraz, choć zaakceptował rzeczywistość i twierdzi, że rozumie nas, ciebie i mnie – nie przestał pragnąć tego, czego mu nie mogę dać. On nam zazdrości, Ed. Wie, że będzie mnie miał tak długo, jak długo będzie mnie potrzebował, ale nie w sposób, w jaki chciałby mnie mieć.

– Miał cię przez ponad dwadzieścia lat – przypomniał Ed tym odległym, chłodnym tonem.

– Ale cały czas wiedział o tobie.

– Podobnie jak ja wiedziałem o nim.

Odgadł z wyrazu twarzy, że Giles Luttrell nie pozwolił jej nigdy spojrzeć na to z tego punktu widzenia.

– To właśnie ciebie – podjął – ciebie mam do spółki z Gilesem... a poza tym jeszcze wzajemną zazdrość. Rozumiesz, ja także jestem o niego zazdrosny. On żyje z tobą pod jednym dachem, ma to, co mu codziennie dajesz i świadomość, że przy nim jesteś, wreszcie fakt, że dzielicie razem życie, – czyli to wszystko, bez czego musiałem się obejść przez wszystkie te lata, Saro. Nie uważasz, że to było dla mnie ciężkie?

– Nigdy nie patrzyłam na to z tej strony – przyznała po chwili.
– Wiesz, nie było mnie tu, więc nie mogłem ci o tym przypominać – stwierdził lekko. – Giles był.

– Ale on zachowywał się wobec mnie tak wspaniale... choć oczywiście były trudne okresy; Giles potrafi być szalenie trudny, czasem wręcz okrutny i mściwy, ale widział, Ed, on tak wiele wycierpiał.

Pałacy gniew Eda ostygł przeistaczając się w zimną pasję. Co za obmierzły hipokryta, co za przebiegły, sadystyczny łajdak! Sara nie uwierzy ani przez chwilę, że całe swoje poczucie winy i desperację zawdzięcza Gilesowi, który ją tym karmił od lat.

– Giles zawsze nienawidził swoich ograniczeń fizycznych – ciągnęła tymczasem Sara. – Miał tak wielkie ambicje i nadzieje; oddał Luttrell Park, a przecież nigdy by tego nie zrobił, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Giles ma swoją dumę, Ed. Nie wykorzystałby nigdy czyjegoś syna, żeby zapewnić ciągłość rodu; nie byłby w stanie zdecydować się na podobny krok.

Bo też nigdy nie zamierzał go zrobić, pomyślał Ed zimno. James nie jest ważny dla Gilesa Luttrella; tylko ty się dla niego liczysz, ponieważ poprzez ciebie może osiągnąć mnie i ukarać nas oboje.

– Chciał mieć własnego syna – mówiła dalej Sara – a mimo to zaakceptował Jamesa bez wahania. To ty stanowiłeś dla niego największy problem. To, czym jesteś i jaki jesteś. Giles był całkowicie szczery na ten temat.

Nie wątpię, że był szczery, pomyślał Ed.

– Wiem dokładnie, co chcesz mi powiedzieć – stwierdził zgodnie z prawdą – i naprawdę cię rozumiem. Nawet lepiej niż myślisz. Rozumiem wszystko, co dotyczy Gilesa, wierz mi. Myślałem o tym wielokrotnie. Ale w końcu poświęciłaś mu minione dwadzieścia lat – tak, właśnie poświęciłaś. On zdaje sobie z tego sprawę, naprawdę... i dlatego chce, żebyś była szczęśliwa. – Dlatego, że zasłużyłaś na to, Saro. W ten sposób próbuje ci po prostu spłacić dług wdzięczności. To wszystko.

– Tak sądzisz? – spytała gorliwie, z nadzieją chwytając się każdego wyjaśnienia, jak deski ratunku, która pozwoliłaby jej utrzymać się na powierzchni wody spośród groźących zatopieniem fal.

– Jestem o tym przekonany. Byłby przerażony... tak, z pewnością przerażony – powtórzył stanowczo – na myśl, że możesz się czuć winna z naszego powodu. Zapłaciłaś za to, co między nami było, Saro... i ja także, na swój sposób. Rachunki zostały całkowicie wyrównane. To, co dzieje się między nami teraz, nie jest skryte czy podstępne, i nie godzi w niego w żadnym sensie. Gdyby tak było, nie zgodziłby się, żebym spędził tu choć minutę. Giles ufa nam obojgu, Saro. Chyba dostrzegłaś to sama; tobie ufa bezgranicznie, a mnie na tyle, żeby zapraszać mnie tutaj i umożliwiać spotkania z tobą i Jamesem. Nie musisz mnie przekonywać, że to niezwykle człowiek, Saro. Sam o tym wiem doskonale.

– Ach, wiedziałam, że wszystko zrozumiesz! – wykrzyknęła z radością. – Zawsze umiałeś zrozumieć. – Zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go z impetem i przyznała z zalem: – Powinnam była porozmawiać z tobą wcześniej. Jak dobrze, że mogłam ci o tym powiedzieć.

– Możesz mówić mi o wszystkim – zapewnił. – Wiesz sama. Mów, co zechcesz, kiedy i gdzie zechcesz, Saro.

– I będę to robiła. Na pewno – przyrzekła rozpromieniona.

Pocałowała go znowu, a on otoczył ją ramionami poddając się pieszczocie. Właściwie dlaczego nie? – pomyślał. Jeśli on mnie ma za podstępного zdrajcę, mogę przynajmniej zasłużyć na tę opinię.

Sobota okazała się tak piękna, jak zapowiadał piątkowy zachód słońca. Giles zszedł na dół, żeby zjeść z nimi lunch, a potem wszyscy udali się na pole krykiotowe, rozciągające się za kościołem, na samym końcu High Street. Giles i Bates skierowali się do miejsca, gdzie odbywało się liczenie punktów, natomiast Sara dołączyła do pań w pawilonie, żeby wspólnie przygotować podwieczorek, który zapowiadał się na prawdziwy bankiet. Ed usadowił się na leżaku, na skraju pola, skąd oglądał, jak zgodnie z przepowiednią Jamesa, Little Heddington rozgromiło Great Heddington różnicą sześciu bramek, przy czym James zasłużył się wspaniale, zdobywając sześć z czterdziestu ośmiu punktów.

Przyjemnie było wyciągnąć się na leżaku w promieniach wrześniego słońca, słuchając nieregularnych oklasków, co jakiś czas przybierających nagle na sile. Ed patrzył, jak James serwował albo odbijał, potem zamykał oczy, a do jego uszu dochodził odgłos piłki odbijanej kijem, szmer wieśniaczych głosów, dźwięk kościelnego zegara wybijającego kwadrans. Stary pan Sargent pełnił funkcję sędziego, co robił od niepamiętnych czasów, a drużyna Little Heddington składała się z farmerów, ekspedientów, mechaników, pastuchów i mleczarza. To jest absolutnie i niepowtarzalnie angielskie, pomyślał Ed, podobnie jak herbata, mocna i gorąca, a do niej talerze kanapek, bułeczki z pasztetem i ciasta przygotowane przez panie. Po meczu wszyscy podążyli do Luttrell Park na wspólne świętowanie i kolację złożoną z zimnych mięs i pikli, którą spożywano komentując dzisiejszy mecz i wspominając inne mecze sprzed lat. Giles wypił jedno małe piwo, siedząc u szczytu stołu, otaczany wyraźnym szacunkiem i sympatią przez wszystkich obecnych.

Tak, myślał Ed tej nocy, leżąc bezsennie w łóżku, w tym kraju zmieniło się mnóstwo rzeczy, jednak na pewno nie obyczaj małych miasteczek. Cały ten dzień był prawdopodobnie jedną z tych tradycji, kulturowanych od zamierzchłej przeszłości. Jedynym nowym elementem była obecność eks-kochanka żony dziedzica, będącego także ojcem jej syna, który zjawił się tutaj i paradował bez żenady, nie przejmując się niczyją opinią. Cóż, dostarczył im tematu do rozmów, czegoś do rozważania poza śmiercią i podatkami, przede wszystkim śmiercią – bo tego

tematu także głośno nie poruszano. Angielskie maniery, pomyślał, czy może bierna akceptacja istniejącego stanu rzeczy? Jeśli chodzi o pojawienie się Eda tego popołudnia, jego obecność zaakceptowano z radością; zauważył, że parę młodszych kobiet przygląda mu się i szepcze, natomiast ci, których pamiętał i którzy jego pamiętali, zachowywali się uprzejmie i naturalnie. Zapewne tamte zdarzenia były dla nich historią, a wybryki angielskiej arystokracji – jeśli można tak to eufemistycznie określić – to coś zbyt dobrze znanego i udokumentowanego, żeby miało stanowić sensację. Chodziło właśnie o arystokrację, więc tolerowano je z wyrozumiałością, zrodzoną głównie z angielskiego upodobania do tytułu – baroneta w tym wypadku. I działało to nawet w rozszalałych latach sześćdziesiątych, konkretnie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym.

Jak by się jednak sprawy miały, gdyby Sara nie była lady Sarą Luttrell i panią Luttrell Park? Czy wówczas, w ramach tej małej, zamkniętej społeczności, myślano by o niej jako o biblijnej wszetecznicy? Współczesny świat był różny od tego, w którym on i Sara przeżyli swój wielki romans. Dziś ludzie wchodzili w luźne związki. Gdyby nasza przygoda toczyła się dzisiaj, myślał, zupełnie inaczej by to wyglądało. Dzisiejsze pokolenie nie miewa poczucia winy z powodu romansów. Nie boi się też nieuchronnych konsekwencji. Ich związki nie są planowane jako trwałe, nadają się do szybkiej likwidacji, jak tymczasowy barak z prefabrykatów do rozbiórki. Dla nas romans miał sens i znaczenie, dlatego że był potajemny i nielegalny. Nigdy nie traktowaliśmy go niezobowiązująco. Dla nich jest to udogodnienie, jak mrożonki, które nie wymagają przygotowywania i są dostępne w niezliczonych odmianach; problem polega na tym, że wszystkie smakują tak samo.

My nie bywaliśmy niedbali i beztroscy; oni po prostu tacy są. Zawsze. Dla nas taki związek musiał coś znaczyć, mieć swoją wartość. Oni nie dbają ani o jedno, ani o drugie.

Odrzucił się na wznak, podkładając ręce pod głowę i napotkał taksujące spojrzenie lady Georgiany Luttrell, osiemnastowiecznej damy, która jawnie gorszyła otoczenie kochankami i stylem życia; urodziła siedmioro dzieci i nikt, łącznie z nią samą, nie wiedział, kto był ojcem którego. Tak, tak, pomyślał, na dobrą sprawę nic się nie zmieniło, przynajmniej jeśli chodzi o ludzi. Nadal wplątujemy się w bezsensowne, zagmatwane sytuacje i nie potrafimy niczego się nauczyć z błędów przeszłości, psując teraźniejszość i nie troszcząc się o przyszłość. Wydawałoby się, że już wiemy, jak nie należy żyć, żeby móc tego dzisiaj uniknąć z zamkniętymi oczami. Tymczasem nic podobnego. Zawsze istniał czynnik X, ten nieznan element, zwany w braku lepszego określenia uczuciami. Jakże inaczej wyglądałby świat, gdybyśmy ich nie mieli. Nie byłoby miłości, nienawiści, strachu, zachłanności, zazdrości, gniewu... i życia, myślał. Nic poza egzystencją. Nie, to nie dla mnie. Byłem tam, gdzie jest tylko pustka i wcale mi się ta wizyta nie podobała. To jałowa kraina – nic tam nie rośnie. Nasz świat, nawet z tymi wszystkimi drapieżnikami, kanibala-

mi, łowcami głów, jest nieskończenie lepszy od tamtego nagiego pustkowiec. Nie, dzięki za pustkę, pomyślał jeszcze. Już wolę, żeby mojemu szczęściu towarzyszyło cierpienie.

Trochę dalej, po przeciwnej stronie korytarza, Sara nie mogła zasnąć z tego samego powodu, co Ed. Leżała długo, zatopiona w myślach o nim, skupiona tylko na nim, snując fantazje na jego temat, wiedząc, że mogłaby teraz wstać i pójść cicho korytarzem. Ale za drzwiami naprzeciwko spał Giles i myśl o nim wystarczała, by zdławić jej intencję, zanim nabrała realnego kształtu. Nie, tego nie mogła, nie umiała zrobić. Giles był i tak niezwykle wyrozumiały, pozwalając na wizyty Eda w domu. Nie, to równałoby się zadaniu jeszcze jednego ciosu Gilesowi, który naprawdę dość już zniósł. Na razie musiała ją zadowolić świadomością, że Ed jest tu i czeka. Podobnie jak ja, pomyślała. Czekamy na śmierć, żeby zacząć znów żyć.

Gdyby tylko mogło się to stać innym kosztem. Łatwo było Edowi perswadować, że nie powinna już nic dokładać do swojego poczucia winy – ale jak miała nie czuć się winna? Nie zgłębiała dalej tej myśli i pozwoliła jej ulecieć, koncentrując się na Edzie. Jest taki piękny, pomyślała. Nie ma na to innego słowa. Jest skończenie piękny. Wśród mężczyzn było to zjawiskiem tak rzadkim, że na jego widok po prostu zapierało dech w piersiach. Zauważyła spojrzenia, jakimi obrzucały go kobiety tego popołudnia, ciekawość i zastanowienie w ich wzroku, choć nie padło żadne słowo, przynajmniej w jej obecności. Słyszała jednak uwagi paru młodszych kobiet rozmawiających o nim. Przyjęły naturalnie, że on jest tym jej „przyjacielem” – „chłopakiem”, jak nazwała go jedna z nich. Może nie chłopakiem, pomyślała, ale przyjacielem na pewno. Tak, przyjacielem, i to najlepszym, jakiego kiedykolwiek będę miała. Kocham go, ale również go lubię; jest, jak powiedziała jedna z komentatorek, „szałowy”. Gdy wspomniała jej słowa, poczuła, że zalewa ją niespodziewanie fala palącej zazdrości, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła. Nie w stosunku do rozmawiających dziewczyn, które nie miały znaczenia, ale na myśl o kobietach, różnych kobietach, które musiał mieć i do których czuła teraz nienawiść.

To po prostu śmieszne, pomyślała. Nie mam prawa być zazdrosna. Przecież Ed nie jest żonaty. Tak, ale był – i to jest następna myśl, którą musisz porzucić, powiedziała sobie, bo gotowa jesteś zapędzić się tak, że wylądujesz gdzieś w szczyrim polu, w środku nocy, a wokół żywej duszy. Powiedział ci, że był żonaty, a zresztą czy sama tego zawsze nie zakładałaś? Tak, przyznała, ale zawsze miałam nadzieję, że jednak się nie ożeni. Przewróciła się na drugi bok nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Poprawiała poduszki, które zrobiły się nagle gorące i kanciaste. Nic na to nie poradzę, pomyślała. Ed zawsze działał na mnie jak zapalona zapałka zbliżona do kartki papieru. Choćby tego wieczoru... pragnęła go. I wiedziała, że on także jej pragnie. Czy mam zbyt wiele skrupułów? – zastanowiła się. Ale nie

potrafiłabym zrobić tego Gilesowi. Wiedziałby od razu; chociaż brak mu intuicji i przenikliwości Eda, to jednak we wszystkim, co wiąże się ze mną, wykazuje wyjątkowe wyczucie. Byłoby to zresztą coś podstępnego, ukradkowego i oszukańczego, a także taniego i podłego – przynajmniej dla mnie. Nie chcę, żeby tak to wyglądało. Zwłaszcza z Edem.

Usiadła, uklepała jeszcze raz poduszki, a potem położyła się i zamknęła oczy. Pomyśl o tym, nakazała sobie. Pomyśl, jak cudownie będzie, kiedy w końcu tam dotrzesz. Będzie Tam, gdzie będziesz mogła żyć już na zawsze – z Edem, bez winy, podstępów, kłamstw, cierpienia; z całkowicie czystym sumieniem, z pewnością, że postąpiłaś słusznie.

Kiedy wreszcie zmorzył ją sen, miała uśmiech na ustach.

10

Niedziela była następnym pięknym dniem. Po późnym śniadaniu czytano i przeglądano bez pośpiechu gazety, potem nastąpił spacer i drinki na tarasie przed lunchem, po którym James poszedł grać w tenisa, a Sara, wspomniawszy coś o kwiatach do domu, oddaliła się uzbrojona w nożyce ogrodowe i koszyk. Ed i Giles zostali sami na tarasie.

I co teraz? – pomyślał Ed. Ciekawe, czy dostanę wreszcie wezwanie na rozmowę.

– Czy pokrażymy jeszcze wokół tematu, czy też skoczmy od razu na głęboką wodę? – spytał bez wstępów.

Giles nie wydawał się zaskoczony.

– Jesteś lepszym pływakiem ode mnie – stwierdził z bladym uśmiechem.

– Być może, ale za to ty grasz lepiej w szachy.

Giles milczał przez chwilę.

– To prawda – przyznał wreszcie. – Musimy porozmawiać. O Sarze.

– Czy dlatego się tutaj znajduję?

– Niezupełnie. Jesteś dobrym kompanem, Ed, i miło cię mieć w pobliżu.

– Chciałbyś jednak wiedzieć, dlaczego się tu kręcę – o to chodzi? I o to, czy moje zamiary są całkowicie uczciwe?

– Wiem, jakie są twoje zamiary – odparł Giles niewzruszony.

– Kiedy tu przyjechałem, nie miałem żadnych zamiarów; wróciłem skulony, ze schowanym pod siebie ogonem.

Giles uśmiechnął się.

– Być może. Jakikolwiek miałeś powody, faktem jest, że wróciłeś.

– A ty wolałbyś, żeby tak się nie stało?

– A ja wolałbym, żebyś nie wrócił.

– W porządku, rozumiem – zgodził się Ed. – Jednak wróciłem i pozostanę tu – niekoniecznie w Luttrell Park, ale w tym kraju. Przykro mi, nie możesz cofnąć ani zegara, ani mnie.

– Jeśli chodzi o czas, jestem czymś w rodzaju eksperta – obwieścił Giles ze spokojem.

– Ja także mam za sobą swoje dwadzieścia lat.

– Myślałem raczej w kategoriach przyszłości niż przeszłości – poinformował Giles.

– Moją przyszłością jest Sara – oznajmił Ed stanowczo. – Jest także moją przeszłością i moją teraźniejszością. W końcu to ona stanowi powód, dla którego wróciłem.

– Ten fakt nie umknął mojej uwadze – odpowiedział nadal spokojnie Giles.

– Mojej uwadze, a raczej mojemu wzrokowi umknęło mnóstwo rzeczy – zapewnił go Ed.

– Ale teraz masz je przed oczami?

– W każdym razie wiem, gdzie się znajdują. – Ton Eda był chłodny.

Tak, pomyślał Giles, one czekają na ciebie. Nagle dwoistość jego uczuć względem Eda sprawiła, że poczuł się rozdarty na pół. Nie znosił tego człowieka, jego swobody, jego władzy i mocy; zazdrościł mu wspaniałej prezencji – a jednocześnie docenił w nim szczerść, otwartość, uczciwość, natychmiastowe rozpoznanie w sytuacji, brak skłonności do uników.

– W każdym razie cieszę się... to mogę przynajmniej stwierdzić... że w końcu się poznaliśmy – oświadczył.

– Ja również snułem wiele domysłów na twój temat – odparł nadal chłodno Ed. Dodał: – Ale wróciłem raczej po to, żeby przyjrzeć się sobie – uważnie i krytycznie. Tylko że od razu wydarzyło się tak wiele, że wciąż jeszcze nie miałem okazji tego zrobić. Trafiała mi się jedna niespodzianka po drugiej. Nie wiem, czy nie największą spośród nich – wyznał szczerze – okazałeś się ty.

– Nie myślałeś, że Sara mi o wszystkim powie?

– Nie myślałem ani nie wiedziałem praktycznie niczego. Sądziłem, że wyrwała mnie raz na zawsze ze swojego życia, jak kartkę z kalendarza, którą zwija się w kulkę i ciska do śmieci. Sądziłem, że zaczęła od nowej, czystej kartki – na której nie było może dni zaznaczonych na czerwono, ale na pewno nie było także dni skreślonych.

– Przecież musiałeś chyba wiedzieć, jaka jest Sara.

– Wiedziałem dość, żeby mieć pewność, że kiedy coś mówi, to poważnie. Zerwała ze mną, więc byłem przekonany, że pogrzebała mnie na dobre. No i skąd mogłem wiedzieć o Jamesie?

– Nawet bez Jamesa – powiedział Giles bezbarwnym tonem, a Ed zrozumiał dokładnie, o co mu chodzi. – Kiedy zobaczyłem Sarę, wiedziałem, że coś się z nią stało. Zmieniła się. Dorosła, jeśli wolisz. Wyglądała jak śmierć na chorągwi i w pierwszej chwili przypisałem to mojemu wypadkowi. Ale chodziło, rzecz ja-

sna, o ciebie. Myślała, że nie żyjesz. Wydaje mi się, że to, co się stało ze mną, ledwie do niej dotarło. Coś się zdarzyło i przyjęła to do wiadomości, ale zachowałyby się inaczej, gdybyś nigdy nie stanął na jej drodze. – Urwał na moment. – Od tamtej pory żyłem z tobą, z twoją obecnością.

– Za to ja żyłem bez Sary, bez jej obecności.

– Ja także – przytaknął Giles.

Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli prosto na siebie i w jedynym widzącym oku Gilesa zabłysła czysta, zimna nienawiść. Trwało to tylko moment, ale Ed zauważył ją, zidentyfikował i zapisał w pamięci.

– Człubym to samo – oświadczył równie spokojnie jak Giles. – Sara jest między nami więzią, ale także barierą. Łączy nas i zarazem dzieli. Obaj jej chcemy i obaj ją mamy – choć nie w takim sensie, w jakim byśmy pragnęli.

– Ale ty ją będziesz wkrótce miał również i w tym sensie – zauważył Giles i w jego głosie pierwszy raz dało się słyszeć nieskrywaną pasję. – To tylko kwestia czasu.

– Ty używałeś mojego czasu przez dwadzieścia lat – oznajmił Ed bez emocji.

– No i w ten sposób – podsumował Giles – dowiedzieliśmy się wreszcie, na czym stoimy.

– Ale gdybyśmy zrobili krok do tyłu, moglibyśmy spojrzeć na wszystko z perspektywy. Chyba o to ci chodziło, prawda?

– Może i tak – przyznał Giles po chwili.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego wróciłem. Dobrze, powiem ci. Byłem zmęczony sposobem, w jaki nie tyle żyłem, co egzystowałem. Chciałem nadać jakiś sens mojemu życiu, chciałem mieć kogoś, z kim mógłbym mieszkać, kim mógłbym się opiekować i kogo mógłbym kochać; kogoś, kto także opiekowałby się mną i kto by mnie kochał. Ale żeby to było możliwe, musiałem najpierw dojść do porozumienia z Sarą... lub pozbyć się jej na dobre. Zawsze stawała pomiędzy mną a każdą kobietą, z którą próbowałem coś sobie ułożyć... myślałem, że ten powrót mnie wyzwoli, że z jego pomocą zdołam się oswobodzić. Tylko że nie osiągnąłem tego, co zamierzałem. – Zamilkł na chwilę. – Wiesz dobrze, co się stało. Możesz mi wierzyć, byłem równie zdziwiony, jak ty.

Giles milczał, myśląc o tym, co powiedział Ed. Potęga Eda, jego władza nad Sarą rozciągała się nad pustą przestrzenią; nic tam nigdy nie urośnie, miejsce jest martwe, jałowe. Jego władza nie była więc absolutna. Sara stanowiła jej słaby punkt. Postawił na nią wszystko i przegrał. Jak sam stwierdził, ona go zniszczyła. Sara była jedyną osobą górującą nad Edem Hardinem; była jego piętą Achillesa. Moją także, dodał w myśli Giles.

– Wszystko zaczyna się od Sary i na niej kończy – ciągnął tymczasem Ed. – Zdaje się, że obaj mamy w pewnym sensie nóż na gardle.

– Tak – zgodził się Giles – z jedną różnicą. To ty ją trzymasz w żelaznym uścisku.

– Kwestia przypadku. Wszystko zależy od rozdania, a mnie dostała się akurat dobra karta – oznajmił Ed bezlitośnie. – Dwadzieścia jeden lat temu przypa-
dły mi same blotki.

– Co w żaden sposób nie wpłynęło na uczucia Sary do ciebie.

– Może i nie, ale zmieniło moje życie. Odtąd wy żyliście w waszym małym
zakątku, a ja w moim.

– Czyli – skonstatował Giles wolno – chyba nie ma wyjścia z tej sytuacji.
Nasz los wydaje się przesądzony.

Ed wstał raptownie, zbliżył się do balustrady i znieruchomiał wpatrzony
w ogród.

– Los, Przeznaczenie, można to różnie nazwać. Jesteśmy ze sobą związani
wszyscy troje, a ja nie jestem Houdinim. – Odwrócił się do Gilesa szybkim ru-
chem, pytając prosto z mostu: – Czego ode mnie oczekujesz? Przeprasiny? Doci-
śnięcia śruby? Mowy pożegnalnej? Nie zamierzam sprezentować ci żadnej z tych
rzeczy. Stało się to, co się stało. Los tak chciał i wciągnął nas obu w swoją grę.
Jedyne światło, jakie rozjaśniało mroki moich Ciemnych Lat, to płomień miłości
do Sary, który niosłem ze sobą tak długo, aż się poparzyłem. Obaj przeszliśmy
przez ogień – ty dosłownie, fizycznie, ja psychicznie i duchowo. Mam tyle samo
blizn co ty. Więc zgódźmy się, że będziemy się wzajemnie nienawidzić... i oby
ten, który przegra, umiał znieść porażkę z uśmiechem.

– Robię, co mogę – oznajmił Giles takim tonem, jakby przemawiał komuś
do rozsądku.

– W takim razie to następna rzecz, która nas łączy. – Ed stał z nieprzejedna-
nym wyrazem twarzy, wpatrując się w Gilesa. – Ale tobie chodzi o mnie, praw-
da? – spytał. – Chodzi o coś związanego ze mną.

– Jakże by mogło być inaczej? – odparł Giles, zły i rozgoryczony. – Wszyst-
ko rozbija się o to, czym jesteś, kim jesteś i jaki jesteś! Nie mogę z tobą konku-
rować, Ed! Nigdy nie mogłem, nawet przed wypadkiem. Więc siłą rzeczy mam
ci za złe, że wywierasz takie wrażenie na Sarze, choć sam również odczuwam
twój wpływ.

– Jestem, jaki jestem.

– Czyli po prostu nie mam wyboru, prawda?

O nie, na to mnie nie złapiesz, pomyślał Ed. Nie jestem Sarą. Cierpiętnicza
akceptacja wyroków losu zupełnie na mnie nie działa.

– Nie chcę od ciebie żadnych forów – powiedział uszczypliwie. – Nie po-
trebuję ich.

– Bo i po cóż ci one? I tak masz to, co się najbardziej liczy – stwierdził
Giles, wypuszczając strzałę w stronę przeciwnika; zaraz jednak zmienił ton, do-
dając z nutą pokory: – Wybacz mi, zalała mnie fala litości do siebie samego.

– Przez mnie także się przetoczyła – odparł Ed rzeczowo. – Przez lata nie
piłem niczego innego.

Uśmiech Gilesa nadal krył w sobie jad.

– Coś podobnego! – zauważył. – Jeśli doszukamy się następnych punktów wspólnych, powinniśmy związać się na resztę życia... Jaka szkoda – dorzucił z żalem – że to jedyne, co nas łączy, zarazem nas dzieli. Myślę, że w innym przypadku moglibyśmy zostać dobrymi przyjaciółmi.

– Wolę, żebyśmy byli uczciwymi wrogami.

– Przez lata myślałem o tobie w ten sposób – zapewnił go Giles.

– Posłuchaj – powiedział wprost Ed – gdyby Sara była inną kobietą, zdobyłbym ją lata temu. Tylko że wówczas bym jej nie chciał. A że ona jest taka, jaka jest, więc masz ją ty. Sara się zmieniła, ale nie pod tym względem. Nadal płaci długi, a według mnie, te, które zaciągnęła u ciebie, spłaciła tysiącrotnie. Nasze pokolenie, jak sam wiesz, w dalszym ciągu wierzy, że należy takie długi spłacać. Wierzy także w zadośćuczynienie, w monogamię i w to, że należy posyłać dzieci do szkoły niedzielnej. Nie dalej jak wczoraj wieczorem myślałem, że cała nasza historia wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby się zdarzyła dzisiaj.

Giles przytaknął.

– Bardzo słusznie – stwierdził, ale jego myśli podążały wyraźnie w innym kierunku. Po chwili dodał: – Cieszę się, że doszło do tej rozmowy. Myślę, że wyjaśniła naszą sytuację.

– Ale żadnych innych korzyści nie przyniosła. Nie spiesz się z wyciąganiem jakichś nowych wniosków.

– Te wnioski, które wyciągnąłem, zaprowadzą mnie tylko tam, dokąd zechcę pójść – zapewnił Giles; westchnął, a widząc, że Ed patrzy na niego zagadkowo, spytał takim tonem, jakby na dobrą sprawę nie oczekiwał odpowiedzi: – Właściwie nie ma żadnego rozwiązania, prawda?

– Rozwiązania czego? Jak brzmi twoje pytanie?

– Chodzi o nas. O tę... tę sytuację.

– Z całym szacunkiem dla twojej osoby pozwolę sobie zauważyć, że to mnie Sara teraz potrzebuje, niemal tak samo, jak ja jej. A dla mnie ona jest tą osobą, która się naprawdę liczy. Ponadto jest jeszcze kwestia miłości Sary do ciebie i twojej do Sary; możesz tasować i rozkładać karty ile razy zechcesz, ten pasjans po prostu nie może wyjść tak, żeby zadowolić wszystkich. Ale to nie terazniejszość tak cię gnębi, tylko przyszłość; chyba się nie mylę?

– Masz przypuszczalnie na myśli mój brak przyszłości.

– To jeszcze jedna sprawa, o której się dowiedziałem dopiero, kiedy wróciłem, i która przecież nie może być nowiną dla ciebie.

– Nie, nie... tylko nie wyobrażałem sobie nigdy, rozumiesz, że przyszłość Sary będzie związana z tobą. I to, mój drogi Edzie, jest dla mnie trudne do przeżycia.

– Chcesz powiedzieć, że powtórne zamążpójście Sary nie przyszło ci nigdy do głowy? Ona, jak wiesz, jeszcze nie stoi nad grobem. Czy też może w tym względzie Luttrellowie są jak rodzina królewska?

– Naturalnie, że nie – odparł Giles trzeźwo. – Ale chyba przyznasz, że ze wszystkich mężczyzn akurat ty najmniej mógłbyś się spodziewać z mojej strony aprobaty jako przyszły mąż Sary.

– Niby dlaczego? Kocham ją i byłbym dla niej dobry w każdym sensie. W dodatku James jest moim synem. To wszystko wiąże się bezpośrednio z wypadkami sprzed dwudziestu jeden lat, prawda? Wszystko, co się teraz dzieje, ma korzenie w tamtym czasie. – Ed wzruszył ramionami. – Jak powiedziałem Sarze, jesteśmy własną przeszłością. To ona nas kształtuje i wpływa na to, jacy się stajemy. Nie możemy od tego uciec, więc pozostaje nam tylko pogodzić się z faktem.

– I tu – podchwycił Giles – leży sedno sprawy. Nie potrafię się z tym pogodzić. Nie dlatego, żebym nie próbował. A co do wyjazdu, masz oczywiście rację; niczego by to nie zmieniło. Można by mówić o jakiejś różnicy, gdybyś nigdy tu nie wrócił, a na to jest już naturalnie za późno.

– Jest za późno na wiele rzeczy – stwierdził Ed i dorzucił stanowczo: – To, co sobie powiedzieliśmy, nie ma znaczenia. Nasza sytuacja nie uległa zmianie.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał, zajęty własnymi myślami. Układy sprzed lat są dziś dokładnie takie same, pomyślał Giles i powiedział rzeczowo:

– Chyba nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia?

– Mnie nic nie przychodzi na myśl – odparł Ed skwapliwie.

– Byłeś ze mną szczerzy. Cenię to sobie. W gruncie rzeczy cenię sobie daleko więcej, niż zapewne przypuszczasz.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Wiem – przyznał Ed spokojnie.

– Robię, co muszę – oświadczył Giles bez emocji.

– Podobnie jak ja robię, co mogę – odpowiedział Ed.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy; potem Giles kiwnął głową, jakby potwierdzał, że dotarła do niego jakaś informacja. Przyszło mu do głowy, że Ed nie zostawił mu ani miejsca, ani czasu na jakikolwiek manewr.

– Myślę, że pójde teraz na górę odpocząć – powiedział. – Zwykle robię to wcześniej. Zobaczmy się jeszcze, zanim wyjedziesz, Ed. Czy byłbyś taki dobry zadzwonić na Batesa...?

Po odejściu Gilesa, Ed stał przez chwilę wpatrzony w widok za oknem. Trudno mu się było odprężyć – nie żeby go nadal nurtował niepokój, ale czuł się dziwnie niepewny, niezdecydowany. Postanowił się przejść. Kłębiące się w jego głowie myśli nie pozwalały mu usiąść spokojnie. Nie widział nigdzie Sary, co mu nawet odpowiadało; jej obecność wciąż jeszcze mąciła mu jasność widzenia. Był z nią tak rzadko, że nie potrafił się nią nie przejmować.

Trawa była gęsta i sprężysta, popołudnie pochmurne, ale dość ciepłe. Szedł bez celu, zadowolony z ruchu, a jego myśli skupione były na Gilesie Luttrellu.

Święty czy diabeł? – myślał. Jeśli to, co robi, spowodowane jest pragnieniem zemsty, to musi być ona subtelna i przebiegła; zabijanie łagodnością i dobrocią? Czy też po prostu ja chciałbym go widzieć w takim świetle? Bo wiem z niezachwianą pewnością, że sam nie umiałbym być taki tolerancyjny i wyrozumiały, wszechwybaczący i bezinteresowny. A może to zachowanie jest raczej bezwiedne niż rozmyślnie? Mimo wszystko takie gorliwe i skrupulatne podsycanie płomieni sumienia Sary, by nie przestawały się palić, zakrawa na isticie sadystyczny wymysł. Skąd mam wiedzieć, czy nie podkopywał miłości Sary do mnie od momentu, kiedy mu o niej opowiedziała? Jedno jest pewne: jeśli pracował nad tym, żeby tę miłość osłabić i zniweczyć, nie udało mu się to ani trochę. A osoba Jamesa ma w tym niemały udział. Przypuszczalnie właśnie z tego powodu powiadomił mnie tak szybko o istnieniu syna. Możliwe, że z jego strony była to nie tyle szczerość, ile przekazanie pałeczki. Szczęściem dla mnie, a nieszczęściem dla niego, dzięki Jamesowi miłość Sary nie osłabła ani na jotę. I tutaj Giles będzie musiał stąpać bardzo ostrożnie, ponieważ Sara jako matka jest nieustrascona. Niech no tylko pojawi się jakieś zagrożenie – choćby nawet ze strony Gilesa – a w ruch pójdą natychmiast zęby i pazury. I to wcale nie tylko dlatego, że on jest mój, dodał w myśli Ed. Czy wszystkie gładkie słowa Gilesa miały zapewnić Sarze gładkie zesłanie się prosto w przepaść? A ta pozorna akceptacja mojej osoby – czy zrobił to, bo zdaje sobie sprawę, że w ten sposób może zachować swoją moc nad Sarą, czy też jest to zabieg prowadzący do uczynienia mnie równie bezsilnym, jak on sam? Mógł to sobie zaplanować, myśląc: „Zrób z Eda przyjaciela rodziny; pokaż Sarze, że jej ufasz; tym sposobem zacieśniasz sznur przepasujący jej szatę pokutną i dorzucasz jej na plecy następny wór wypełniony pokorną wdzięcznością”. Czy Giles jest istotnie bezinteresowny, czy też może to mistrz w oplątywaniu ludzi sieciami, sporządzonymi z nici cienkich i wiotkich jak pajęczyna, a mocnych jak stalowe druty? Co do jednego Ed nie miał najmniejszych wątpliwości: jeśli nie uratuje Sary siłą, ona udusi się niechybnie w gęstej chmurze tworzącej skuteczną zasłonę dymną „kochanego, szlachetnego, tragicznego, cierpiącego Gilesa”. Takim czy innym sposobem muszę ją z tego wydostać, myślał. Tworzymy wspaniałą parę, Sara i ja; natomiast jej sumienie, które zjawia się na trzeciego, jest uciążliwym intruzem. Czy możemy sobie urządzić przyszłe życie, jeśli to sumienie powędruje wszędzie za nami? Nie tylko będzie nas obciążało, ale w końcu nas złamie. Nie, pomyślał. Żadne z nas by tego nie przeżyło. To znaczy ja przeżyję, ale ona nie.

Spacer przywiódł go nieuchronnie do miejsca, do którego, jak podejrzewał, będzie zawsze dochodził. Może, myślał, powinienem przybić na tym pawilonie tabliczkę, na wzór tych, które umieszczają na domach w Londynie. „Ed Hardin kochał tu w latach 1943-1966”.

Kiedy wytropiła go Sara, siedział na stopniach, nadal zatopiony w myślach. Gdy wróciła do domu, Giles zdążył udać się już na górę; zastała go tam czytającego. Uśmiechnął się do niej, a na pytanie, czy wszystko jest w porządku, odpowiedział:

– Tak, naturalnie, czemu miałyby być inaczej?

Nie wypytywała go więcej. Ale Ed z pewnością jej powie, więc wybrała się go poszukać. Wiedziała, gdzie go zastanie; najtrudniej pozbyć się starych nawyków, pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Siedział na schodkach prowadzących do pawilonu w swojej zwykłej pozie, ze złączonymi dłońmi, pochylony do przodu.

– Wiedziałaś – oznajmiła z uśmiechem, patrząc na niego z góry. – Znajdzie się miejsce dla drugiej osoby?

– Zawsze jest miejsce dla ciebie – stwierdził, odpowiadając jej uśmiechem.

Otoczył ją ramieniem, a ona skuliła się, podciągając nogi pod siebie.

– Właśnie sobie myślałem – powiedział – że powinniśmy otoczyć to miejsce kordonem i przyczepić tabliczkę z napisem „Ed Hardin kochał tu w latach 1943-1966”.

– Nie uważasz, że powinno być napisane: „Ed Hardin i Sara kochali się tutaj...” – zapytała z udanym wyrzutem.

– Tutaj i tam, i wszędzie – odparł, całując ją lekko we włosy.

Czuła ciepło i siłę obejmującego ją ramienia; pachniał czymś świeżym i cytrynowym. Oparła się o niego wdychając z ukontentowaniem.

– No więc? – spytała swobodnie. – Co słytać? Jest coś nowego?

– Ja jestem nowy – odpowiedział. – Nie zauważyłaś? Urodziłem się ponownie.

– A poza tym? – chciała wiedzieć.

– Nic więcej. Dlaczego pytasz?

– Przecież wiesz. Czy ty i Giles... pogadaliście sobie?

– Owszem, rozmawialiśmy.

– Czy mogę spytać, o czym?

– Zgaduj. Do trzech razy sztuka – powiedział z poważną miną.

Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego?

– Czy masz na myśli „dlaczego” nieangielsko brutalne i bezpośrednie, czy też „dlaczego”, które stawia się na początku pytania?

– Mam na myśli zwyczajne „dlaczego” – wyjaśniła tonem, który domagał się rzeczowej odpowiedzi.

– Może Giles chciał wiedzieć, czy mam uczciwe zamiary – stwierdził Ed wzruszając ramionami.

– To po prostu śmieszne – odparła niecierpliwie. – Giles doskonale o tym wie.

– Nie jest to wszystko, co wie – zauważył Ed takim tonem, że spojrzała na niego bacznie, ale mówił dalej: – Tak czy owak, stan rzeczy pozostaje niezmienny. Zgodziliśmy się, że się różnimy; nie potrafimy patrzeć na świat pod tym samym kątem, co było do przewidzenia. W rezultacie każdy widzi jedynie to, co chce widzieć.

- I cóż to oznacza? – Zmarszczyła brwi.
- Ja widzę siebie jako człowieka, który niebawem dostanie to, co jego; on widzi we mnie człowieka, który niebawem dostanie to, co było jego; ja widzę w nim człowieka, który kiedyś pozbawił mnie miejsca; on widzi we mnie człowieka, który kiedyś zajął jego miejsce.
- Naprawdę o tym mówiliście? – W jej pojęciu tego rodzaju rozważania nie miały żadnego znaczenia.
- Z pozoru rozmowa toczyła się wokół ciebie, mnie, nas – w przeszłości, terażniejszości i przyszłości. Ale faktycznie mówiliśmy o mnie: dlaczego ja, dlaczego wtedy, dlaczego teraz, dlaczego cokolwiek.
- Przecież on wie o wszystkim – powiedziała Sara próbując doszukać się w tym sensu. – Sama mu powiedziałam.
- Może chciał się dowiedzieć na własną rękę.
- Rozważała to przez chwilę zachmurzona, jakby niezadowolona, że Giles mógł nie zawierzyć jej słowom. Wreszcie spytała:
- Jak mogliście prowadzić rozmowę na temat przyszłości, skoro on jej nie ma?
- Nie ponoszę za to odpowiedzialności. A może jest to następna rzecz, którą zamierzasz zaliczyć do długiego szeregu spraw, za jakie się obwiniasz?
- Wlepiła w niego oczy.
- Czy nie zdarza ci się nigdy patrzeć na cokolwiek inaczej niż z punktu widzenia Gilesa Luttrella? – zapytał. – A co na przykład z moim punktem widzenia? Pośród mnóstwa innych rzeczy rzuconych na stos ofiarny, który tak gorliwie zapaliłaś, znalazłem się tam również ja, przypominasz sobie? Dlaczego więc czujesz się zawsze winna wyłącznie wobec Gilesa?
- To nieprawda – zaprzeczyła natychmiast, przerażona. – Jedno z pierwszych pytań, jakie ci zadałam tamtej soboty, to czy mi wybaczyłeś!
- A ja stwierdziłem, że tak i uznaliśmy sprawę za zakończoną. Dlaczego nie możesz zrobić tego samego w stosunku do Gilesa? Dlaczego musisz nadal poświęcać się jak pokutnica za jakąś nieistniejącą winę? Idziesz w złym kierunku, Saro. Za zakrętem znajdziesz się na najlepszej drodze do poświęcenia mnie. Więc jeśli masz zamiar nią iść, rozstańmy się na zakręcie. Ja się tam nie wybieram.
- Zaszokowana, oniemiała, niezdolna się ruszyć, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie mogąc uwierzyć, że odezwał się do niej w podobny sposób, ale on był niewzruszony.
- Jestem w stanie zrozumieć, że czułaś się winna wtedy, ale to było ponad dwadzieścia lat temu, Saro! Jako zadośćuczynienie dawałaś z siebie i dawałaś, płaciłaś i płaciłaś, i absolutnie nie potrafię pojąć, jak możesz być dłużna coś więcej Gilesowi Luttrellowi. Oddałaś mu wszystko, i to z nawiązką! Wiem, że wzięłaś na siebie prowadzenie ksiąg, ale trzymasz się jakiejś piekielnej metody: im więcej płacisz, tym więcej jesteś dłużna. Nie ma w tym żadnej logiki, jakbyś na to

nie patrzyła. Ten system płacenia robi z Gilesa Luttrella największego lichwiarza w historii. Ta część ciebie, którą mu dajesz, to nie dosyć. On chce mieć każdą cząsteczkę twojej osoby!

Zerwała się błyskawicznie i napadła na niego gwałtownie:

– To kłamstwo!

Ale nagle ogarnęła ją trwoga.

– Dobrze, przypuśćmy! Więc jeśli nie Giles, to kto lub co sprawia, że czujesz się tak piekielnie winna? Powiedz mi, bo ja sam tego nie zrozumie!

Nie miała na to odpowiedzi, wobec czego zaatakowała go, uznając to za jedyny możliwy sposób obrony:

– Giles był dla mnie absolutnie cudowny! Jestem mu winna więcej niż kiedykolwiek zdołam zwrócić.

– On ci to tylko wmawia. Prawda wygląda tak, że zwróciłaś mu wszystko z odsetkami w wysokości tysiąca procent – a częścią tej spłaty byłem ja sam!

Odkoczyła od niego tak, by go nie dotykać. Widział, jak drży, wstrząśnięta i znieważona. Na moment ogarnęła ją taka furia, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. Ale w jej oczach była też dziwna trwoga i wiedział, że to, co mówił, dotarło do jej świadomości i wryło się w nią głęboko.

– To kłamstwo!

Zbladła z wściekłości.

– Wcale nie. Pomyśl chwilę i zrozumiesz, że to prawda.

– Prawdą jest jedynie to, że jesteś zazdrosny! Nie możesz znieść myśli, że mogłabym czuć cokolwiek do Gilesa – że mogłabym go kochać.

– Wiem, że go kochasz. Jak ofiarę.

Tym razem zatoczyła się, jakby ją uderzył.

– A przecież on przestał być ofiarą bardzo dawno temu, Saro. W tym samym czasie zrobił mały zabieg odwrócenia ról. To ty jesteś ofiarą. Powiedziałem ci już raz, że nie przemawiają do mnie poświęcenia. Niedobrze mi się robi, kiedy widzę cię w szacie pokutnej z głową posypaną popiołem. Nie jest ci w tym stroju do twarzy, i mnie również nie!

Chwiała się na nogach. Widział po jej oczach, że kręci jej się w głowie. Jej wewnętrzny komputer oszalał; wszystkie tak starannie ułożone przez Gilesa odpowiedzi na podchwytliwe pytania zostały wymazane, kiedy Ed zaczął stukać w niewłaściwe klawisze, po czym nastąpił gwałtowny transfer szumu informacyjnego do mózgu. Potrząsnęła gwałtownie głową, jakby miało jej to rozjaśnić myśli; rozpaczliwie chciała wyrzucić z pamięci to, co powiedział Ed, zastanawiając się z desperacją, dlaczego nie umie tego zrobić. Jej pierwszym, instynktownym odruchem była ucieczka, ale ramię Eda przytrzymało ją skutecznie, tak że musiała zostać i słuchać. Trwała sztywna i nieugięta w kręgu tego ramienia, niczym drewniana figura o nieruchomej twarzy i pustych oczach posągu, ale on trzymał mocno; nie miała więc wyboru, zmuszona siedzieć i słuchać.

– Pomyśl o tym – polecił. – Ja to zrobiłem. Fakty mogą być trudne do przełknięcia, ale choćbyś nie wiem ile słodziła, nie poprawi im to smaku. Jeśli Giles jest istotnie tak wielkodusznie przebaczący i tak nieskończenie wyrozumiały, dlaczego nadal czujesz, że musisz mu coś wynagrodzić? I co wynagrodzić? Przez ile czasu? Do końca życia? Poczucie winy spętało cię tak doszczętnie, że potrzeba by noża, żebyś mogła przeciąć węzły.

– Więc uważasz, że on mnie w to uwikłał? – spytała, a sarkazm w jej tonie walczył o lepsze z pogardą.

– Jestem zupełnie pewien, że robił to i nadal robi.

– Ciekawe, skąd bierzesz tę swoją pewność.

– Przede wszystkim mam oczy. No i uszy; a jeśli chodzi o twoją osobę, mam również tak zwany szósty zmysł.

– I co takiego mówi ci ten szósty zmysł?

– Że on boi się ciebie utracić, a poczucie winy jest jedynym dostępnym narzędziem, którym może się posłużyć, żeby utrzymać swoją władzę nad tobą.

– Giles wie, że nigdy go nie opuszczę, nigdy! Wystarczająco często go o tym zapewniałam.

– Twoje zapewnienia nie muszą być jednoznaczne z jego przekonaniem. A co do opuszczenia go, no cóż... zrobiłaś to przed laty. Nie – opanował jej gniewny protest. – Kiedy porzuciłaś go dla mnie, zrobiłaś to myślą, mową i uczynkiem. Natomiast twój powrót odbył się wyłącznie w sferze uczynku. Emocjonalnie byłaś nadal związana ze mną. James stanowił swoiste przypieczerowanie tego faktu.

Poczuł wyraźnie nagły dreszcz, który nią wstrząsnął. Potem już siedziała sztywno, bez ruchu, tak długo, aż zaczął podejrzewać, że szok pozbawił ją mowy. W końcu odezwała się martwym głosem:

– O mój Boże.

Nie była już sztywna. Skurczyła się, opadła ociężale, bez życia. Powiedział łagodnie:

– Nigdy nie patrzyłaś na nic pod tym kątem, prawda? Bo też nie leżało to w interesie Gilesa. Widziałaś jedynie to, co on chciał, żebyś widziała, podobnie jak czułaś tylko to, co sprawił, żebyś czuła. Nie ma żadnej winy, Saro. Już dawno. Zwróciłaś swój dług tysiącrotnie za pomocą tego wszystkiego, co dla niego zrobiłaś. To on podtrzymuje iluzję, że jest inaczej; sądzi, że gdybyś uznała ten swój dług za spłacony, mogłabyś się nie czuć zobowiązana do pozostawiania z nim.

– Ale przecież zostałabym, na pewno. Zapewniałam go o tym tyle razy.

Była teraz żałosna, udręczona.

– On nigdy w to do końca nie wierzył. Nie ma poczucia bezpieczeństwa, Saro. Uważa, że nie ma w nim niczego, co byś chciała mieć. Jest zazdrosny, a zazdrość rodzi się, kiedy brak poczucia bezpieczeństwa.

– O Boże – powtórzyła, a w jej głosie było tyle cierpienia, że obejmujące ją ramię zacieśniło uścisk. – Nie miałam pojęcia – dodała.

- Bo wcale nie miałaś się w tym orientować.
- Ale powinnam była! Powinnam była to dostrzec i zrozumieć...

Przytulił ją mocniej, a ona ukryła twarz na jego ramieniu. Jej głos dobiegł do niego stłumiony.

– Więc to wszystko było na nic – powiedziała głucho.

– Nie, nieprawda. Byłaś dla niego kimś bardzo cennym. Potrzebował cię, a ty pozostawałaś przy nim. Dałaś mu wszystko, co mogłaś, a on korzystał z tego, co mu ofiarowałaś. Zrobiłaś dla niego ogromnie dużo, Saro. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że było inaczej.

– Więc co mam teraz zrobić? – spytała po chwili bezradnie, w rozpacz. – Co robić?

– Nic. Jedyne, co mogłabyś zrobić, to coś, czego nie potrafisz: przestać mnie kochać.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Tego nie zrobię. Nigdy nie umiałam tego osiągnąć.

Wzruszył ramionami.

– Więc sama widzisz. – Objął ją i przyciągnął blisko. – Nie możemy niczego zmienić, ale możemy przynajmniej nazywać po imieniu rzeczy, z którymi mamy do czynienia. Nie musisz dźwigać tego niepotrzebnego brzemienia winy, rozumiesz? Jedyne wyjście, to postępować tak, jak postępowałaś dotychczas, ale wiedząc dokładnie, co robisz i dlaczego. Giles nie ma przed sobą wiele czasu, wiemy o tym wszyscy troje. Najlepsze, co możesz zrobić, jest to, co zawsze zamierzałaś – pozostać przy nim i zrobić wszystko, co się da. Nie wolno ci tylko uważać, że jedyną metodą, żeby mu było łatwiej odejść, jest odejść razem z nim. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Kiwnęła głową.

– W takim razie rób w dalszym ciągu, co możesz, tak długo, jak możesz, tylko już bez poczucia winy. Tak czy inaczej nie istnieje żadna wina. On ją sfabrykował w taki sposób, żebyś myślała, że jest twoja.

Znów siedziała jakiś czas w milczeniu, aż w końcu, niechętnie, przyznała mu słuszność, mówiąc:

– Tak. Rozumiem. – W jej uśmiechu zauważył gorycz. – Masz, jak zwykle, rację. Mądry, mądry Ed...

– Nie, niespecjalnie... z wyjątkiem wszystkiego, co dotyczy ciebie.

– Ach, Ed – westchnęła ze smutkiem – byłam taka głupia.

– Każdy się czasem okazuje głupcem.

– Ale zdaje się, że ja robię głupstwa nieustannie. Jeśli mam dwie rzeczy do wyboru, bez wahania chwytam za tę gorszą.

– Czy ja wiem... w końcu chwyciłaś się za mnie.

– To była zupełnie inna sprawa... w tym wypadku nie miałam właściwie wyboru. Po prostu nic nie mogłam na to poradzić. Teraz, kiedy to rozumiem, jest mi naprawdę strasznie przykro za to, co ci zrobiłam. Przepraszam, Ed. Byłam najokropniejszym tchórzem pod słońcem.

– A ja naciskałem cię zbyt mocno... i na swój sposób też byłem tchórzem. Pamiętasz? – Powiedziałem ci, że nawet gdyby wszystko miało się skończyć w tamtej chwili, zawsze będę wdzięczny za to, że cię znałem i miałem choć przez moment. Tak, wspaniale było wygłosić coś podobnego, ale znacznie gorzej, kiedy do tego rzeczywiście doszło. Byłem taki „wdzięczny”, że nienawidziłem cię za to, co mi uczyniłaś, a do tego śmiertelnie przerażony, bo nie wiedziałem, co robić. Widzisz, na tym polega cały problem z miłością: nikt nigdy nie jest stuprocentowo pewny osoby, którą kocha. Jedyne, co wiem na pewno, to że cię kocham – bardziej, niż kiedykolwiek kogokolwiek kochałem; że pragnę cię i potrzebuję, a jeżeli będę mógł cię mieć dla siebie, to będzie najwspanialsza rzecz, jaka mi się trafiła od chwili, kiedy cię straciłem.

– Ja wiem, że w ciągu tych dziesięciu miesięcy, kiedy byliśmy razem, czułam się bardziej poślubiona tobie, niż kiedykolwiek Gilesowi. Z nim związek był legalny, ale z tobą wiążący... i on o tym zawsze wiedział.

Ed westchnął głęboko i z ulgą.

– Wreszcie zaczynasz rozumieć – stwierdził.

– Tak... wiele rzeczy.

Miał ją właśnie pocałować, kiedy posłyszeli wołanie. Odwrócili się i zobaczyli Batesa, który zbiegał ze wzgórze wymachując rękami. Sara wykrzyknęła natychmiast:

– Giles!

Jednym ruchem uwolniła się z ramion Eda i rzuciła naprzód biegiem. Bates zatrzymał się i czekał na nią przez moment; potem oboje odwrócili się i zaczęli biec w stronę, z której Bates przybył. Ed zaraz go dogonił, ale Sara była już przed nimi, pędząc w kierunku domu.

Ed znalazł się przy lokaju, który wysapał:

– Atak serca... Zdołał przycisnąć dzwonek, miał go zawsze pod ręką. Moja żona daje mu tlen, ale zdaje się, że serce przestało bić... karetka już jedzie...

Ed pobiegł dalej i dogonił Sarę w drzwiach. Pokonali razem schody przeskakując po dwa stopnie i wpadli do sypialni Gilesa. Pani Bates, z rękami opartymi płasko na nagiej piersi Gilesa, uciskała ją równo i rytmicznie.

Sara podeszła do niej. Pani Bates podniosła na moment głowę informując:

– Nie mogę wyczuć pulsu.

Sara przycisnęła palce do szyi Gilesa, odchylonej do tyłu, żeby zapewnić swobodny dopływ tlenu z cylindra przez przezroczystą maskę obejmującą twarz chorego. Leżał całkowicie nieruchomo, z zamkniętymi oczami, z twarzą bez wyrazu. Sara kiwnęła głową pani Bates i stanęła za nią, kładąc ręce na jej dłoniach, żeby przejąć rytm masażu serca; pani Bates poszła sprawdzić dopływ tlenu.

Ed stał z boku i patrzył. Nie miał tu nic do roboty. Sara i pani Bates wiedziały, jak się zachować, ratowanie Gilesa wyraźnie było rutyną. Poruszały się w milczeniu, ale z determinacją niemal rozpaczliwą. Sara, skupiona i poważna, całą uwagę koncentrowała na tym, co należało zrobić.

Do pokoju wszedł Bates, dysząc ciężko, i w tej samej chwili rozległ się z od- dali słaby dźwięk sygnału pędzącej karetki.

– Ja pójdę – powiedział Ed zadowolony, że może coś zrobić.

Zbiegł na dół; wielkie oszklone drzwi czekały otwarte, kiedy karetka zatrzymała się przed schodami. Wyspało się z niej kilku mężczyzn, którzy pobiegli na tył samochodu po nosze. Powiedział im zwięźle, co się stało i dokąd mają się udać. W następnej chwili zniknęli na schodach.

Potem czekał. Minęło dziesięć minut, zanim się ukazali; towarzyszyła im Sara, trzymając przenośny cylinder z tlenem. Nadal całkowicie skupiona na Gilesie, nie podniosła nawet oczu znad jego twarzy, poruszając się instynktownie. Wyszli razem z domu. Mężczyźni umieścili nosze w karetce, a Sara usiadła obok nich. Po- tem drzwi się zamknęły i karetka odjechała. Do Eda podszedł Bates.

– Dokąd go zabrali? – spytał Ed. Kiedy dostał odpowiedź, zarządził: – Znajdź Jamesa i powiedz mu, co się stało. Ja jadę za nimi moim samochodem.

– Wiem, gdzie jest James – odparł Bates.

W szpitalu Ed zapytał o lady Sarę Luttrell, której mąż został niedawno przywieziony z atakiem serca. Kiedy ją odszukał, siedziała na ławce w pobli- żu zamkniętych podwójnych drzwi, wyprostowana, bardzo spokojna, z rękami zaciśniętymi mocno na kolanach. Usiadł koło niej i położył dłoń na jej rękach. Były lodowato zimne, ale zaciśnęły się natychmiast z całej siły wokół jego dłoni.

– Miałymy już puls, ale serce zatrzymało się znowu w karetce – powiedzia- ła z wielkim spokojem.

– Co to jest, zawał?

Kiwnęła głową.

– Trzeci. Ostatnim razem uprzedzano nas, że trzeci będzie prawdopodobnie śmiertelny. Widzisz, jego serce bardzo osłabiły poprzednie dwa. Przy drugim jego życie wisiało na włosku. Podobno miesiąc wiotczeje, rozumiesz, męczy się, nie może pracować jak należy. Jest coraz słabszy i słabszy, aż w końcu dochodzi do przerwania.

Potem siedzieli i czekali w milczeniu. Ludzie przechodzili koło nich, drzwi otwierały się i zamykały, głosy krzyżowały się nad ich głowami, dzwoniły telefo- ny, a Ed siedział patrząc, jak duża wskazówka ściennego zegara okrąża powoli cyferblat. Spojrzał na Sarę. Siedziała z nieobecny wyrazem twarzy jakby wy- rzeźbionej w kamieniu, a wyostrome rysy podkreślały piękną strukturę kości. Jed- ną oznaką napięcia było nieustanne przygryzanie dolnej wargi. Czekanie jest najgorsze, pomyślał. To tak jak z kawałkiem gumy, którą się naciąga, naciąga, a człowiek czeka spięty, skurczony, aż pęknie, gwałtownie odskoczy i uderzy go prosto w twarz.

Kiedy to się stało, kiedy drzwi się otworzyły i pojawił się w nich lekarz, od- czuli niemal ulgę, chociaż spojrzawszy na niego oboje wiedzieli, co im przycho- dzi obwieścić.

– Przykro mi – powiedział. – Serce nie zaczęło pracować. Było zbyt osłabione, drgnęło kilkakrotnie, ale nie dało rady ruszyć normalnie. Bardzo mi przykro – powtórzył.

Sara kiwnęła głową, jakby to, czego oczekiwała, nadeszło we właściwym trybie.

– Dziękuję – odparła i wstała. – Wiem, że zrobił pan wszystko, co było można. Czy mogę go zobaczyć?

– Jeśli pani sobie życzy.

Doktor odwrócił się, otworzył jedno z podwójnych drzwi i przepuścił Sarę przed sobą; sam poszedł za nią, a drzwi znów się zamknęły.

Ed usiadł i spojrzął na zegar. Ich oczekiwanie trwało zaledwie dwadzieścia minut.

Siedział w tym samym miejscu, kiedy zjawił się James. Przebył korytarz biegiem i zadyszany zatrzymał się przed Edem.

– Umarł przed chwilą – powiedział Ed. – Jest przy nim teraz twoja mama.

– Jak to się stało?

Ed mu powiedział.

– Byliśmy na taką ewentualność przygotowani, ale teraz, kiedy to się zdarzyło... mimo wszystko przeżywa się szok – zaczął James przygnębionym głosem, siadając obok Eda. – Choroby serca należą do tradycji w rodzinie... to znaczy u Luttrellów. Dziadek Luttrell umarł na atak serca. Znaleźli go w ogrodzie różanym, na ulubionej ławce, z rękami opartymi na lasce i głową opuszczoną na pierś, jakby drzemał.

– Był bardzo miłym człowiekiem – zauważył Ed.

– No oczywiście, przecież ty go znałeś, prawda? Zapomniałem.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu. Potem James zapytał:

– I co teraz zrobimy?

– Trzeba wziąć mamę do domu. Tu nie mamy już nic do zrobienia, ale trzeba będzie załatwić różne formalności.

– Mówisz o pogrzebie? – James zamilkł znów na chwilę, po czym wyznał: – Jeszcze nigdy nie byłem na pogrzebie. Kiedy umarł dziadek Luttrell, byłem za mały, a kiedy umarł dziadek Brandon, miałem jeszcze mniej lat. – Popatrzył na Eda z zastanowieniem. – Ty pewnie bywałeś na pogrzebach.

– Owszem.

W podwójnych drzwiach pokazała się Sara, której kurtuazyjnie dotrzymywał towarzystwa lekarz. James podszedł do niej i wziął ją za rękę. Przywitała go uśmiechem, nikłym, roztargnionym, zaabsorbowana tym, co się stało. Doktor przeniósł zaciekawione spojrzenie z Jamesa na Eda, ale nie odezwał się. Sara zwróciła się do niego:

– Dziękuję jeszcze raz za wszystko, co pan zrobił – powiedziała. – Jestem panu bardzo wdzięczna.

Wyciągnęła do niego rękę. Uścisnął ją, kiwnął głową i zostawił ich samych.

James popatrzył na Eda niepewnie. Ed wziął Sarę za ramię.

– Tutaj nie ma już nic więcej do zrobienia. Zawiozę cię do domu. Idziesz, James?

– Pożyczyłem samochód od Tima Carew. Muszę go oddać. Tim będzie go potrzebował, żeby wrócić do siebie.

– A jak się dostaniesz do Luttrell Park?

– Co mówisz? – James patrzył bacznie na matkę. – No, Pam mnie podrzuci. Dobrze się czujesz?

W jego głosie brzmiało z troską, był wyraźnie niespokojny. Uśmiechnęła się do niego znowu, choć jedynie ustami.

– Tak – zapewniła, klepiąc go po ramieniu. – Nie martw się, kochanie. Ed jest ze mną.

Odprężył się od razu w widoczny sposób.

– Wobec tego do zobaczenia w domu – powiedział. Objął ją mocno i przez moment stali nieruchomo, ciasno przytuleni. – Przykro mi – dodał stłumionym głosem.

Dotknęła jego policzka, uśmiechając się do niego znowu ze słodyczą i roztargnieniem. Miała nieobecne spojrzenie.

Odezwiała się ponownie dopiero w połowie drogi do domu.

– Wyglądał tak młodo, zupełnie jak kiedyś – zauważyła. – Jakby jego twarz zrobiła się na powrót... ludzka.

James musiał wcześniej zatelefonować do domu, bo kiedy tylko weszli, Bates, wstrząśnięty i nieszczęśliwy, zbliżył się natychmiast do Sary. Wzięła jego rękę w swoje dłonie.

– Drogi Bates – powiedziała. – Zawsze robiłeś dla niego, co tylko mogłeś. Pragnę ci podziękować.

Przez moment nie był w stanie przemówić; udało mu się odezwać dopiero po chwili:

– Napaliłem w kominku w salonie. Proszę tam przejść, a ja przyniosę herbatę.

– Dobrze – zgodziła się Sara z wdzięcznością – świetny pomysł. Dziękuję ci, Bates.

Ogień na kominku płonął jasno. Sara podeszła i stała przed nim chwilę grzejąc dłonie. Potem spojrzała na portret Gilesa. Ed zbliżył się do niej, stanął z tyłu i oboje trwali w milczeniu, aż Sara, nadal bez słowa, odwróciła się ślepo prosto w jego ramiona. Przytulił ją, trzymając w mocnym uścisku, a obie jej dłonie uchwyciły się go silnie, jakby szukała w nim oparcia. Położyła mu głowę na piersi, a on oparł policzki na jej włosach. Stali w milczeniu, bez ruchu, objęci.

Kiedy James zajrzał do salonu, nie usłyszeli go. Wycofał się cicho zamykając drzwi za sobą.

Giles Luttrell został pochowany w grobie rodzinnym w krypcie kościoła św. Jana Ewangelisty w Little Heddington. W pogrzebie wzięła udział cała ludność

miasteczka i okolicznych wsi. Trzysta Czternasta Eskadra Dziewięćdziesiątej Siódmej Grupy Bojowej należącej do Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, stacjonująca podczas wojny w bazie w Little Heddington, reprezentowana była przez generała majora Otisa B. Millera (obecnie emerytowanego) oraz pułkownika E.J. Hardina.

Minęło dobrych kilka tygodni, zanim Sara zdobyła się na posortowanie osobistych rzeczy Gilesa. Bates spakował i wysłał wszystkie ubrania do Oxfam, zgodnie z instrukcjami zmarłego. Pozostały jedynie osobiste drobiazgi; rzeczy, które miał w kieszeniach, portfel, zawartość biurka. Bates zostawił je w sypialni Gilesa, gdzie wszystko na nią czekało, ale dopiero po długim czasie od pogrzebu była w stanie wejść znowu do jego pokoju. Przedtem odcięła się od tego psychicznie, podobnie zresztą jak od wielu innych spraw; otwierając teraz drzwi zeszywniała mimo woli, jednak jedyną jej reakcją było uczucie pustki. Pokój był nagi, uporządkowany, bezosobowy. A przecież ten pokój do kogoś należał. Teraz już żaden ślad nie zdradzał, że zajmował go Giles. Łóżko było posłane, ale na tym koniec. Minęła sypialnię i weszła do garderoby. Na komodzie leżały oprawione w srebro szczołki Gilesa, które dostał od niej w prezencie ślubnym, obok stała srebrna szkatułka do kompletu, w której trzymał spinki do kołnierzyka i do mankietów. Bates położył tam także cienki złoty zegarek kieszonkowy, który Giles dostał od sir George'a, ten od swojego ojca, a ojciec od dziada. Teraz zegarek przejdzie na Jamesa.

Zabrała rzeczy z komody, zaniosiła je do sypialni i położyła kładąc na małym biurku do korespondencji, stojącym pod oknem. Zasiadła przed nim, otworzyła szuflady i wyjęła z nich wszystko, co tam było. Stare i aktualne książeczki czekowe, plik papierów dotyczących podatku dochodowego, sterta pokwitowanych rachunków, karty członkowskie, karty biblioteczne, listy, złote pióro w komplecie z ołówkiem – odłożyła je do pudełka dla Jamesa – oraz jej własna fotografia, sporych rozmiarów, w srebrnej ramce – oficjalny portret debutantki. Ona sama nigdy za nim nie przepadała, natomiast Giles ogromnie go lubił i wziął ze sobą na pustynię. Sara uważała, że zdjęcie ją idealizuje, że wygląda na nim zbyt eterycznie; on twierdził, że właśnie taki jej obraz ma zawsze przed oczami. Siedziała tak patrząc na fotografię; postawiła ją przed sobą, ale po chwili zmieniła zdanie i położyła ją wizerunkiem do dołu po prawej stronie biurka.

Potem zabrała się do sortowania papierów, układając je w równe stosy. Giles był porządnym i metodycznym człowiekiem. Posegregowała listy, przekonując się, że na każdy wysłano odpowiedź, ponieważ wszystkie opatrzone były w prawym górnym rogu oznaczeniem „odp.” i datą. Giles był niesłychanie skrupulatny w tego rodzaju sprawach. Podarła listy i wyrzuciła je do kosza. Książeczki czekowe zostaną zabrane na dół, do gabinetu, razem z dokumentami dotyczącymi podatku; będzie ich potrzebowała przy załatwianiu spraw spadkowych. W portfelu

znalazła trochę pieniędzy – około dwudziestu funtów, które przekaze Jamesowi – kilka recept, kartę z terminem wizyty u dentysty, kartę z terminem wizyty w szpitalu, następną z jego grupą krwi, listę książek do przeczytania, amatorskie zdjęcie jej samej, drugie Jamesa, wreszcie fotografię domu. Znajdował się tam także cienki, mały notes z adresami. Przy wyjmowaniu go z ciasnej przegródki wysunęła się spod niego złożona kartka. Rozkładając ją, zobaczyła wiersz, napisany drobnymi, równymi literami – ręką Gilesa.

*Kocham cię
Kocham cię nadal za bardzo
Ale zapomnij o tej miłości
Co Ignęła do ciebie żałośnie wbrew twojej woli
Kochałem cię w milczeniu
Bez nadziei, a tak prawdziwie
Zazdrosny, zatrwożony
Modłę się, by ktoś jeszcze
Mógł cię tak kiedyś pokochać.*

Kartka zadrżała jej w rękach, a fala przejmującego bólu załała ją niespodziewanie wytrącając całkowicie z równowagi. Opadła na biurko, doświadczając cierpienia tak głębokiego, tak przemożnego, że niemal nie od zniesienia. Pierwszy raz od śmierci Gilesa poczuła, że lód zalegający jej serce topnieje pod wpływem gorącego żalu i bólu, i dała się ponieść przyplływowi dojmującego cierpienia, bezdennej rozpacz. Odszedł tak szybko, tak nagle, zanim miała możliwość powiedzieć mu, czego się dowiedziała, co rozumiała o sobie i o nim. Nie miała nawet szansy z nim porozmawiać; przed chwilą jeszcze tu był, w następnym momencie zniknął na zawsze, pozostawiając ją z poczuciem niepowetowanej straty, jakby śmierć wydarła jej, brutalnie i nieodwołalnie, część jej własnej duszy.

Jednak wspomnienie jego osoby, jego obecności nawiedzało ją uporczywie, jak smutny duch, napełniając ją słodko-gorzkim smakiem niespełnionych nadziei, poczuciem tego, co być mogło, tak skutecznie burzącym jej wewnętrzny spokój, że choć próbowała się go pozbyć, umotywwać jego istnienie czy wreszcie je ukoić, ono nadal ciążyło jej na sercu i dręczyło jej myśli. Nie dało jej ani chwili wytchnienia od dnia śmierci Gilesa. Miała nieodparte, męczące wrażenie, że została oszukana na samej mecie, co ją drażniło i bolało. Giles umarł. Ale teraz jak natrętne echo, odbijające się od wysokich ścian jej samotności, ostatnie linijki wiersza powtarzały się uporczywie, stukając do jej mózgu niczym do zamkniętych drzwi. Ocierając dłonią oczy, przeczytała wiersz ponownie, wracając do ostatnich linii, powtarzając je sobie kilkakrotnie. „Modłę się, by ktoś jeszcze mógł cię tak kiedyś pokochać”.

Wreszcie, w końcu, zaczęła widzieć Gilesa wyraźnie. Teraz mogła go puścić, pozwolić mu odejść, zniknąć; była wolna, ponieważ nareszcie go rozumiała.

Wykorzystali się wzajemnie i tym sposobem rachunki zostały niejako wyrównane, winy wymazane. Giles wszystko wiedział; stąd wiersz. Giles dostrzegł to, czego ona, zaślepiona swoją obsesją, wyłączością uczucia do Eda, nie umiała zobaczyć. Została uwolniona, powiedziała sobie, więc dziękuj za to na kolanach. Giles uwolnił cię ostatecznie.

Wyprostowała się wciągając w płuca głęboki, odżywczy haust powietrza. W tej samej chwili jej łokieć potrącił fotografię w srebrnej ramce, która prześliznęła się po wypolerowanej powierzchni biurka i dalej poza jego krawędź, uderzając w ostry róg stojącego obok krzesła, by wreszcie ze stłuczonym szkłem wylądować na podłodze. Sara wydała okrzyk i uklękła, żeby ją podnieść; szkło było w kawałkach, ale ramka nie została uszkodzona. Odetchnęła z ulgą. Wprawienie nowego szkła to nie problem. Usiadła na powrót za biurkiem, położyła ramkę zdjęciem do dołu i zdjęła tylną ściankę. Zatrzyma fotografię w domu, a ramkę odda do reperacji.

W trakcie zdejmowania tylnej ścianki zorientowała się, że pomiędzy nią a fotografią znajduje się kilka arkusików bladoniebieskiego papieru – listów lotniczych. Zaintrygowana, wzięła je do ręki. Co u licha... czemu Giles miałby trzymać listy w takim przedziwnym miejscu? Nic nie rozumiejąc zmarszczyła brwi i zaczęła je bliżej badać. Były zaadresowane do Gilesa, do jego bazy na pustyni; rozpoznała ten niegdyś dobrze znajomy adres, natomiast pismo było jej zupełnie obce. Z pewnością nie jej własne, nie należało również do jej teścia. Jakaś inna kobieta? – pomyślała niemal rozbawiona. Listów było może pół tuzina, wszystkie adresowane do Gilesa. Ale od kogo? Bo nie od niej. Odwróciła je i wówczas zobaczyła, że nie są pisane zwykłymi literami, ale drukowanymi. Na górze nie było adresu, tylko data. Wreszcie zerknęła na podpis i uświadomiła sobie z przerażeniem, że ma przed sobą anonimy. Doznała uczucia, że żołądek podjeżdża jej do gardła i przełknęła konwulsyjnie. Ręce drżały jej tak mocno, że położyła listy na płask na biurku, jak karty, ułożone według dat – było ich razem sześć. Potem zaczęła czytać.

Pierwszy nosił datę dziesiątego października tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

NAJWYŻSZY CZAS, ŻEBY KTOŚ PANU POWIEDZIAŁ O PANU ŻONIE I O TYM AMERYKAŃSKIM PILOCIE, Z KTÓRYM ONA KRĘCI ZA PANĄ PLECAMI. SĄ STAŁE RAZEM. WIDZĘ ICH BEZ PRZERWY. ON JEST KAPITANEM LOTNICTWA I NIEZŁYM UWODZICIELEM, A ONA JEGO NAJNOWSZĄ DZIWKĄ. MIAŁ ICH TUZINY. COŚ O TYM WIEM. PODOBNO MAŻ DOWIADUJE SIĘ ZAWSZE OSTATNI. CHYBA CZAS, ŻEBY SIĘ PAN DOWIEDZIAŁ.

ŻYCZLIWY

– O Boże...

Gorycz podeszła jej do gardła, na czoło wystąpiły krople potu. Pochyliła się do przodu czując mdłości. Zamknęła na chwilę oczy, zmusiła się do wzięcia kilku głębokich oddechów.

Potem przeczytała drugi list. Datowany był ze stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego.

PANA ŻONA I JEJ AMERYKAŃSKI KOCHANEK CIĄGLE ZE SOBĄ KRĘCĄ. ZNAM JEGO NAZWISKO: HARDIN. PILOTUJE LATAJĄCĄ FORTECĘ, KTÓRA NAZYWA SIĘ „SALLY B” I WIDZĘ ICH RAZEM CAŁY CZAS, ALE ONI O TYM NIE WIEDZĄ. NIE WIDZĄ NIC POZA SOBĄ. TA BEZWSTYDNA DZIWKA I CUDZOŁOŹNICA JEST ZAKAŁĄ PANA RODZINY. JEDEN MĘŻCZYZNA TEJ ZACHŁANNEJ SUCE NIE WYSTARCZA. JESZCZE SIĘ TYM SWOIM KOCHANKIEM PYSZNI, WYSTĘPNA ZDZIARA. OBOJE SĄ ZEPSUCI DO SZPIKU KOŚCI. NIE OBCHODZI ICH, KOGO ZRANIĄ. TO NIESPRAWIEDLIWE.

ŻYCZLIWI

– Boże drogi!

Tym razem wydała z siebie jęk protestu. Nie mogła uwierzyć, że ktoś napisał list, który przeczytała. To zbyt straszne, żeby mogło być prawdziwe. Więc Giles wiedział, zawsze wiedział. Wiedział od samego początku. Te listy wszystko mu powiedziały. Ogarnęła ją furia, dzika, rozpalona do białości pasja, która ją przeniknęła na wskroś. Więc wiedział! Cały czas wiedział! I wszystko, co czuła, co robiła, okazało się zbędne; jej wewnętrzna szarpanina, przeżywane udręki, wyrzuty sumienia i poczucie winy, cierpienie, żal i poświęcenie – siebie i Eda... O Boże, pomyślała. Świątoszkowaty, obłudny, zakłamany, podstępny łajdak.

Zacisnęła mocno powieki, odgradzając się od widoku listów, jakby w ten sposób mogła także odgrodzić się od rzeczywistości. Ale kiedy uchyliła je, by spojrzeć przez wąską szparę, listy nadal tam były. Krótkie w treści, zjadliwe w intencji, koszmarne w skutkach. Zmusiła się do czytania dalej, nie dotykając ich poza odwracaniem tych, które przeczytała. Trzymała ręce mocno zaciśnięte, ponieważ trzęsły się tak jak ona sama, ogarnięta palącą wściekłością.

Pisane regularnie, w mniej więcej sześciotygodniowych odstępach, listy donosiły o pogłębianiu się jej romansu z Edem; w miarę upływu czasu stawały się coraz zjadliwsze, coraz bardziej obelżywe i skatologiczne, coraz bardziej rozsierdzone i histeryczne, jakby fakt, że ich związek trwał nadal, przekraczał granice wytrzymałości autora. Te listy były nieopanowanym rykiem szaleńczej zazdrości i ślepej furii. Czy pisał je jakiś zdradzony mąż? – zastanawiała się. A może zazdrosna, porzucona kobieta? Lub taka, która została odtrącona i zignorowana? Ktokolwiek to był, z papieru ziały zawiść i jad, równie oczywiste jak fakt, że ich autor pochodził z miasteczka, do którego społeczności należał. Widać to było z jego własnych słów, z rodzaju wiedzy, jaką posiadał. Ktoś, kogo

znam? – pomyślała. Ktoś, z kim rozmawiałam, do kogo się uśmiechałam? Ktoś, kto zwracał się i uśmiechał do mnie? Na samą myśl o tym jej żołądek zaczął się znów buntować.

Odwróciła jeden z listów i przyjrzała się stemplowi. Oxford. Tak, to pasowało do całości obrazu. W czasie wojny funkcję listonosza pełniła w miasteczku pani Samson, nałogowa plotkarka o sokolim wzroku. Wyłapałaby natychmiast fakt, że do Gilesa Luttrella pisuje ktoś poza jego żoną i ojcem. Zatem kimkolwiek był autor, znał on miasteczko na tyle dobrze, by się w tym orientować, co oznaczało, że w nim mieszkał. W rezultacie jeździł do Oxfordu, żeby wysłać swoją rysztockową korespondencję całkowicie anonimowo. Ale kto? I dlaczego? Dlaczego? Na samą myśl o listach skreśliła się wewnętrznie, czując się nieczysta, skalana.

Spojrzała na ostatni list i nagle poczuła się tak, jakby ją ktoś zdzielił kijem po głowie. Zrozumiała z przerażeniem, że ma przed sobą własny list, ten, w którym napisała Gilesowi, że porzuca go dla Eda. Wezbrały w niej mdłości i podeszły do gardła. Walcząc z nimi pobiegła do łazienki. Przez długi czas klęczała na zimnych płytach posadzki, dygocząc, wstrząsana torsjami. Kiedy już była w stanie podnieść się na nogach jak z waty, doszła chwiejnie do umywalni, gdzie splukała twarz zimną wodą i umyła ręce. Potem, nadal niepewnym krokiem, wróciła do sypialni Gilesa i opadła znów na krzesło przed biurkiem.

Przez krótką chwilę siedziała z zamkniętymi oczami. Potem znów popatrzyła na listy i spoza jej odrazy wyłoniło się przesycone słodyczą i goryczą zarazem wspomnienie tamtych dni, o których listy mówiły, które wskrzeszały z taką wyrazistością, że poczuła się jakby przeniesiona w czasie. Miała znów dwadzieścia trzy lata i była pierwszy raz w życiu zakochana; codzienne spotkania z Edem nadawały wówczas sens jej istnieniu. Pamięć wezbrała i zalała ją potężną falą. Siedząc teraz za biurkiem czuła się tak, jak gdyby zdjęto jej z oczu warstwy gazy, a światło pamięci, dotychczas nikłe i rozproszone, stało się nagle ostre i silne. To, co czuła teraz do Eda, choć nadal głębokie, nadal mocne, nie przypominało tego, co czuła do niego w tamtym czasie; miłość zmieniła się, podobnie jak ona sama. Nie była już w jej władaniu – to ona nią władała; podobnie działo się z Edem. Przedtem nie byli w stanie opanować uczucia. Teraz oboje świadomie go chcieli.

Wróciła znów do drugiego listu. Tak, to było tutaj. „Nie widzą nic poza sobą”. To prawda, pomyślała. Rzeczywiście tak było. Tylko skąd autor listów to wiedział? Gdzie ich widywał? Jakim sposobem ich szpiegował? Przeszedł ją nagły dreszcz. Ten ktoś znał nazwisko Eda, jego stopień, nazwę jego samolotu. Czy znał go również osobiście? Zapomniała, że Ed był dobrze znany w miasteczku – w każdym razie przez kobiety. Przypomniała sobie teraz te taksujące, znaczące spojrzenia, którymi go obrzucały podczas wieczorków tanecznych w bazie. On kiwał im głową i posyłał uśmiechy. Czy anonimowe listy napisała jedna z tych kobiet? Kobieta, którą Ed znał i z którą przestawał, zanim spotkał ją, Sarę? Czy

Ed był jej kochankiem? Czy porzucił ją dla Sary? Przebywał w Anglii już od ośmiu miesięcy, kiedy się spotkali tego sierpniowego popołudnia. Znając Eda, z pewnością były jakieś kobiety. Nigdy o to nie pytała. On nigdy nie mówił. Jakiś instynkt, intuicja, przeczucie – jakkolwiek by to nazwać – odpowiedziało jej, że te listy zostały napisane przez kobietę.

Raz jeszcze Sara wróciła do drugiego listu. Został napisany mniej więcej w trzecim miesiącu ich znajomości; byli wówczas kochankami może od miesiąca. „Pana żona i jej amerykański kochanek ciągle ze sobą kręcą... Widzę ich razem przez cały czas... Nie obchodzi ich, kogo zranią. To niesprawiedliwe”. O Boże, pomyślała Sara. W tej chwili zrozumiała, co za uczucie dobiega się gwałtownie do jej świadomości: własna zazdrość – wstrząsająca sprawa, zjawisko zdumiewające i przerażające. Myśl, że Ed mógł być kochankiem tej kobiety, że mógł ją kochać, liczyła się dla Sary daleko bardziej niż bezsens, tragedia i bezcelowość tego wszystkiego. Zawsze, nawet w tych najszcześniejszych, najpiękniejszych momentach, nie była wolna od obaw, że kiedyś, któregoś dnia może stracić Eda – i ten fakt odegrał pewną rolę w jej decyzji powrotu do Gilesa. Okazała się nie lepsza od kobiety, która napisała te listy. Miała taką samą obsesję na temat Eda, jak tamta zagubiona dusza. Nic prócz Eda nie było ważne. To, że kiedyś ją rzucił, że ją zranił, stało się przyczyną całego zła.

Ile kobiet odrzuciło Eda Hardina? Przecież powiedział wyraźnie, że nigdy przedtem żadna go nie rzuciła. Wezbrała w niej furia. Zaciśnęła mocno ręce. Ach, gdyby tak teraz miała go przed sobą, usłyszałaby niejedno! Oskarżyłaby go, pokazała, co narobił, wygłosiła mowę, zaatakowała z pasją, zażądała – tak, zażądała! – żeby wyjawili tożsamość tej kobiety. Była więcej niż pewna, że chodzi o kobietę. Nie miała na to żadnego dowodu, nic prócz własnej niezbitą pewnością, że chodzi o jedną z kobiet Eda. Niech go piekło pochłonie! To wszystko była jego wina; ta cała smutna, żalosa afera. Jego wina, że był tym, czym był – zmysłowym, pewnym siebie mężczyzną, który brał, wykorzystywał i porzucał. To jego wina; wszystko, co zrobiłam, było na próżno, pomyślała. Na próżno! Uderzyła z wściekłością otwartą dłonią w blat biurka, nie dbając, że się rani. Marzyła, żeby się na niego rzucić i walić na oślep, bić, kopać, drapać i gryźć, ranić go za to, że ją zranił. On i jego kobiety!

– Niech go diabli! – powiedziała. – Niech go wszyscy diabli!

Spojrzała znów na listy. Taka mała rzecz, pomyślała. Kobieta, która jest dostępna; mężczyzna, który korzysta z dostępu. Krótka przygoda. Koniec czegoś, co było. To wszystko działo się w końcu tak dawno temu, należało do przeszłości. Więc dobrze, jesteśmy własną przeszłością. Ale nie rób tego, przed czym przestrzegał cię Ed. Nie zabieraj tego wszystkiego ze sobą w przyszłość. Zapakuj złą przeszłość w skrzynię z napisem „Niepotrzebne w podróży”. Sama zabierz jedynie to, co dobre. A co dobrego jest w tych listach? Wzięła do ręki cały plik, wyrównała i wyprostowała, po czym przedarła na pół, i jeszcze raz, i jeszcze, aż trzymała garść małych skrawków papieru. Włożyła je do dużej, głębokiej kryszta-

lowej popielniczki, wyjęła pudełko zapalek z szuflady biurka, zapaliła zapalną i przytknęła do górnej warstwy stosu. Zajął się od razu, strzelił płomieniem; papier zbrązowił, szerniał i rozsypał się w popiół, a płomień już lizał łączywie następną warstwę. Poruszyła stos zapalną, ułatwiając dopływ tlenu, aż wszystkie warstwy zostały pochłonięte przez ogień, a na popielniczce czerniał się zwęglony kopiec. Zburzyła go i rozkruszyła, a potem wzięła popielniczkę, zaniósła ją ostrożnie do łazienki, wysypała zawartość do sedesu i spuściła wodę. Po wodzie pływały nadal czarne pyłki. Spuściła ją powtórnie. Tym razem woda była czysta.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Miała twarde spojrzenie i bezwzględna minę. Wróciła do sypialni Gilesa i schowała srebrną ramkę z powrotem do szuflady. Zamknęła portfel i umieściła go obok fotografii. Potem zamknęła szufladę na klucz, który schowała do kieszeni. Gdy tego dokonała, poczuła się lepiej, jakby oczyszczona, jakby w ogniu spłonęła również jej uraza i żal. Jednak ślady zazdrości pozostały i zdała sobie sprawę, że nigdy nie znikną do końca. Będzie musiała radzić sobie z tym najskuteczniej, jak się da. Ed zawsze będzie atrakcją dla kobiet, zawsze będzie przez nie otaczany. Pamiętać jednak należy, że to ona go ma, a nie one.

Stała tak w pokoju wyglądając przez okno, kiedy duży brązowy ford Eda zatoczył łuk na podjeździe i zatrzymał się przed schodami. Bates wyszedł mu na spotkanie. Ed wysiadł, podniósł głowę, by spojrzeć na dom, dostrzegł ją w oknie i uśmiechnął się z rozjaśnioną twarzą. Podniosła rękę, żeby do niego zamachać i uśmiechnęła się również w odpowiedzi. Dobrze, pomyślała. Ruszamy naprzód z prawej nogi. Odwracając się od okna wzięła do ręki szczotki, skrzynkę, pliki dokumentów. Nie rzuciwszy nawet ostatniego spojrzenia na pokój wyszła i zamknęła zdecydowanie drzwi prowadzące do przeszłości. A potem zeszła na dół na spotkanie przyszłości.

Epilog

Na dźwięk stajennego zegara, wybijającego trzecią po południu, drzwi domu otworzyły się i ukazała się w nich cała rodzina. Jezu, pomyślał Hervey Leinert, toż to prawie Pałac Buckingham!

Pierwszy wyszedł gospodarz imprezy, James Luttrell, prowadząc pod rękę swoją żonę w zaawansowanej ciąży; za nim szli jego rodzice, generał porucznik Edward J. Hardin oraz jego żona, lady Sara Hardin, trzymając za ręce swoją dziewięcioletnią córkę, „Sally”; pochód zamykali generał major Otis B. Miller z małżonką. Brakuje tylko fanfar, pomyślał Hervey.

Tłum zaszumiał gwarem i ruszył do przodu. Każdy z członków rodziny obrał własną drogę wśród gości. Był dwudziesty szósty dzień czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku i dwudziesty ósmy doroczny zjazd Trzysta Czternastej eskadry właśnie się rozpoczął. Hervey zdecydował się najpierw coś wypić, a dopiero później pokrażyć w tłumie. Miał całkiem sporo do nadrobienia.

Stracił poprzedni zjazd. Musiał pójść do szpitala, żeby zoperować wreszcie wrzód żołądka. Rok wcześniej Hardinowie byli na południowym Pacyfiku, więc minęło trzy lata od czasu, kiedy widział ich po raz ostatni. Wyglądali tak samo wytwornie i kwitnąco, jak zwykle. Ed miał nieco więcej siwych włosów, które zresztą pięknie podkreślały jego opaleniznę, i wydawał się, jak zawsze, w szczytowej formie. Jego żona prezentowała się, jak zawsze, niezwykle elegancko, ubrana w coś zwiewnego i miękko się układającego w kolorze dymnej szarości, bardzo pochlebnej dla jej wieku, choć prawdę mówiąc, myślał Hervey, mogłaby śmiało uchodzić za przynajmniej dziesięć lat młodszą, niż jej prawdziwe pięćdziesiąt cztery czy pięć lat. Nadal sprawiała wrażenie arcydzieła ręcznej roboty. Dziewczynka była istnym portretem własnej matki z czasów młodości: długonoga, o wielkich szarych oczach i włosach barwy najlepszego zboża z Iowy, okalających na

kształt dzwonu jej drobną twarz. Mała poszła prosto w stronę bufetu i właśnie dokonywała dzieła zniszczenia w ogromnej porcji lodów z truskawkami.

Zaopatrzwszy się w pierwszy kieliszek szampana, Hervey postanowił zacząć od lady Sary. Podszedł spacerowym krokiem do grupy, której przewodziła, i utorował sobie do niej drogę. Obdarzyła go natychmiast uśmiechem i wyciągnęła do niego rękę:

– Pan Leinert! Jak miło znów pana zobaczyć. Mam nadzieję, że wrócił pan w pełni do zdrowia.

– Tak, dziękuję. A jak pani się ma? Chociaż nie muszę o to pytać. Widać, że Kalifornia pani służy.

– Owszem. Uwielbiam ją – zresztą nie tylko Kalifornię. Zakochałam się w Ameryce.

– Ale przyjemnie czasem wrócić do domu, prawda?

– Naturalnie. Spędziłam wiele szczęśliwych lat właśnie tutaj, w Luttrell Park.

– Kiedy widziałem państwa ostatnim razem, Ed był związany z NASA, a potem usłyszałem, że jest na Pacyfiku. Co robi teraz, kiedy został generałem porucznikiem?

– Jest komendantem bazy w południowej Kalifornii, około czterystu mil na południe od San Francisco.

– I jak się pani tam podoba?

– Ogromnie. To jest taki samowystarczalny mały świat. Baza ma wszystko: własne sklepy, szkołę, kościół. Jednak nadal utrzymujemy dom w San Francisco i spędzamy tam tyle czasu, ile się uda. W zeszłym roku zbudowaliśmy też dom na przylądku Monterey... między Monterey a Carmel... i planujemy spędzać w nim część lata, kiedy tylko to będzie możliwe.

– W sumie brzmi to jak całkiem niezłe życie – stwierdził Hervey.

– O tak – zgodziła się spokojnie, odwzajemniając jego uśmiech.

– Czyli są państwo szczęśliwą rodziną – kontynuował Hervey – która, jak widzę, wkrótce się powiększy.

Kiwnął głową w kierunku Anne Luttrell, stojącej koło męża.

– Mniej więcej za sześć tygodni.

– Zdaje się, że pani syn wygrał los na loterii, tak samo jak jego ojciec – powiedział Hervey gładko.

– Jej fortuną była twarz oraz figura – zgodziła się Sara lekko.

– I znowu będą?

– Nie. Anna zrezygnowała z zawodu modelki, kiedy wyszła za Jamesa. Po urodzeniu dziecka będzie zajęta czymś zupełnie nowym. – Odwróciła się od niego i dodała: – A teraz proszę mi wybaczyć, powinnam zająć się resztą gości; mamy ich tu dziś więcej niż kiedykolwiek – ponad czterysta osób. To mnóstwo ludzi, i muszę się ze wszystkimi przywitać...

Uśmiechnęła się do niego ostatni raz i odeszła.

Wypiję następny kieliszek szampana, pomyślał Hervey, a potem wezmę się z kolei za syna, czyli Jamesa.

– Chciałbym panu pogratulować – oznajmił, kiedy udało mu się podejść dostatecznie blisko.

– Dziękuję.

– Mają państwo nadzieję na syna i dziedzica?

– Będę się cieszył z dziecka, niezależnie od tego, czy będzie chłopcem, czy dziewczynką.

– Mówiłem właśnie pana matce, że miał pan, podobnie jak ojciec, szczęśliwą rękę, jeśli chodzi o żonę.

James spojrział na niego chłodno.

– Bardzo pan uprzejmy – powiedział tonem sugerującym wyraźnie, że ma na myśli coś zgoła przeciwnego.

– Ze wszystkich zjazdów, odbywających się w kolejnych latach, opuściłem tylko jeden – Hervey rozglądał się dokoła. – Chyba zaliczyłem ich więcej niż ktokolwiek inny.

Odwrócił się znów do Jamesa.

– Pamiętam pana z czasów, kiedy był pan jeszcze bardzo mały... a potem nie pokazywał się pan na zjazdach przez wiele lat.

– Byłem w szkole – odparł James – albo na uniwersytecie.

– Pana matka świetnie wygląda. Powiedziałem jej, że życie w Kalifornii musi jej służyć.

– Owszem – potwierdził krótko James.

Podeszła do nich Anne Luttrell.

– Kochanie, chodź porozmawiać z Mansonami... – uśmiechnęła się do Herveya. – Pan Leinert – dodała. – Jak się pan miewa?

Szałowa dziewczyna, pomyślał Hervey.

– Moje gratulacje – zwrócił się do niej.

– Dziękuję. – Spojrzała na jego pusty kieliszek. – Proszę częstować się szampanem.

Po czym odeszła, zabierając ze sobą męża.

Hervey powędrował z powrotem do stołu z bufetem, gdzie Sally Hardin zabrała się właśnie do drugiej porcji lodów z truskawkami.

– Cześć – przywitał ją Hervey.

Popatrzyła na niego świetlistymi oczami swojej matki.

– Cześć.

– Dobrze się bawisz?

– Tak – odparła. – A pan?

– Ja się zawsze dobrze bawię – zapewnił Hervey.

– Aha. Był pan tutaj również w czasie wojny? – spytała.

– Tak. Byłem w eskadrze twojego taty. – Dolał sobie szampana. – Znałem go na długo przed twoim urodzeniem.

Spojrzała na niego z namysłem.

– Naprawdę? – Nie wydawała się specjalnie zainteresowana.

Mnóstwa rzeczy jeszcze nie wiem o fuzji Hardin-Luttrell, pomyślał Hervey. Weźmy choćby fakt, że James Luttrell przejął spokojnie funkcję gospodarza. Nadal nosi nazwisko oficjalnego ojca, ale nie odziedziczył po nim tytułu. Czy można jaśniej przyznać, że nie jest synem Gilesa Luttrella? I dlaczego nie zmienił nazwiska na Hardin? Dlaczego nadal mieszka tutaj, w Luttrell Park, chociaż pracuje w Londynie jako agent ubezpieczeniowy i poręczyciel u Lloyda? A na to, pomyślał Hervey, trzeba mieć pieniądze. Ciekawe, czy dużo. I skąd je ma? Od którego ojca? Łyknął szampana, sfrustrowany.

– Musi pan być spragniony – zauważyła Sally Hardin kończąc talerz truskawek.

– To prawda – przyznał.

Trochę dalej zauważył „Bulla” Millera, obecnie emerytowanego generała majora, i podszedł do niego.

– Jak tam, Hervey? – zagadnął „Bull” jowialnie. – Wciąż karmisz masę papką ze słów?

– Czy oni zjedliby coś innego? – odparł Hervey sardonicznie.

„Bull” Miller wygląda staro, pomyślał beznamiętnie. Bardzo staro. Był teraz całkowicie łysy i stracił sporo na wadze, co sprawiało wrażenie, że się skurczył. W pewnym sensie określenie było nawet trafne. Wystarczy popatrzeć, jak wyprzedził go Ed, już generał porucznik i, jeśli wierzyć pogłoskom, na najlepszej drodze do zdobycia wszystkich pięciu gwiazdek. Jak go znam, pomyślał Hervey jadłowicie, pewnie zostanie szefem sztabu!

– Naszemu Człowiekowi z Żelaza nieźle się wiedzie, nie uważasz? – stwierdził. Ale „Bull” Miller nie zwykł był zazdrościć innym.

– I na tym wcale nie koniec – oznajmił. – Wieść niesie, że ma objąć dowództwo NATO.

– Czyżby? – skomentował Hervey odrobinę bardziej kwaśno. – Jeszcze trochę i zechce kandydować na prezydenta. Tak, wiedzie mu się całkiem dobrze. I to pod różnymi względami.

Rzucił aprobujące spojrzenie na lady Sarę.

– Zawsze była piękną kobietą. A ta ich historia, że się w końcu pobrali... zupełnie jak z powieści – dorzucił.

– No cóż... wtedy, w czasie wojny, coś między nimi było, więc musiało przeżyć.

– Zostajesz u nich na weekend, jak zwykle? – spytał Hervey niedbałym tonem, z ukrytą zazdrością.

– Tak. Nie opuściłbym tego za nic. To naprawdę przemiła rodzina. A dziewczynka jest niezwykle bystra. Ed mówił mi, że będą ją musieli posłać do specjalnej szkoły – takiej, która zajmuje się wyjątkowo zdolnymi dziećmi; zdaje się, że przeskoczyła już poziom zwykłej szkoły.

– To też mnie wcale nie dziwi – oznajmił Hervey ponuro.

– Tak czasem bywa z dziećmi... starszych matek – wyjaśnił „Bull” taktownie. – Ed martwił się o to, jak pamiętam. Obawiał się, czy nie wyniknie coś od-

wrotnego – a mogło się i tak zdarzyć, wiesz? Bo lady Sara musiała mieć, bo ja wiem? ze czterdzieści pięć lat, kiedy urodziła Sally. To może być niebezpieczne.

– I zadziwiająco – uzupełnił Hervey. – Dwadzieścia dwa lata odstepu między dziećmi, to olbrzymia różnica.

– No, więcej dzieci nie będą mieli – zaśmiał się „Bull”. – Ona przekroczyła już ten wiek, nawet jeśli on nie. Przychodzi czas, że musimy przekazać pałeczkę młodszemu pokoleniu – „Bull” westchnął i uśmiechnął się szeroko. – Oni to zresztą zrobili – dodał wskazując ruchem głowy na Jamesa Luttrella i jego żonę. – Kiedy zjawiają się na świecie wnuki, zostajesz przeniesiony do tylnego rzędu. Wiem coś o tym, mam ich czworo.

Sara popatrzyła na swoją córkę, którą zagadnęła w najlepszej wierze jedna z przybyłych pań, przemawiając do niej jak do przeciętnej dziewięciolatki; Sara знаła ten wyraz twarzy córki oznaczający uprzejmą nudę.

Cóż, Sally była dość duża i mądra, a także wystarczająco dobrze wychowana, żeby dać sobie radę również w gorszych momentach życiowych. Matka spokojnie pozostawiła ją własnemu losowi. Odwróciła się do Eda, który tymczasem został wzięty w krzyżowy ogień pytań przez Herveya Leinerta i na jej widok podniósł nieznacznie brew do góry, co miało znaczyć: „Uwolnij mnie od tego”. Podeszła do niego zaraz i zapytała:

– Kochanie, czy wdziałeś się już z Moskowiczami? Wiem, że Willie cię szukał.

– Nie, jeszcze nie zdążyłem – odparł Ed od razu – ale zrobię to. Już do nich idę. Przepraszam, Hervey. Baw się dobrze, dolej sobie jeszcze szampana.

Sara podeszła do stołu, biorąc sobie porcję łososia ze szparagami. Hervey poszedł za nią.

– Jesteście tu państwo na długo? – spytał.

– Na jakieś dziesięć dni. W przyszłym tygodniu moja szwagierka przyjedzie z mężem na kilka dni, które chcemy spędzić razem z nimi, zanim pojedą dalej, do Paryża.

– Wobec tego zostają państwo na weekend w Luttrell Park?

– Tak.

– Ktoś mi szepnął, że Ed może objąć dowództwo NATO.

Sara wzruszyła ramionami.

– Pogłoski – powiedziała. – Niech pan czyta gazety. Ja zawsze dowiaduję się z nich o wszystkim.

Akurat, pomyślał. Jeżeli ona nie wie, to nikt nie będzie wiedział. Nie uszła jego uwagi bliskość, niemal jedność tych dwojga. Nawet w ich wieku, pomyślał.

– Jak by się pani podobała myśl o zamieszkaniu znów w Europie?

– Będę szczęśliwa, gdziekolwiek zamieszkać, byle przy boku Eda – odparła po prostu.

– Mamo, spróbuj tego ciasta z owocami i bitą śmietaną, jest pyszne – zachęciła Sally, która przyszła właśnie po dokładkę.

– Chyba pozostanę przy łososiu – odpowiedziała jej Sara.

W tym momencie zbliżył się do nich James.

– Co, nadal się opychasz? – spytał żartobliwie Sally.

– A co więcej można robić? Przychodzę tu tylko po to, żeby jeść.

James sięgnął po talerz.

– Anne ma wielką ochotę na wędzonego łososia – oświadczył.

– Zaniosę jej to, jeśli chcesz – ofiarowała się Sally.

– Tylko bez kosztowania po drodze – ostrzegł James.

– Wolę ciasto – poinformowała go chłodno. – Ale podobno ryba dobrze wpływa na pracę mózgu, więc nie żałuj sobie.

– Zuchwała szelma – uśmiechnął się rozbawiony James i pociągnął ją za włosy. – Wygląda jak aniołek, a przemawia jak Sowa Przemądrzała – dodał, zwracając się do Herveya. – Należy strzec się uczonych kobiet.

– Jak Anne sobie radzi, kochanie? – zapytała Sara syna.

– Dobrze. Właśnie na chwilę usiadła.

– W takim razie pójdę dotrzymać jej towarzystwa.

– No, tego jej nie brakuje. Każda obecna tu żona i matka zajęta jest dawananiem jej dobrych rad.

Sara zastała swoją synową siedzącą przy stole w otoczeniu trzech matek, które dzieliły się z nią swoimi doświadczeniami. W odpowiedzi na spojrzenie Sary wstała mówiąc:

– Dziękuję za wszystkie dobre rady. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę jeszcze pójść do innych gości.

– Widzę, że masz zmęczone uszy – stwierdziła ze zrozumieniem Sara.

– I cierpliwość na wyczerpaniu. Wysłuchałam szczegółowych relacji na temat każdego dziecka, które przyszło na świat w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

– Intencje mają dobre.

– Tak, wiem, i do tego są takie miłe! Ciekawskie, ale miłe. Gdzie się podziewa Ed?

– Gdzieś w okolicy. Poszedł na poszukiwania Willie’ego Moskowicza, który był tylnym strzelcem „California Girl” i „Sally B”. Pewnie będą wspominali, wskrzeszali na nowo Regensburg albo Schweinfurt, czy coś w tym rodzaju.

– Popatrz, sama też pamiętasz te nazwy.

– Ach, pamiętam mnóstwo rzeczy – powiedziała Sara z dziwną nutą w głosie.

– Jak wtedy było? – zapytała Anne.

– To był po prostu inny świat – Sara sięgnęła do niego na moment pamięcią. – O tak, zupełnie inny.

– I to jest dla nich bardzo ważne, prawda?

– Dla nas wszystkich, którzy przeżywaliśmy te dni... to był specjalny, wyjątkowy czas.

– A dla ciebie szczególnie specjalny, bo przecież wtedy poznałaś Eda – uważała Anne w zadumie. – Podobnie jak Oxford zawsze będzie specjalnym miejscem dla Jamesa i dla mnie...

– Zapewne – zgodziła się Sara z tajemniczym uśmiechem i dodała: – O Boże, Hervey Leinert znowu tutaj idzie. Utrapienie, nie człowiek; a wąż ma jak pies gończy. Lepiej szybko zmykajmy.

Hervey widział, jak Sara Luttrell i jej synowa znikają gdzieś w oddali; rozejrzał się za Edem, ale nie dostrzegł ani jego, ani Jamesa. Podeszedł do jednego ze stolików, usiadł, zapalił papierosa i trwał tak w markotnym milczeniu.

Sally Hardin zatrzymała się przy nim i zapytała uprzejmie:

– Czy przynieść panu jeszcze jeden kieliszek szampana, panie Leinert?

– Czemu nie? Ty też się napij.

– Pozwalają mi tylko na jeden kieliszek i już go wypita.

– Proszę, i do tego jeszcze jesteś w skautach – powiedziała. Popatrzyła na niego, jakby był jakimś rzadkim okazem, oglądanym pod mikroskopem, aż poczuł się niewyjo. Zaproponował: – To weź sobie lemoniady.

Sally przyniosła mu nowy kieliszek, ale nie usiadła.

– Słyszałem, że jesteś bardzo bystrą dziewczynką – stwierdził jeszcze. – Lepiej uważaj; niewielka doza wiedzy bywa niebezpieczna.

– Tak naprawdę, ten cytat brzmi: „Niewielka doza nauki bywa niebezpieczna” – sprostowała, nadal uprzejmie.

– Co ty powiesz. Hmm, bez wątpienia masz rację.

– Zwykle mam rację – oznajmiła mu i odeszła.

To właśnie Sally znalazła go później zwiniętego w kłębek pod jednym ze stolików, kompletnie pijanego. Poszła razem z rodzicami odprowadzić ostatnich gości, a następnie wróciła sprawdzić, czy zostało jeszcze trochę ciasta – i wtedy go dostrzegła; zapominając o celu swojej wędrówki pobiegła z powrotem do rodziców i brata z bratową, którzy wracali wolno z parkingu w towarzystwie państwa Kellych i państwa Moskowiczów.

– Tato, tato, pan Leinert wcale nie odjechał. Leży pod stolikiem i mocno śpi.

Poszli tam całą grupą i obejrzeni go sobie razem.

– Biedny pan Leinert – powiedziała Sara. – Mam wrażenie, że on się w tym wszystkim trochę pogubił.

– Tak, z nim zawsze jest ten sam problem – zgodził się Ed pochylając się nad leżącym i biorąc go za ramiona. – Wstawaj, Hervey. Przyjęcie się skończyło, pora wracać do domu.

– Czy on przyjechał samochodem? – spytała Sara. – A może jednym z autobusów? Moim zdaniem nie powinien prowadzić w takim stanie.

– Jest po prostu pijany. Powinien to odespać.

– Na ziemi? – W głosie Sary brzmiało powątpiewanie.

Pochylając się znowu, Ed powtórzył:

– Wstawaj, Hervey... podnieś się...

Postawił na nogi Herveya, który stanął chwiejąc się niepewnie i mrugając jak sowa.

– Nie zrobiłem żadnych zdjęć – oznajmił.

– Dlaczego? Zapomniałeś wziąć aparat?

– Nie – odparł Hervey – przypomniało mi się, ile mam lat...

– Nie masz się co martwić. Absolutnie nie wyglądasz na więcej niż sześćdziesiątkę.

– Ha, ha, ha – wyskandował Hervey bez uśmiechu.

– Uszy do góry, Hervey. Impreza się skończyła i masz spokój do następnego roku. Możesz bezpiecznie schować swoje wspomnienia.

– Spóźnił się pan na autobus, panie Leinert – oświadczyła Sally z wyrzutem.

– Jakbym sam nie wiedział – mruknął Hervey.

Kolana się pod nim ugięły i osunął się na ziemię – bezwładna, ale solidna masa.

– Nie ma co – stwierdził Ed – będziemy go musieli zanieść. James, weź go za nogi. Połóżmy go gdzieś i niech to odeśpi.

Dotarłszy do domu, zanieśli go do gościnnej sypialni, zdjęli buty i przykryli kołdrą. Hervey otworzył oczy i wlepił je w Eda.

– Szczęściarz – powiedział ochryple. – Czy ty wiesz, jaki z ciebie szczęściarz?

Ed spojrzął mu prosto w oczy.

– Hervey, mnóstwa rzeczy nie wiem, ale co do tego nie mam akurat żadnych wątpliwości.

Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Herveyowi opadły powieki.

– Taaa... – mruknął i zaczął chrapać.